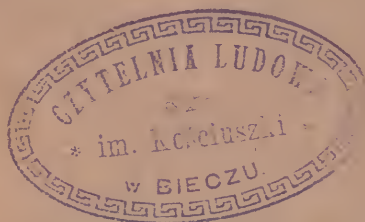



CZYTELNIA LUDOWA
im. Kościuszki
w BIECZU

ST. TARNOWSKI.

STUDIA DO HISTORYI LITERATURY POLSKIEJ.

WIEK XIX.

ROZPRAWY I SPRAWOZDANIA

TOM I.



W KRAKOWIE,
NAKŁADEM KSIĘGARNI SPÓŁKI WYDAWNICZEJ POLSKIEJ.
1895.



W KRAKOWIE, W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SP.
pod zarządem Józefa Łakocińskiego.

ROZPRAWY I SPRAWOZDANIA.

I.

O KOLĘDACH.

Kiedy się po wszystkich kościołach kolędy śpiewają [1]), jeszcze o nich słyszeć, to może za wiele tego dobrego; ależ znowu sam czas świąteczny naprowadza na ten przedmiot, i każe myśleć o tej części tak oryginalnej naszej rodzimej, bezimiennej, ludowej poezyi. Święta te wywarły na nią wpływ przeważny, znać, że wywierać musiały wielki urok na wyobraźnię ludu, jak na wiele innych rzeczy w naszym świecie. Wiele natchnień cudownych, świętych, znalazła chrześciańska sztuka, włoskie malarstwo, zwłaszcza to najpobożniejsze, przed-rafaeliczne, w tych scenach Narodzenia! Wiele wszystkie ludy Europy wzięły ztamtąd swoich drogich, rzewnych, najpoetyczniejszych może zwyczajów? Nasza Wilia o pierwszej gwieździe, nasza Szopka, i gwiazda, którą chłopcy noszą na Trzech Króli, nawet nasze osobne śpiewy świąteczne nie są bynajmniej w Europie jedyne: obyczaje, obrzędy, śpiewy, odmienne, ale naszym pokrewne znajdują się i na południu, i na zachodzie, i na północy.

Anglia jest protestancką, ale *Christmass* jest dla niej nie religijnem tylko, lecz narodowem i domowem świętem, a na wspomnienie tych dzwonów, które je zwiastują, Anglik najsztywniejszy, gdzieby był, pod równikiem, czy pod biegunem, rozczuli się zawsze. I tam małe chłopcy obchodzą domy z latarniami i śpiewami, a zwyczaj bardzo piękny chce, żeby to święto przynosiło jakąś korzyść, jakąś ulgę, jakąś radość biednym; kobieta, która sama nie jest bardzo ubogą, miałaby sobie za grzech, nie byłaby Angielką, gdyby choć jed-

[1]) Drukowane w *Czasie*. w Styczniu roku 1882. Nr. 17, 18, 20, 22, 24 i 25, w Lutym Nr. 26 i 27.

nemu ubogiemu nie dała a jeszcze lepiej nie zrobiła sama jakiej ciepłej odzieży, zwłaszcza też biednym dzieciom. Zdaje się, jak żeby Dzieciątku Jezus chcieli nagrodzić zimno, na które płakało podług naszej kolędy, odziewając w ciepłe suknie jak najwięcej dzieci.

W Niemczech mniej ruchu po ulicach, mniej hałasu, i może mniej miłosierdzia, ale w domu święto także i może jedyne oznaczone ładnym, symbolicznym i poetycznym zwyczajem, *Christbaum*. Francya miała swoje śpiewy kolędowe osobne, które tytuł swój nawet wzięły od tego święta, a choć z czasem te *Noele* stały się świeckiemi, nieraz satyrycznemi lub zgoła lekkiemi śpiewkami, to właściwa im forma prosta i naiwna przechowała się zawsze, świadczy o ich początku i o ich z naszemi kolędami jakiemś pokrewieństwie. A choć tam najmniej może zostało śladów dawnego obyczaju, to przecież gwar i ruch od mszy północnej do samego rana, nieustający hałas grzechotek, wieczerza późną nocą z osobnem nazwiskism, a wreszcie zwyczaj podarunków tak powszechny, że każdy je dawać i odbierać musi, wszystko to zabytki tej radości i tej uroczystości, z jaką niegdyś narody europejskie, jak były młode, święciły Boże Narodzenie.

We Włoszech, kiedy w bocznej kaplicy każdego prawie kościoła widzi się ustawioną stajenkę ze wszystkiemi figurami, które w niej być powinny, i kiedy od Bożego Narodzenia do Trzech Króli można w wielu kościołach jeżeli nie we wszystkich widzieć po południu mnóstwo dzieci, które w tej kaplicy recytują dyalogi pobożne (o Narodzeniu po największej części), ma się żywe przypomnienie wieków średnich, kiedy dyalog w kościele był nietylko przyjętą i przyzwoitą, ale konieczną ingredencyą każdej religijnej uroczystości: i zarazem przypomnieniem szopki. Tylko, że laleczki, pastuszkowie, Trzej Królowie, aniołowie i siepacze Heroda, żywe i zgrabne, świecą czarnemi oczyma i mówią głosikami dźwięcznemi jak dzwonki. Hiszpanie, kiedy wyszli z kościoła po mszy pasterskiej, palą ognie, strzelają z moź-

dzierzy, śpiewają i tańcują po ulicach, a swoją wilię, swoją dobrą noc *(noche buena)* obchodzą jak my wieczerzą rodzinną i przyjacielską, która ma swoje tradycyjne, przepisane potrawy, tylko odbywa się dwa razy: jedna postna wieczorem, druga mięsna, huczniejsza, w nocy po nabożeństwie.

A jak w zwyczajach daje się dostrzedz pewne pokrewieństwo, jak nasza Szopka i włoskie dziecinne dyalogi mają oczywiście wspólny początek w średniowiecznych religijnych przedstawieniach, tak i śpiewy z jednego może wypłynęły źródła, i początek naszych kolęd kryje się może w pieśniach przez kościół układanych i rozpowszechnionych, które były nietylko pobożnemi pieśniami, ale wprost modlitwami.

Ale czy to tak było wszędzie i od początku, czy też u nas tylko i później, pomysł był bardzo mądry i zręczny, żeby te pieśni o Bożem Narodzeniu miały zarazem i charakter więcej świecki, żeby w domu były tak stósowne do śpiewania jak w kościele (albo może więcej) i żeby, zawierając zawsze i myśl pobożną i jakąś w końcu prośbę, modlitwę, były opowiadaniem, wspomnieniem. Czy pierwsze kolędy, jakie się u nas przed wiekami śpiewać zaczęły, były układane przez księży lub nie, zawsze bez pozwolenia i aprobaty duchownej w kościele one śpiewać się nie mogły, a tego z pewnością domyślać się można, że one z kościoła dostały się do domu, nie zaś z domu do kościoła. Wyobraźmy sobie teraz, jakim mądrym i jakim dzielnym środkiem rozszerzania wiary i pobożności były takie pieśni, które nietylko utrzymywały uczucie religijne, ale zarazem zajmowały, bawiły, działały na wyobraźnię. Lud, który nie umiał czytać, ale który rad słuchał opowiadań i rad śpiewał, a zabawić się, rozerwać się potrzebował, znajdował w takiej pieśni przyjemność, bawił się jak powiastką, a zarazem przyzwyczajał się i przywiązywał do osób i zdarzeń, o których ta pieśń mówiła. Święty Józef, Najświętsza Panna, pasterze, mieli prawo obywatelstwa w jego wyobraźni. Trzej Królowie stawali przed nią w wielkiej paradzie złociści i brodaci jak

królowie z bajek, i pierwsze chwile Nowego Zakonu, pierwszy artykuł wiary, wcielenie i odkupienie, wchodziły w życie, stały ciągle na pamięci i w wyobraźni ludu, który te pieśni śpiewał, z pamięci i z wyobraźni przechodziły do jego serca.

Był to więc środek doskonały nie tylko religijny ale moralizujący i cywilizujący. Rodzina, która się zabawiała śpiewaniem tych pieśni, nie potrzebowała bawić się uciechami światowemi, które nawet kiedy nie były złe, mogły być grube, gburowate, głupie. Wyobraźnia zajęta żywo Betleemskiemi scenami, nie szuka rozrywki w obrazach, które mogły pomału stać się pokusami, a przez nią dostawały się do serca dobre uczucia i przechodziły w krew. Materyalnie nawet śpiewanie takie tysiące ludzi ustrzedz mogły od złego: dzieci od swawoli, dziewczęta od niepotrzebnych myśli lub rozmów, dorosłych od szukania zabawy po za domem w szynku, a w domu w obmowach. Gdyby zaś spojrzeć na to ze stanowiska religijnego, i pomyśleć, jakie wrażenie robić musi na ludzi gorącej wiary i pobożności widok całej rodziny, kilku kilkunastu, i tak dalej aż do setek tysięców rodzin, które wieczór trawią na śpiewaniu pieśni o Narodzeniu, bawią się nabożeństwem, nie modląc się przecież Pana Boga chwalą, czy takiemu widok taki nie wydałby się wspaniałym i po prostu cudownym? czy to nie rzeczywiste spełnienie tego przykazu „cokolwiek robicie, niech wszystko w was będzie na chwałę Bożą“? czy to nie jest nieustające Hosanna, które z każdego domu i z całej ziemi idzie w górę jak kadzidło z ołtarza, a któż wie, czy jak to kadzidło podług słów modlitwy nie ściąga na ziemię niezliczonej obfitości zmiłowań i błogosławieństw? Religijnie mądra, moralnie i cywilizacyjnie nie obojętna i skuteczna była ta myśl kościoła, żeby ludowi chrześciańskiemu dać do śpiewania pieśni, które odpowiadały jego potrzebom świeckim i ziemskim, a zarazem utwierdzały jego wiarę i krzewiły w nim uczucie religijne.

I to jest główne znamię kolędy. Ona jest pieśnią religijną, ale nie jest prawie nigdy modlitwą. Nie mówiąc o tych,

co mają charakter więcej świecki a nawet humorystyczny, i po kościołach nie śpiewają się wcale lub tylko przez nadużycie organisty, bo się tam śpiewać nie powinny: te najpoważniejsze, te najpobożniejsze, które się słyszy zawsze przy najuroczystszej chwili błogosławieństwa Przenajśw. Sakramentem, te nawet nie są na prawdę a przynajmniej nie są całe modlitwami, ale opowiadają, że „Anioł pasterzom mówił“ lub pytają „Któż pobieży kolędować małemu“. To jest charakter główny kolędy, to jest podstawa: a z tej dopiero wyrosły różne jej rodzaje i formy: to sprawiło, że lud sam mógł na tę grupę pieśni kościelnych wpływać bardzo silnie, i zupełnie ją po swojemu na swoją przerobić.

I.

Kto bowiem przyglądał się uważnie kolędzie, ten musiał dostrzedz, że jej właściwym przymiotem i jej największym wdziękiem, owszem samą jej istotą, jest ta poufałość naiwna, z jaką mówi o Narodzeniu Pana Jezusa i o jego matce, z jaką nasz świat polski i wiejski przenosi w te odległe wieki i kraje. Ten koloryt lokalny polski, tak niewłaściwie nadany Betleemskim scenom, to jest cały wdzięk naiwności kolęd, a poufałość, prostota i jakieś rozrzewnienie. to jest ich piękność wyższa i wewnętrzna. Ci pasterze, zbudzeni przez aniołów i spieszący do owej szopy, to nie są jakieś wschodnie Araby, Turki czy Żydy, ale istne polskie parobki; ta szopa jest taka sama, jak każda stajnia przy każdej wiejskiej zagrodzie; i ktoby dzieje Nowego Testamentu znał tylko z kolęd, ten mógłby myśleć, że Pan Jezus urodził się gdziekolwiek w Polsce, w pierwszej lepszej wsi; każda mogłaby dla siebie tę chwałę windykować, bo każda jest podobna jak dwie krople wody do tego Betleem, jakie jest w kolędach. Żyje w nich cały ten wiejski świat, ze swojemi zwyczajami i stosunkami, uczuciami i sposobem mówie-

nia: a ta wielka oryginalność, ta ze stanowiska literackiego największa wartość kolęd, jest skutkiem tego, że one nie były samą tylko czystą modlitwą, ale i opowiadaniem.

To bowiem sprawiło, że ten wiejski poeta mógł sobie wyobrażać, owszem musiał, różne chwile wspomniane w ewanielii; musiał, żeby je opowiedzieć, rozwijać je i dodawać różne szczegóły, których tam nie ma: a że wyobrażać sobie mógł tylko po swojemu, tworzyć dalej na podstawie tego, co znał i widział, więc bez pytania kładł w swoje opowiadanie wszystko, co widział u siebie na wsi, przeniósł w kolędę swój własny świat. Zaczęło się oddziaływanie ludu samego a przynajmniej wiejskich poetów na rodzaj poezyi, podanej im początkowo przez kościół, i rozwinęło się bardzo silnie. Pieśń zrazu religijna, nie prosząca ale chwaląca, zaczęła przyjmować w siebie coraz więcej pierwiastków świeckich i miejscowych, aż w końcu te wzięły górę nad świętemi. Każda kolęda robi takie wrażenie jak szopka, gdzie w głębi stoi wprawdzie żłóbek i Najświętsza Panna i ś-ty Józef, ale na przodzie sceny rozmawiają żołnierze, chłopi i żydzi, nie wiele się troszcząc o to, co w głębi. W kolędach na pierwszym planie są zawsze ci pasterze, ci parobcy i ich rozmowy nieraz bardzo długie. Narodzenie służy za tło, a obrazem jest polski świat, polska wieś, ze wszystkiem, co do niej należy: jest i mróz grudniowy i kożuchy i buty i czapki i różne domowe sprzęty i zapasy., Wszystko to poeta kolęd wprowadza w swoje pieśni, a nieraz i całą znajomą sobie naturę, wszystkie zwierzęta u nas żyjące występują tam pod tym pozorem, że i one także idą składać swój hołd Nowonarodzonemu. Rozwijają się zarazem i różne rodzaje kolęd, bo jeżeli wszystkie nie odmiennie mają charakter idylliczny, to w formie raz będzie to idylla jakaś opowiadana i opisująca z epickim pierwiastkiem, innym razem dyalog we dwie lub kilka osób, a w nim (jak w szopce) jakieś żdźbło pierwiastku dramatycznego. Dziwna rzecz nawet jak pod tym względem kolęda stoi wyżej od innych

gałęzi naszej ludowej poezyi; rozmaitości form, wiersza i stylu, pierwiastków kompozycyi, czy to opisowej czy dramatycznej, żadna może nie wykaże tylu i w takim stopniu, co ta.

Ale jeżeli pierwiastek świecki, jaki jest w kolędzie, sprawił, że ona rozwinęła się w różne formy i przybrała miejscowy, narodowy charakter, to znowu inny powód, już nie materyalny, ale głębszy, moralny i psychologiczny, sprawił, że lud kolędę lubił, że do niej lgnął, że ją przed innemi swojemi pieśniami uprawiał i kształcił, ma się rozumieć, bezwiednie.

Człowiek ubogi i prosty, znający okoliczności towarzyszące Narodzeniu Pana Jezusa, nie zastanawiając się i nie rozumując, czuje przecież instynktem, że to jego święto, jego tryumf, apoteoza ubóstwa, podniesienie go do godności i chwały, z jaką żadna na świecie równać się nie może; król Salomon w całym swoim blasku jest prochem i niczem przy majestacie i jasności Betleemskiego żłobu. A tam, w tej stajni, ubogi jest tem, czem nie jest nigdy i nigdzie indziej na świecie. Ostatni zawsze i pokornie trzymający się na ostatku, tu jest nie tylko równy najpierwszym, ale jest od wszystkich pierwszym; on najbliższy, on pierwszy powołany, jemu naprzód obwieszczają aniołowie „Pokój ludziom dobrej woli“ — on tam spieszy i znajduje wstęp, kiedy trzej Królowie jeszcze daleko, a więc on chyba najdroższy i najbardziej pożądany. W jego stosunkach, w jego położeniu, w jego skromnych warunkach życia stał się ten cud wcielenia i odkupienia: Słowo wcielone przychodzi na świat w szopie takiej jak jego szopy, dzieciątko Jezus biedniejsze nawet od najbiedniejszych dzieci ziemskich, nie ma nic dla siebie przygotowanego i leży na sianie — a przecież to Bóg, Zbawiciel i Odkupiciel. Jak później uczniom Jana na dowód swojej tożsamości powiedział, że „ubogim niesie dobrą nowinę“, tak narodzeniem swojem w ubóstwie już je podniósł w godności i uczynił chwalebnem w oczach nieba i ziemi.

I człowiek ubogi to czuje. On nie rozważa i nie rozumuje, ale z rozkoszą myśli o narodzeniu, rozpamiętywa i wyo-

braża sobie różne jego chwile, bo każda z nich mówi mu wyraźnie, że w oczach tego Syna Bożego, a zarazem ubogiego syna człowieczego on tyle wart, tyle znaczy, może więcej, co ten, który na ziemi przewyższa go i nad nim panuje. On wie, że tak jak podobni jemu pasterze, pierwsi byli powołani i pierwsi pobiegli do szopy, tak w ziemskiej świątyni, czy w chwale niebieskiej jego obecność, jego serce, jego prośba, jego hołd, jego cierpienie i jego dusza są takie dobre, a może milsze, niż innych ludzi: on tam i tylko tam wszystkim równy co najmniej, jeżeli nie wyższy i starszy, on syn pierworodny, najmniej prawda psuty na ziemi, ale najdroższy i obsypany najbogatszemi błogosławieństwy.

Tego wszystkiego wyobrażeniem, streszczeniem, figurą, jest Narodzenie Pana Jezusa w stajni na sianie, i powołanie pasterzy, żeby go pierwsi poznali i uczcili. I w tem tajemnica tego uroku, jaki Nnrodzenie wywiera na ubogich i prostych: nie mówiąc już o wyższych i wznioślejszych, ale tych wrażeń po ludzku tylko miłych, ufności, pewności siebie, podniesienia we własnych oczach, z jakiemi oni o Narodzeniu Pańskiem myślą. Wszystko to jest bezwiedne i zupełnie instynktowe, ale jest. Że zaś żadne inne święta i obrzędy, żadne pamiątki innych chwil życia Jezusa Chrystusa, nie mówią o tem właśnie tak wyraźnie i jasno, nie zmuszają tak koniecznie do uznania i do wyobrażenia sobie tego pierwszeństwa danego ubogim, więc nie mogło być inaczej, jak że to święto, ta pamiątka, te części Ewangelii przemawiały najsilniej do serca i do wyobraźni ludu i że w żadne inne obrzędowe kościelne pieśni nie włożył on tyle serca i tyle wyobraźni, co w te. To mu było najdroższe i najpoufalsze. tu on się czuł zupełnie u siebie, między swoimi, w swoim żywiole, a zarazem nad siebie i nad całą ziemię wzniesionym. Nie dziw, że i z upodobania nad tem zatrzymywał się najwięcej, najwięcej myślał i wyobrażał sobie, i że mógł zrobić i więcej i lepiej, niż na innem polu.

To jest myśl podstawna, to jest górujące uczucie, i nie znajdzie się prawie kolędy, któraby nie z tego była wyszła, nie obracała się około tego. Zaraz te dwie kolędy *par excellence*, te klasyczne, tradycyą i użytkiem kościelnym tak uświęcone, że pierwsze zawsze stają na myśli, te są wyrazem chwały i uwielbienia. „O dziwne narodzenie, nigdy nie wysłowione,“ ale i chwały ubóstwa. Pierwsza prawie rzecz, jaką „Anioł pasterzom mówił,“ jest, że „Pan stworzenia wszego, narodził się w ubóstwie, pałacu kosztownego żadnego nie miał zbudowanego,“ i że Pan chwały wielkiej uniżył się“... A ta druga, która opowiada, że „w żłobie leży“ wraca do tego samego i powtarza bez ustanku, że „ubogo narodzony,“ pyta, „Co się stało, że rozkoszy niebieskie opuściłeś a zstąpiłeś na te nizkości ziemskie“?

Czem w żłóbeczku nie w łóżeczku
Na sianku położony,
Czem z bydlęty nie z panięty
W stajni jesteś złożony?

Czy mamy mówić o poetycznej wartości, czy piękności tych dwóch kolęd naczelnych, typowych, które czy są wiekiem starsze, czy nie, otoczone są taką powagą, że wydają się jak matki całego rodu, jak źródła, z których wypłynęły w różne strony wszystkie inne kolędy, jak motyw główny, z którego wyszło wiele waryacyj i wiele osobnych kompozycyj? Mówić o tem trudno. Naprzód, czy to przyzwyczajenie, czy może ten związek słowa z nutą, który według Herdera, jest istotą pieśni, ale nie można prawie ich czytać, nuta przeszkadza, tak się je zna zawsze tylko w śpiewie, że bez niego prawie ich zrozumieć i poznać nie można. Przecież zmusiwszy się do uwagi i rozważywszy słowa same, widzi się, że to są rzeczy, które nie dadzą się tak sądzić, jak zwykła świecka poezya. Niema tam tych warunków piękności, jakich zwykle szukamy i jakie cenimy. Ani szcze-

gólnego dźwięku, ani nowych, śmiałych, świetnych zwrotów w formie, ani tego lirycznego rozrzewnienia, które ściska za serce i pobudza do łez, ani jakiejś silnie wyrażonej religijnej exaltacyi, któraby się schodziła z poetycznem natchnieniem, ani tej wyobraźni, która i sama widzi i widzieć daje przedmiot. Pod temi wszystkiemi względami niema tu nic pięknego. Słowa najprostsze, ułożone bez sztuki i bez talentu (przynajmniej nie potrzeba było talentu na to, by je tak ułożyć). Nie ma nawet rymów, jeden wiersz kończy się na *mówił*, drugi na *narodził*, jeden na *mieście*, drugi na *ubóstwie*, i tak ciągle, czy umyślnie, czyli z niewiadomości i nieudolności, jakaś assonancya zastępuje rym. Żadną miarą, gdyby ktoś dziś tę samą kolędę napisał, nie powiedzielibyśmy, że jest piękna. A przecież robi wrażenie, wzrusza, przejmuje i ma tę wziętość odwieczną i powszechną, która zawsze dowodzi, że jakaś prawda i jakaś piękność musi być w tej rzeczy, skoro ona przez tyle wieków milionom ludzi trafiała do serca i odpowiadała. Czy w tych kolędach czasem sam brak formy nie jest pięknością? czy ta niedbałość o warunki dobrego wiersza, o styl, o piękne wysłowienie, nie wybija na niej jakiegoś piętna oryginalnego, a pięknego przez to, że jest do śpiewów kościelnych i hymnów biblijnych nie podobne, ani zbliżone, ale z tej samej przyczyny, z tego samego początku płynące? Jak ten, kto uniesiony uwielbieniem i zapałem, nie liczył zgłosek i metrów, kiedy pisał czy improwizował *Te Deum laudamus*, jak hebrajski prorok kiedy Boga chwalił, lub siebie oskarżał, nie dobierał słów i nie troszczył się o formę, tak, że te słowa, które mu nasunęły się pierwsze, stawały jedne za drugiemi, jak same chciały, tak, że formy tam niema prawie, tylko wyrażenie pojęcia czy uczucia: tak i tutaj autor kolędy, ktokolwiek on był, nie myślał ani o wierszu, ani o rymie, ani o stylu, ale tylko przejęty żywo tem, co miał na myśli i w sercu, chciał powiedzieć jakkolwiek, byle zrozumiale. Tak jak tam, formy niema jeszcze, jak tam, jest tylko treść, która się wyraziła, jak

mogła. Ale jak tam wielkie podniesienie i gorącość ducha jest i daje się czuć doskonale przez tę nieobmyślaną formę, i podnosi te słowa tak, że one mają wielkość i wzniosłość, choć jej nie szukają i o niej nie wiedzą, tak i tu przyczyna podobna wydała podobny skutek. Stopień jest mniejszy. Anioł z naszej kolędy nie ma natchnienia pieśni Dawida, ani tej potęgi, która jednym tchem wyśpiewała najwspanialszy hymn pochwalny na świecie, ale i on ma jakąś powagę prostą, która, choć on o wierszu nie myśli, daje mu jakąś pełność rytmu, prawie wspaniałą bez muzyki nawet, a przy muzyce uroczystą i majestatyczną zupełnie, kiedy oznajmuje z wysokości „Chrystus się nam narodził“ i przykazuje „Słuchajcież Boga Ojca jako wam go zaleca. Ten jest Syn mój najmilszy jedyny, z Raju wam obiecany, Tego wy słuchajcie.“

I tak jak śpiewy kościelne i psalmy, to się nigdy nie wyczerpie, nie obsłucha, nie spowszednieje. Choć odwieczne, jest zawsze nowe, zawsze robi wrażenie. Musi tam być jakaś myśl, która nie wietrzeje, i jakieś uczucie, które zawsze trafia do duszy; a im lepiej znać, im częściej słuchać, im bliżej się przyglądać, tem większe odkrywa się zasoby i głębokości tych myśli i uczuć, wyrażonych tak po prostu. Są to te same, które się znajdą we wszystkich kolędach: ale zwięźle, krótko powiedziane, mieszczą się tu wszystkie razem, kiedy gdzieindziej są rozproszone. Wszystko, co nauka chrześciańska mówi o Narodzeniu Syna Bożego, wszystko co przykazuje wierzyć, wszystko co wzięte do serca zapala je miłością i chwałą Bożą, jest tu w krótkich słowach zawarte: „Chrystus się nam narodził, Pan wszego stworzenia;“ to pierwsza wieść, to fundament Nowego Zakonu, to głośne wyznanie wiary. „Już się ono spełniło, co pod figurą było, Aaronowa różczka zielona stała się nam kwitnąca i owoc rodząca,“ to stwierdzenie, że ta wiara opiera się na proroctwach, że jest ich spełnieniem, i że Stary Zakon pełen jest przepowiedni i figur Messyasza. Przytoczenie słów, któremi Ojciec Synowi świadczył przy chrzcie w Jordanie, jest tej

wiary argumentem: a ostatni wiersz tej strofy: „Tego wy słuchajcie,“ jest jej przykazaniem. Strofa czwarta, ta, co wspomina o Najświętszej Pannie „poczęła Syna w czystości, porodziła w całości Panieństwa swojego“ — wyznaje, że Chrystus począł się z Ducha Świętego, „a narodził z Maryi Dziewicy,“ bez której wspomnienia i czci, katolicka wiara, ani katolicka i polska modlitwa zupełną być nie może. Początkowe „narodził się w ubóstwie, pałacu kosztownego nie miał zbudowanego,“ to znowu ten konieczny pierwiastek kolędy, która zawsze musi pamiętać, że Syn Boży był ubogim i ubóstwo wywyższa i ubogich podnosi: a ostatnia strofa, to jest wyznanie Boga w Trójcy Ś-tej Jedynego i prośba, żeby chwała jego nie ustała.

Są tu więc wszystkie zasady wiary chrześciańskiej, wspomnienie wszystkich okoliczności, towarzyszących Narodzeniu, jest chwała oddana Bogu i w niej ukryta prośba, a wreszcie jest ten tryumf ubogich i prostych, który jest cechą, a po większej części i treścią kolęd. Jestto więc, jak żeby essencya z nich wszystkich, typ wszystkich; a jeżeli nie jest pierwszą z nich co do czasu i nie dała im początku, to jest z pewnością ich koroną i streszczeniem, bo wyraża najdobitniej i najzupełniej to, co jest we wszystkich innych. I dla tego w użytku kościelnym, jak w naszem uczuciu, ma pierwszeństwo przed wszystkiemi; dla tego wrażenie, jakie ona robi, jest i najuroczystsze i najbardziej podnoszące. A nie będzie to najmniejszym tego wrażenia i jej wysokiego charakteru dowodem, ani jej najmniejszym zaszczytem, że polski *Signor dell'altissimo canto*, kiedy opowiadając dzieje swojego moralnego przeobrażenia, chciał dać poznać drogi, jakiemi uczucia religijne wróciły do jego serca, wspomniał tę kolędę i jej na siebie wpływ, i w tej scenie aniołów, które zamyka trzecią część „Dziadów,“ aniołowi swemu włożył w usta śpiew, napisany tym samym rytmem i zastósowany do tej samej nuty.

„W żłobie leży“ treścią do tego bardzo podobne, a w przywiązaniu powszechnem nie mniej silnie zakorzenione, jest poufalsze, więcej ziemskie w tonie, a zarazem więcej nauczające i tłómaczące, kładzie wyraźniej do głowy to, co tam było powiedziane bez nauk i komentarzy. Najwięcej może popularna ze wszystkich kolęd, nie jest przecież wymyślona przez lud sam. Wskazówką niemylną jest pewna erudycya, która się w niej widzieć daje. Wieśniak, jeżeli zna to imię Emanuela, które proroctwa dają Panu Jezusowi, to o Racheli płaczącej synów swoich i o rzeziach i jękach w Ramie prawdopodobnie nie słyszał, a w każdym razie nie powiedziałby, że Miłość Boska „wywyższyła człowieka pod niebo empirejskie“. Jest to więc prawdopodobnie robota człowieka wykształconego, najprędzej księdza, który czytywał Nowy i Stary Testament, a z łaciną i z mitologią nawet był obeznany. To wszakże rzeczy nie zmienia, i „W żłobie leży“ stało się pomimo tego i jest dziś zupełnie i prawdziwie ludową kolędą. Treść jej jest do poprzedzającej bardzo podobna. Naprzód obwieszczenie „Dobrej wieści“, dalej parę strof na ten sam temat „Narodził się w ubóstwie“; niema przecież tak zupełnego wyznania wiary, niema przypomnienia, proroctw, ani w zakończeniu takiego zwrotu pochwalnego, którym tamta jest niejako przypieczętowana. Ta jest jak żeby urwana: kończy się wspomnieniem Trzech Króli, a właściwie niema końca, mogłaby ciągnąć się dalej. Jest też więcej świecka: pastuszkowie ze swojemi piosneczkami już tu bardziej naprzód występują, ton jest poufalszy. A przyjście Chrystusa w ubóstwie tam stwierdzone tylko, tutaj jest wytłumaczone powodami, i to zastępuje tę naukę, która tam dana jest w jednej, przedostatniej strofie. Ten dyalog, w którym Chrystus Pan sam odpowiada pasterzom, zadziwionym jego stanem ubogim, to jest szersze rozwinięcie, wyraźniejszy wykład tego, co tam Anioł pasterzom mówił. Obie razem odznaczają się między kolędami charakterem najpoważniejszym i najwięcej religijnym. Modlitwy w nich niema lub

bardzo mało, ale chwała brzmi od początku do końca: a pierwiastku świeckiego, opowiadającego, w jednej niema wcale, w drugiej ledwo że jest. Jak zaś ta nieświadoma siebie prostota umié być wysoką i przejmującą, jak robi wrażenie poważne i podnoszące, wysoko religijne, to można poznać, kiedy się ją porówna z kolędami pisanemi przez ludzi wysoko wykształconych, literatów przynajmniej, jeżeli nie poetów.

Kolęda „Bóg się rodzi" należy do najlepszych w swoim rodzaju; a choć za taką dość powszechnie uchodzi, choć jest podniesiona nutą istotnie bardzo ładną, nie potrafi nigdy zrobić takiego wrażenia, jak to nie uczone, źle napisane „W żłobie leży". To jest bardzo ładne, ale w tych antytezach bardzo dobrze złożonych, w tych starannie dobranych zwrotach i wyrazach, jest coś stylistycznie poprawnego, akademicznego, ozdobnego, co mimo woli człowieka zawsze trochę ziębi: „Ogień krzepnie, blask ciemnieje", to wyrażenia doskonałe, obrazowe, ale cokolwiek daleko szukane, a zrazu nawet nie bardzo zrozumiałe; trzeba pomyśleć, żeby dojść, że to blask Bóstwa przyćmił się w ludzkiem ciele. „Ma granice nieskończony", to znowu śliczny, doskonały frazes, ale pojęcie nieskończoności i ograniczenia, zestawienie ich razem, to przecie trochę za uczone, filozoficzne. „Wzgardzony okryty chwałą, śmiertelny, król nad wiekami" to są retoryczne antytezy, świetnie użyte, każdy pisarz mógłby ich pozazdrościć, ale na kolędę styl to za świetny, a retoryki za wiele. Sam ten epitet dany Panu niebiosów „obnażony" jest bardzo poprawny i eufemiczny. Wiejski kolendziarz mówi „Jezus malusieńki leży golusieńki" — ale to dziecko gołe i płaczące z zimna bardziej wzruszy i da więcej do myślenia niż ten „Pan niebiosów obnażony". I zapytanie: Cóż niebo masz nad ziemiany" i zwrot „Ubodzy, was to spotkało witać go przed bogaczami" czuć, że wyszły i z religijnej i z filozoficznej i z literackiej refleksyi. Dwie strofy ostatnie za to są śliczne na prawdę, jedna ma myśl głęboką i piękną, kiedy mówi, że „Bóstwo razem zmięszało dary Królów z wieśniaczemi ofiarami" i wszyst-

kie równo przyjmuje. A ostatnia ma nietylko rozrzewnienie patryotyczne, ale ma i wyrażenie, zwrot poetyczny, jeden z najpiękniejszych, kiedy mówi:

Podnieś rękę Boże dziecię!
Błogosław ojczyznę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie
Wspieraj jej siłę swą siłą, i t. d.

A przecież te doskonałości stylistyczne i te poetyczne natchnienia nawet, nie potrafią tak wzruszyć jak te słowa proste, któremi wiejski jakiś poeta woła: „A witajże pożądana perło droga z nieba“. Sama strofa jest szczególna: siedmiowierszowa; dwa pierwsze czternastozgłoskowe, bez miary długie, po nich cztery ośmiozgłoskowe, i te rymują, każdy wiersz poprzedni z następnym. Ostatni dziewięciozgłoskowy, wolny zupełnie, i sam nie rymuje z niczem. W psałterzu Kochanowskiego możeby się znalazły strofy równie rozmaite, pełne śmiałych a niespodziewanych zmian i spadków, a poważne i harmonijne. A co za pytania śliczne, pełne prostoty w wyrażeniu a pobożności w uczuciu w strofie drugiej i czwartej.

Czyliż nie dość, mocny Boże, żeś na świecie z nami?
Zimno cierpisz dla nas grzesznych między bydlętami!
Malusieńki Jezu w żłobie,
Co za wielka miłość w Tobie,
Czyliż nie są wielkie dziwy:
W ludzkiem ciele Bóg prawdziwy
Przyszedł zbawić człowieka grzesznego.

Cóż to robisz Stwórco nieba, ziemi i wszystkiego,
Czyś zaś sobie nie mógł wybrać pałacu jakiego,
Ażeby był podobniejszy,
Pański pokój wygodniejszy,

A tu się oblewasz łzami,
Na zimnie pod obłokami,
Ubogi a drogi klejnocie!

Jakiż piękny zwrot skruchy i modlitwy w dwóch strofach ostatnich. Obok „W żłobie leży“ i „Anioł pasterzom mówił“, możnaby tę trzecią „A witajże perło droga“ policzyć do najpiękniejszych i najczystszych pereł naszej kolędowej poezyi. Wszystkie te trzy reprezentują w niej najlepiej rodzaj kolędy najbardziej religijny. Nie modlitwy, ale pieśni pochwalne i dziękczynne, nie błagalne, a przypominające, choć nie opowiadają, różne okoliczności Narodzenia, są one z treści swojej typowemi kolędami. Pierwiastkiem świeckim tyle tylko obciążone, ile koniecznie trzeba na to, by kolędami być mogły, mają wyższy lot i charakter, ton wznioślejszy od większej części kolęd, są z nich najpoważniejsze, najczyściej religijne i kościelne. A forma ich niewykształcona, byle jako zlepiona od niechcenia, ma przecież taką szlachetność wyrażeń, taką bezwiedną powagę i czystość, jaką naiwnemu poecie dać mogło tylko rzeczywiste i prawdziwe, choć o sobie nie wiedzące natchnienie. Jako najpiękniejsze niech służą te trzy do charakterystyki całej grupy kolęd, tej mianowicie, która jest najpobożniejsza, najściślej kościelna.

II.

Różne są stopnie i różne stosunki pierwiastku religijnego i świeckiego w kolędach, — różne ich formy, różne nawet przedmioty. W największej części pierwiastek świecki bierze górę nad religijnym, a w niektórych tak buja swobodnie a nawet rubasznie, że tamten poważny chowa się gdzieś zupełnie i kryje. Jestto zbytek tej poufałości, która stanowi główny wdzięk kolęd i niejako wyrodzenie się gatunku. W formie znowu ta różnica, że niektóre z nich są dyalogami, i to niekiedy dyalogami tak długiemi i w tyle

osób, że stają się już jakąś sielankową sceną, w której ledwo gdzieś na końcu odezwie się przypomnienie Narodzenia. A co do przedmiotu i treści, to znowu te zachodzą między niemi różnice, że nie jedna obiera sobie jakąś chwilę, jakiś szczegół Narodzenia i ten wyłącznie prawie opowiada. Część największa mówi o pasterzach bieżących do szopy; ale są i o Trzech Królach, i o niewiniątkach, i o rzeczach późniejszych, jak cud w Kanie Galilejskiej, i o ucieczce do Egiptu, i o Najświętszej Pannie i św. Józefie, jak dążą na nocleg do Bethleem i znaleść gospody nie mogą. Fantazya tych poetów, oczarowana bethleemskiemi widokami i do nich przywiązana, każdym z nich z osobna zajmuje się i pieści. Owszem to, co poprzedziło Narodzenie, ten czas, który nazywamy Adwentem, ma poświęconą sobie osobną grupę kilkudziesięciu pieśni, których treść główną składają albo Zwiastowanie, albo przypomnienie proroctw, zapowiadających narodzenie Messyasza z Dziewicy, albo przypomnienie nauk św. Pawła, jak w nowym czasie, nowy, odrodzony człowiek żyć powinien, albo wreszcie przypomnieniem tej konieczności odkupienia, która spowodowana grzechem Adama sprawiła, że Syn Boży z woli Ojca poświęcił się na to dzieło, wcielił i narodził. We wszystkich, jakie są, powtarza się nieodmiennie jedna z tych czterech treści. Pomiędzy temi adwentowemi pieśniami znajduje się jedna bardzo znana i wzięta, której zaraz pierwsze słowo wskazuje dawny jej początek: „O gospodzie uwielbiona“, a druga nie mniej rozpowszechniona i równie ładna: „Zawitaj ranna jutrzenko“. Ta zaś zasługuje na szczególną uwagę przez to, że jest jedną z tych bardzo rzadkich pieśni, w których jest modlitwa za ojczyznę i wspomnienie dawnego rządu Rzeczypospolitej. Zaczyna ona od modlitwy o zbawienie:

Zastaw nas tarczą zbawienia
Mocą swojego imienia,
Uszykujże nas w miejscach bezpiecznych,
Zbij nieprzyjaciołów wiecznych.

Ale zaledwo to powiedziała, przechodzi do doczesnych nieprzyjaciół i spraw.

Zowiesz się naszą Królową,
Bądź nam obroną gotową,
Wyniszcz z ojczyzny szkodliwe zdrady
Sprawuj Senatorskie Rady,
Wojska naszego rozprawą,
Ty sama władaj ich sławą,
Weź nas pod swoją świętą obronę,
Oddal Boski gniew na stronę.

Jakie to „szkodliwe zdrady“ miał na myśli autor tej pieśni, kiedy ją układał? Albo do jakiej rozprawy gotowało się nasze wojsko? Może pod Wiedeń, albo pod Chocim? te szkodliwe zdrady to może jaki rokosz, albo jaka przez obcych wymuszona elekcya? Dziwnie się człowiekowi robi, jak żeby go doleciało echo z dawnych wieków, kiedy starzec jaki z zapomnianego gdzieś kąta świata, który o zmianach na świecie mało wie i mało o nie pyta, śpiewa w kościele „sprawuj senatorskie rady“ i prosi dla nich o światło, jak żeby jeszcze radzili senatorowie.

Na pierwszem miejscu między kolędami trzeba położyć jedną, która mówi o tem, co się działo bezpośrednio przed Narodzeniem. (75 w zbiorze X. Mioduszewskiego, w kantyczkach wydanych w Sączu u Pisza 1865, na str. 129 w. 79). Nie ma jeszcze ani aniołów, ani pasterzy, ani nawet Dzieciątka Jezus: Józef z Maryą, jeszcze nie Przenajświętsza Rodzina, jeszcze takich dwoje ludzi jak wszyscy, dążą na noc do Bethleem. Mężczyzna idzie naprzód spiesznym krokiem i nagli, bo noc bliska; kobieta ciężarna, znużona, nie może mu nadążyć i prosi, żeby miał wzgląd na jej stan i utrudzenie:

Pomaluśku Józefie, pomaluśku proszę,
Widzisz, że ja nie mogę,
Idąc tak daleko w drogę.

Wiejski poeta z dziwną jakąś intuicyą sztuki przenosi się na miejsce, widzi tych dwoje ludzi, każe im mówić i odgaduje frasunki kobiety w tem położeniu, albo może powtarza to, co mu się zdarzyło widzieć i słyszeć; bo jest w tem jakaś prawda, jakiś realizm, nawet i powszedniość, który u literata byłby pretensyonalnym, a tu przez naiwną poufałość ma wielki wdzięk.

A tak myślę sobie i chcę mówić tobie
O gospodę spokojną, mnie w taki czas przystojną,

I dalej, jak prosta młoda gospodyni wiejska, córka porządnych rodziców i żona porządnego gospodarza, narzeka na pijaków i włóczęgów, nieledwie na złe czasy i zepsute obyczaje, o których słyszała.

Bo teraz w miasteczku
I lada domeczku
Trudno o kącik będzie,
Gdy ludu pełno wszędzie,
Wolą pijanicę,
Szynkarską szklenicę,
Niżeli mnie ubogą,
Strudzoną wielką drogą.

Z obawy więc niepokoju i wrzasków, woli niewygodne, ale ciche schronienie w stajni:

Wnijdźmy, rada moja, do tego pokoja.

I ledwo weszła, już czas nadchodzi. Józef dodaje odwagi, służy, cieszy jak może. Kiedy w tem nowa troska — głos rodzącej odzywa się znowu z trwogą o dziecko:

Mój Józefie drogi, toć to ten mróz srogi
Uziębnie nam dzieciątko, niebieskie pacholątko.

Czem go ogrzać choć trochę?

Przynieś trochę siana
Pod główkę, pod kolana.

Wół i osioł zabierają się także do swego obowiązku ogrzewania ciepłym oddechem, i kończy się to wszystko krótkiem słowem powitania nowonarodzonego dzieciątka:

Witaj królewiczu, niebieski dziedzicu,
Bądź pochwalon bez miary.

Nie wiele się znajdzie kolęd, w których wyobraźnia byłaby tak żywo zdołałá sobie scenę jakąś przedstawić; nie wiele, w których instynkt jakiś szczęśliwy byłby tak połączył poufałą, potoczną powszedniość rozmowy z jakiemś niewypowiadzianem, ale dobrze dostrzedz się dającem przejęciem. Jako logiczne następstwo i układ tej treści, nawet jako forma, jako wiersz, kolęda ta należy do najlepszych; a naiwna poufałość, która w innych czasem przebiera miarę, w tej trzyma się szczęśliwie jakiejś szlachetnej prostoty, w której nie ginie ani poufałość, ani naiwne malowanie scen ewangelicznych podług wzoru jaki się znajdował w otaczającem życiu, a wrażenie zostaje właśnie przez to poetycznem i wysokiem. Najświętsza Panna była taką ubogą, zmęczoną kobietą, tak nie miała za co nająć wygodnego pokoju, tak się mogła bać hałasu w gospodach, tak się troszczyć o zimno i tak mówić po prostu. Ten poeta, ktokolwiek on był, tak ją dobrze zobaczył w swojej wyobraźni, że w jego kolędzie dziś prawie ją widzi czytelnik. A widzi tak prostą, tak naturalną, tak pokornie wierzącą, tak przyjmującą swoje macierzyństwo, czującą wielkość tego co się przez nią dzieje, a w swojem przekonaniu skromną i małą, że musi pomyśleć o dawnem

początkowem malarstwie włoskiem, o tych madonnach bardzo ziemskich, naiwnie rzeczywistych a przecież idealnych, którym charakter taki z większym zapewne talentem, ale przecież bezwiednie nadawał Giotto, a po nim tylu, aż do Rafaela.

Kiedy mogła powstać ta najmisterniejsza może z kolęd? Któż to zgadnie. W zbiorze pieśni z. r. 1754 (Kraków, drukarnia akademicka) jej nie ma.

W tym samym rodzaju jest, druga, tylko zdaje się być kopią tamtej. Chwyta jej myśl i stara się ją inaczej przerobić. „Najświętsza Panienka gdy porodzić miała, Józefa staruszka o pokój pytała.“ Idzie święty Józef szukać, ale mu nigdzie przytułku dać niechcą.

Ani gospody, ani wody dano — i jeszcze złajano.
Nie pukajże stary, mam tu ludzi dosyć i t. d.

Nareszcie jakiś lepszy człowiek pokazuje mu szopę. Prawdopodobnie tamta poddała pomysł i służyła za wzór, a ta chcąc coś nowego wymyśleć, wzięła sobie za przedmiot główny kłopoty i przykrości śgo Józefa, Najświętszą Pannę zostawiając na boku. Nie można powiedzieć, żeby ta nie była ładna, ale nie ma już tego wdzięku, już czuje się w niej jakiś zamiar, niema takiej naiwności zupełnej, jak tamta.

A potem pierwsza chwila po Narodzeniu: niema jeszcze nikogo w szopie, tylko Matka Boska i śty Józef, ich pierwsze uczucia i pierwsze troski, kiedy pośród nich

Jezus malusienki leży golusienki

i jego pierwsze na świecie wrażenie, pierwsze cierpienie

Płacze z zimna, nie dała mu matusia sukienki.

I ta biedna matusia tak uboga, że dziecka nie miała czem okryć, truchlejąca z żalu na jego cierpienie, nie tuli go, ale go prosi: i w chwili kiedy go na świat wydała, już myśli

o jego męce i potem wzywa Józefa, żeby go razem pierwsi Bogiem uznali.

Cztery strofy ostatnie, już nie od Najświętszej Panny ale od człowieka odkupionego, także bardzo ładne, zwłaszcza pierwsza z nich, która mówi, że Bóg człowiek nie może sobie poradzić, bo ma „rączki miłością związane.“ Tej także w starych kantyczkach nie znalazłem, co nie dowodzi, żeby koniecznie nowszą była, zbiory tylko mogły być i z pewnością są bardzo niezupełne, bo wtedy wydawcy chodziło o to, żeby dać jakieś pieśni do śpiewania, ale z pewnością nie o to, żeby zebrać wszystkie, ani żeby wybrać najpiękniejsze.

Ta, zkądkolwiek pochodzi, do takich liczyć się ma prawo, i należy do najrzadszych przez to, że w niej występuje tylko Przenajświętsza Rodzina sama, bez żadnych ziemskich świadków, niebo jest zupełnie u siebie w Betleemskiej stajni w tej chwili, której ta kolęda odpowiada.

Niebawem zajrzy do tej stajni ziemia. Jest zaraz kolęda, która wygląda znowu, jak żeby tamtą natchniona a cokolwiek tylko odmienna. Jest i Jezus golusieńki w pieluszki owinięty, i rąbek zdjęty z głowy Najświętszej Panny, tylko jest już dodatek, są aniołowie i pasterze:

Przylecieli tak śliczni anieli,
Wszyscy w bieli, złote piórka mieli.

Sławne „W żłobie leży“ stanowi naturalnie przejście do kolęd więcej świeckich i opowiadających, a w każdym razie znane już przed rokiem 1754, wydało wiele kolęd podobnych, tak podobnych, że je prawie za parafrazy można uważać. Taka jest naprzykład kolęda „A cóż to za dziecię“. Myśli są prawie te same, co tam w tej rozmowie między Dzieciątkiem a grzesznym człowiekiem, są nawet te same zwroty „w żłóbeczku nie w łóżeczku“, „Miłość twoja to sprawiła“, tylko są przytem elegancye stylu, przypominające w zabawny sposób gust XVII wieku, naprzykład kiedy pyta:

Cóż to za przyczyna pociecho jedyna,
Że w posturze i w figurze stawasz ziemi syna.

Tej samej treści, tylko w zabawniejszym jeszcze stylu, przypominającym równie jak budowa wiersza i strofy dawną pieśń romansową o cyprysach i turkawkach i o okrutnej srodze bałamutnej pannie, jest kolęda „Apokaliptyczny Baranku“, tak charakterystyczna, tak ją czuć staropolszczyzną, że chwyta za serce i staje się nieopłaconą.

Jako parafrazy mniej więcej odmienné i mniej więcej ładne „W żłobie leży“, trzeba przytoczyć „Kazał Anioł do Betleem Juda“, „Kiedy słyszę na obłokach anielskie śpiewanie“, „Obchodząc Jezusa dziś Narodzenie“, „Ogłaszamy dziś nowinę“, „Pan z nieba i łona Ojca“, „Gwiazda zaświtła nowa na wschodzie“, „Dziecina mała Bóg stwórca nieba“, i wiele innych. Śpiewana wiele po krakowskich kościołach „Gdy się Chrystus rodzi“, ze zwrotką *Gloria in Excelsis Deo* po każdej strofie, należy niewątpliwie do tej grupy, ale wygląda na nowszą i umyślną robotę.

Ale ciśnie się już w pieśń kościelną wieś polska i lud polski z całem swojem powszedniem życiem. Zrazu nieśmiało tylko, dyskretnie, zostawiając pierwsze miejsce Dzieciątku i jego matce, a modlitwie więcej miejsca niż opowiadaniu. Taka naprzykład jest kolęda, która opowiada jak „Wczora z wieczora z niebieskiego dwora przyszła nam nowina: Panna rodzi Syna“. Zakończenie jej jest zupełnie pobożne i treścią do „W żłobie leży“ podobne, ale między początek a zakończenie wsunęli się pasterze i występują w szopie z większą niż tam konfidencyą:

Natychmiast pastuszy, radzi z drogiej duszy,
Do onej to budki bieżą wziąwszy dudki,
Chcący widzieć Pana, oddają barana,
Na kozłowym rogu krzyczą chwałę Bogu.

A te barany i kozy, dudki i multanki, niebawem zaczną odzywać się głośniej i śmielej. Zaraz w tej starej kolędzie (bo znajduje się w odwiecznych kantyczkach) „Zagrzmiała, runęła w Betleem ziemia“, w której śpiewający bez ceremonii interpelluje: „Kędyżeś, kędyżeś Józefie bywał“, a potem opowiada, że „Wół, osioł beczący, ryczący, Panu śpiewali“. Wół i osioł były dotąd wszędzie, ale zachowywały się poważnie, nie śmiały rubasznie beczeć i ryczeć; ale fantazya ludu oswajając się z Narodzeniem, coraz poufalej mówi o niem prostym, zwykłym językiem, tym, którego lud używa w rozmowie i coraz więcej wprowadza miejscowego polskiego kolorytu i w końcu wprowadza lud sam jako aktora w tych scenach.

Ot naprzykład Betleemski pasterz po nocy Narodzenia rozmyślając o dziwach, które słyszał i nie mogąc ich pojąć, opowiada, że „Cztery lata wołki pasał w tej tu dolinie“, a „jako żywo nie słyszał o tej nowinie“. Czy się go nie widzi z jego wołkami razem? Czy się nie ma ochoty spytać go, czy przez te cztery lata nigdy swoich wołów nie puścił w szkodę? To jest realizm najczystszy, ale realizm naiwny, który razem rozśmiesza i rozczula. A jakim on stylem ciągnie dalej swoje refleksye: „A tu wczoraj kompanija tak se mówiła, że Panna Syna w żłobie powiła“. Ma on nawet i ironię i z nią w połączeniu uczucie poetyczne, kiedy mówi, że to Dziecię leży „w gwiazdolitej dziś słonecznej stajence“, a ten piękny epitet „gwiazdolitej“ dostaje jej się dlatego oczywiście, że przez dziury w dachu widne były gwiazdy. A potem występują już w wszystkich niemal kolędach różne podarunki ubogie, i ten frasunek, czy takie skromne ofiarować można.

Zkąd się tu biorą te podarunki? Warto na nie zwrócić uwagę? Święty Łukasz (ewangelista Narodzenia przed innymi) choć najwięcej o pasterzach mówi, nie wspomina, żeby byli cokolwiek do szopy przynieśli. Złoto i kadzidło Trzech Króli jest wspomniane: barany, jabłka i tym podobne ofiary pasterzy nie. To więc jest dodatek, to poeta ludowy wyobraża sobie, coby zrobił on sam, coby zrobili jego sąsiedzi i przy-

jaciele, gdyby się dowiedzieli, że gdzieś podewsią w biednej dziurawej szopie leży podróżna z nowonarodzonem dzieckiem w niewygodzie i zimnie: wyobraża sobie, jakby mu żal było tej matki i tego dziecka, gdyby to do tego były jeszcze jakieś osoby znakomite, przywykłe do dostatku i wygody i mające do niego prawo? Nie można im dać zmarnieć i zmarznąć. Ta litość nad biednym, która sprawia, że żebrak nigdy prawie nie odejdzie od chaty bez posiłku, a obok niej ta wrodzona nam gościnność, przez którą czujemy się odpowiedzialni za człowieka obcego, za wędrowca który się do nas zabłąkał, one to każą pasterzom nieść do szopy, co który ma; a uczucie religijne znowu, pobożność instynktowa a silna, ta mówi, że na baranach i jabłkach nie dosyć, że one są ledwo figurą tej ofiary, którą tam naprzód złożyć należy. To też ta kolęda, jak wszystkie inne, powie niechybnie: „Wreszcie i serca naszego mu nie żałujmy".

Bardzo też ładnie kończą się te kłopoty o podarunki śpiewem pasterzy, kiedy już w szopie stanęli:

Witaj Panie i Hetmanie, nasz dar nad dary,
Oto od nas wszystkich przyjmij serca ofiary,
Czołem bijem przy daninie Tobie paniczu,
Pieluszkami skrępowany nieba dziedzicu,
Niech Ci będzie wieczna chwała od kompanii
Całej naszej, Józefowi, także Maryi.

I teraz pasterze i dary i rozmowy i narady i rubaszne żarty i nawet kułaki, sypać się będą jak z rogu obfitości i powtarzać w wielkiem mnóstwie kolęd. Życie wdarło się w nią całym pędem i buja swobodnie w całej swojej powszedniości, która jednak, ozłocona Betleemską nadzwyczajną jasnością, nie tylko prozaiczną nie jest, ale właśnie w przeciwieństwie nabiera prawdziwego poetycznego uroku: z wyjątkiem naturalnie kolęd zbyt rubasznych lub zbyt nieudolnie napisanych.

I tak zaraz:

Dnia jednego o północy,
Gdym zasnął w ciężkiej niemocy,
Nie wiem czy na jawie, czy mi się śniło,
Że koło mej wody słońce świeciło.

Więc zrywa się ze słomy i woła na drugich. I to już nie jacykolwiek ludzie oznaczeni ogólnem mianem pasterzy, ale indywidua, z których każde ma swoje imię, i jakie jeszcze imię! Same Kuby, Maćki, Stachy, Bartki, Tomki. Wszystko to przycupło, nie śpi: ale udaje że śpi, bo się boi dziwów. Przecież musieli powstawać, bo „ich potrochu wziął za czuprynę, by poszli przywitać Boga dziecinę“.

Jeden bowiem, Maciej, wie dobrze co się dzieje, patrzał i nie uląkł się jasności, i anioł mu powiedział:

Nie bój się, nie bój się Maćku pastuszku
Jesteś ty, jestem ja, u Boga służką.

Co za śliczny sposób uspokojenia i dodania odwagi Maćkowi, kiedy ten anioł przedstawia mu się jako kolega, jako jemu równy u Boga służka. A ile w tem życia i ruchu, jak występuje wyraźnie i ten Kazimierz, co ze strachu na słomie dyszy, i ten mówiący, co go „potrochu wziął za czuprynę“; możnaby przypuszczać, że to jakieś wspomnienia i portrety, że poeta myślał o jakichś sobie i całej wsi znajomych parobkach, kiedy mówił, że Jacek był chudy, a Maciek musiał zostać za drzwiami bo z wielkim brzuchem nie mógł się wcisnąć do szopy, a Szymek znowu, wiejski elegant, zdaje się, „w tańcu stroił minę“ i „wymuskał sobie czuprynę“. Grali więc co żywo Bogu na chwałę, tańcowali drudzy, zdaje się, że ich tam nawet śty Józef musiał czemś poczęstować, bo na niczem nie zbywało“ — i tak im tam było dobrze, że

Z szopy nam się iść nie chciało,
Aleśmy ustąpić wprędce musieli,
Gdyśmy trzech monarchów jadąc ujrzeli.

A to zakończenie, czy także nie z życia wzięte i z natury malowane?

„Hej w dzień Narodzenia Syna jedynego“ bardzo do poprzedniej podobna, tylko jeszcze poufalsza, bo tu i osoby z Przenajświętszej Rodziny mieszają się do romowy, a mówią tym samym tonem, co pasterze. Bo kiedy Kuba, który nie miał co dać i za całą ofiarę chciał śpiewać, to „dobył tak wdzięcznego głosu baraniego, aż się stary Józef przestraszył od niego“ i już chciał uciekać, ledwo go wstrzymali. Ale prosił:

. . . . nie śpiewaj tak pięknie,
Bo się twego głosu Dzieciątko przelęknie.

Nie zawsze Józef taki grzeczny, czasem gderze, czasem grozi, czasem bierze się nawet do kija. Częściej wprawdzie jest łaskaw i w dobrym humorze: parę razy nawet, ale to kiedy i o nim pasterze nie zapomnieli „i dla Józefa starego wziąć wina dobrego, by się dziaduś napił“, to się dziwnie rozochocił, i gdy wszyscy zaczęli tańcować, a Jędrzej nie miał pary, „tańcował z nim Józef stary“. Innym razem tak zagrali skoczno, „że aż Józef stary, nie może się wstrzymać, skacze bez miary“. „I dziecię się cieszy i śmieje Panienka“, a wtedy Józef, kiedy Dziecię już śpiące, wyprasza gości z szopy, ale po przyjacielsku: „Za waszą taką szczodrotę“ mówi „i za tę miłą ochotę — Bóg wam zapłać“.

Przecież odchodzić nie chcą, wymawiają się, jak który może:

Jakże cię odejdziem pociecho nasza,
W tak okropne mrozy idąc do lasa,

Nie wyżeniesz nas ztąd Panie
Miłe nam z Tobą mieszkanie — w tej szopie.

Ale co zanadto, to niezdrowo, i Józef nie pozwala na zbyt długą i huczną ochotę

Mówi Józef stary: Już dosyć tego!
Idźcie pastuszkowie do bydła swego,
Jużeście się naskakali,
Mnieście głowę sturbowali,
Także Maryi.

Próbują się z nim targować, proszą go bardzo ładnie:

Józefie staruszku, ojcze kochany,
Jakże mamy odejść Pana nad Pany,
My się radzi doczekali.
Żeśmy Boga oglądali...

Ale Józefowi naprzykrzyło się widocznie i myśli coś złego, bo w końcu kapitulują:

Starego Józefa rady słuchajmy,
Bo laski pod żłobem maca,
Kto wie czy nie na nas bracia,
W nogi zawczasu!

Rzecz godna uwagi i dowód bardzo delikatnego uczucia i jakiegoś instynktowego ale szlachetnego taktu, z Matką Boską nie pozwalają sobie nigdy takich konfidencyj; ani ona nigdy nie odezwie się w kolędzie tonem choćby najmniej rubasznym. Święty Józef, to co innego, to człowiek lepszy od innych, ale podobny do innych, można z nim być za panie bracie. Ale Matka Boska, to coś wyższego, w niej już ziemia się kończy i przechodzi w niebo, i ani z nią wypada,

ani ona tak poufale mówić nie może; i w szopie, choć się czasem uśmiechnie albo odezwie, jest zawsze jak na ołtarzu, a człowiek przed nią na kolanach.

Czasem ona zostaje sama i po tych hucznych powitaniach usypia dziecko. Kolęda lubi wyobrażać sobie tę chwilę snu dzieciątka Jezus, a Najświętszej Pannie kładzie czasem w usta piosneczki wcale ładne:

Lulajże Jezuniu moja perełko,
Lulajże Jezuniu, mój aniołeczku.
Lulaj najwdzięczniejszy świata kwiateczku,
Lulajże przyjemna oczom gwiazdeczko,
Lulaj najśliczniejsze świata słoneczko.

Macierzyńska pieszczota zawsze nad małem dzieckiem tak się rozczula, i daje mu nazwy najczulsze, widzi w niem najwdzięczniejszy kwiatek i najjaśniejszą na świecie gwiazdeczkę.

III.

W miarę jak fantazya ludowych poetów oswaja się z Narodzeniem, rośnie poufałość, mnożą się jej oznaki. Dary, zrazu z lekka tylko wspominane, występują liczniej i oznaczają się z większą precyzyą: aktorowie (pasterze) mówią coraz więcej i coraz śmielej, i coraz więcej o tem, co ich samych obchodzi. Kiedy w jednej kolędzie jeden zaniósł na ofiarę barana a drugi grał na multankach, inne kolędy widząc, że się to udało, jak żeby zazdrościły zrobionego efektu, rozwodzą się nad tem szeroko i szczegółowo i wyprowadzają na scenę wielką ilość pasterzy, z których każdy coś z sobą zabiera: „Stach masła garnuszek, Kuba worek gruszek“, trzeci jabłka, czwarty kury lub kapłony, jaja, prosię, mąkę, krupy, mleko, śmietanę, chleb, ser, orzechy — ładny motyw zaczyna powtarzać się za często i powszednieje. Tak samo ma się rzecz i z muzycznemi instrumentami: wszystkie, jakie

kolędziarz znał lub o jakich z nazwiska słyszał, jeżeli był księdzem lub organistą, człowiekiem bywałym, składają się w orkiestrę, która przecież mniej robi efektu, niż jedne wiejskie skrzypce lub basy. Pasterz kiedy na takich wygrywa, wygląda po swojemu, a kiedy mu każą grać na wiolach, obojach, fletach, waltorniach i t. p., których się na wsi nigdy nie widzi i nie słyszy, wygląda pretensyonalnie i nie prawdziwie. Czuje się, że to już wymysł jakiej uczonej mądrej głowy, która się na coś ładnego albo zabawnego sadziła. Tak samo i liczba tych pasterzy i ich imiona, kilku Maćków lub Bartków, kiedy się razem zbierają iść do Betleem, kiedy który z nich spadnie z budy i potłuczony zostaje w tyle za drugimi, kiedy się dziwią Dzieciątku lub ciekawie rozpytują Józefa, mają niezaprzeczony wdzięk naiwności. Ale już Boileau powiedział, że wdzięk naiwny ginie, kiedy się często powtarza, a to w kolędach tak samo jak w dowcipach; i te z nich, w których figuruje pasterzy wielu i wiele imion; wyglądają tak, jak żeby były ukradły szczęśliwą myśl pierwotną, jak żeby ją chciały były naśladując zbogacić, a naprawdę spowszedniły tylko i zepsuły. Rzecz to zwyczajna, która się zdarza nie samym tylko wiejskim kolędowym naśladowcom. Nie idzie zatem, żeby w tych kolędach już sztuczniejszych, już robionych z umysłu, na urząd, nie było wdzięku, albo humoru, albo zabawnych wybryków poufałości. „Hola hola pasterze z pola“, jest takich niby naiwnych szczegółów za wiele, ale są obok nich i pomysły ładne, albo charakterystyczne. Naprzykład to ofiarowanie jaj, kurząt, masła i tym podobnych skromnych wiejskich darów:

Prosimy Cię Paniczu, nieba, ziemi dziedzicu,
Na te dary nasz Panie, na jakie chłopów stanie
Przyjmijże je koniecznie, bo Cię kochamy wiecznie.

Zwrotka powtarzająca się po każdej strofie jest niesmaczna, ale dwie ostatnie strofy, w których pasterze żegnają się i odchodzą — wcale ładne, zwłaszcza ostatnia,

w której prędko wynoszą się z szopy w strachu, żeby ich nie poturbowała czeladź najeżdżających Trzech Królów.

Czasem kolęda tak się spoufali i ośmieli, że staje się zupełnie rubaszną. Coś tam dla formy wspomni o Betleem i o dzieciątku Jezus, a naprawdę żartuje i to czasem dość grubym żartem, czy z pasterzy, czy z żyda karczmarza; gotowa nawet o samych aniołach mówić bez należnego respektu. Tak na przykład: „Oj widziałeś ty Banku co za dziwo było“, zaczyna jak wiele innych od tego, że Banek zląkł się jasności i ze strachu spadł z budy, tylko śmielej od innych opowiada, co sobie Banek stłukł, a potem puszcza wodze humorowi, który (przez kogokolwiek kolęda mogła być pisaną) przypomina niezłe wiejskie żarty, na przykład, kiedy pasterze pytają o drogę do Betleem, a jeden najmędrszy, drwiąc z nich, takie im przepisuje *Itinerarium:* „Ot trzeba iść do Wieliczki, potem do Pinczowa a nakoniec przez Pokucie do Nazaretu, a ztamtąd już tylko pół mili“. — Albo kiedy żałuje aniołów, że cienko śpiewają, bo im wyschło w gardle, nie mieli go czem odwilżyć.

Osobliwsza pod względem i rubasznej poufałości i pomysłu jest kolęda: „Pasły się owce pod borem“. Owce idą skarżyć się na wilka, że je prześladuje, i na pasterzy, że ich pilnują niedbale. Jest w tem jakieś podobieństwo z bajką i z legendami św. Franciszka z Assyżu, w których pełno jest zwierząt mówiących poufale i pobożnie, a jest widocznie i allegorya także: ten wilk, to oczywiście człowiek jakiś, zły pan na przykład, który owce uciskał; niedbali pasterze, kto wie, czy nie księża, którzy ich bronić nie umieli. Wreszcie odbywa się ciekawy sąd, w którym owce dostają zupełną satysfakcyę, a wilk srogą karę i surowe upomnienie:

Kazał Pan wilka zawołać,
Pasterzom sprawę obwołać,
Zbiegło się co żywo patrzeć na to dziwo
Do szopki.

Idzie wilk z płaczem do Pana,
Niosąc na sobie barana,
Prosi o pokutę, Pan mu też... w skórę
Dać kazał.
Położyli go na gnoju,
Bili potężnie do znoju,
Owce pomagały, kijów dodawały
Pasterzom.
Aż się go Pan sam użalił,
Owieczkom tego nie chwalił,
Że bez kompasyi krzywdy się swej mściły
Nad wilkiem.
Idźże ty wilku do jamy,
Pamiętaj za coś karany,
Nie rusz mi owieczek ani jagniąteczek
Kochanych.

Ale nie na tem koniec. Ukarany wilk chce przynajmniej mieć tę pociechę, żeby nie był sam jeden, i swoich braci wilków namawia, żeby poszli do Betleem, gdzie im sprawiono taką samą łaźnię.

Czy to nie autor kolędy marzy o tem, żeby wilki gdzie są tylko, dostały karę za prześladowanie owiec? Dość, że wilki zbite rzucają się na sprawcę swego nieszczęścia, a ten ginąc spowiada się ze swoich grzechów i prosi o przebaczenie:

Zlecam me sieroty dziatki,
Teć wszystkie moje dostatki,
Wyznawam zgrzeszyłem, sto owiec zdławiłem
I więcej.
Ci mnie to sprawcy uwiedli,
Sami ich z tysiąc pojedli,
Proszę cię mój Panie, niech też za karanie
Śmierć wezmą.

Trudno jest opędzić się wrażeniu, że to allegorya, a w takim razie byłaby ta kolęda ciekawym pomnikiem i wyrazem naszych dawnych społecznych stosunków; jako taka zaś byłaby wielką rzadkością, i przez to zasługiwałaby na szczególną uwagę.

Wilk nie ten jeden raz figuruje w kolędzie, choć może ten jedyny w sensie, tak prawdopodobnie allegorycznym. Zwykle jest on prostym wilkiem, który albo porwał barana, kiedy pasterze byli w szopie, albo ich nastraszył tylko; a kiedy odpędziwszy go zasnęli, budzą ich swoim śpiewem aniołowie. Trzeba mu przyznać, że z całego zwierzęcego królestwa, on najlepiej, najnaturalniej wydaje się i zachowuje w Betleem. Inne zwierzęta, a jest ich tam liczba nie mała, wyglądają wymuszone, nie swoje, jak żeby gwałtem tam spędzone. Są takie kolędy, w których zwierz i ptactwo wszelkiego rodzaju zlatuje się do stajenki i każdy swoim głosem Boga chwali. Dopóki tego mało, to wcale zdaje się ładne, na przykład:

Wróbel ptaszek nieboraczek
Uziąbłszy, śpiewa jak żaczek:
    Dziw dziw dziw dziw dziw nad dziwy,
    Narodził się Bóg prawdziwy.
A świerszcz znowu z swoim synem
Tak świergocze za kominem:
    Cierp cierp cierp cierp miły Panie,
    Póki ten mróz nie ustanie i t. d.

Ale kiedy od orła dzierlatki, od słonia do myszy, każde po kolei coś mówi i robi, kolęda wtedy staje się bez miary długą a co więcej niesmaczną. Te zaś wyliczania różnych głosów zwierzęcych, to silenie się na harmonię niby naśladowniczą, te koncepta niby zabawne, pozwalają się domyślać, że kolęda pochodzi z czasów zepsutego smaku, czuć ją pierwszą połową XVIII. w. Taka jest na przykład: „W dzień Bożego narodzenia radość wszystkiego stworzenia“. Ładniej-

sza może od niej druga, która wyobraża sobie, jak wskutku odkupienia cała natura się podnosi, doskonali i wraca do rajskiej zgody i błogości, „lwami drzewo wożą, niedźwiedziami orzą, zając z chartem siedzą, z jednej misy jedzą“ i t. d. Są nawet takie, które muszą chyba być przerobione z jakiej mniej lub więcej dowcipnej gadki, na przykład jedna, która w dwóch pierwszych wierszach opowiada, że narodził się Zbawiciel, a zaraz po tym wstępie widocznie przyłatanym do rzeczy zupełnie innej, dodaje, że „żeniło się z dawnych lat ptactwa bardzo wiele“ i opisuje, kto się z kim żenił, kto ślub dawał, kto miał jaki urząd przy weselu, a w końcu jak po uczcie wszyscy się pobili.

A jak różnego rodzaju zwierzęta tak i narody wszystkie ludzkie przesuwają się w kolędzie. W XVIII wieku zapewne i przez jakiegoś trochę uczonego człowieka, który o różnych językach wiedział i z każdego choć po parę słów połapał, napisaną być musiała bardzo znana kolęda, w której wszystko aż do cyganów i żydów musi przyjść z pokłonem do Betleem. Nie jest ona bez humoru i charakteryzuje dość trafnie usposobienie obcych narodów, jak je dawniej Polak znał lub sobie wyobrażał. W swojej wersyi najzupełniejszej zaczyna ona od Polaków ze wszystkich stron Rzpltej: Góral idzie z suszonemi śliwkami, Krakowiak brzęka kółeczkami, Ślązak pędzi wieprze, Skalmierzacy mają guzy na łbach „znać po jarmarku“ — i tak dalej różni inni, aż do Litwina, który dostaje przytyka za *boćwinę* (widać zawsze śmiali się koroniarze z boćwiny), i Rusina. Dziwnie trafną wydaje się dziś strofa o Podlasiu, wyśmiewa ona ten pół ruski akcent i sposób mówienia:

Podlasianin niesie gąskę, siana wiązkę,
Taki dla Jezusa, którego ma dusza
Z całego serca miłuje,
Taki zatem nie żałuje
Dać jemu tego.

Podlasianin usprawiedliwił sławę, jaką mu robi kolęda: dowiódł, że „z całego serca miłuje“ i że „dać nie żałuje“ wszystkiego co ma — aż do życia!

Węgrzyn kusy z olejkami, Holender i Angielczyk, może gdzieś w Gdańsku dojrzany, Włoch w podrygach i w podskokach, Francuz, który przyszedł choć go nie proszono, wszystko to sylwetki, z których możemy się domyślać, jak naszym ojcom przedstawiał się narodowy typ każdego z nich. A Hiszpan, który w niebo dmucha „i pyta, czy w Madrycie narodzone dziecię“, bo oczywiście jemu przystało tylko urodzić się w Kastylii i jej ubliżył bardzo jeżeli przypadkiem urodził się gdzie indziej, nie jest nawet bez pewnej soli attyckiej.

Jest jedna makaroniczna, pół po polsku, pół po łacinie, tak niesmaczna, że możnaby ją bez wahania przysądzić do pierwszej połowy XVIII w. a za autora naznaczyć jej jakiego literata, który z infimy, parwy lub gramatyki poszedł na organistę lub klechę. Ale kiedy Kochanowski mógł napisać *Carmen Macaronicum*, to któż wie, może i ta kolęda ma jakie pochodzenie sławniejsze. Dowcipu ani humoru nie ma wcale. Niema ich wiele, ale ma jakieś zacięcie śmiałe i jakiś efekt komiczny, inna kolęda, którą posądziłbym także o pochodzenie z XVIII w., to ta, która opowiada cud w Kanie Galilejskiej, a śpiewa się zwykle w dzień św. Jana przy święceniu wina. Ona tak sobie te gody wyobraża, że bez mała powiedziałaby jak Mickiewicz: „I ja tam z gośćmi byłem:“

Wesele zacne bardzo sprawiono,
Pana Jezusa na nie proszono,
Z wielkim dostatkiem potrawy noszą,
Wszystkiego dosyć mają, tylko wina czekają.

Potem ten pomysł godny czasów saskich, że

Prawdziwego Boga poznali.
Gdy zamiast wody wino czerpali

i wreszcie ochota, jaką cała kompania bierze się do tego wina:

Najświętsza Panna gdy skosztowała,
Z pełnego sobie nalać kazała.

Najświętsza Panna, co sobie z pełnego nalać każe i zapowiada, że dziś będzie piła, przypomina baby z komedyi Anczyca. To jest to miejsce jedyne w kolędach, w którem ona wygląda rubasznie.

Apostołowie także nie wylewają za kołnierz:

Piotr z apostoły, stojąc przy dzbanie,
Woła na Jana: Pij do mnie Janie!
Pił Szymon garcem do Mateusza,
Filip konewką do Tadeusza.

Najzabawniejsze zaś wspomnienie i pożałowanie tych co wtedy jeszcze apostołami nie byli:

Pawle z Maciejem wam oskomina,
Żeście nie pili takiego wina,

i ostatnia strofa, prośba pół pobożna, pół hulaszcza i humorystyczna, w której królestwo niebieskie miesza się z ziemskiemi przyjemnościami.

Przez narodzenie twojego syna
Każ nam Panienko nalewać wina.

Niepodobna jest wymieniać wszystkich; przecież do charakterystycznych należy jedna o trzech królach, których przyjazd do Betlcem odbywa się ze wszystkiemi strzałami i fajerwerkami, jakie autor mógł widzieć przy wjeździe jakich wielkich figur, a może i samego króla do jakiego miasta.

Osobny wdzięk naiwności miewają te kolędy, które będąc najczęściej parafrazą w „Żłobie leży“ i zapytawszy „czem z bydlęty nie z panięty“ i t. d., uczą potem Pana Jezusa, że byłby lepiej zrobił, gdyby się był urodził gdzie indziej, gdzie i serca lepsze i większe dostatki. Na Kaszubach na przykład, gdzie byliby mu zaraz dali i czapkę z barankiem i bekieszę z pętlicami i jeść co tylko dusza zapragnie. Tak samo w innej zaręczają Kurpie, że „u nich w Ostrołęckiem na puszczy w starostwie nie byłby się rodził w takowem ubóstwie“, byłby miał wszystkiego dosyć, bo choć im polować nie dają i nawet strzelby straż leśna zabiera, to na sidła byliby przecie potrafili łowić dla niego zwierzynę. Zabawne jest to przeniesienie swoich wyobrażeń i obyczajów w odległe wieki i kraje, miły jest widok tego wieśniaka, jak z pewną dumą popisuje się swoim dostatkiem, a sympatyczny jest ten popęd uczucia, to dobre serce, które oddałoby Bogu co ma najlepszego i co ma za najlepsze.

Trzeba jeszcze wspomnieć dla sprawiedliwości o kolędach niesmacznych, sztucznie naiwnych albo grubo rubasznych. W tym pierwszym rodzaju prym trzymają może kolędy, układane dla zakonnic i przez nie śpiewane. Raz taka pobożna dusza jest owieczką ściganą przez wilka i chroni się od niego do Betleemskiej stajni; kiedy indziej jest wołem i osłem, i to wołem leniwym, który orać nie chce; albo znowu mówi, że jest kucharką Jezusową i gotuje mu:

Serce czyste i skruszone,
Ogniem miłości pieczone,
Do niego soporek,
Cierpliwości worek.
Na wety milczenie,
Woli utrapienie

i wszystko to nosi piętno swego czasu i o tyle ma wartość, że przypomina „pistolety do zabicia grzechu“ i tym podobne koncepta.

Inne znowu nadużywają bądź naiwności, bądź tej poufałości, z którą kolędzie jest bardzo ładnie, albo znowu o tyle więcej mają powtarzających się zwrotek i wykrzykników jak treści, że po kilku strofach muszą znudzić. Jedna na przykład ma strofy trzy wierszowe, a każdy pierwszy wiersz jest zawsze ten sam: drugi zaś prawie taki sam „O Józefie“ — „Czego chcecie“. „Powiedzcie nam, gdzie się Chrystus narodził“. Potem „powiedzcie nam, kto go powijał, kto go kołysał, kto mu śpiewał, kto go odwiedzał“, i tak dalej bez końca. Albo inna znowu ma strofy dwuwierszowe, których każdy pierwszy zaczyna się a każdy drugi kończy się na: Hej, Hej, Hej! ta zaś straszna monotonia, jaka z tego powstaje, urozmaicona jest nieszczęśliwie mnóstwem imion pasterzy, z których każdy gra na innym instrumencie:

Sobek sobie w kobzę skrobie,
Wojtek ryczy na basicy,
Filip plecie na kornecie
Jaś wybornie na waldhornie,

i takich kilkadziesiąt, i nic więcej. Cała mądrość i sztuka w tem, żeby dobrać (nieszczególnie do tego) rymy do wszystkich na świecie instrumentów. Wszystko to są kopie robione głupio, w tem błędnem mniemaniu, że jak się więcej nasadzi tego co się u drugich raz podobało, zrobi się kolędę tyle razy piękniejszą, ile razy więcej jest imion ludzi i nazwisk instrumentów. I kiedy chcąc być zabawnym, autor kolędy opowiada, że jeden złapał mendel kotów i ciągnąc je za ogony grał jak na fagotach, drugi zamiast strun naciągnął kiełbasy na basetlę, albo że z wielkiej uciechy w tańcach i śpiewach w szopie zagęściło się powietrze tak, że trudno już było wytrzymać, wtedy cały wrodzony wdzięk kolędy przepada, nie ma już ani prostoty ani poufałości, ani tej zwykle tak szczęśliwej i miłej miary w jednej i drugiej, jest tylko sadzenie się na koncept, który zabawnym być chce a nie umie, jest wyrodzenie się rodzaju.

IV.

Przejdźmy do kolęd dyalogowych. Zaród dyalogu jest w bardzo wielu; w najpobożniejszych nawet trafia się prawie zawsze jakaś rozmowa, aniołów z pasterzami, tych między sobą, albo odkupionego człowieka z Odkupicielem. W opowiadających tem bardziej. Ale z tego zarodu rozwinął się w niektórych dyalog zupełny, formalny, czasem pobożnie idylliczny, czasem humorystyczny, a nawet i całe sceny. „Hej pasterze! pasterze! powiedzcie jeno szczerze, kędyście dziś chodzili?“ pytają pasterki: a każda strofa jest na przemian pytaniem i odpowiedzią. Pasterki chcą wiedzieć, gdzie dzieciątko narodzone, w czem leży, kto mu służy, kto i jak do snu mu śpiewa, pasterze opowiadają co widzieli. Nie jest to bez wdzięku, ale ten charakter Pasterek, którego poezya ludowa nigdy, o ile wiem, dziewczętom nie daje, wprowadza na podejrzenie, że to sztuczna robota kogoś, co słyszał o łacińskich i francuskich a już co najmniej o polskich idyllach. Dlatego bez porównania ładniejszy, bo wprost z życia wzięty i z szczęśliwém uchwyceniem prawdy ułożony jest pewien dyalog między chłopem a żydem. Niema w tem dowcipu może, ale jest jakiś prosty humor, który przypomina niektóre rozmowy w Apophtegmatach Reja, i jakiś realizm w tonie i stylu obudwóch, taki, że zdaje się, jak żeby się słyszało jakieś echo z karczmy lub z jarmarku. Chłop zaczepia żyda z lekceważeniem, z góry i despotycznie, a ostatni argument tej teologicznej dysputy jest kij; żyd bystrzejszy, sprytniejszy, ironiczny, wykręca się, jak może, a kija się boi. Wcale nawet jest komiczny, kiedy na argument chłopa, że Messyasz musi być prawdziwy, skoro aż królowie ze wschodu przyjechali do niego i przywieźli dary, odpowiada, że to kadzidło i tę mirrę u niego w kramie po drodze kupowali.

Dyalog ten atoli rozwija się niekiedy i staje prawie nie sztuką, bo nie mając żadnej akcyi tem być nie może, ale sceną, która dałaby się grać na teatrze. Mnożą się aktorowie, urozmaica się dyalog. Czasem jedna osoba zostaje na scenie i prawi monolog, czasem rzecz się ożywia i osób kilkanaście wbiega w wielkiem poruszeniu; często, zawsze nawet miesza się śpiew, i to nabożny. Niezaprzeczenie jest w takich kolędach jakiś zaród i jakiś instynkt kompozycyi dramatycznej, kiedy wszyscy pasterze śpią, a jeden tylko pilnuje bydła i śpiewa sobie jak codzień; efekt tych zdarzeń nadzwyczajnych, które zaraz nastąpią, będzie daleko większy, jeżeli one spadną niespodzianie wśród całej powszedniości zwyczajnego życia. Kiedy pasterz śpiewa, uderza go jasność jakaś nigdy niewidziana:

Jakieś wojsko z nieba leci
Zdaje mi się, że śpiewają
Ogniem ziemię zapalają.

Chór przelatujących aniołów śpiewa po trzy razy: *Gloria in Excelsis.*

Maciek przelękniony budzi Stacha: mała scena komiczna, Stach nie chce wstawać, żartuje z Maćka że się boi albo sobie przywiduje; wreszcie porwał się i zobaczył jasność. — Zapewne to jakaś zła wróżba.

Oj prawdać. Już widzę, ale to nie żarty,
Mój Maćku, mój śliczny, cóż więc poczyniwa.

I znowu zmienia się scena, budzą innych:

A czegóż wrzeszczyta, cóż się złego stało?
Pewnie naszą trzodę nieszczęście spotkało.

Ale kiedy jeszcze raz wszystkim dało się słyszeć anielskie *Gloria*, nie można już przeczyć ani wątpić, że się dzieje

coś wielkiego, ale co? Może Bartosz wytłómaczy, bo on najmądrzejszy, i czytać się uczył i lata ma stare.

Zaczyna się główna scena, bo dotąd było tylko przygotowanie. Anioł wraca, obwieszcza Narodzenie i każe iść do Betleem. Gdy zniknął, nowa narada, pasterze nie bardzo rozumieją, czego od nich chciał.

WALEK:

Już ja wcale pierwszy nie pojmuję tego,
Każą iść do Betleem, a ja nie wiem czego.

Więc znowu stary Bartosz musi tłómaczyć, jak Adam zgrzeszył, z czego przyszło, że Syn Boży musiał narodzić się i umrzeć, żeby człowieka odkupił.

I potem dopiero wybierają się do Betleem ze swemi podarunkami, tylko niewierny Walek protestuje:

Tak też — wszyscy pójdą, a kto dojrzy trzody?
A z tego wszystkiego taki będzie skutek,
Wilcy zjedzą trzodę, nam zostawią smutek.

Idą przecież wszyscy, śpiewając po drodze kolędy, a gdy przyszli i Bartosz ich porządnie uszykował w szopie, klękają i śpiewają drugą, bardzo ładną:

Ach ubogi żłobie, cóż ja widzę w tobie!
Droższy widok, niż ma niebo, w maleńkiej osobie,

a w końcu przypomina im Bartosz, że czas już do trzody powracać. Niezaprzeczenie jest w tem jakiś ciąg, jakiś związek; jest na przemian pierwiastek komiczny i wznioślejszy liryczny. Kiedy się czyta, że dramat grecki wyszedł z nabożnych liturgicznych pieśni i przedstawień, że dramat nowoczesny powstał z podobnych początków, nasuwa się pytanie, czy taki dyalog jak ten, nie jest do owych początków

dramatu podobnym: czy ten zaród tragedyi greckiej, który miał jeździć na wózku Thespisa, nie był tak pierwotnym w formie, tak niezręcznym a naiwnym w przedstawieniu, tak religijnym w treści, jak te rozmowy Maćka ze Stachem: czy ten pierwiastek, który z czasem wyrobił się na wspaniałe chóry Sofoklesa, nie był w początkach jakimś śpiewem tak prostym jak kolędy tych pasterzy? czy ten rozumny i rozważny Bartosz nie miał u Thespisa jakich figur sobie pokrewnych, które z czasem zamieniły się w mądrość i powagę chóru. Kto wie czy te początki wielkich rzeczy nie były tak skromne jak nasza pastorałka; kto wie czy w niej nie było jakiego ziarna dramatu, które przygłuszone zasiewem obcym rozwinąć się nie zdoła. Jak w szopce można rozpoznać wyraźne ślady dawnych misteryów, tak w tych idylliczno pobożnych dyalogach wolno się domyślać podobieństwa z temi religijno obrzędowemi przedstawieniami, które miały być początkiem dramatu.

Jest inny dyalog — i do tego tak podobny, że musi chyba być jego kopią, ale daleko mniej ładny. Naprzód musiał być napisany nie przez prawdziwie ludowego poetę, ale przez kogoś co się w takiego bawił w czasie, kiedy lud wszedł w modę, zatem niedawno. Dowód nie mylny, że pisana jest ze wszystkiemi błędami ludowej gramatyki, a nawet wymowy; to skrupulatne zachowywanie wszystkich *s* zamiast *sz*, *c* zamiast *cz* i *z* zamiast *ż*, budzi podejrzenia. Potem niema tego szczęśliwego instynktu, który tam stworzył jakąś budowę dość regularną i wywoływał pewne efekta sceniczne, nie ma tego wstępu, który tam podnosił wrażenie następnej sceny; tu rzecz zaczyna się od obudzenia pasterzy przez tego, który nie spał. Nauka Bartosza dokładniejsza, dłuższa, chce być poprawną edycyą tamtej, a jest tylko dość niezgrabną jej parafrazą. Wybieranie się w drogę i wyliczanie różnych pasterskich podarunków trwa za długo, staje się monotonnem i ciężkiem.

Jest jedna jeszcze, którą ksiądz Mioduszewski w swoim zbiorze nazywa „Pastorałką Góralską“, a dodaje, że bywa nawet grana przez chłopców chodzących z szopką. Ta różniąc się znacznie od najpowszechniejszego typu szopek, trzyma niejako środek pomiędzy kolędą a takiem scenicznem przedstawieniem (przez żywe osoby lub lalki). Zaczyna ją prolog dość nudny, pedantyczny, napisany stylem ciężkim przez jakiego nauczyciela lub księdza, a przypominającym wiek XVIII — mogłaby napisać go Drużbacka, i mogłaby jeszcze nim się chwalić.

Kiedy się kortyna podnosi, góral jeden, Kuba, pędzi swój statek na paszę i przyśpiewuje im jakiegoś krakowiaczka; od podobnych śpiewów zaczynają się nieraz sielanki Szymonowicza:

Hej bydeleczko w pole, hej owieczki moje,
Paścież mi się, paście, a w kupie oboje.

Śpiewem zwabieni przychodzą dwaj drudzy górale, Maścibrzuch i Furgoł, i zaczyna się scena ciekawa, idylla z pewnem żądłem satyry i to dość ostrem, a żądło tej satyry godzi w dwa cele, w chłopa próżniaka posibrzucha a głupiego, i w pana, a zwłaszcza ekonoma. W humorze zaś, w sposobie mówienia, w komiczności tej figury jest jakieś podobieństwo z niektórymi bohaterami ludowych komedyj Anczyca. *Curriculum vitae*, które Maścibrzuch z taką chlubą opowiada, przypomina dzieje młodości pani Koguciny, jak służyła za pannę do świń.

Ojciec z dziada, ja z ojca, jest zawsze pastucha,
Matka kozy pasała, a z nią siostra głucha:
Bywałem też u ludzi, nie w domum się chował
I z kuchtami dworskimi za pan brat obcował.
Dworscy mnie też lubili, żem grywał na lirze,
To mi często dawali oblizać talerze.

KUBA:

Nie darmoć się, jak widzę, gęba wykrzywiła:
Pewnieć temu, żześ dworskich kęsków jadał siła.
A gdy zgniłe flaczyska kucharze płukali,
Tyś rozumiał, żeć wina, malmazyi dali.
A cóż dopiero mówić, jak cię szanowano:
Gdy pan kazał rozciągnąć, nizkoć się kłaniano.

Nie można zaprzeczyć, żeby w tem nie było pewnego humoru i pewnej dosadnej ironii.

Potem nowa scena, przybywa nowy aktor Cedzimlek, sfrasowany po baranie, który mu się gdzieś zapodział, a że na frasunek dobry trunek, dobywa któryś flaszki z gorzałką, Intermezzo komiczne, figiel, pustota, która wiejską publiczność musi bardzo śmieszyć. Flaszka jest oplatana, tak, że nie widać, iż w niej wódki nie ma. Ten co ją nosi, złapał pierwszego pasterza, który znowu nie chcąc się przyznać i być samemu wystrychniętym na dudka, nic nie mówi i podaje flaszkę drugiemu, aż tak z ręki do ręki obeszła i oszukała wszystkich.

Wśród tego aniołowie zaczynają *Gloria*. Wielki przestrach, wszyscy górale chcą uciekać, jeden tylko waleczny Furgoł podnosi pałkę do góry, zkąd głos słyszy i zuchwale interpelluje anioła. Anioł się nie obraził, ale owszem wszystko porządnie wytłomaczył:

FURGOŁ:

Hej! ozwijno się lepiej, powiedz, coć potrzeba,
A pocoś tu zlazł z nieba, powiadaj nam chłopie,
A gadajże dokładniej, bo weźmiesz tym kołem.

ANIOŁ:

Pastuszkowie postójcie! co powiem, słuchajcie:
Do Betleem miasteczka czemprędzej biegajcie,
Znajdziecie tam w żłobie złożonego Pana i t. d.

Potem wszyscy ze swemi darami idą do Betleem.

Na takich rzeczach można zobaczyć wyraźnie, prawie się dotknąć tego procesu przeobrażenia, przez który śpiew religijny staje się przedstawieniem scenicznem. A do tego punktu przejścia doszedłszy, nie podobna jest nie wspomnieć o Szopce, która z kolędy powstała, należy do niej treścią i duchem, choć różni się formą, a wszędzie po całej Polsce, po wsiach jak po miastach rozpowszechniona, należy niezaprzeczenie do literatury ludowej.

Czem ona jest?

Reminiscencyą dawnych mysteryów, czy ich późniejszem naśladowaniem, czy może w zmienionym języku zabytkiem ich pierwotnego niewykształconego jeszcze początku? Dawniejsza, współczesna, czy późniejsza, czy sama dała początek religijno-dramatycznym przedstawieniom, czy współcześnie przenosiła na swój mały teatrzyk i przedstawiała lalkami to co widziała granem przez ludzi, czy wreszcie była ostatniem echem i śladem, zdrobnieniem mysteryów, w każdym razie trzebaby być ślepym, żeby nie widzieć pokrewieństwa między Szopką a średniowiecznem mysteryum, jak je dawne świadectwa opisują. Wszakżeż to, według tych świadectw, miało być cechą i właściwością tych przedstawień, że akcya główna, zawsze poważno-religijna, przeplataną była luźnemi epizodami, które do niej nie należały, a wyobrażały jakieś sceny i typy świeckie, współczesne, potoczne i komiczne; wszakże nadużycie tych ostatnich miało sprowadzić zakaz tych przedstawień i wyrzucenie ich z kościoła naprzód, a potem i z obyczaju. Weźmy teraz plan Szopki i przypatrzmy mu się dokładnie: cóż w nim zobaczymy? Oto wielką liczbę takich epizodów, takich intermedyów komicznych, które zmieniają się dowolnie i nieskończenie i w każdej niemal okolicy bywają inne; ale przy nich jest zawsze i nieodmiennie treść główna, ułożona w jakiś ciąg i związek, z Nowego Testamentu wzięta, i prawie zawsze a można rzec bez wyjątku zawsze w całej Polsce ta sama. Dramatem, który się w Szopce odgrywa, jest rzeź niewiniątek,

jego głównym bohaterem król Heród, jego katastrofą i moralną nauką (choć ta tragiczna katastrofa i ten morał ukazują się w formie humorystycznej) jest śmierć i rozpacz Heroda. I ta sprawa przeprowadzona jest przez różne stopnie i zawikłania: Heród rozkazuje dowiedzieć się o nowonarodzonym Messyaszu, odbiera wiadomość, wydaje rozkaz wymordowania wszystkich chłopców do dwóch lat, żona próbuje go wstrzymać, ubłagać, przeczuwa coś złego, tak jak przeczuwała żona Piłata. Czasem zdarzy się waryant, dodatek dramatyzujązy sytuacyę, ten mianowicie, że zły król i własnemu synowi przepuszczać nie każe, a matka w rozpaczy przeklina go i porzuca. Potem dopiero następuje zgryzota, rozpacz i śmierć. Zapomnijmy o tem, że to lalki grają te straszne sceny, zapomnijmy zwłaszcza o nieudolności, z jaką te wszystkie uczucia są wyrażone, zapomnijmy wreszcie i o tem, że śmierć kiedy się z Herodem pasuje i kiedy go ścina, że dyabeł, kiedy go wlecze za kulisy, że żyd, który schowany gdzieś w kącie jest niemym świadkiem tej sceny, że to wszystko jest, dowcipne czy nie, ale żartobliwe, komiczne — a znajdziemy, że każda z tych scen mogła była w tym samym porządku nawet znajdować się w poważnem, poważnie napisanem i pobożnie granem mysteryum. Ono było dłuższe zapewne, napisane bardziej po literacku i uczenie, i oczywiście, choć nie bardzo dobrze, ale musiało być napisane lepiej; i treść jednak i plan musi być kopią a przynajmniej wspomnieniem, dziś już bezwiednem, jakiegoś religijnego dramatu czy dyalogu.

Ci zaś chłopi, żydzi, żołnierze, szlachcice i t. d., którzy dziś w naszej Szopce występują, oni są oczywistym zabytkiem komicznych intermedyów, które w plan tych dyalogów owego czasu wchodzić musiały koniecznie. Wtedy zapewne inne figury, inne śmieszności rozweselały publiczność, i były zapewne więcej rozwinięte, musiały mieć więcej dramatycznego i komicznego żywiołu; ale dzisiejszy żyd i góral i kozak i ułan jest niewątpliwie ich potomkiem, tylko bardzo

zdrobniałym. To też, choć się w Szopce nie często (jeżeli kiedy zgoła) zdarzy napotkać, czy to to jakiś błysk poetycznego uczucia, czy wdzięk naiwnego wyrażenia, wreszcie wybryk choć cokolwiek zabawny humoru bodaj najbardziej rubasznego, choć biedna Szopka nie jest ani bardzo mądra, ani bardzo zabawna, a w jej częstochowskich wierszach niczego prócz intencyi dopatrzeć się nie można, przecież należy się patrzeć na nią z uszanowaniem i z sympatyą i z ciekawością. Taka skromna, taka biedna, taka licha jak jest, ona przecież swoim nieudolnym a często fałszywym głosem uczy i daje poznać czem mogły być, jak mogły wyglądać te połączenia religijnego uczucia z poetyczną wyobraźnią, z potrzebą teatralnych widowisk i z komiczną weną, na które z takiem pobożnem przejęciem i z taką świecką ciekawością i rozkoszą zbiegała się publiczność XV, XVI a u nas podobno i XVII wieku. Kiedy Szajnocha opisuje Kraków XV wieku tak żywo, jak żeby go znał, pod wrażeniem opisu dałoby się Bóg wie co za to, żeby go takim choć przez sen zobaczyć. Kiedy się spotka lada kawałek muru, lada zaułek uliczny, lada framugę lub gzyms, który zdaje się przypominać czasy Kaźmierza albo Jadwigi, jak wtedy wyobraźnia pędzi i buja, jak z tego drobiazgu wyprowadza różne kombinacye i składa sobie obrazy dawnej Polski. Otóż takim okruchem muru czy gzymsu, takim drobiazgiem odpadłym od gmachu przeszłości, ale drobiazgiem, który ślad swego pochodzenia zachował, jest Szopka: a kto lubi błądząc po starych brudnych a przecie malowniczych kątach wyobrażać sobie fizyognomię miasta przed wiekami, ten słuchając Szopki potrafi także wystawić sobie i rusztowanie i dekoracye w kościele, i dramat podobny i podobne sceny komiczne (tylko na większą skalę) grane przez cechową lub szkolną młodzież, i tłum malowniczy, różnobarwny, od święta ubrany w co ma najlepszego, patrzący ze zgrozą prawdziwą na Heroda, płaczący nad niewiniątkami, śmiejący się do łez z przygód i figlów jakiego wojskowego pachołka.

Ale nie w tem cała wartość i cały wdzięk Szopki. Archeologia jest szanowna, ale można o niej powiedzieć, jak Göthe o teoryi, że jest szara, a drzewo życia wiecznie zielone. Otóż tego drzewa pączki dają się widzieć i zielenieją na tej skromnej gałązce. Nie wszystkie Szopki są równie świetne, ale i najskromniejsza wiejska strzeli czasem jakim samorodnym konceptem, albo jakiem wyrażeniem, w którem znajdzie się coś charakterystycznego i ciekawego, czy myśl trafna, czy humór, czy jaki szczegół z życia wzięty a typowy. Świetniejsze zaś i cywilizowane Szopki, krakowskie naprzykład, mają takich zielonych listków więcej, po których kiedyś ludzie poznawać będą tę lub ową stronę naszego życia. Żart naprzykład, żart stały, tradycyjny, ten, którym śmieje się chłop z żyda, albo dostatni mieszkaniec równin z górala, któremu się tylko owies rodzi, i to jest coś choć małe; a znajdzie się więcej.

Co znaczy naprzykład ułan z chorągiewką albo krakus z kosą, kiedy wychodzi i śpiewa coś o broni, która mu już na nic, albo o kratach więzienia? Wiersze są bardzo liche, ale coś wyrażają przecie, wspominają coś; ten ułan i ten krakus, jeżeli nie dawniej, to z pewnością dostali się do Szopki po roku 1831, są zabytkami ostatniej narodowej wojny, a tym śpiewem, który jako taki jest nie wiele wart, podają dalej, utrzymują, przypominają uczucia i chwile Grochowa lub Racławic. Kiedy w wierszach nie lepszych wcale naiwny krakowiak wychwala swój Rynek i swoje Sukiennice i swoje wieże, jako na cały świat sławne z piękności, kiedy wspomina, jak tam królowie dawali bale, albo zaręcza, że nie zapomni imienia Kaźmierza, to trzeba w tem widzieć i szanować dowód jednej rzeczy, bardzo potrzebnej i ważnej i pocieszającej: oto, że ten, co te liche wiersze składał i ten, co je śpiewa, wie coś o Kaźmierzu i o ułanie, że o nich pamięta, że o nich myśli! On tych wierszy nie układał i nie śpiewa dla przypodobania się publiczności: on powiedział i śpiewa to, co wie i myśli, a później nauczy

drugich młodszych tej samej śpiewki lichej, której znaczenie i wartość praktyczna nie są tak liche, jak jej pozór.

Szanujmy Szopkę, szanujmy zwłaszcza kolędę. Ta stanowi część najbogatszą, a w każdym razie najbardziej oryginalną naszej poezyi ludowej. Sympatyczna swoją prostotą i naiwnością, swoim humorem często charakterystycznym i typowym, godna jest uwagi a pełna wdzięku przez to zwłaszcza, że jest bezwiednym ale niemylnym wyrazem uczuć dobrych, szlachetnych, czasem zupełnie wysokich, czasem delikatnych; że natura polska w tem zwierciedle czy wizerunku odbita pokazuje się dobrą i sympatyczną. Jest prócz tego kolęda i żywym pomnikiem dawnych wieków, spuścizną która nas z niemi łączy, i jest dziś jeszcze w teraźniejszości, takiego związku i łączności, jeżeli nie środkiem, to przynajmniej znakiem. Mówi się zawsze na całym świecie, że jednym z dowodów i znamion narodowej jedności jest jedna literatura narodowa. Tylko, że u nas, jak wszędzie zresztą, różne stopnie oświaty, różny stan umysłowości, wydał w jednym narodzie różne potrzeby i różne literatury. Mickiewicz żyje wśród ludzi oświeconych tylko, i nawzajem wiejska piosneczka lub powiastka dla takich jest przedmiotem ciekawości, sympatycznego zajęcia, ale nie chlebem duchowym, którymby zawsze żyć mogli. A więc ta wspólność literatury, jako znak narodowej jedności, gdzież jej szukać i czy jest gdzie w ogólności? Otóż jest jeden rodzaj w literaturze wspólny wszystkim częściom Polski i wszystkim jej warstwom, ludowy przedewszystkiem, ale we dworze i w mieście tak znany, tak dobrze widziany, tak robiący wrażenie, jak na wsi i w chacie: to jest pieśń kościelna w ogólności a w tej nadewszystko kolęda. Nie ma jednego ucha, któreby nie witało z radością i nie słuchało ze wzruszeniem jej prostej nuty, kiedy ona się odezwie; nie ma jednego serca, któreby na głos jej nie biło sympatycznie; nie ma jednego umysłu, któryby w niej nie widział i nie uznawał rzeczy prawdziwie i zupełnie swojej, krwi ze krwi i kości z kości.

Własność narodowa niezaprzeczenie, pieśń i obyczaj razem, ona jest niezawodnie jednym ze znaków wspólnego pochodzenia, wspólnej natury, wspólnego ducha w narodzie. A kto wie, czy nie ma jakiego znaku lub symbolu i w tym fakcie, że z całej literatury ludowej lub pisanej jedyną własnością wspólną całego narodu, jedyną poezyą, która się znajduje wszędzie, do każdego serca trafia i na każdy umysł wywiera wrażenie, jest pieśń pobożna, kościelna, i ta w szczególności, która przynosi światu dobrą nowinę i obwieszcza „pokój ludziom dobrej woli“.



II.

O „KONFEDERATACH“ MICKIEWICZA.

Słowo objaśnienia.

Rzecz o *Konfederatach* pisana była w roku 1872, po pierwszych przedstawieniach, jako Sprawozdanie teatralne. Obecnie, kiedy otwarcie nowego teatru, a następnie przedstawienie trzech dorobionych aktów wznowiło niejako kwestyę fragmentu Mickiewicza, zdjęła mnie ciekawość odczytania tego co przed laty byłem o nim napisał.

Odczytawszy, przekonałem się (nie bez pewnego pobłażania dla siebie samego), że pod pierwszem wrażeniem uniosłem się w podziwieniu do oczywistej przesady, skoro stawiałem *Konfederatów* na równi z *Wallenrodem* a pod jakimś względem nawet niby wyżej od *Pana Tadeusza!* przekonałem się (z przerażeniem i zawstydzeniem), że pisząc nie porównałem nawet przekładu z oryginałem, i nie spostrzegłem, że przekład rozwijając i parafrazując niejedną myśl oryginału, nieraz znacznie od niego odstępuje. Na swoje usprawiedliwienie to jedno tylko mogę powiedzieć, że Sprawozdanie teatralne pisze się szybko, i nie obowiązuje do takiej staranności i dokładności jak rozprawa. A prócz tego oryginalny tekst francuzki, jeżeli się bardzo nie mylę, jeszcze wtedy ogłoszonym nie był.

Nie bronię też niniejszego Sprawozdania, ani nie będę się dziwił, jeżeli czytelnik uzna je za złe, a choćby śmieszne.

A przecie zdaje mi się jeszcze dziś, że nie jest ono zupełnie zmylonem i fałszywem. Ocenienie pierwszego aktu, określenie osób występujących w dramacie, i wreszcie opis tego wrażenia jakie robi sztuka, a zwłaszcza jej akt drugi, odpowiadają mojej myśli dziś, tak samo jak przed laty dwudziestu z górą. Uniesienie przeszło; zostało przekonanie, że fragment jest dowodem ogromnej Mickiewicza siły dramatycznej, że jego niecałość jest wielkiem dla naszej literatury nieszczęściem, a jego wrażenie na teatr zbyt poważne i wielkie. Przesada zaś, której nie próbuję się wypierać, ma w sobie jakąś świeżość pierwszego wrażenia: nie chcę jednej obcinać ani poprawiać, żeby drugiej nie zepsuć. A że o *Konfederatach* wogóle pisano dotąd bardzo mało, więc niech te kilka słów zostanie.

Autor.

Przed laty niezbyt wielu, w stuletnią rocznicę urodzenia Schillera uroczyście w całych Niemczech obchodzoną, wiedeński *Burg Theater* wystawił po raz pierwszy na scenie fragment Demetriusa. Publiczność czekała tego widowiska z ciekawością gorączkową; patrzała na nie z przejęciem; słuchała z natężeniem i rozrzewnieniem tych jakżeby wskrzeszonych słów swego poety. A czemże jest dla Niemców ten Dymitr, w porównaniu z tem, czem dla nas są *Konfederaci!* Choćby go nie grano, choćby go i nie było wcale, mniejsza dla nich strata, bo mieliby się zawsze czem pocieszyć; mają Maryę Stuart, Don Carlosa, Wallensteina tego samego Schillera. A potem cóż ich obchodzi Dymitr? co im do tego carskiego samozwańca albo do polskiego sejmu? tyle tylko ile w tym fragmencie jest wartości artystycznej, sztuki. Konfederaci inaczej! Gdybyśmy byli bogaci jak Niemcy, gdybyśmy mieli choćby jeden dramat Mickiewicza, moglibyśmy mniej dbać o ten ułamek. Ale kiedy on jest jedyną spuścizną dramatyczną jaką poeta zostawił, to patrzy się na niego z takiem uczuciem, z jakiem się stoi o jakąś drogą pamiątkę, o jakąś rodzinną relikwię, któraby zarazem była całym naszym majątkiem. A potem, jest w tych Konfederatach coś więcej jeszcze. Jenerał rosyjski gubernatorem Krakowa, ojcowie i matki w jego przedpokoju z suplikami o uwolnienie synów, zagrożonych Sybirem lub śmiercią, te pierwsze początki naszych od stu lat dziejów, ten gorżki przedsmak tego co później stało się naszym chlebem powszednim, to nie dramat, to nie poezya, to historya sama. I kiedy się tak często pytamy jak to wtedy być i wyglądać mogło, jak wyglądał ten świat polski, kiedy po raz pierwszy na swoim gruncie zetknął się ze światem rosyjskim, jak wyglądał w kraju nie-

podległym Repnin albo Stackelberg, a jak ci nieszczęśliwi obywatele kraju wolnego i niepodległego pod jego drzwiami, to możemy się zaspokoić, tam się to widzi. I dziwne zrządzenie, że w tym roku właśnie [1]), po stu latach odsłonił się obraz tego co było przed stu laty. Nam przedstawienie Konfederatów robiło takie wrażenie, jak żeby w teatrze zetknął się był początek tej wiekowej epoki z jej końcem: przedzielone tylko lampami stanęły na przeciw siebie przeszłość i teraźniejszość. Jedna była na scenie, druga w sali, i patrzyły na siebie ze strachem i zgrozą, jak żeby jedna w drugiej poznawała siebie, jak żeby obie mówiły: jakżeśmy do siebie strasznie podobne!

To akt pierwszy: a drugi? akt drugi jeszcze bardziej przejmujący i jeszcze smutniejszy. Puławski, ksiądz Marek, Francuz ochotnik, kilkudziesięciu ludzi ze strzelbami: to pierwsze powstanie, z tych samych pierwiastków i z tym samym charakterem co wszystkie późniejsze. To naprzeciw Jenerał - Gubernatorów i wielkorządców rosyjskich wielki ideał niepodległości: i ten stanął przed nami także w całej swojej wzniosłej postaci, a w całem przecież swojem do rzeczywistości podobieństwie, jak żeby się chciał skarżyć, że po stu latach jest tylko ideałem, i pytać dla czego po latach stu jest zawsze tylko ideałem. Boleśniejszego, nic nigdy w żadnym teatrze nie było. Antigona żegnająca słodkie światło słoneczne, Orest ścigany przez Eumenidy, żona Macbetha ścierająca krwawą plamę z ręki, Egmont wiedziony na śmierć bohaterską, i ten w Hamlecie zgniły świat, który sam na sobie wykonywa sprawiedliwość — niechcący, wszystko to jest wielkie i przejmujące, rozdzierające: ale tu u nas nic może być tak rozdzierające jak ten dramat, który się nie na scenie odgrywa, w którym aktorami są wszyscy, a bohaterem nie człowiek jeden Puławski, Marek, lub ktokolwiek inny, ale naród i jego sprawa.

---

[1]) Rok 1872.

Kiedyś, jak ludzie na tym świecie albo będą szczęśliwi, albo spodleją i zapomną, może wtedy Konfederaci staną się dla nich dramatem, dziełem sztuki, pamiątką, obrazem i pomnikiem czasu; i może wtedy będą na nich patrzali spokojnie jak my patrzymy na Hamleta albo na Wallensteina. Ale dziś są one rzeczywistością tak żywą, tak blizką serca, że widoku i wrażenia ich prawie znieść nie można.

Kiedy przed sześcioma blizko laty pismo nasze [1]) miało ten zaszczyt wielki i niespodziewany — (który niech nam wolno będzie z chlubą przypomnieć) — że w swoim pierwszym zeszycie ogłaszało nieznany a bardzo piękny przekład Konfederatów, był ten fragment dla wszystkich podobno, dla nas jak dla innych, przedmiotem ciekawości i poszanowania, ale nie takiego jakiego jest godzien podziwienia. Widzieliśmy w nim piękne ustępy tylko: po prostu nie poznaliśmy się na jego wartości. Trzeba było dopiero przedstawienia, żeby się pokazała wyraźnie cała wielkość, cała głębokość, cała mądrość dzieła: żeby genijusz poety objawił się w całym swoim blasku z tej strony dotąd nieznanej. Gienijusz dramatyczny Mickiewicza? tak jest, i to gienijusz pierwszego rzędu. W czytaniu zdaje się, że jest tam tylko piękny liryzm w rodzaju Schillera: w przedstawieniu odsłania się i potęga dramatyczna taka jak u Schillera, jak u Göthego, taka, że sam Szekspir mógłby się do niej przyznać. I dziś już wiemy, jak wielkiem nieszczęściem naszej poezyi jest nieodżałowane, niepowetowane, przeklęte zatracenie trzech następnych aktów tragedyi.

Bo szerszego horyzontu, boimy się tego powiedzieć, ale zdaje nam się, że szerszego horyzontu nigdy Mickiewicz w swojej poezyi nie objął. Co do wzniosłości natchnienia, mianowicie natchnienia patryotycznego, jest w tych Konfederatach jedno kazanie ks. Marka i jedna jego modlitwa,

---

[1]) *Przegląd Polski* ogłosił Olizarowskiego przekład *Konfederatów,* w swoim zeszycie z 1-go Lipca 1866.

które z pewnością mogą dotrzymać kroku widzeniu ks. Piotra; a jest tam kilka wierszy o dzieciach mordowanych przez kozaków, wierszy takich, że nie zbladłyby nawet przy samem „wywożeniu kibitek“. *Tadeusz* jest jednem z arcydzieł świata, ale Tadeusz jest tylko polski. Zakres Konfederatów jest szerszy. W nich jest Polska naprzód, Polska dawna i teraźniejsza, z całą swoją naturą i z całą swoją historyą, z całą rozmaitością swoich typów spółecznych i psychologicznych — potem jest w nich epoka, jest chwila historyczna oddana z najwierniejszem swojem podobieństwem, schyłek XVIII w. jaki był w Europie i w Polsce — a dalej jeszcze, jest więcej, bo jest w kilku figurach charakterystyka czterech narodów, tych czterech, które robiły historyę polską ostatnich stu lat, Polaka, Francuza, Moskala i Niemca. A wreszcie niezależnie od wszystkich właściwości czasu lub plemienia, jest szeroki, wielki i niezmienny świat ludzki, wiekuista i powszechna prawda człowieczej natury przejrzana i ukazana z tą intuicyą genijuszu, która ma ten przywilej, że bez trudu, od niechcenia, przychodzą jej myśli i słowa, na które zdumiony człowiek zamyśla się tylko i pyta zkąd się biorą rzeczy tak mądre, tak głębokie, tak wielkie.

Gienijusz Mickiewicza, to rzecz nie nowa i nie dziwna: ale jego gienijusz dramatyczny, ta sztuka żeby w kilku rysach zakreślić wielką akcyę tragiczną i należące do niej figury, to jest nowo odkryte, o tem jeszcześmy nie wiedzieli. Tymczasem zawiązanie jego dramatu jest tak wspaniałe, że nie powstydziłby się go ani Goethe ani Szekspir, a tak naturalne, tak proste, tak wolne od effektów i ich szukania, a w swojej prawie potocznej naturalności tak przejmujące, jak klasyczna prostota starożytnych.

Kilku wąsatych szlachciców, kilka kobiet zapłakanych, z prośbami w ręku, burmistrz, na którym drży skóra, bo Gubernator ma nałożyć kontrybucyę na miasto, wszystko to czeka w przedpokoju Hrabiny; a ta Hrabina, to polka, „krakowskiego wojewody córka“ i... „moskiewskiego Jenerała

bella“. — W tych kilku słowach obraz zupełny. Wiele tysięcy ludzi czekało tak od tego czasu na posłuchanie, od którego zależał los uwięzionego ojca, brata, męża, syna, mającego iść na rozstrzelanie: wiele tysięcy matek drżało tak jak ta Starościna, i wiele tysięcy ojców tak zaciskało pięście jak ten Starosta, że musi prosić, i kogo, i o co!... Ci biedni ludzie w tym przedpokoju, jakich oni różnych cierpień są wyobrażeniem, żalu, trwogi, upokorzenia zwłaszcza gorszego jak wszystko! czekają od godzin całych na łaskawe przyjście kobiety, którą pomiatają w duszy, gotowi rzucić się przed nią na kolana i całować jej ręce, oni Polacy, w przedpokoju „Belli“ rosyjskiego Jenerała, pomiędzy jej służbą, i dla czego! dla tego że syn lub brat bił się w konfederacyi!

„Czybyś Pan uwierzył
„Że poczytują to za wielką zbrodnię?
„Cóż on zawinił? za cóż tu skazywać
„Na rozstrzelanie?...

woła biedna matka, która tego nie może pojąć, dziwi się... przed stu laty, istotnie, musiano się temu dziwić! Ale pod strachem i upokorzeniem odzywa się coś innego jeszcze. „Przyjdźcie do mnie w nocy“, mówi jakiś stary Litwin bez ręki: „Pułaski kawalerzysta tęgi, Choisy wyborny piechur, góry Karpackie blizko Krakowa“ — to nitka, z której się dalszy wątek dramatu wysnuje. To miasto trzymane w karbach postrachem i mocą, ono coś po cichu myśli, ono coś przewiduje, ono czegoś pragnie: obraz jest zupełny, nie brak w nim niczego, a scena tylko jedna, krótka, i same tylko podrzędne w niej figury.

Co za istota zawiła a zajmująca ta Hrabina! i co za typ swojego czasu, typ damy polskiej, jakich było wiele w końcu zeszłego wieku, a jakiemi zrobiło je wychowanie zagraniczne i światowe, płoche otoczenie, i modne filozoficzne wyobrażenia tego czasu. Te damy ówczesnej Warszawy wy-

rzucone z naturalnej równowagi życia, zaniedbane przez swoich mężów lub z nimi rozwiedzione, nie złe, tylko pozbawione zmysłu moralnego, którego nikt w nich nie wyrobił; szlachetne z natury, a z wychowania, z mody, płoche i zalotne; Polki w gruncie, a przyjmujące hołdy Moskali przez nałóg towarzyskiego życia, przez brak zastanowienia, przez to, że hołd jest zawsze hołdem a Moskal ujmującym człowiekiem: te damy jak żeby z grobu powstały i stanęły przed nami żywe w postaci tej Hrabiny. Ojciec, przez dumę, przez jakieś wyrachowanie domowej polityki, wydał niedorosłą jeszcze dziewczynę za jakiegoś sejmikowego potentata, „dzika, pijaka, że nie powiem więcej“. Tak wydano Elżbietę Poniatowską za Klemensa Branickiego, Teresę Rzewuską za Radziwiłła Panie Kochanku, tak tyle innych... A kiedy zrażona do męża młoda kobieta rozwiodła się, rodzina chciała tę niesławę domu ukryć w klasztorze: i wtedy ona oddała się pod opiekę kogoś mocniejszego jak ojciec i krewni, pod opiekę Jenerała, a ten Jenerał „poważa ją, i przywiązał się do jej doli“.

Biedna Hrabina! nie jest ona bez wymówki, i każda prawie z tych które ona reprezentuje, mogłaby podobnie przytoczyć nie jedno na swoją obronę.

Ale, dla świata, biedna kobieta jest „moskiewskiego Jenerała bellą“. Ojciec do niej nie mówi, panie polskie odwracają się od niej, zniosła już nie jeden afront publiczny: — tylko, kiedy trzeba kogoś wyprosić z więzienia lub od śmierci, wtedy jej przedpokój zapełnia się „spółziomkami“. Cóż dziwnego, że biedna kobieta ma żal i gorycz do tych, którzy „znieważywszy ją płaszczyć się przychodzą“, że pojona wzgardą, gardzi nawzajem tym patryotyzmem, który się popisuje i walczy nie bronią w boju, ale insultowaniem kobiety. A przecież jak grunt jest polski u tej kobiety. Zdaje jej się, że żyje na pustyni; nie może wytrzymać, bo nie widzi swoich, nie mówi swoim językiem; od niej wszyscy stronią, a tylko „polskie łzy i prośby do niej przychodzą“. — Z jakiem obu-

rzeniem wybucha na wspomnienie, że ktoś Moskali nazwał jej przyjaciółmi; jak wobec jenerała oburza się w niej godność polska na wzmiankę o królu, który jest tylko „waszym pełnomocnikiem, waszym parawanem“. A kiedy jenerał narzeka na Polaków, którzy i po śmierci konspirować muszą, jak się w niej odzywa polskie uczucie w tej odpowiedzi:

Każdy ma prawo kochać swą ojczyznę,
Każdy ją kochać powinien...

Ta scena z bratem, w której wybucha cały gniew Hrabiny do rodziny i do ziomków, i cała za nimi tęsknota, żal do nich, i żal za nimi, a w której brat, Polak, konfederat, wyprasza uwięzionego ks. Marka z rąk gubernatora przez protekcyę siostry, to pod pozorem prostej rozmowy, sytuacya dramatyczna jak rzadko. A przytem w niej także skupiają się początki dalszej akcyi: stosunek Hrabiny z ojcem, jèj dawna dziecinna miłość do Pułaskiego, z którym w dalszych aktach oczywiście spotkać się miała, jej sen, który może był przepowiednią końcowej katastrofy dramatu, wszystko to mistrzowska ekspozycya. W pierwszej scenie było ogólne tło, społeczeństwo polskie ze swemi uczuciami i stanem: w tej zaczyna się rysować wzajemny stosunek osób do siebie, i ich charaktery.

Jeżeli Hrabina była skończonym typem, to nie mniej jest takim Jenerał. I tu podziwiać trzeba nietylko twórczy gieniusz poety, ale i jego wykwintny takt i miarę. Jenerał ten to nie potwór wcale; nie jest ani okrutny z upodobania, ani szczególnie przewrotny, jest przytem cywilizowany i gładki. Tylko, gruntu moralnego żadnego: ani najmniejszego o niem pojęcia. Ten Moskal nie domyśla się, że nie ma prawa być i rządzić w Polsce, nie ma pojęcia, że to kraj nie jego ani jego Imperatorowej: moje i twoje, słuszne i nie słuszne, to pojęcia, których w jego duszy nigdy nie było. Imperatorowa kazała, więc on ma prawo być w Polsce i rządzić nią, i roz-

strzeliwać Polaków, którzy się przeciw tej woli buntują. On ich na prawdę ma za buntowników. Imperatorowa! to jedyne prawo, jedyne pojęcie moralne, jakie on ma: jak znowu dla siebie, ma tylko jedną myśl i jedną troskę, nie stracić swoich lat służby, nie wpaść w niełaskę. Z uczuć i wyobrażeń europejskich przejął jedno tylko, poszanowanie honoru wojskowego. Że jest człowiekiem, a nie pionem tylko posuwanym na szachownicy przez rozkaz, i że głęboko na dnie jakiś prosty zmysł ludzki pozostał, dowodzi tylko jedna rzecz: jenerał się oburza na doktora, kiedy ten mu radzi, żeby z kobiety którą kocha, starał się zrobić szpiega. Tę myśl odrzuca ze wstrętem: dowód, że coś jeszcze szanować jest zdolny. Przecież, pod całą powierzchowną cywilizacyą, pod wykwintnemi manierami tego Jenerała, poskrobawszy, znajdzie się Tatara, i ten odzywa się wściekłą groźbą:

Biada wam Polacy,
Jeżeli przez was ja w niełaskę wpadnę.
Jużem nagotował...
W myślach dla niego karę, coś lepszego
Od szubienicy... czekaj, dam ja tobie!
Długo pamiętny przykład z ciebie zrobię
Zrobię pamiętnik dla twoich współbraci,
Że po dwudziestu pięciu latach drżenie
Przechodzić będzie po nich na wspomnienie
O konspiracyi....

Słyszy się w tych słowach ich wszystkich, od Suwarowa aż do Murawiewa.

Obok Jenerała, Doktor. Kurlandczyk, uczony, fizyolog i psycholog, z okiem wprawnem do obserwacyi, z naukowemi notami w tej tece którą nosi pod pachą, jeden z tych małych, którzy najczęściej wszystko robią za wielkich, a sami nigdy wielkimi nie zostaną: jeden z tych ludzi, których się dodaje wielkim panom jadącym na ambasadę, żeby byli ich

okiem, uchem, — i dozorcą. Doktór ajent gubernatora, jest oczywiście i jego stróżem, i raporta swoje posyła wprost do Petersburga. Bystry i przenikliwy, ułatwiający sobie znajomością fizycznej natury człowieka poznanie jego natury moralnej, doktór jest policyantem-artystą. Uprawia śledzenie jak sztukę, z zamiłowaniem, z pasyą: jego nauka znajduje w tem tyle powabu i korzyści, co i jego podłość. Szpieguje dla swego rządu, dla siebie robi przytem fizyologiczne i psychologiczne spostrzeżenia. Jeden z tych subalternów, którzy nie wiedzieć dla czego są subalternami, bo od swoich przełożonych mądrzejsi; jeden z tych łotrów cichych, flegmatycznych, w obejściu przyzwoitych i spokojnych, sekretarz Wurm Schillera na usługach wielkiego państwa i użyty do szczególnych poruczeń politycznych. Tak przebiegły, że nic jego uwagi nie ujdzie, a tak w swojem rzemiośle rozmiłowany, że lirycznie użala się nad barbarzyńskim krajem, w którym porządnej policyi zaprowadzić nie można; a jednej tylko rzeczy nie rozumie, że wszyscy i wszystko temu rzemiosłu nie służy, że Jenerał naprzykład nie chce do niego użyć Hrabiny. Typ tych kosmopolitycznych Kurlandczyków i Estończyków w służbie rosyjskiej, do którego chciałoby się zawołać, jak Umierający Krasińskiego do Szatana: Tyś idealny Moskal, chybaś...

I on znowu posuwa ekspozycyę naprzód, uzupełnia ją; ostrzega, że ludności dowierzać nie można, że uwięziony ksiądz jest czemś więcej niż się wydaje, że oczy Wojewody wróżą coś złego. Wreszcie Wojewoda sam przychodzi zamknąć akt swojem zjawieniem, i swoją imponującą, głęboką postacią.

I on także jak żeby z grobu powstał, podobny do nich wszystkich. Jest w nim i Wacław Rzewuski, i Klemens Branicki, i Salezy Potocki, wszystko co z dawnym magnatem polskim ma styczność i pokrewieństwo. Patryota, i wielki; bić się potrafiłby jak Sobieski, do Kaługi dać się wywieźć, także... ale przed Stolnikiem litewskim zdjąć czapkę, ale dać rej wodzić Czartoryskim, to co innego! Jak oni wszyscy dyplomata przy okazyi, jeździ do Wiednia, koresponduje

z Francyą i Anglią, przed Moskałami tak się układa, jak Brutus przed Tarkwiniuszem: miłość ojczyzny ma wielką, nienawiść wrogów jeszcze większą, największą dumę. O tej mówi ksiądz Marek, ta pokazuje się sama, kiedy Wojewoda „zdaje“ Pułaskiemu dowództwo, jak żeby je był miał, a Francuzów uwalnia ze służby imieniem Rzpltej. I kiedy układny i zręczny Jenerał w rozmowie rzuca mu zdradzieckie słowo „u was tron elekcyjny“, to dreszcz przechodzi, bo zdaje się, jak żeby się było w gabinecie Repnina lub Stackelberga. Wiele razy oni w ten sposób rozmawiać musieli!

Akt drugi, to Pułaski, Choisy, ksiądz Marek, niedobitki konfederatów w Karpatach, noszący się z planem odebrania Krakowa. Jakim był rzeczywisty Kazimierz Pułaski? któż wie. Ale w pamięci, w wyobraźni narodu, pozostał otoczony takim blaskiem bohaterstwa, takim urokiem poezyi, że ten pierwszy partyzant, ten pierwszy powstaniec, został i ideałem powstańca. I takim pojął go Mickiewicz w swoim dramacie: każdy inny byłby w sprzeczności z naszem uczuciem, żaden nie byłby prawdziwym. Ten Kazimierz wydał się niektórym nadto lirycznym, nadto romansowym, witającym się za czule z górami i lasami, a za mało żołnierzem i partyzantem. Istotnie, w porównaniu z osobistością bardzo wybitną i energiczną innych postaci, on traci: on główny bohater najmniej uderza swoją indywidualnością, wygląda cokolwiek zatarty i konwencyonalny. Idealny młodzieniec w rodzaju bohaterów Schillera; a kiedy w rozczuleniu na widok ulubionych gór zaczyna śpiewać, wpada nawet cokolwiek w poezyę fałszywą niektórych bohaterów romantycznych. Przecież, choć nie tak świetny jak otaczające go figury, on jest pomyślany dobrze i sympatyczny. On jest czuły, ma w duszy rys poezyi, zapału, uniesienia: ależ, bez tego, czy byłby bohaterem, czyby był bohaterem polskim, czy byłbym tym ideałem powstańca, którym być powinien? nie. Jakto, macie Polaka, Polaka idealnego i chcecie, żeby nie był czuły, cokolwiek marzący, choćby cokolwiek zanadto? ależ on wtedy nie byłby prawdziwy

i niech mówią co chcą, byłby gorszy, byłby brzydszy. A gdyby aktor grą swoją dodał mu więcej prostoty, gdyby ton smutku tłumionego, a od czasu do czasu umyślna i udana chwilowa wesołość, przekonałby się każdy, że w tym liryzmie Puławskiego niema zbytku ni przesady, tylko wielki wdzięk, wielki urok poetyczny. A ileż go ma dopiero, kiedy tak pięknie i dumnie pomiata „jakąś tam zamorską sławą“; albo w swojej rozmowie z księdzem Markiem, ze swoim zapałem wielkim a sumieniem „czystem jak to źródło“. Widzieliśmy takich, którzy na jego widok oczy zasłaniali z żalu, i pojmujemy ich zupełnie: widok jest rozdzierający. On robi to, co od lat stu robiło już tylu — on pójdzie i przegra, i sprowadzi, przyspieszy przynajmniej pierwszy rozbiór, jak w sto lat po nim inni sprowadzą dzisiejszy stan Królestwa, Litwy i Rusi! On, kiedy mówi, że góry wyjdą za nim w pole, łudzi się, jak się tylu w dobrej wierze łudziło, jak inni w złej wierze obiecywali! a my, my dziś nawet złudzeń nie mamy, i wiemy, że na tupnięcie nogą legiony nie wychodzą z pod ziemi, — myśmy tyle razy tupali! I dlatego on jest tak bolesny do widzenia, że wiemy, jaki będzie koniec: dlatego słuchać go tak przykro, że słowa podobne do tych, które on mówi, słyszeliśmy nieraz, a niekiedy nawet z ust niegodnych! że ten powstaniec pierwszy ma pewne podobieństwo z następnymi, ten prawdziwy z niejednym samozwańcem, ideał z niejedną parodyą, — że tacy, którzy uciekali i udawali, wołali także „śmierć wrogom i hura“.

Ale cóż z tego? dla nas niejedno wspomnienie gorżkie i rozdzierające, prawda. Ale w czemże to jego zmienia, lub jemu uwłacza? Nie o tych myślmy, którzy szli wywołując takie hasło głośno a potem wracali, ale o tych, którzy je sobie powtarzali cicho i nie wracali: wtedy będziemy w prawdzie, i wtedy ten Pułaski wyda nam się typem smutnym zapewne, ale pięknym. A to podobieństwo, to powtarzanie słów i haseł, czegóż ono dowodzi? czy nie ciągłości i niezmienności uczuć tych samych? czy nie tego, że nie jeden zły

i niegodny musi używać i nadużywać imion świętych, żeby lepszych od siebie pociągnął? czy nie tego, że jak położenie, które się za jego czasów zaczynało, do dziś dnia zostało tem samem, tak dziś jest to uczucie, ten ideał jaki był wtedy? Nie na ludzi patrzmy, na tę lub ową twarz, głowę, nazwisko, ale na głębię serc, na źdźbło dobrego które jest w każdem sercu, choćby miękkiem, choćby niedołężnem, choćby zepsutem, a wtedy to podobieństwo idealnego Pułaskiego poezyi do nas rzeczywistych, biednych, i jego niegodnych, nie wyda nam się tak przykrem i smutnem, a on sam wyda nam się tem czem jest, wzniosłym typem bohaterstwa i patryotyzmu.

To co nas najwięcej razi, to co nam przypomina smutnych fanfaronów i ich marne przechwałki, te góry które mają wyjść w pole i żołnierze z pod ziemi, to się tłomaczy czasem w którym dramat był pisany. Gdyby po roku czterdziestym szóstym, czterdziestym ósmym, ah i po sześćdziesiątym trzecim, byłby Mickiewicz czuł, iż w usta bohatera nie należało kłaść słów nadużytych tak wiele razy i przez takich ludzi, że one muszą budzić niedowierzanie. Ale w owym czasie, nie dziw, że tego nie czuł: był od nas o kilka smutnych doświadczeń uboższy. Jego Pułaski miał mieć zapał i wiarę w swoją sprawę, ale nie miał być człowiekiem chwytającym lekkomyślnie za broń, której długo dźwigać nie zdoła. Przecież ten rys nieoględności, ten wstręt do rachuby, to polskie „jakoś to będzie“ jest w Pułaskim, i dobrze że jest. Przez to on, jak mówi Choisy, Polak prawdziwy: przez to podobny nie do niezdolnych i niedołężnych dowódzców, ale i do naszych wielkich rycerzy i bohaterów. U nich wszystkich jest coś partyzanckiego, jest ta pogarda arytmetyki i strategicznych planów; w największych nawet więcej żołnierskiego instynktu jak wojskowej umiejętności. I gdyby zapytać Czarnieckiego o plany i karty, może odpowiedziałby jak ten Pułaski, „plan jest wyryty na moich piętach“. Zapewne że to nie dobrze, i na radzie wojennej

Mickiewicz sam możeby Pułaskiego zbijał; ale tu chodziło mu o to, żeby zachować właściwą fizyognomię partyzanta, odmalować go takim jakim być musiał.

A naprzeciw tego Polaka, który strategię i arytmetykę ma za nic, stoi Francuz, który znowu wierzy tylko w umiejętność, w dyscyplinę wojskową. Kontrast wspaniały. Ten Choisy, wychowany w jakiejś szkole oficerów, wyćwiczony służbą w wojsku regularnem, rusza ramionami na Polaków, że zasadzają jakieś nadzieje na ruchawce, a sam zasadza je na niedobitkach swojego pułku: myśli, że tą garstką Francuzów da radę Moskalom, bo choć to garstka, ale Francuzi i regularny żołnierz! Prześliczny jest ten Francuz: trzeźwy, praktyczny, oburzony i rozgoryczony tem co w Polsce widzi, wyrzekający na nią i o swojej wyższości przekonany, a przecież na przekór swemu rozsądkowi „zakochany w obłąkanej“, do której go przywięzuje instynkt i honoru i sumienia. Jak Jenerał jest wybornym obrazem tego co o Polsce myśli i co dla niej czuje Rosya, tak znowu Choisy jest obrazem tego, co o niej myślała i co dla niej czuła Francya w swoich szlachetniejszych umysłach i sercach. Są w nim wszystkie te pierwiastki, które były w długiej i bądź co bądź drogiej „sympatyi francuskiej“. Daj Boże, żeby on typem być nie przestał: dziś może to więcej jeszcze dla nich jak dla nas do życzenia.

Jeżeli jest co do zarzucenia „Konfederatom“, to jedno chyba, że po rozmowie Pułaskiego z księdzem Markiem, po tej przepysznej groźbie Marka, która brzmi jak natchniona przepowiednia, następuje scena trzecia, w której góral w prostocie ducha mówi Pułaskiemu o Hrabinie, prawie go z nią swata... te wspomnienia lat dziecinnych, ta miłość, to wszystko w takiej chwili wydaje się małem, i obniża wzniosły ton sceny poprzedniej, psuje wrażenie.

Ale to co dalej?... Czy Mickiewicz pisząc swój dramat dla sceny francuskiej, pomyślał kiedy, że on może być granym i na polskiej? czy zdawał sobie sprawę z wrażenia,

jakie robić będzie na polskim teatrze to zakończenie aktu drugiego? Chwyta ono za najdroższe uczucia, podnosi serca tak, że wyżej już się podnieść nie dadzą: a w tej samej chwili ściska je najsroższą boleścią.

Na scenie jest powstanie w całej swojej idealnej wzniosłości, z całą swoją pięknością dążeń, uczuć, zapału, wiary: i z całą rzeczywistością także, z całem podobieństwem do tego co się widziało. Kilkudziesięciu ludzi, jedni niby w mundurach, drudzy w siermięgach, inni, jak się zdarzy, uzbrojeni rozmaicie; rozdawanie broni i ładunków, przemowy naczelników, okrzyki hurra, naprzód, i podobne. W tem wszystkiem jest taki realizm, takie podobieństwo do wszystkich „punktów zbornych“, że nie jest się na teatrze, ale gdzieś w jakimś lesie na granicy: widzi się nie Pułaskiego i jego towarzyszy, ale różne twarze znajome. Odzywają się wszystkie wspomnienia, i odzywa się swoim szyderczym głosem doświadczenie wtórując słowom Francuza „ostatni Polacy idą na śmierć“. A między tem co się dzieje na scenie, a tem co się wie z życia, jest taka straszliwa sprzeczność, serce jest tak rozdarte pomiędzy ich zapałem a naszem smutnem doświadczeniem, rzeczywistość tak ideałowi urąga, tak go przedrzeźnia, że wrażenie staje się innem zupełnie niż zwykle w teatrze. Zwykle jest to udział tylko w cierpieniu istot fikcyjnych, wzruszenie; tu jest cierpienie, prawdziwe, i większe w sercu widza niżeli w sercu bohatera tragedyi, większe dziś niżeli w sercu poety kiedy to pisał. My, którzy na ten dramat patrzymy, a którzy jesteśmy nie jego widzami tylko ale i aktorami także, jesteśmy w sytuacyi smutniejszej, tragiczniejszej, niż Pułaski i ksiądz Marek. Tego nigdy od początku świata w żadnym teatrze nie było; jak nigdy nie było takiego zbliżenia i podobieństwa między tem co się gra na scenie, a tem co się dzieje po za nią.

I dla tego, wrażenie tej sceny jest tak wzniosłe, i tak smutne zarazem, że się z niczem nie da porównać: dla tego jest na teatr za prawdziwe, za wysokie i za wielkie. Co tu robią lampy, dekoracye, orkiestra, krzesła i loże i te wszyst-

kie przybory, kiedy ci ludzie broń nabijają? czy to teatr? czyż to nie świat prawdziwy i rzeczywisty? a cóż one robią dopiero, kiedy Choisy mówi, że ci ludzie „na śmierć idą?“ czyż te teatralne przybory chcą w nas wmówić, że to teatr, udać że to wszystko udane tylko? któż im uwierzy! a zwłaszcza co robią lampy i dekoracye, kiedy ks. Marek modli się lub gromi? po co przypominają że to teatr, kiedy człowiek jest tak usposobiony, jak żeby był w kościele i słuchał Skargi, robiącego rachunek narodowego sumienia? Nie, takie słowa i wrażenia są na teatr za wielkie, nie mogą się w nim zmieścić; swobodnie i szeroko może im być tylko w trzech miejscach, w kościele, w bitwie, albo w głębi ludzkiego serca.

Ksiądz Marek... co za śmiałość wprowadzać w poezyę zwłaszcza wyprowadzać na scenę, tę postać otoczoną przez wyobraźnię całego narodu, słusznie lub nie, mniejsza, takim blaskiem świętości, cudotworczej siły, natchnień proroczych, Jakże te natchnienia oddać zdoła w ich nadziemskiej potędze poeta, który sam nie znał ich i nie miał? jak zrobić żeby ten Marek był tym proroczym cudotworcą, którym jest w naszej wyobraźni (bo inaczej nie byłby sobą), a żeby zarazem był człowiekiem z ciała i kości, nie abstrakcyą? Henryk Rzewuski utrafił go szczęśliwie: pod szorstkością i prostem słowem jego Marka czuje się wielką moc duszy. Ale prorocze natchnienia i widzenia, ta druga i wyższa połowa jego natury, ta znikła, i słusznie, bo w rozmiarach jego powieści, w ich tonie, ona zmieścić się mogła. U niego jest Marek rzeczywisty, ludzki, mnich i konfederat razem, i jako taki jest doskonały. Marek Slowackiego w Beniowskim ma ten sam typ, i także bardzo pięknie oddany; ale w tym poemacie, który nosi jego nazwisko, jest jakimś mistycznym doktrynerem, głosicielem fantastycznych pojęć i marzeń (nauk i prawd niby to) autora samego: jest przebraną za księdza Marka chorobliwą myślą i burzliwą wyobraźnią Juliusza Słowackiego. U Mickiewicza człowiek z ciała i kości, mnich

surowy i prosty, prawowierny i karny, katolik i zakonnik, w zwyczajnych chwilach mający wszystkie pozory zwyczajnego człowieka, w ważnych, w wielkich, podnosi się do wysokości natchnień i zachwytów, a w tych jest groźnym i proroczym jak Skarga, natchnionym, jak Mickiewicz w swoich największych chwilach. I to jest dopiero prawda. Extaza jest i musi być zawsze chwilą, wyjątkiem: a ci święci, którzy widywali niebo otwarte i robili cuda, w zwyczajnem życiu wyglądali na prostych mnichów jak ten ksiądz Marek. Zapewne gieniusz Mickiewicza byłby zdołał stworzyć taką postać bez pomocy, ale jego długie i głębokie zajmowanie się świętymi, mistykami, studyowanie ich pism, rozpamiętywanie namiętne ich exaltacyi i widzeń, to nie było bez wpływu na Marka, to pomogło do stworzenia tej postaci, która wygląda, jak żeby wyszła na pół z konfederackich tradycyj, a na pół z Żywotów Świętych i Złotej legendy.

Prosty stary mnich kiedy wychodzi, żołnierz konfederacki kiedy mówi o planach na Kraków, człowiek kościoła, katolik kiedy mówi o syzmatykach, Polak nawskróś kiedy hamując Pułaskiego sam się zapala i unosi, mnich średnich wieków kiedy tęskni za swoją celą (w której nieraz zapewne rozmawiał w extazie z aniołami i świętymi)—ma on wszystko co w jego postaci być winno: a charakter najwyższy, namaszczenie świętego, natchnienie prorocze, objawia się w nim dwa razy. Raz, kiedy na odgłos salw tryumfalnych moskiewskich grozi im sprawiedliwością, w słowach nad które Mickiewicz sam nigdy może wznioślejszych nie napisał:

Oto ze złości waszych pełną miarą
Zstępując pańscy aniołowie znoszą
Wielką moc gniewu i t. d.

A potem w kazaniu, w tem kazaniu, pod którem się tylko głowę schyla jak pod ręką spowiednika, a które ze stanowiska patryotycznego jest może najwznioślejszem i najmędrszem słowem, jakie Mickiewicz powiedział.

Tak surowym nie był on dla nas nigdy, dla nas wszystkich, ile nas jest:

Dla czego prysła gdzieś na wiatrów cztery
Szlachecka szabla od moskiewskiej szpady?
Dla czego panów senatorów rady
Od tchów moskiewskich jak dym się rozbiły?...
Oto dla tego żeśmy Boga mieli
Na ustach tylko albo po kościołach...

To raz. A potem:

Płochością swoją jakżeście okropni?
Z czemże idziecie na mocnego wroga?
Z krzykiem? Spytajcie różnych prób krzykaczy
Co krzyk przeciwko Moskalowi znaczy...

I coś sroższego jeszcze.

Trzebaż przykładów jeszcze bardziej jasnych
Że te mścicielstwa i te bohaterstwa
Są to okrutne jedynie szyderstwa
I z duchów polskich i ze świętej sprawy...

a to wszystko kończy się najrzewniejszą modlitwą, pełną łez żalu i prośby:

Niech Bóg przebaczy, i niech już odwoła
Którego posłał z gniewem swym anioła —

i zawiera naukę:

Na moc potrzeba mocy. Na moc złego
Jest moc dobrego.

Po tem wszystko maleje i znika, po tem kiedy przychodzi zakończenie aktu dramatycznie tak piękne i przejmujące, kiedy Wojewoda wydaje rozkaz *pozabijacie wszystkich* (a między tymi wszystkimi jest jego córka) — nawet się tego nie słyszy i nie zważa.

Ale, jeszcze raz, to na teatr za wysokie, za wielkie: sądzić tego nie można, bo te słowa nas sądzą. Słuchać ich,

nie wiedzieć jak: na kolanach chyba, jak ci co klęczą na scenie, bo one do nas więcej jak do nich mówione, chce się na prawdę klęknąć i bić w piersi, a jest się w teatrze! To otoczenie jest w wielkiej z doznanem wrażeniem sprzeczności.

Pisarz którego zdolność i zalety wysoko cenimy, człowiek z którego sądem i uczuciem najczęściej zdarza nam się być w zgodzie (Leon Kapliński) zdziwiony, a nie za mało będzie powiedzieć zgorszony, chłodnem i jakoby obojętnem przyjęciem Konfederatów przez naszą publiczność, dał niedawno temu swemu uczuciu wyraz bardzo wymowny i piękny, w odcinku *Czasu*. Czy zupełnie słuszny? Oczywiście, jeżeli ta publiczność była obojętną i zimną. Ale na tem przedstawieniu, jednem z późniejszych, któreśmy widzieli, ona wydała nam się skupioną, cichą i smutną; a oklaski które się tu i owdzie słyszeć dały, zdawały się być w sprzeczności zupełnej. To jest zbyt wzniosłe, i zbyt rzeczywiste zarazem, zbyt piękne i zbyt bolesne, żeby jak zwykły dramat podobać się, porwać i przyjętem być mogło. Po pierwszym akcie? jeszcze: choć i ten, ci biedni suplikanci w przedpokoju gubernatora, to zbyt do rzeczywistości podobne i zbyt smutne, żeby wrażenie tak się objawić mogło jak się objawiają zwykłe artystyczne wrażenia. Ale w drugim, lub po drugim?... kiedy się zapomina o wszystkiem, zapomina się że to dramat, zapomina się nawet że Mickiewicza i że jego jedyny, a w duszy ma się za wiele smutku. Bo ten Pułaski i jego górale, my wiemy że oni idą na śmierć, myśmy ich idących widzieli! — Ich nadzieje: „pójdziem aż do Warszawy, choć liczbą „my karły,“ myśmy je słyszeli, a wbrew Pułaskiemu my musimy powiedzieć, że nie „myśl olbrzymia tylko“ ale więcej, bo myśl sprawiedliwa, „stoi na liczbie!“ Nas tam wszystko boli i rani, bo każdemu z tych słów wzniosłych rzeczywistość zadała fałsz. Kiedy Francuzi wołają „Idziemy z wami,“ dobywa się z serca odpowiedź: nie! nie poszliście z nami, a za to tak się sprawdziło to, co wam Choisy przepowiadał, że dziś nie wiedzieć kto komu, Fran-

cuz Polakowi czy odwrotnie, mógłby powiedzieć: „zakochałem się w jednej obłąkanej.“ Kiedy Pułaski mówi, że przykłady były, że nie na liczbie myśl olbrzymia stoi, w głębi serc naszych głos jakiś odpowiada: nie, takich przykładów nie ma, są tylko przykłady Sadowy i Sedanu. Kiedy mówi, że dojdzie do Warszawy, ten głos mu odpowiada: nieprawda, Prusak zajdzie do Paryża, ale ty do Warszawy, zkąd?... a kiedy Marek z taką pewnością i z taką wiedzą mówi, że „Bóg nie ślepy i nie głuchy,“ to ten głos przeklęty, ta hydra pamięci stawia nam w oczach całe stuletnie pasmo dziejów od Dybicza do Murawiewa, od Frydryka do Bismarcka, i jak szatańska pokusa szepcze straszliwe pytanie: a kto wie? bo po stu latach to wszystko zawiodło, wszystko pokazało się złudzeniem, a prawdą tylko to, co mówi Moskal: „Że rosyjskie państwo, przeważa Polskę w sile i ogromie“ to drugie że „Europa kona,“ i to przekleństwo które rzuca Choisy na cywilizacyę. To treść historyi tych stu lat, to ich nauka *moralna*. To smutne jak śmierć: dajcie nam pokój, nie każcie nam klaskać, bo nam się chce płakać. A chciałoby się może i rozpaczać, gdyby nie pokrzepienie i pociecha w tej prawdzie ostatniej, która uczy, że

na moc złego
Jest moc dobrego, a ta moc ma w Bogu
Fabrykę główną i magazyn główny,

a w którą wierząc czerpie się z niej i nadzieję, że przyjdzie kiedyś czas na spełnienie przepowiedni Marka:

Wielkie wody
Poczną się dźwigać w górę i rozwierać
Paszcze ogromne. Oto z chmur całunów
Zagra powszechna orkiestra piorunów.
Idą was topić, idą was pożerać
Ze wszech stron razem wszystkie śmierci świata!

Tyle o tym ułamku, który jest najpiękniejszym dramatem polskim, który gdyby był całością, byłby jednem z ar-

cydzieł dramatycznych świata, a taki jak jest, jest nowem i wielkiem świadectwem geniuszu Mickiewicza.

W końcu jeszcze słowo o dalszym ciągu dramatu i jego zakończeniu. Jakie one być mogły? Niepodobna uwolnić się od tego pytania, i niepodobna go rozwiązać. Jak Mickiewicz chciał dalej akcyę swoją prowadzić, na to nie mamy wskazówek żadnych, a wszelkie domysły są marne i próżne. Jedyna oznaka prawdopodobna mieści się w tym śnie, który Hrabina opowiada bratu: ojciec spychał do grobu ją, Pułaskiego, i wszystkich. Można przypuszczać, że w akcie piątym ten sen miał się sprawdzić, bo inaczej nie byłby go poeta w pierwszym akcie wspominał. Ztąd dozwolony wniosek, że Wojewoda swoją osobistą sprawą, zemstą na Jenerale (której wykonanie zapowiadają ostatnie słowa aktu drugiego), musiał skrzyżować plany Pułaskiego, odwrócić lub udaremnić zwycięstwo, pośrednio sprowadzić upadek konfederacyi, wyjazd Pułaskiego do Ameryki, zapewne śmierć Hrabiny. To przypuszczenie jest logiczne, choć nie jest pewne. Ale jakim szeregiem zawikłań i sytuacyj dramat dochodził do takiego końca, próżno silić się na domysły, bo ich nic nie prowadzi, nie objaśnia, nie uzasadnia. Pod tym względem ciekawość, czyli raczej gorące pragnienie nasze, do końca świata może zaspokojone nie będą.

Co pewna, to że dzień pierwszego przedstawienia *Konfederatów* był pięknym w dziejach teatru, nie krakowskiego tylko, ale polskiego, bo w nim dał teatr widzieć to, co dramat polski ma najpiękniejszego, a przedstawieniem dopomógł do należytego zrozumienia i ocenienia tego dzieła. I może teatr żyć długo i mieć najdoskonalszych artystów, a drugiego dnia tak pięknego nie dożyć. Bo na drugiego Mickiewicza i drugi dramat taki jak *Konfederaci* możemy czekać długo; a na to trudno liczyć, żeby się ich zatracone trzy akty jeszcze kiedy szczęśliwym przypadkiem znalazły.

III.

O „KSIĘGACH PIELGRZYMSTWA“.

O poezyi Mickiewicza pisaliśmy i piszemy wiele: mamy krytyczne i estetyczne rozprawy — nieraz bardzo dobre — o *Tadeuszu*, o *Grażynie*, *Wallenrodzie* lub *Dziadach*. Drobne wiersze także nieraz były już przedmiotem szczegółowego i bystrego badania: a jakkolwiek wiele jeszcze pod tym względem do zrobienia zostaje, to zaś co już jest zrobione, jest początkiem raczej a nie końcem i koroną dzieła, to przecież nie mamy powodu wyrzucać sobie, że nad tym przedmiotem pracujemy za mało.

Jest to zupełnie naturalnem, że krytycy i badacze wzięli się naprzód i z zapałem do tej połowy zadania. Sama przez się powabniejsza i przyjemniejsza, jest ona ważniejszą także i pilniej potrzebną, skoro Mickiewicz pomimo wszystkiego co mógł innego pisać i robić, jest w istocie swego powołania i historycznej roli poetą, a wszystkie jego prozaiczne pisma przez to nabierają wagi i znaczenia, że ich autorem jest autor *Wallenroda* i *Tadeusza*. Jednakże nie dziwiąc się, można przecie uważać i stwierdzić, że prozaicznym dziełom Mickiewicza mało dotąd poświęcano pracy i uwagi, *Kursa literatury słowiańskiej*, najlepiej znane, nie są dotąd szczegółowo rozpoznane pod względem swojej (naszem zdaniem niepospolitej) naukowej wartości. Wykład messyanicznej nauki, zawarty w *Kursach* ostatnich, był nieraz opisywany a niekiedy psychologicznie objaśniany: ale zbadaną do głębi i dokładnie przedstawioną treść ich dotąd nie jest. Tem bardziej czekają na swego krytyka, pomniejsze pisma i dziennikarskie artykuły politycznej czy religijnej treści. Niewątpliwie

przyjdzie czas i na to, i po Mickiewiczu poecie zwróci się praca badawcza i krytyczna do Mickiewicza uczonego, filozofa i polityka.

Księgi Pielgrzymstwa także mało bywały dotąd roztrząsane. Najobszerniej (jeżeli się nie mylimy) mówi o nich pan Chmielowski w drugim tomie swojego *Mickiewicza*, ale i on daje tylko dokładne streszczenie: o wartość i prawdę rzeczy nie pyta — czy nie chce? czy też o nią ze względu na cenzurę pytać nie może? Dość, że pytanie to, przez wielu naturalnie *pro foro interno* zbadane i rozwiązane, przedmiotem jasnej i publicznej dyskusyi jeszcze nie było.

I.

Los tego małego pisemka może poniekąd służyć za miarę zmiany, jaka się w ciągu ostatniej ćwierci wieku dokonała w pojęciach i usposobieniach nie naszych tylko, ale całego europejskiego świata. Dwa pokolenia przeszły od ukazania się *Ksiąg*. Z tych pierwsze, oddzielone chińskim murem komor i cenzur od zachodniego a w szczególności od emigracyjnego świata, — uniesione radością, kiedy pomimo cenzur i komor dostać mogło jakąkolwiek książeczkę w Paryżu wydaną, żyjące (z emigracyą pospołu) wspomnieniami r. 1830, i nadziejami wypadków, które rok ten a z końcem szczęśliwszym na nowo przywołają, do głębi serca wdzięczne za wszystko wielkie i piękne co z emigracyi odbierało, — patrzało z jakąś czcią niemal religijną na każde nowe (często długi czas nieznane) pismo swoich wielkich poetów, a zwłaszcza naturalnie Mickiewicza. Jeżeli zaś znalazło w niem rzeczy ze swoim sposobem widzenia niezgodne, mówiło o tem pocichu i nieśmiało, jakżeby z obawą żeby nie wykroczyć przeciw należnemu uszanowaniu, albo może przeciw jakiej wielkiej prawdzie nie zbluźnić. Dopiero nowa nauka religijna, otwarcie głoszona w dwóch ostatnich *Kursach*, objawiwszy

wszem w obec sprzeczność oczywistą między słowami Mickiewicza a słowami Kościoła, zmusiła ludzi ówczesnych przez religijne uczucie i przekonanie do przyznania sobie samym i do wyznawania głośno, że Mickiewicz mógł się pomylić i błądzić.

Pokolenie drugie, przez starszych w tych samych uczuciach chowane, choć od dzieciństwa już wiedziało, że zaszło coś bolesnego co nie pozwalało wierzyć zupełnie i bezwzględnie we wszystko, co Mickiewicz mówił, miało przecież tę wiarę i cześć zakorzenioną tak głęboko a utwierdzoną tak silnie, że nie bez trudu i walki spostrzegało plamy na tem słońcu: a mówić o nich otwarcie byłoby sobie miało za grzech jeszcze, grzech podobny jak żeby kto błędy swoich rodziców cynicznie rozgłaszał przed światem. A jeżeli nie wierzyło w messyanizm, tylko mówiło o nim z głębokim smutkiem, to *Księgom Pielgrzymstwa* wiary nie odmawiało. W tych *Księgach* było tyle nadziei, tyle pewności, że panowanie nieprawości musi się skończyć a świat na lepsze odmienić! jakże ludzie młodzi mogli im nie wierzyć? było tyle szlachetnych, wzniosłych rad i prawideł życia! jakże mogli myśleć, że nie wszystko w nich równie dobre poważne i wzniosłe? Patrzało się też lat temu jeszcze czterdzieści na *Księgi Pielgrzymstwa* jak na rzecz tajemniczej jakiejś mądrości i mocy, w której gieniusz człowieka wielkiego łączy się z prostym rozsądkiem zwykłego i do niego zniża, a najdoskonalsza miłość ojczyzny łączy się z łaską bożą i na niej opiera, żeby nam podać prawdy najprostsze, najwyższe i zbawcze. Dzieło ludzkie oczywiście, zatem prawu omylności podległe: ale tak wysokie przecież, że jeżeli nawet w tem lub owem pomylić się mogło, to wzięte jako całość jest jednem z najmędrszych i najlepszych na tym świecie.

I to nie u nas Polaków tylko. Nie inaczej rozumiały to bardzo niezwykłe umysły i bardzo szlachetne serca na zachodzie. Montalembert kiedy *Księgi* tłómaczył z takim zapałem i wiarą, mniemał także, że służy i pomaga wielkiej

sprawie moralnego i chrześciańskiego odrodzenia świata, że tym przekładem stawia na świeczniku światło ukryte pod korcem nieznanego światu języka; Lammenais i formę i myśl niejednę żywcem wziął z *Ksiąg* i zastósował do swoich *Paroles d'un croyant*. Wtedy wiara w to chrześciańskie odrodzenie świata i w zwycięstwo sprawiedliwości była tak powszechna, tak silna, zwycięstwo to tak zależne od zwycięstwa sprawy polskiej jako od swego warunku, że pismo, które ten związek tłómaczyło, ten tryumf jako cel wskazywało, w szczegółach tylko mogło potrzebować sprostowania, ale w swojem pojęciu świata i historyi musiało wydawać się mądrem i godnem zupełnie wiary.

Dziś? u nas samych młode pokolenie — trzecie z rzędu — smutno pochyla głowy czytając *Księgi Pielgrzymstwa*, i szanuje je z pewnem politowaniem jak szanowne złudzenie, ale za złudzenie je ma, a bodajby nikt wśród niego nie śmiał się szyderczo z tych złudzeń. Po za Polską? wyobraźmy sobie, że jakie nowe wydanie wydobywa z zapomnienia i rzuca w świat na nowo Montalemberta tłómaczenie, jaki powstałby śmiech i urąganie w całej Europie od Paryża do Petersburga i od Berlina do Rzymu? To co przed półwiekiem było przedmiotem czci i wiary, dziś wydałoby się najszaleńszem z szaleństw.

Ależ bo świat europejski stracił wiarę w siebie i w swoje odrodzenie, a te wszystkie namiętne pragnienia i nadzieje miłości i sprawiedliwości, chrześciaństwa wprowadzonego w polityczne stosunki, te które były życiem i chwałą naszego wieku w pierwszej jego połowie, z początkiem drugiej jego połowy runęły, opadły, i same o sobie mówić, same do siebie przyznać się już nie śmieją. Ten wiek zbyt się na sobie zawiódł, iżby zdolny był wierzyć w swoją siłę odrodzenia i postępu, i wierzy już tylko w jedno: w fakt, w fizyczne prawo przemocy. Kto sam dość mocny, niech próbuje odpierać ją i bronić siebie, ale niech nie próbuje przeczyć, że ona jest zasadą i prawem, skoro jest faktem. O tem, co

niedawno jeszcze nazywano królestwem Bożem na ziemi, nie ma ani marzenia; o równości używania, o rozdziale majątków myślą ludzie, a niektórzy do nich dążą. Ale miłość chrześciańska i sprawiedliwość w stosunkach między narodami, jako podstawa prawa narodów, ta nie stoi na porządku dziennym spraw i dążeń dzisiejszego świata. Rzecz to naturalna i logiczna: wiek nie dotrzymał tego co przyrzekał, więc musiał zwątpić o sobie i wyrzec się swoich ideałów. Kiedy po wojnach napoleońskich pokolenie wstępujące w życie robiło obrachunek nabytków i skutków rewolucyi francuskiej, i cieszyło się niemi (zbyt łatwowiernie i pochopnie) — mówiło sobie przecież, że to dopiero połowa dzieła zrobiona, ale druga do zrobienia zostaje. Co w prawie prywatnem stało się dla człowieka, że nie jest poddanym człowieka drugiego, to powinno jeszcze stać się w prawie narodów: a ta druga połowa zadania jest obowiązkiem i misyą naszego wieku. Z tego uczucia wypływał zapał dla różnych spraw uciśnionych, a w szczególności dla polskiej. Nie tu miejsce przypominać, ile ta sprawa zaszkodziła sama sobie niezręcznem prowadzeniem, albo ile zaszkodziła jej, i wogóle tej dążności i nadziei chrześcijańskiego odrodzenia świata rewolucya, przez to, że swoje dążności i działania pod tamte podszyła; ale trudno jest nie dostrzedz i nie przyznać, że z chwilą upadku tej sprawy, która z natury rzeczy musiała być najlepszym wyrazem rzeczonych dążności, ich środkowym punktem, warunkiem i podstawą owej pożądanej sprawiedliwej rekonstrukcyi i reorganizacyi świata, i dążność sama jakżeby zwyciężona przestała się odzywać. W jej miejsce wystąpił w całej Europie kult siły, i rezygnacya na jej panowanie: smutna i bierna w lepszych, płaska i niewolnicza w nikczemnych. Kto zaś dawnym prawdziwym wiarom wiernym pozostał, ten w każdym razie stracił tę nadzieję rychłego zwycięstwa spraw dobrych, jaką miały starsze pokolenia, i wygląda go gdzieś daleko w przyszłości.

Ten jest powód, dla którego *Księgi Pielgrzymstwa* dziś uważane są inaczej i robią wrażenie inne niż przed pięćdziesięciu lub jeszcze trzydziestu laty, dla którego jedni czytając je zwieszają głowy ze smutnem niedowierzaniem, a drudzy szyderczo im urągają.

Jako pomnik innych czasów, zabytek innego świata, i jako znak ważnej przemiany odbywającej się w duszy Mickiewicza, *Księgi Pielgrzymstwa* powinny także z kolei być wzięte pod rozpoznanie i sąd. Co w nich prawdziwe i dobre, co gorsze? trzeba i należy zadać sobie to pytanie. A jeżeli w odpowiedzi wypadnie przyznać, że się Mickiewicz w niejednem pomylił, to i to zrobić trzeba bez wahania, bez obawy, że się tem jego pamięci ubliży. Nic smutniejszego jak konieczność rozejścia się z tymi, za którymi chciałoby się iść zawsze z zupełną ufnością i wiarą. Max w *Wallensteinie* z rozdartem sercem mówi: *mein General du machst mich heute mündig.* Jednak takie konieczności zdarzać się muszą; a mając wybór między sumieniem własnem a cudzem, własnego człowiek poświęcić nie powinien. Nie mogąc przejść za Mickiewiczem na stanowisko, jakie on zajął w *Księgach Pielgrzymstwa*, musimy się z nim rozłączyć. Nie bójmy się zaś, żeby to rozłączenie było ubliżeniem, wypowiedzeniem mu uszanowania. Cham kiedy odkrył nagość swego ojca, żeby go nagim pokazać i wyśmiać, zrobił źle; ale nie byłby również zrobił dobrze, gdyby w błędzie ojca był widział cnotę i za taką go udawał. Mickiewiczowi należy się od nas uszanowanie prawie synowskie, jako jednemu z naszych duchowych ojców: ale i on był człowiekiem, i on był omylnym, a my wiedzieć to możemy bez obawy zgrzeszenia przeciw temu winnemu uszanowaniu.

Kiedy on zaczął po raz pierwszy ważyć w swojej duszy pytanie o losach swego narodu? Zapewne w wileńskiem więzieniu, kiedy ze smutków swojej pierwszej miłości wychodząc, miał już serce i głowę wolniejsze do objęcia innych, a na sobie i swoich przyjaciołach dotykalnie poznał skutki takiego

stanu rzeczy. Wtedy zaczął rozmyślać, i zaczął nienawidzieć, pragnąć zemsty: w tem uczuciu przebył lata swojego pobytu w Rosyi. Ale zagadki nie rozwiązał. Kto i kiedy naprowadził go pierwszy na drogę, której kresem miało być to rozwiązanie? Z ustnych podań, z niektórych ustępów z Petersburga (a mianowicie z *Powodzi*), wnosimy, że Oleszkiewicz. Potem znalazł się w Rzymie, i w zetknięciu bezpośredniem z tym światem zachodnim, który o królestwie Bożem na ziemi marzy, który wierzy że je urzeczywistnić zdoła. Jest to właśnie chwila, kiedy po wstąpieniu Grzegorza XVI na stolicę papieską, Lammenais i Montalembert przyjechali ze złożeniem hołdu, z nadzieją, że znajdą zachętę i pomoc. Pragnienia były tak bliskie siebie, tak zupełnie te same, że wzajemny wpływ tych ludzi na siebie był konieczny. Gdyby zaś nawet nie było osobistej znajomości i stosunków, to sami Polacy w Rzymie byliby wystarczyli na to, by Mickiewicza zapoznać z całym tym ruchem umysłów, który taki wzbudzał zapał i taką wiarę, a o którym w głębi Rosyi zdaleka zaledwo mógł coś zasłyszeć. Czy można przypuścić, że Mickiewicz w tem otoczeniu żyjąc nie przeczytał naprzykład tego *Essai sur l'indifférence en matière de religion,* o którem mówiła cała Europa? A jeżeli przeczytał, to czy można znowu przypuścić, że dzieło to potężne nie wywarło nań wpływu? Wszyscy podają zgodnie, że młodociane usposobienie religijne Mickiewicza, w Rzymie stało się żarliwem uczuciem, wiarą, praktyką wreszcie. Pierwsze lata emigracyi dowodzą znowu, że było coś więcej: przekonanie istotne i silne, choć na nieszczęście dość stałem się nie okazało. Chrześciańskie odrodzenie świata przez katolicką wiarę i Kościół stało się teraz jego nadzieją i jego dążeniem; własnym pragnieniom i przeczuciom odpowiadało to, co wykładali i tłumaczyli Francuzi tej szkoły, nadało im podstawę ścisłego rozumowania, filozoficznego wywodu i dowodu. Z przeczuć i pragnień zrobił się cały organiczny skład wierzeń i przekonań.

Na to przyszedł rok 1831 i znowu przegrana dobrej sprawy! I znowu pytanie — tylko z podwojoną siłą z głębi duszy wybuchające jak wulkan — dlaczego Bóg na zwycięstwo złego pozwala, jak może na nie pozwalać? Z tego pytania (które w różnym stopniu siły i namiętności było w duszy Mickiewicza od więzienia jeżeli nie dawniej), wyszła *Trzecia część Dziadów*. Odpowiedź na pytanie jest w „Widzeniu księdza Piotra". Czy Mickiewicz sam rozwiązał sobie zagadkę w ten sposób, że Polska cierpi za grzechy świata i na jego odkupienie, czy też znalazł tę odpowiedź z kim drugim pospołu, — (Odyniec powtarzał zawsze, że właściwie ojcem tej myśli był Oleszkiewicz) — dość, że ta myśl wystarczyła mu i zaspokoiła go zupełnie. Wszystkie sprzeczności świata i historyi, wszystkie niejasności Bożej woli i zamiaru były niejako wytłómaczone. Na tem on poprzestał, na tej wierze zasadzały się wszystkie jego (z jednym wyjątkiem *Tadeusza*) późniejsze pisma, i działania; z tego źródła wypłynął jego własny messyanizm, jak patryotyczno-mistyczna poezya innych, Krasińskiego przed innymi, (pomimo wszystkich odmian i różnic jakie zachodzą między jego a Mickiewicza nauką, tak w zasadzie, jak we wszystkich szczegółach).

Ale w *Dziadach* złożył on dopiero swoją wiarę: swój dogmat, jeżeli się tak można wyrazić. Przystosowanie tej wiary do życia, nauka moralna, katechizm, te zostawały jeszcze do zrobienia; a choć pisząc *Dziady* Mickiewicz o nich nie myślał, ani ich nie przewidywał, to wkrótce uznał je za potrzebne. Tym katechizmem zastósowanym do podanego w *Dziadach Credo* są *Księgi Pielgrzymstwa*. Jedno było skutkiem i dopełnieniem drugiego, choć autor pisząc pierwsze nie wiedział że kiedyś napisze drugie, choć może nawet pisząc to drugie nie czuł stosunku, jaki je łączy tak wyraźnie, jak my go dziś widzimy.

W naszej historyi od rozbioru był rok 1831 chwilą najważniejszą i najbardziej stanowczą: naprzód, jako jedyne powstanie prawdziwe, jedyna prawdziwa wojna, jakąśmy pro-

wadzili sami za siebie i dla siebie, powtóre, jako źródło i początek naszych dalszych losów, aż do dnia dzisiejszego. Wszystko, co się działo potem, rok 1846 i 1863, — wszystko to były skutki, których przyczyny leżą w nieszczęśliwym obrocie sprawy w roku 1831. A pomiędzy temi skutkami, kto wie czy nie największym, czy nie tym, który wywarł najwięcej wpływu na naszą historyę, w każdym razie najdziwniejszym i najosobliwszym był fakt emigracyi. Bywało ich wiele w historyi różnych narodów. Emigrowali Włosi z miasta do miasta w wiekach średnich, emigrowali za granicę w naszym wieku; z Anglii uciekali zwyciężeni, raz Purytanie drugi raz Jakobici. Uciekła z kraju tłumnie szlachta francuska, uciekali od swoich rządów w kraje wolniejsze Hiszpanie, Niemcy, nawet Moskale — ale nie ma w historyi przykładu emigracyi tak licznej i tak długotrwałej jak nasza. Jest to istny *exodus* z domu niewoli, tłumny, z kobietami, z dziećmi, cała jedna część narodu, która się odrywa od masy i idzie w swoją stronę, — nie dlatego, żeby w obcej ziemi założyć kolonię i szukać ojczyzny, nie dlatego, że przeludniona ziemia wyżywić jej nie może. Ona wychodzi, ale nowej stałej siedziby nie szuka. Jak Żydzi kiedy wyszli z Egiptu, tak nasza emigracya żyje w tej myśli, że błądzenie po puszczy skończy się powrotem do prawdziwej ojczyzny, miejsce swego pobytu uważa za tymczasowe. A choć jedyna ze wszystkich emigracyj potworzyła sobie własne instytucye, swoje szkoły, swoje szpitale i domy przytułku, swoje biblioteki i muzea, (emigracya włoska, po naszej najliczniejsza, nigdy i nigdzie takich nie miała) przecież to wszystko uważa za przejściowe i tymczasowe. Dowód najlepszy w tem, że chce to wszystko mieć własne, — gdyby przestawała być emigracyą, gdyby chciała osiedlić się za granicą na prawdę, po cóżby jej zakładów polskich? francuskie wystarczyły i dla niej, pomieściłyby wygodnie ją i wszystkie jej potrzeby.

Ten wyjątkowy charakter emigracyi polskiej z roku 1831 tak widoczny, że go widzą i uznają sami cudzoziemcy,

miał też i wpływ wyjątkowy, wyjątkowe skutki w historyi narodu. Wyszła z kraju nie pewna liczba ludzi, którzy w nim bezpiecznie zostać nie mogli, ale wyszedł cały naród na małą skalę, streszczenie wszystkich żywiołów składowych jego życia politycznego, umysłowego i moralnego. Od prostego żołnierza, który zanim został żołnierzem był chłopem na wsi, aż do ks. Adama Czartoryskiego, który rządził państwami zanim został wygnańcem, a w kraju przez stosunki, znaczenie, majątek, wpływ, nazwisko, miał stanowisko niezaprzeczenie najpierwsze, od powag jak Niemcewicz, od ministrów i członków senatu, przez posłów, jenerałów, wojskowych wszelkiego stopnia i broni, urzędników wszelkiej rangi, było tam wszystko, — uczeni, pisarze, poeci, nauczyciele, lekarze, prawnicy, kupcy, rzemieślnicy, księża, siostry miłosierdzia, wszystkie te różnorodne zajęcia i powołania, jakie się tylko w ludzkiem społeczeństwie spotykać dają, wszystkie były reprezentowane w tem społeczeństwie wędrownem: i wszystek także zbiór różnobarwnych zasad, opinii i dążeń, z których składa się polityczne życie narodu. I tak wszystko wyszło z kraju, tak ten prąd wziął z niego, co było najdzielniejszego i najwyższego pod względem zdolności wszelkiego rodzaju, od Mickiewicza począwszy, że przez długie lata, przez lat siedmnaście przynajmniej, ognisko życia polskiego politycznego, naukowego i literackiego było po za Polską; środek ciężkości Polski był w Paryżu, gdzie ta Polska czuła się wolną, do kraju tajemnie tylko i z trudnością dochodziły te złe i dobre soki żywotne, które się tam wyrobiły. Historya obrachuje kiedyś ostatecznie złe i dobre skutki emigracyi, pożytki, jakie ona sprawie przyniosła, i szkodę, jaką on poniósł przez to przeniesienie swego życia poza siebie: dziś czujemy, tylko, że były pożytki i szkody, że życie miejscowe, zawsze bądź co bądź silniejsze i potrzebniejsze wielce zubożało i osłabło przez taki ubytek sił najdzielniejszych: ale dziś na taki obrachunek dokładny jeszcze za wcześnie. Dziś dość nam stwierdzić, że był to przykład jedyny w historyi

opuszczenia kraju przez tak znaczną część narodu, które to opuszczenie było dla wielu koniecznem, ale dla wielu znowu dobrowolnem, z tą myślą, żeby na obcym gruncie być swobodną reprezentacyą sprawy, która na swoim praw swoich bronić nie mogła, żeby przez swoje wyjście, być żywą protestacyą i utrzymać niejako międzynarodowy charakter i takież prawo tej sprawy, i być tem tak długo, dopóki będzie potrzeba, dopóki ten charakter i to prawo nie będzie uznanem i przywróconem inaczej.

A dla tych, którzy wyszli, zaczęły się teraz wszystkie nędze i okropności wygnania. Dla wielu naprzód dręcząca materyalna nędza; dla wszystkich udręczenie moralne, tęsknota, gorycz i gorsze od nich nieporozumienia, zatargi i nieprzyjaźni, wzajemne skargi na siebie, przypisywanie jednym przez drugich powodów przegranej, niezgoda, grzech pierworodny polski, podniesiona do potęgi jeszcze, do namiętności, przez świeżą klęskę, i przez osobiste mniejsze lub większe cierpienia każdego, przez tęsknotę, gorycz, niedostatek, którym mało który hart duszy i temperamentu oprzeć się zdoła. Żelazo rdzewieje, stal się zniedokwasi w złej atmosferze: cóż dziwnego że się spaczy biedny człowiek w życiu nieswojem, nienormalnem, a ciężkiem i dręczącem! Dopóki emigracya była jeszcze w marszu, nieustalona, dopóki słyszała po drodze pieśni polskie, i wyobrażała sobie, że jej wyjście prędko, a przynajmniej widocznie wpłynie na obrót spraw w Europie, było dobrze. Ale niebawem przekonała się, że świat stał jak przedtem, o nią troszczył się zapewne ze szlachetnością, której zapominać się nie godzi, ale jak o nieszczęśliwych ludzi, nie jako o pobitą europejską sprawę, — kiedy z każdym dniem jaśniej widziała, że wypadki, w których by mogła wystąpić czynnie *in corpore*, i w ich skutku wrócić do domu, nie są nikomu pożądane, że są dalekie, zaczął się dopiero smutek, a ten smutek, jak w *Ojcu Zadżumionych*, zamiast nas połączyć

„zaczynał jakieś jady w serca sączyć“.

Całe działanie emigracyi da się określić w dwóch słowach jako zmierzające do tego, żeby wywołać i sprowadzić wypadki, któreby jej dały sposobność do walki i do powrotu. Wszyscy ludzie, wszystkie stronnictwa myślą ustawicznie o tem i tylko o tem przez lat trzydzieści, do roku 1863: Hotel Lambert, jak Centralizacya wersalska, jak później Mierosławski. Jedni przez podżeganie opinii we Francyi i Anglii, przez stosunki dyplomatyczne z gabinetami, drudzy przez spiski w kraju i stosunki ze wszystkiemi spiskami w Europie, w coraz większem rozdarciu i rozjątrzeniu. A nadziei coraz mniej, jedna po drugiej rozwiewa się jak *fata-morgana*; a kwasy i gorycze coraz większe: a żal za krajem coraz cięższy; a niedostatek dla wielu coraz dotkliwszy; a nieraz i wstyd przed obcymi, jakiś brud, jakaś burda, jakaś potwarz, jakiś skandal, bo w tem mnóstwie musieli być ludzie bardzo różni! wszystko to składało nieustający czyściec, nieustającą torturę wspólną dla wszystkich, i osobną, osobistą dla każdego.

A kiedy jedni szli na emigracyę z konieczności, inni za drugimi nie zupełnie zdając sobie sprawę z tego co robili, Mickiewicz szedł tam z całą świadomością o jej charakterze protestacyjnym, międzynarodowym, i z czemś więcej jeszcze: z uczuciem jakiejś apostolskiej misyi emigracyi, z ideałem emigracyi w duszy, którego ideału urzeczywistnienie widzieć żądał, a może się i spodziewał. Była to epoka w jego życiu, kiedy burze Konrada już były ucichły, kiedy sposobem dla nas nie zupełnie wyjaśnionym, ale nie bez wpływu Oleszkiewicza naprzód, potem pod wpływem religijnego rozrzewnienia w Rzymie, wyzuł się z wszelkiego pragnienia zemsty, kiedy starał się wyrwać z swojej miłości ojczyzny wszelki zaród uczucia niechrześciańskiego, dążył do tego, żeby ją w sobie i w innych uświęcić. Co do siebie, jak on w tych latach sądził swoje dawne uczucia, to wiemy z *Dziadów*, z tej części trzeciej, która była napisana właśnie po upadku powstania roku 1831-go; co do sprawy i przy-

szłości polskiej, co do powodów jej przegranej, wiemy znowu z *Dziadów*, z „Widzenia ks. Piotra“, że pojmował to wszystko jako ofiarę za zbawienie świata. Zatem on sam w swojem pojęciu exorcyzmowany, wyzwolony z pod panowania szatana pychy, uniewinniony i obdarzony łaską na nowo dlatego, że „on kochał naród, on kochał wielu, on kochał wiele“, — ale tem przebaczeniem i tą łaską obowiązany do tego, żeby się stać cichym i pokornym, świętym; Polska powołana do misyi najszczytniejszej, do misyi Chrystusa, wybrana na to przez Boga, jako najczystsza i najświętsza między narodami ziemi, ale przecież zdolna upaść, jak wszystko co ludzkie, a przeto obowiązana, tej swojej świętości pilnie strzedz, — oto jak pojmował świat, Polskę i siebie w nich, kiedy szedł na emigracyę. W takim stanie umysłu i uczuć, było rzeczą już zupełnie naturalną, że ten wielki *exodus* polski wydał mu się także wyższem opatrznościowem zrządzeniem. Narody europejskie „zgasiły ducha“ w troskach o bogactwo, o wygodę dnia dzisiejszego, w suchej mądrości swoich uczonych, w przewrotnej polityce swoich rządzących zatraciły miłość bliźniego, i zmysł moralny, a jeżeli tak dalej będą grzęznąć i drzemać, stanie się z nimi jak z człowiekiem, który zasypia na mrozie, że lekko i wygodnie same nie wiedząc kiedy, ze słodkiego snu przejdą w śmierć, zmarzną zupełnie i bez ratunku. Bóg rozrzucił więc po Europie ludzi z tego narodu, który ducha poświęcenia zachował, i do braterstwa z innymi poczuwał się zawsze, żeby oni rozsiewali te ziarna po świecie, żeby usypiających cucili, żeby gasnące iskry ducha rozżarzali. Emigracya to „Rozesłańcy“, których Bóg rozproszył po świecie, żeby świadczyli Jemu i prawdzie, i słowem a zwłaszcza przykładem do Niego nawracali narody.

Taki był ideał. Rzeczywistość mu nie odpowiadała: w rzeczywistości, naprzód emigracya sama nie pojmowała się tak wzniośle, powtóre, podobniejsza była do burzliwych soborów dysputujących w dwóch naturach, o pozornej śmierci Chrystusa, do wielkiego gwaru namiętnie bronionych herezyi

i rzucanych klątw, aniżeli do zebranych w wieczerniku apostołów. Ani w pojęciu, ani w zachowaniu się emigracyi nie było nic apostolskiego, nawet nic idealnego. Nawet to, co było godnem i szlachetnem, było ziemskiem (czemu się dziwić, ani za złe brać nie można) — a nie wszystko było tam godnem i szlachetnem, nie wszystko przykładnem i budującem.

Mickiewicz tego dostrzegł; uznał w duchu, że tacy apostołowie takiej misyi nie spełnią, i chcąc otworzyć im oczy na to czem są, do czego powołani, czem być powinni, napisał *Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego.*

II.

Jako zamiar, *Księgi Pielgrzymstwa* są doskonałe; jako pojęcie; są w części mylne; jako wykonanie są przykre.

Uczyć naród w naszem położeniu, że powinien żywić w sobie wiarę, nadzieję i miłość — że powinien wierzyć w Boga, a bliźniemu służyć, że powinien być w uczuciach czysty, w mowie rzetelny, w postępkach prosty, z obcymi godny a nie wyniosły, ze swoimi zgodny i dobry, w życiu domowem cichy i skromny, — uczyć go, że jest w ręku Boga, który powiedział wyraźnie czego od ludzi żąda, a swoje błogosławieństwo uczynił zawisłem od spełnienia tych żądań, — nic lepszego, i nic świętszego: a to jest zamiar, to jest cel *Ksiąg Pielgrzymstwa.* Lecz co do pojęć, trzeba zrobić rozróżnienie. Wewnętrzny stan emigracyi i Polski, pojmuje Mickiewicz doskonale, gani i karci sprawiedliwie, naucza mądrze. I tak, pierwszy rozdział zaraz, pierwsza przypowieść o statku rybackim, który dopłynął szczęśliwie do brzegu, bo nie zatracił igły magnesowej, „a iglicą magnesową jest „miłość ojczyzny, a gwiazdą wiara niebieska, — z wiarą tą „i miłością wypłynie statek polski, a bez wiary i miłości „ludy wojenne i potężne zabłądzą i rozbiją się“ — ten po-

czątek, ta niby ogólna i wszystko obejmująca nauka, jest prześliczna, i pomimo, że wyśmiałby ją nie jeden filozof i polityk, jest prawdziwa. Za tą radą pierwszą i ogólną, idą inne szczegółowe, odnoszące się do bieżących wad lub skłonności, czy to emigracyi, czy narodu, jedne przez podobieństwa, drugie wprost, nie mniej od tamtej dobre. Nie sprzeczać się o przyszłą formę rządu, nie oskarżać się nawzajem o upadek sprawy, nie być surowym w sądach, nie zarzucać sobie zdrady, nie zazdrościć, — wszystko to rachunek sumienia, dobry dla wszystkich może ludzi i pokoleń w Polsce. Do najpiękniejszych ustępów tego rodzaju należy rozdział XIII, przypowieść o żołnierzach szturmujących do miasta, którzy na mur dostać się nie mogli dlatego, że każdy chciał być pierwszym: stanął tam ten dopiero, który rannego niósł przed sobą, a gdy rozdawano nagrody, nie chciał jej mówiąc, że pierwszym na murze był ten ranny. Nauka o bezosobistości w usłudze publicznej, zakończona pięknem słowem, „skoro człowiek zręczny lub silny, zamiast nieść w górę towarzysza strąca go, tedy robi zamieszanie i klęskę, a jeśli chwali się z zasługi swej, zasiewa niezgodę“. Jeszcze piękniejszy może jest rozdział następny XIV, o talentach i zasługach. „Niech każdy składa talent swój ojczyźnie jako dar w skarbonę, tajemnie, nie mówiąc ile włożył. Zasługa dla ojczyzny jest jako proch... Kto proch rozsypie i podpali, zrobi mały błysk bez mocy, ale kto proch zakopie głęboko, wywróci ziemię i mur z hukiem. Zasługa dla ojczyzny jest jako ziarno, kto je obnosi w ręku i wszystkim pokazuje, wołając: o to ziarno wielkie, ten je wysuszy i nic z niego nie otrzyma. A kto zakopie ziarno w ziemię, ten otrzyma ziarn sto, a z tych stu tysiące tysięcy“. „A cóż mówić o ludziach, którzy skarżą się mówiąc: nie mamy starszeństwa i znaku, albo którzy mówią, oto ten, który stoi na prawo lękliwy jest, a ten który stoi na lewo nie mądry jest, a wziął starszeństwo — czyż żołnierz dobry idąc na nieprzyjaciela ogląda się na prawo i na lewo?“ Rozdział XX zwłaszcza,

o niewieście w letargu i lekarzach mówiących, „lepiej żeby umarła niż ma wyzdrowieć nie podług mego leczenia“, powinien być rozpamiętywanym rano i wieczór, tak jego przystósowanie jest mądre. Są z was niektórzy, którzy mówią: niech lepiej Polska leży w niewoli, niż gdyby się miała zbudzić według arystokracyi, a drudzy: niech lepiej leży, niż gdyby się miała zbudzić według demokracyi, a inni: niech lepiej leży, niż gdyby miała granice takie lub owakie. Ci wszyscy nie są synami, i nie kochają ojczyzny“... „O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice wasze“.

To co jest upomnieniem, naganą, co się ściąga do złych nałogów lub skłonności natury ludzkiej lub polskiej, to jest wszystko dobre i słuszne. Ale na odwrót to, co Mickiewicz mówi o stosunku czy Polski czy emigracyi do innych narodów Europy, to jest z małym wyjątkiem mylne, często niesprawiedliwe, niekiedy (przykro powiedzieć) naciągane.

Podstawna myśl *Ksiąg pielgrzymstwa*, która się wije przez cały ich ciąg, jest ta, że Polska, która zachowała ducha wiary, miłości i poświęcenia, pośród narodów i społeczeństw rządzących się interesem, jako najlepsza między nimi, jest narodem wybranym, przeznaczonym od Boga na to, aby się stał ofiarą i odkupicielem świata. „Dane jest narodowi waszemu, dziedzictwo przyszłej wolności świata“, i „dana jest narodowi waszemu moc Zmartwychwstania“, „boście wierzący, kochający i nadzieję mający“. Wierzę, że w tem istotnie leży moc zmartwychwstania; wierzę, że choć nadziei mamy więcej niż wiary a nierównie więcej niż miłości, przecież tych warunków nie straciliśmy dotąd. Wiem także, że jedną z wielkich spuścizn naszej przeszłości jest to uczucie związku między ludźmi i narodami; że nie wyznawaliśmy nigdy zasady: „każdy dla siebie i każdy u siebie“, ale owszem trzymaliśmy się prawa: „nie rób drugiemu, czego nie chcesz, żeby tobie czyniono“, a czasem wykonywaliśmy i drugie prawo wyższe „czyń drugiemu dobrze“, i tego po-

czucia, zdaje się, nie straciliśmy dotąd. „Wasze natury polskie, mówi Włoch w *Rozmowie* Górnickiego dobre są, łaskawe, dobrotliwe": to prawda i tego nie powinniśmy lekceważyć, lecz owszem Bogu za to dziękować, i tę dobroć serca przechowywać, żeby się nie zepsuła. Ale czy ta dobroć serca, czy ta łatwość dobrze czynienia drugim, którą istotnie mamy i której dowody daliśmy parę razy w historyi, daje nam prawo uważać się za lepszych, za wybranych? czy inni nie mają przymiotów tyle wartych, co te nasze? Czy zliczywszy dobre, jakie oni zrobili w historyi i to, co im ludzkość zawdzięcza, summa nie przeniosłaby summy naszych zasług, naszej wyprawy wiedeńskiej, albo naszego pięknego przykładu uczciwości w stosunkach międzynarodowych? Ale jeżeli nawet nie; dajmy na to, żeśmy istotnie od wszystkich lepsi i więcej warci? To niech o tem sądzi Bóg i inni ludzie, nie my sami, jeżeli ta nasza cnota jest prawdziwą. To świadczenie własnej cnocie i wyższości jest niebezpieczne; i Mickiewiczowi, który tak gardzi Francuzami, Anglikami i innymi (i w tonie ewangelicznym jeszcze, w przypowieściach), możnaby przypomnieć tych uczniów, którzy gardzili Magdaleną, albo przypowieść o tym Faryzeuszu, który się modlił: „dzięki Ci Boże, że nie jestem jak ten celnik". Który z narodów lepszy, jak to kto lepszy między ludźmi, to wie jeden Bóg. Ale są inne rzeczy, które i my ludzie wiedzieć możemy i powinniśmy, bo je nam wskazuje rozum i sumienie. I tak na przykład mówią nam one, że koniecznem znamieniem i warunkiem ofiary jest jej dobrowolność, oddanie się na ofiarę z wiedzą i wolą; bez tego, może być cierpienie, może być expiacya, nie ma ofiary. A więc kiedy nam mówią, że Polska jest ofiarą za grzechy świata na jego odkupienie, jak Chrystus, uwierzymy, jeżeli nam dowiodą, że Polska w chwili rozbiorów o tem wiedziała, że się na tę rolę ofiary poświęciła z własnej woli i wyboru. Ale tak nie było. Dalej, drugiem znamieniem i warunkiem ofiary jest, żeby ona była bez winy. Czy to sobie przyznamy? Zapewne, gdyby sumienie

ludzkie znało tylko grzechy przeciwko bliźniemu; ale są grzechy i przeciwko sobie, a *Księgom Pielgrzymstwa*, które nauczają przez przypowieści i podobieństwa, możnaby odważyć się odpowiedzieć także podobieństwem. Wyobraźmy sobie człowieka z najlepszem sercem, który nikomu nie robi nic złego, owszem robi dobrze, wspomaga ubogich, jest uczynny dla sąsiadów, ale przytem jest leniwy i nierządny, w domu nieład, w majątku marnotrawstwo, dzieci rozpuszczone i źle chowane, sługi niepopłacone, i tak przez lata i lata, aż wreszcie synowie wyrośli na ludzi do niczego, służba niepłatna mimowolnie włożyła się do kradzieży, dobytek, jak mówi lud, ptaki rozniosły, a właściciel z żoną i dziećmi, zmarnowawszy dar Boży, piękny kawał ziemi, dobrą głowę, niepoślednie zdolności, poszedł na żebraninę — czy taki człowiek (typ to u nas bardzo częsty) jest bez winy? czy jego dobre serce, łatwe współczucie, grosz dany biednemu choćby z poświęceniem siebie, maże zupełnie jego gnuśność, jego marnotrawstwo i niedołęztwo? Zapewne mrówka z bajki nie jest dobrą: ale czy jej twarde samolubstwo usprawiedliwia konika polnego z tego, że o jutrze nie myślał? Nie — nie jesteśmy ani ofiarą dobrowolną i świadomą siebie, ani niestety ofiarą niewinną. A jeżeli naprawdę mamy nad innymi wyższość poświęcenia, uczucie tej potrzeby i tej powinności, to oni mają nad nami wyższość ducha pracy, ducha wytrwania i tylu tylu innych darów bożych. Bo nie samą tylko miłość zna katechizm jako dar Ducha św., ale i dar rady, i dar roztropności, i dar mądrości, i dar siły, a nie mówi, który z nich lepszy i pierwszy. Historya dostarczyłaby na nieszczęście aż nadto argumentów przeciwko tej naszej mniemanej wyższości, politycznych, społecznych, naukowych, i zeszedłszy na pole praktycznego życia, łatwo byłoby wiersz za wierszem zbić twierdzenia *Ksiąg Pielgrzymstwa*. Ale one na ten grunt nie schodzą wcale: one w swojej pozornej prostocie gardzą bardzo dumnie rzeczywistością życia, nauką, rozumem, działaniem przez środki ludzkie i ludziom dostępne,

i zostają w tej sferze religijno-moralnej, z której żądają od nas, żebyśmy się podnieśli do stanu łaski i uczą, jak się do niego podnieść mamy.

Otóż na ich gruncie zostając, musimy im powiedzieć, że źle uczą. „Skłońcie się do pokory“ woła autor „wyrzeczcie się dumy, zarozumiałości...“ A jakżeż my się skłonić mamy do pokory, jak raczej nie wzbić się w dumę, jeżeli on nam mówi, że „najgorszy z nas lepszy jest aniżeli najlepszy z cudzoziemców“ — albo, że my jedni zachowaliśmy bożego ducha, że my (emigranci) jesteśmy apostołami, solą ziemi, i mamy uczyć innych prawdziwej chrześciańskiej cywilizacyi? A czy ją mamy, czy ją doprawdy mamy i czyśmy ją mieli zupełną nawet w najpiękniejszych, największych naszych chwilach? Za Kazimierza, za Jadwigi, byliśmy na tej drodze — ale później, czyż cała nasza historya, nasze niezgody i rokosze, nasze *veto*, nasze poddaństwo, nasze wojska niepłacone, nasze sejmy zrywane, nasze wojny bezskuteczne, nasz skarb wiecznie próżny, nasza wolność tak źle używana, nasze konszachty z postronnymi, nasze przekupstwa, nasza bezczynność, a później wszystkie nasze do dnia dzisiejszego niezgody porozbiorowe, czyż one nie dowodzą, że wszyscy, ilu nas jest, z nader małemi wyjątkami, kochamy siebie więcej niż bliźniego, więcej niż ojczyznę? że jak mówił Skarga „kurczymy ją“ w domach naszych, w stronnictwach naszych, w upodobaniach i nienawiściach naszych — i my mamy mieć prawo uczyć drugich cywilizacyi chrześciańskiej? Może inni od nas gorsi — niech to widzi i sądzi Bóg, to do niego należy. Ale do nas należy widzieć, jak wiele nam do takiej roli nie dostaje, i wiedzieć, że nie ma prawa mistrzować drugim i poprawiać ich, kto sam siebie poprawić jeszcze nie umiał.

A jak czytając w *Księgach Pielgrzymstwa* o tej apostolskiej misyi emigracyi, przypomnieć siebie wszystkie jej strony ujemne — naturalne zapewne, dające się wytłómaczyć, ale tak smutne, a nieraz brzydkie swary, skargi, ciasne

ambicye i próżności, działania polityczne bezrozumne, potwarze, nieraz i zgorszenia, doprawdy zdaje się, że to ironia. Mickiewicz miał przed oczyma jakiś ideał emigracyi, jakiś niby zakon czy bractwo, coś nakształt pierwotnego Kościoła, wyobraża ją sobie ujętą w karby, poddaną jakimś zwierzchnikom jak byli apostołowie i biskupi w kościolach Jerozolimskim, Antyocheńskim, Rzymskim, Efezyjskim i t. d. — wyobraża sobie, że ci zwierzchnicy doglądają, upominają, sądzą, w razie potrzeby wykluczają z grona pielgrzymstwa... niestety, nic lepiej nie dowodzi utopijności *Ksiąg Pielgrzymstwa,* jak ta (nierozwinięta) myśl organizacyi emigracyi; bo wyobraźmy sobie nawet, że pielgrzymi wzięli do serca tę ewangelię do nich napisaną, że chcą podług niej się urządzić i żyć, to i wtedy jeszcze byłby się ten kościół rozpadł przy pierwszym wyborze swoich zwierzchników. Trafne w złem, jakie wytykają, mądre i dobre, kiedy każą nam ducha nie gasić i pielęgnować w sobie wiarę, nadzieję i miłość, błądzą *Księgi Pielgrzymstwa* w swoich pojęciach i historycznych i politycznych i moralnych nawet, kiedy nam każą wierzyć w nasze „umęczenie“ za grzechy świata, kiedy nam mówią, żeśmy lepsi i wyżsi od drugich, i kiedy nam każą apostołować cywilizacyę chrześciańską po świecie, przyjmując za pewne, sposobem śmiałym i lekkowiernym, że ją sami posiadamy.

Rzekliśmy wyżej, że *Księgi Pielgrzymstwa* w zamiarze dobre, w pojęciach (w znacznej części) błędne, sa w wykonaniu przykre. Trzeba to słowo usprawiedliwić.

Przykre są naprzód przez swój ton ewangeliczny. Kiedy go Słowacki używa w *Anhellim,* nie razi to, bo widocznie naśladuje on tylko styl, a rzecz sama choć z przystosowaniem moralnem i patryotycznem, nie zamierza być nauką, tłómaczeniem prawd bożych, jest szczerze i otwarcie poematem. Świętoszek może się zgorszy tem nadużyciem formy i stylu pisma św. do rzeczy świeckich, ale i ten nawet powinienby się uspokoić, bo widocznie wzięty tu jest tylko

styl, tylko forma. W *Księgach Pielgrzymstwa* jest inaczej. One mają być słowem nauki, słowem prawdy, tłómaczeniem, objaśnieniem woli bożej i bożego prawa; w tym celu były napisane, jako takie stają przed nami. Mickiewicz sam oczywiście miał je za słowa „pełne łaski i prawdy“. Że im ten ton ewangeliczny nadał, to oczywiście dlatego, że zaczynając już wtedy gardzić wszelką formą poetyczną, tej tylko przypisywał wagę i wartość i moc działania na serca ludzkie, która jest najprostsza, najczystsza, w której ziemskiej piękności i sztuki nie ma, która mówi: „tak tak, nie nie“. Otóż, jeżeli człowiek w rzeczach religijnych obojętny, wziąłby tę formę obojętnie jak każdą inną, albo jeżeli fantazya Słowackiego upodoba ją sobie poetycznie i zastosuje do poematu, to może być ganionem albo chwalonem, ale dla chrześciańskiego sumienia nie będzie tak przeciwnem, jak kiedy człowiek w wielkiem niby podniesieniu uczucia i ducha religijnego, dla myśli własnych weźmie ten język, którym mówi Duch św. z Ewangelii. Sumienie chrześciańskie jest tem zrażone, bo mimowolnie mówi sobie, że ten człowiek musiał przypisywać sobie jakiś szczególny stan łaski, musiał mniemać, że duch boży zstąpił na niego, kiedy się nie wahał nauk i rad własnych ubrać w ton i w słowa ewangelii. Ludzie innego wyznania zapewne tego wrażenia mieć nie mogą; dla chrześcian jest ono przykre. Bo za przypuszczeniem, że Mickiewicz sobie taki wyjątkowy stan łaski przypisywał, idzie mimowolnie drugie, to jest, że cała prostota, cała pokora, całe uniżenie ducha, o które się starał i o którem mówił, było pozornem — bez jego wiedzy, z jego najlepszą wiarą — ale tylko pozornem. Dlatego *Księgi Pielgrzymstwa* są w wykonaniu przykre. Zwłaszcza, kiedy się w nich spotka tonem Ducha św. powiedziane rzeczy bądź nieprawdziwe, bądź niesłuszne, bądź błahe. A są tu te wszystkie trzy rodzaje rzeczy.

Na wstępie, w tym poglądzie na dzieje świata od jego „początku do umęczenia narodu polskiego“ są rzeczy histo-

rycznie fałszywe, jak na przykład, że w wiekach średnich za wojen krzyżowych, „wszystkie narody uważały siebie za jeden naród chrześciański a wszyscy królowie za braci, że wolność rozszerzała się dobrowolnie od królów do szlachty, od szlachty na miasta“ — to jest stan rzeczy, który być powinien, ale którego nie było niestety nigdy. Przedstawienie wolności polskiej w idealnem świetle braterstwa, równości i miłości, nieszczęściem także boleć tylko może tego, kto zna historyę swego narodu, a znając ją nieraz musiał nad nią cierpieć. Jeżeli się mówi słowa prawdy tonem Ewangelii, to nie należy nic odmieniać ani zatajać; Ewangelia, prawda boża, nie znosi tendencyi.

Niemniej przykre do widzenia są rzeczy błahe w *Księgach*. I tak na przykład, chcąc w nas podnieść ducha, mówi, że Bóg najłaskawszy jest na najuboższych i najnędzniejszych, i na dowód przytacza wskrzeszenie Łazarza. Cel chybiony, bo jakże ja w tem znajdę pociechę i wiarę (jeżeli jej potrzebuję), kiedy zajrzawszy do Ewangelii widzę, że nędzny Łazarz z przypowieści, a wskrzeszony Łazarz brat Maryi i Marty — to dwaj Łazarze różni, których on pomieszał w jednego, żeby mu służył za dowód. Albo to upatrywanie jakiegoś mistycznego znaczenia, jakiegoś jakoby wyższego zrządzenia w rzeczach przypadkowych, szukanie wielkiej ironii losu w imionach: Fryderyka, Katarzyny, Maryi Teresy? cóż dopiero w imieniu Kazimierza Perrier, którego imię znaczy „skażenie pokoju“ (kazi mir), a nazwisko pochodzi od słowa *perire* i znaczy zgubę! Opowiadają o Mickiewiczu, że kiedy Towiański przyjechał do Paryża i zamieszkał *Rue d'Amsterdam*, nieszczęśliwy jego adept widział w tem prorocze znaczenie, jakoby wyrok boży „d a m s t e r d a m“! Nie wierzy się, nie chce się wierzyć, a przecież czytając te tak naciągane tłómaczenia imion w *Księgach Pielgrzymstwa*, mimowolnie myśli się, że może i tamto prawda.

Naprzód czy to godne takiej księgi prawd, takiego katechizmu, jakim miały być *Księgi Pielgrzymstwa*, żeby w nich

choćby wspomnieć człowieka, który swoim krajem rządził krótko, na losy świata nie wpłynął, który w historyi zajmuje miejsce ledwie widoczne? Powtóre, jest to wielka niesprawiedliwość, rzecz dziwna w piśmie ewangelicznej treści i tonu. Mickiewicz nie mógł nigdy darować monarchii lipcowej, że ona nie przyszła w pomoc powstaniu polskiemu, że się starała o uznanie siebie za rząd francuski przez Rosyę, wreszcie, że przez czas jakiś zaprowadziła obostrzenia przeciw osiadaniu emigrantów polskich we Francyi; a że u steru władzy był w początkach monarchii lipcowej Kazimierz Perrier, więc dostał się on do *Ksiąg Pielgrzymstwa* razem z Fryderykiem i Katarzyną jak żeby im równy. Niesprawiedliwość wielka! K. Perrier był człowiekiem niepospolitych zdolności, a charakteru nietylko dzielnego, ale na wskróś uczciwego, który swojemu krajowi służył bardzo rozumnie i bardzo gorliwie, którego rychła śmierć (1832) bodaj czy nie była wielką dla Francyi stratą, bo miał więcej zręczności niż Guizot, więcej powagi niż Thiers, więcej godności niż Ludwik Filip. A co do Francyi! Że jej polityka względem Polski była złą, dla niej samej zgubną, widzimy nieszczęściem dowody; ale to jest pewne, że ze wszystkich rządów francuskich najmniej złego zrobił nam rząd Ludwika Filipa. Bo kiedy Ludwik XIV bił się z Austryą na polskim gruncie i plątał nas w nieszczęsne sprawy szwedzkie, używał Maryi Ludwiki za środek a na prawdę jej nie popierał; kiedy Ludwik XV, czuł dobrze, co mu interes Francyi w Polsce robić kazał, czuł tak dalece, że miał w niej dwie polityki, osobistą tajną, i urzędową, a nie miał odwagi tej tajemnej zrobić urzędową, kiedy Napoleon miał Polskę w ręku a zrobił Księstwo Warszawskie — monarchia lipcowa ma to przynajmniej za sobą, że najmniej ze wszystkich mogła, i nigdy nie zrobiła zawodu. Bo żądać od rządu tylko co ustanowionego, żeby wydawał wojnę Rosyi i prowadził ją na drugim końcu Europy?... pozwólmy, że to był błąd, ale w każdym razie błąd do darowania. Żeby dojść do Polski na jej ratunek,

Francya byłaby musiała bić się z całemi Niemcami, czy mogła? Zapewne lepiej było wtedy jak w roku 1870, ale przewidywanie ludzkie nie przechodzi pewnej miary, nie ma się prawa nikogo winić za to, że mu Bóg nie dał intuicyi proroczej. A uczciwym względem nas ten rząd był: nie zrobił ani obietnicy ani zawodu; w pierwszej chwili na pierwsze pytanie odpowiedział, że pomódz nie może i nie pomoże. Mówmy, że postąpił nieroztropnie, źle dla Francyi, ale nie mamy prawa skarżyć się, jakoby był nieuczciwym względem nas. To niesprawiedliwość, co więcej to niewdzięczność. Bo niegodzi się pamiętać chwilowych utrudnień stawianych emigrantom i za nie sprzęgać imię ministra francuskiego z imieniem Fryderyka, a zapominać o tem, wiele tysięcy znalazło tam przytułek, bezpieczeństwo, i z ręki tego samego rządu chleb powszedni; nie godzi się zapominać, że przez czas trwania tego rządu, pomimo jego pokojowego usposobienia nie było jednej sesyi Izb, któraby w miękkiej formie zapewne, ale nie podniosła protestacyi za Polską. Ze wszystkich rodzajów niewdzięczności najgorsza jest ta, która przyjąwszy dobrodziejstwo, skarży się i narzeka, że ono było za małe.

A prócz tego jeszcze jedno, to, że my mamy wielką bystrość w wykryciu obowiązku, jakiego nie wypełnił ktoś względem nas, ale daleko mniejszą w tem, czy sami wykonywamy swój obowiązek względem siebie. Że Francya trzymała się złej polityki względem Polski, to pewna; jednak czy biorąc rzecz słusznie, można mówić o obowiązku, powinności wspomagania Polski? Nie, — byłoby to czemś więcej, poświęceniem i heroizmem, które dla tego są rzeczami najpiękniejszemi na świecie, że są nad miarę obowiązku, że przez nie robi człowiek więcej niż powinien. Może się zdarzyć, że własny interes doradza taki akt heroizmu, i tak może było w tym razie. Francya tego interesu nie pojęła nigdy, i stało się to dla niej wielkiem nieszczęściem. Ale jakiem czołem będziemy ją winić, że nie pojęła co jej na sprawie polskiej zależało, my, którzyśmy sami nigdy tego

pojąć nie chcieli, choć nas ona obchodziła bliżej? którzyśmy nie chcieli nigdy pojąć, co nam zależało na płaceniu jej podatków, na strzeżeniu jej granic, na dochodzeniu jej sejmów? którzy później, po rozbiorze, w samem dążeniu do niepodległości nie chcieliśmy zrozumieć, ile tej sprawie zależy na tem, żeby to dążenie mądrze prowadzić i skutki działań dobrze przewidywać i obliczać? Dla nas o tem pamiętać, to robić, to obliczyć, było najprostszym obowiązkiem; i my którzyśmy tego obowiązku nie wypełnili nigdy jak się należy, którzyśmy dobrze chcieli tylko, ale dobrze myśleć i dobrze działać nie umieli (a tośmy powinni tak jak chcieć), my będziemy wyrzucać drugim, że nie zrobili nad swój obowiązek, kiedyśmy zawsze poniżej niego zostawali? Nigdy przypowieść o tramie i słomie nie miała większego przystosowania jak w tym razie. Straszne wrażenie robią te groźby Mickiewicza na Francyę „przyjdzie wielki ucisk na Judę i na Izraela" — te groźby wojny, głodu i ucisku obcego, to się stało! Wódz z przypowieści jego (rozdział XXI) jest rozbrojony, a rozbrojony dlatego zapewne, że zaniedbał bronić swojej królowej, wolności i sprawiedliwości. Ale to nie prawda, żeby mu miało być gorzej „niż Lugdunowi i Nantes w dniach konwencyi, w dniu, kiedy wolność zasiędzie na stolicy świata sądzić narody. — Wtedy będziecie obrzynać uszy bliźnim żywym i uszy samym sobie i piec i jeść, bo zasłużyliście, abyście byli bez uszu, jako są szelmowie" (XXIII). Czy taki ma być dzień wolności, dzień konfederacyi europejskiej, o którym mówi poeta? ten dzień sądny, dzień płaczu i zgrzytania zębów, *dies irae, calamitatis et miseriae?* I czy to jedna z tych rzeczy, o których autor jak sam mówi, wie z „łaski Bożej?" W każdym razie nie będzie to dniem wolności ale dniem zguby; a jeżeli na to zasłużyli ci, co zaniedbali tylko czynić nad obowiązek względem ojczyzny cudzej, to jakże dopiero mogłoby być tym, którzy względem własnej nie czynili tego, co byli powinni?

Księgi Pielgrzymstwa w przekonaniu autora, były pisane w jakimś stanie łaski, niemal objawienia: sam mówi, że niektóre rzeczy „są z łaski Bożej“. Tymczasem, dotąd widzieliśmy w nich zarozumiałość i niesprawiedliwość, a w końcu jest jeszcze okrucieństwo, brak miłości i przebaczenia, trzy rzeczy, które się sprzeciwiają stanowczo tej łasce, o której autor mówił i myślał. I dlatego to robią one wrażenie przykre. Boli nas to, że widzimy jego w tem złudzeniu co do rzeczy i co do siebie, głoszącego jakoby z Bożego natchnienia słowa nietylko własne, ale bardzo ludzkie. Ta sprzeczność pomiędzy jego mniemaniem, a tem co zrobił, pomiędzy tonem dzieła a jego treścią, stanowi kardynalną słabość *Ksiąg Pielgrzymstwa;* sprawia, że pomimo dobrego zamiaru, pomimo pięknych i dobrych nauk, całość jest falszywa, niezgodna z rzeczywistością, ani co do przeszłości, ani co do chwili obecnej, ani co do Polski, ani co do innych narodów.

Jakim sposobem mógł Mickiewicz popaść w takie złudzenie, żeby rzeczy niesprawiedliwe i błahe (choćby obok najlepszych) brać i podawać za ewangeliczne prawdy? Niestety w dalszym ciągu jego zawodu złudzeń takich ujrzymy więcej. To było może początkiem, zapowiedzią dalszych: a powodem była może pewna sprzeczność w jego duszy, pewna bez jego wiedzy nieszczerość z samym sobą. Zrzucił on z siebie dawną pychę *Konrada,* uwierzył w prostotę, pokorę, w potrzebę poddania się i wiary, wyrzekł się siebie. Ale tylko pozornie, bo nie wyrzekł się nadziei, że mu to będzie zaraz nagrodzonem, wróconem; myślał, że za tem uniżeniem i wyrzeczeniem się siebie, ten stan łaski, intuicyi, objawień zaraz nastąpić musi i nastąpi. Czekał na niego, liczył na niego, był pewien że przyjść musi; a przez to usposobiony i przygotowany był do tego, żeby wziąć za wyższe natchnienie, za głos Boży, za objawienie, myśl ludzką, zrodzoną z jego własnych wrażeń i sądów. Gdyby był tych natchnień tak nie żądał i tak się nie spodziewał, słowem gdyby był wyrzekł się siebie zupełniej, byłby na widok

emigracyi jak była, i jak być była powinna, napisał dla niej po ludzku z własnego serca i z własnej głowy nauki, których ludzie byliby łatwiej słuchali, którym byliby łatwiej wierzyli, bo nie potrzebowaliby pytać i wątpić, kto do nich mówi; a wyraźne słowo najgodniejszego między ludźmi, byłoby zrobiło więcej wrażenia, jak niepewne, wątpliwe słowo Boże. Przez to, że chciał i mniemał być w bezpośredniej styczności z Duchem świętym, użył tonu Mojżesza lub św. Pawła, a pod tym tonem przekradły się mimo jego wiedzy myśli ludzkie i mylne, i napisał rzecz, która i przez swoją treść i przez usposobienie w jakiem była pisana, jest przygrywką i zapowiedzią wielkiego złudzenia i wielkiej pomyłki jego życia: messyanizmu.

Gdyby szukać początku tych pojęć Mickiewicza w literaturze polskiej, i związku ich z uczuciami i wyobrażeniami starszych od niego poetów, trzebaby powiedzieć, że od samego trzeciego rozbioru zjawia się a pomału rozwija, to pojmowanie naszego obecnego stanu jako pokuty, jego szczęśliwego końca jako warunku lepszej przyszłości świata. Rozwijało się też mniej wyraźnie, ale równocześnie, pojęcie Polski jako narodu wybranego i lepszego od innych, i objawiło się otwarcie w Brodzińskiego *Mowie o Narodowości*. Był więc niewidzialny, ukryty, ale niezawodny związek między Mickiewiczem a jego poprzednikami, (Woroniczem naprzykład): od poetycznego idealnego pojęcia historyi polskiej w *Mowie* Brodzińskiego, do przypisania jej Chrystusowej misyi ofiary, i odkupicielki, było już może niezbyt daleko.

Ale widoczniejszym może jest związek tego dziełka Mickiewicza, z nadziejami i dążeniami ludzi zachodnich. Jak ono im trafiło do przekonania i serca, dowodzi przekład Montalemberta, i fakt, że Lammenais naśladuje *Księgi* w *Paroles d'un croyant,* które kończy nawet na wzór Mickiewicza litanią podobną do litanii Pielgrzymskiej. Dla tego zaś tak

uwierzyli oni w słowa Mickiewicza, i tak do nich przylgnęli, że w nich wiele własnych nadziei, pragnień i pojęć, wiele własnego ducha znaleźli.

Stosunek ten wzajemny zaczął się niewątpliwie od tego, że Lammenais swojemi dziełami wpłynął na Mickiewicza. Potem nastąpił stosunek odwrotny. Jak niedawno *Essai sur l'Indifférence* otworzył i rozwinął w umyśle Mickiewicza widoki i pojęcia dotąd jemu samemu nieznane, bo myślał o nich mało, tak teraz *Księgi Pielgrzymstwa* wywarły wpływ potężny na umysł i duszę tamtego. W dalszych zaś latach zmieni się to raz jeszcze. Jak w *Paroles* znajdują się rzeczy żywcem z *Ksiąg* wzięte, tak później Mickiewicz pogrążony w nowej religijnej doktrynie, Mickiewicz w wojnie z Kościołem, powtórzy znowu nie jedno, co Lammenais przed nim powiedział. Samo to pojęcie Kościoła jako tego, który skończył niby swoją misyę, a łaskę Bożą i ducha utracił, to podstawne pojęcie *Kursów* ostatnich, jak mnóstwo w dowodzeniu szczegółów i argumentów, pochodzą z *Affaires de Rome*: cała mistyczno-chrześciańska rewolucyjność widoczna w późniejszych Mickiewicza artykułach ma podobieństwo uderzające, zatem pokrewieństwo niezaprzeczone, z pojęciami i pismami znakomitego zbuntowanego francuskiego kapłana.

Szczegółowe zbadanie i wykazanie tych podobieństw, byłyby ważną i godną podjęcia pracą, jak ciekawem i nauczającem byłoby porównanie tych dwóch ludzi, i tego psychologicznego procesu, przez który oba od gorącej wiary i ściśle (u jednego fanatycznie) katolickich przekonań, doszli do zerwania z Kościołem. Co się tyczy księdza Lammenais, sprawa jest jasna i dostatecznie wytłómaczona. Być może, że w Rzymie postąpiono z nim niezręcznie; ale ostatecznie powodem było to samo, co z niejednego znakomitego obrońcy i wyznawcy zrobiło nieprzyjaciela Kościoła i odszczepieńca — pycha. Miał on tyle nad nią mocy, tyle siły, wiary i przekonania, że przemógł się raz, poddał się i uległ; ale wytrzymawszy tę próbę raz, drugi raz już przetrwać jej nie

zdołał. Z Mickiewiczem jest trudniej: bo ten tak był nie rozumowem przekonaniem tylko ale gorącem uczuciem do wiary i Kościoła przywiązany, że nawet bulla Grzegorza XVI do biskupów polskich z roku 1832, dla ówczesnej Polski tak bolesna, ta bulla, która tylu od Kościoła zraziła i odtrąciła, jego nie zachwiała w tem przywiązaniu; wytrzymał więc zwycięsko próbę cięższą może niż Lammenais. A jednak później odstał i poszedł śladem tamtego? Znajdzie się przecie z czasem ktoś, co nam to należycie wyjaśni...

Na dziś wystarczy powtórzyć, że *Księgi Pielgrzymstwa* oznaczają ważną chwilę w jego życiu i ważny zwrot w jego duszy. Jest w nich wysoki chrześciański i polski ideał, prawdziwy, czysty, taki jak być powinien. Ale jest i zarozumiałość narodowa (widoczna w mylnem pojęciu przeszłości jak teraźniejszości) — jest duży zasób silnej namiętnej nienawiści, i jest gorszy, niebezpieczniejszy od tamtych pierwiastek dumy osobistej, ukrytej i jemu samemu nieznanej ale rzeczywistej, widoczny tem zaufaniu złudnem, w którem myślom swoim przypisuje początek i pochodzenie „z łaski Bożej“.

Są więc w chwili pisania *Ksiąg* dwa w jego duszy pierwiastki, dwie siły, z których jedna drugą prędzej czy później przemódz będzie musiała; a która z nich zwycięży, ta stanowić będzie o dalszem jego życiu i działaniu.

IV.

ZE STUDYÓW O SŁOWACKIM.

1. Mazepa.

Zebrane tu razem mniejsze rozprawki o dziełach Słowackiego, powstawały przygodnie, prawie przypadkiem, pod wpływem okoliczności lub potrzeby. Powodem do pisania o *Mazepie* było życzenie jednego z pism warszawskich, a punktem wyjścia jego przedstawienie na tamtejszej scenie. *Horsztyński* był drukowany w *Przeglądzie Polskim*, takoż po przedstawieniu w teatrze krakowskim. *Niepoprawni*, to treść jednego z publicznych odczytów w Krakowie, tych kłopotliwych odczytów, do których nieszczęśliwy prelegent musi szukać przedmiotu, a takiego, któryby nie był ani za długi ani za nudny, ani (jeżeli w Warszawie) podejrzany dla cenzury: i po długiem szukaniu obrabia wreszcie z rozpaczy jakiś przedmiot, choć sam dobrze nie wie dlaczego ten właśnie a nie inny. Taki początek tych rozprawek tłomaczy (jeżeli nie usprawiedliwia) ich usterki. Wszelako odczytując je po wielu latach, mam je dziś jak wtedy za prawdziwe ogółem wziąwszy, niektóre w nich spostrzeżenia za trafne: i dlatego sądzę, że jako dodatek do licznych u nas prac i badań nad Słowackim zawsze jeszcze ujść mogą.

Autor.

Więc grają *Mazepę* w Warszawie! Więc ukazał się Słowacki wreszcie na pierwszej polskiej scenie! Biedny poeta: kiedy wyjeżdżał, na krótko jak mniemał, dwudziestoletnim młodzieńcem z rękopismem *Mindowy* w kieszeni, marzył zapewne, że kiedyś za ten i za inne przyszłe swoje dramata usłyszy w tej sali huczne oklaski.

A gdyby wtedy jaka Nimfa smętna
Wiadoma ludzkiej przyszłości krzyknęła:
„Już tu nie wrócisz, i stopy twej piętna
„Są tu ostatnie...

..gdyby jaka Nimfa w owej chwili,

Kiedy poeta na świata zatargi
Puszczał się, takie proroctwo wyrzekła:
Uczułby w sercu coś — coś nakształt piekła.

Ale gdyby ta sama Nimfa była dodała, że kiedyś, choć późno, po latach wielu, „sława wszystkiego pamiętna“ odniesie do Warszawy jego imię i choć jedno jego dzieło, byłby zapewne znalazł w tej obietnicy pociechę. Byłby sobie powiedział, że choć część jego powróci — nie najlepsza zapewne — ale ta, która nadając się najlepiej, może — do teatralnych przedstawień, szczególne ma łaski u dramatycznych artystów i ich dyrektorów.

Wiadomość, że *Mazepa* był grany na scenie warszawskiej, odbiera się z pewnem wzruszeniem: słyszy się o tem

jak gdyby o rodzaju pośmiertnej satysfakcyi, danej człowiekowi, który za życia miał ich mało. A z radością także myśli się o publiczności, która miała wreszcie sposobność zobaczyć i osądzić sztukę, daleką wprawdzie od doskonałości, ale błyszczącą świetnemi przymiotami talentu, a w ubóstwie naszego dramatu jedną z jego ozdób; jedną z tych rzadkich, o których złego można powiedzieć wiele, ale w których jest ta rzecz jedyna co odkupuje błędy, a niedoskonałym dziełom zapewnia życie i sławę — poezya.

Zważywszy, że to przedstawienie wywołało w umysłach żywe zajęcie się autorem i jego dziełem, może będzie na czasie dziełu temu parę uwag poświęcić.

Chcąc być surowym względem *Mazepy*, a może tylko ściśle sprawiedliwym, trzebaby o nim powiedzieć, że to dramat zły, pełen sytuacyj nienaturalnych, naprężonych, które pięknemi nie są, które autor mylnie za piękne brał; a nie mogąc dojść do nich naturalnie, prostemi sposobami, musiał naciągać je sztucznie, gwałtem, przyprowadzać je szeregiem dowolnych przypadków, nie wynikających bynajmniej ani z psychologicznego stanu osób występujących w dramacie, ani z ich wzajemnego do siebie stosunku. Niezawodnie dramat to zły, fałszywy; dramat który za złym przykładem poszedł i zły przykład daje. Poezya, tragedya zwłaszcza, najbardziej z natury swojej na ten błąd narażona, błądzi zawsze, ilekroć bierze okropność i zgrozę samą za tragiczność, a nie dba o to, żeby okropność ta była konieczną i uzasadnioną w naturze działających charakterów, lub w naturze silniejszych od ludzi wypadków. Różnica tych dwóch rodzajów zgrozy da się poznać i wytłómaczyć na przykładach. Weźmy Szekspira. Z pewnością nie ma nic straszniejszego jak *Król Lear*. Co za łańcuch zbrodni i okrucieństw! a wszystkie spełnione z jakąś wściekłą naiwnością barbarzyństwa, niczem nie złagodzone: córka przeklęta przez ojca i wypchnięta za nic, za to, że ojciec nierozumny i popędliwy; ojciec, starzec, król, wypchnięty z domu przez córki: Gloster oślepiony, Cornwall

zabity, Regan otruta, Cordelia zaduszona, a to wszystko dokonane tak brutalnie, i co więcej, napisane tak brutalnie, z takim nieubłaganym realizmem! Tymczasem te wszystkie zgrozy i okropności (choć istotnie przykre i męczące, zwłaszcza do widzenia na scenie), znosi się, i nietylko się znosi, ale podziwia. Kiedy zaś w *Mazepie* Wojewoda wpada do pokoju żony i każe zamurować alkowę, albo kiedy Zbigniew idzie się strzelać z Mazepą; kiedy znów w *Lukrecyi Borgii* Wiktora Hugo, Książę Ferrary zmusza Lukrecyę Borgię do podania trucizny Gennarowi, który jest jej synem, a przytem przynajmniej na pół jej kochankiem: to natura czytelnika a zwłaszcza widza odwraca się od tego ze wstrętem, a zmysł estetyczny wzdryga się i protestuje, nazywa to brzydkiem. Dlaczego? Czy dlatego, że jedno jest Szekspira, a drugie tylko Wiktora Hugo lub Słowackiego? Tak, właśnie dlatego. Nie żeby Szekspirowi wszystko było wolno, i wszystko było pięknem dlatego że on napisał, nie dla bezmyślnej i udanej admiracyi; ale dlatego, że tragik genialny, Szekspir czy Eschylos, czy Sofokles, umie wprowadzić okropność rozumnie, umie ją zrobić potrzebną, usprawiedliwioną. Grecy także nie bali się sytuacyj strasznych: kazirodztwo Edypa, historya Atrydów zakończona matkobójstwem Oresta, to okropniejsze nad wszystkie wymysły Wiktora Hugo. Tylko te okropności teatru greckiego znosił Grek dlatego naprzód, że widział w nich rzeczywiste fakta, które się podług jego mniemania istotnie zdarzyły; powtóre znosił je on, i znosi i zniesie je ludzkość zawsze, dlatego, że wielki poeta umiał oddać i przedstawić całą wielkość czy nieszczęścia, czy zgrozy, czy zbrodni, nie obrażając nigdy ani zmysłu moralnego, ani zmysłu estetycznego. A gdyby Sofokles, dajmy na to, przed odkryciem tajemnicy był umieścił jakąś scenę małżeńskiej czułości między Edypem i Jokastą; albo gdyby po odkryciu oni jeszcze z sobą się widzieli i mówili, gdyby Jokasta przed samobójstwem wyszła na scenę, tłómaczyła, że zabić się musi, żegnała się z dziećmi i t. p., czy byłoby to do wytrzymania?

Ale takt artystyczny Greków był za wielki, instynkt natury ludzkiej zbyt jeszcze świeży i prosty, żeby coś podobnego w poezyi stać się mogło, i tragik starożytny umiał okropność sytuacyi swojej złagodzić w *Edypie* tem, że i Edyp i Jokasta są niewinni, zbrodnia mimowolna, nieświadoma; nieszczęście tem większe, ale ludzie szlachetni i piękni, kiedy ta sama sytuacya, przy świadomości z ich strony, byłaby nie do zniesienia. Klytemnestra jest wielka w swojej zatwardziałości i zdradzie, a choć zbrodnicza, nie jest potworna: dlaczego? bo straszna krzywda zadana jej niegdyś, padła na duszę potężną, namiętną, gwałtowną, i zrodziła w niej zemstę nieubłaganą; ta sama Klytemnestra gdyby Agamemnona zabiła dlatego tylko, żeby spokojnie i swobodnie mogła żyć z Egestim, byłaby więcej zbrodniczą, ale tragiczną, patetyczną jużby nie była. Grecy w największej okropności i zgrozie umieli zachować i uwydatnić w figurach swoich pierwiastek heroiczny, zachować im ich charakter pół-bogów. Szekspir znowu, nie szczędzi okropności w *Learze*, ale uchodzą one zawsze, ilekroć mają słuszny i rozumny powód; i na odwrót, rażą kiedy go nie mają. Znosi się wszystkie nieludzkości i wszystkie barbarzyństwa jakie się tam dzieją, bo się wie, że się ma przed sobą świat dziki, i świat w ostatnim stopniu rozkładu i rozprzężenia. Ale w tym samym *Learze* już się nie znosi wyłupienia oczu na scenie: to już nie okropność, ale obrzydliwość, to nie potrzebne, a zatem nieusprawiedliwione i rażące.

Nowszy teatr romantyczny, zwłaszcza francuzki, wpadał bardzo powszechnie w ten błąd, że wyszukiwał sytuacyj jak najbardziej naprężonych i nienaturalnych, w mniemaniu, że sytuacya im bardziej okropna, tem bardziej będzie tragiczną, a taką znalazłszy, dorabiał do niej cały dramat, osoby (których charakterami nazwać nie można), i cały przebieg sprawy, który poprzedzać miał ową dramatyczną niby sytuacyę. Tak naprzykład cały *Hernani* jest dorobiony do tego effektu w zakończeniu, kiedy szczęśliwemu bohaterowi fatalny róg

przypomina, że ma dotrzymać słowa i odebrać sobie życie; cała *Lukrecya Borgia* wyszła z błędnego mniemania, że bardzo tragiczną będzie sytuacya matki, zmuszonej podać truciznę synowi, sytuacya skomplikowana jeszcze tem, że ten syn matki nie zna i ma dla niej nie zupełnie synowskie uczucie. Wykonanie odpowiadało pomysłom. Grecy, z delikatnym bardzo zmysłem moralnym i estetycznym, łagodzili zawsze to, co w sytuacyi było zbyt okropnem: Sofokles wprowadza Edypa albo niewiedzącego o swojej mimowolnej zbrodni, albo już dobrowolnie za nią ukaranego, a najstraszniejsza chwila, odkrycie, trwa niezmiernie krótko, prawie jej niema. Pisarze gorsi, pisarze na efekt, dla poklasku albo dla zarobku, bez artystycznego taktu wielkich poetów, lubią właśnie zatrzymywać się jak najdłużej nad taką naprężoną, męczącą, wstrętną sytuacyą. Myrrha Alfierego przez pięć aktów rozwodzi się wymownie nad swoją miłością do ojca; Marion Delorme na scenie decyduje się na to poświęcenie, które miało ocalić Didiera, i zaraz powraca z ułaskawieniem, żeby nikt nie mógł wątpić co przez ten czas robiła. Gawiedź klaszcze autorowi, albo przeraża się zdziwiona tą brudną okropnością, — ale Muza tragedyi zasłania twarz i rozdziera na sobie szaty, bo wie, że w takich razach każą jej robić łamane sztuki, a odbierają charakter, powagę i piękność poezyi.

Otóż, łamane sztuki także wyprawia i Słowacki w *Mazepie*, dramacie, któremu za prawdopodobny powód, nie za usprawiedliwienie, podać trzeba zły przykład Wiktora Hugo; w którym autor, bez miłosierdzia i bez artystycznego taktu, bierze osoby swoje i czytelnika na moralne tortury, kręcąc korby i naciągając sznury coraz bardziej i bardziej, — aż wszystkie nerwy drgają, aż we wrażeniu jakie się odnosi, góruje nad wszystkiem oburzenie i wstręt, aż z zapadnięciem kurtyny doznaje się jakiegoś uczucia ulgi i uspokojenia, i mówi się: Dzięki Bogu, przecież się skończyło!

Podanie o kozaku przywiązanym do dzikiego konia przez obrażonego męża, posłużyło za wątek, do którego wyobraźnia Słowackiego dorobiła wszystkie okoliczności poprzednie. Podanie starczyło na katastrofę, trzeba było dramatu. Mąż zazdrosny i kozak, to nie dosyć: trzeba było kobiety. Ta kobieta jaką miała być? Czy kochała Mazepę? czy on był jej kochankiem? Nie — będzie bardziej zajmująca, piękniejsza, jeżeli zostanie czystą i nieskalaną jak dziecko; zemsta męża będzie daleko okropniejszą, jeżeli będzie niesprawiedliwą. Ale Wojewodzina kochająca męża, lub tylko nie kochająca nikogo, a przy starym mężu spokojna i swobodna, jeżeli nie szczęśliwa, to nie dosyć. Wzbudzi ona więcej współczucia, jeżeli będzie kochała i cierpiała bardzo; więcej zajęcia, jeżeli mężowi wierna, tej miłości przed nikim, nawet sama przed sobą, nie wyzna: jej nieszczęście, i tragiczna piękność jej charakteru i jej położenia, podniesie się przez to niezmiernie. Postanowił więc Słowacki, że kobieta postawiona między mściwym mężem a zalotnym kozakiem będzie kochała tak jak tu powiedziano, i wpadł przez to na jeden z najpiękniejszych swoich pomysłów: stworzył tę postać Wojewodziny, jedną z najsympatyczniejszych, najidealniej uroczych, jakie są w jego poezyi. Ale jeżeli miała kochać, więc kogo? Lekkiego, śmiałego pazia, o wesołym uśmiechu, trzpiotowatem obejściu i poczciwem sercu? Nie — poeta chciał czegoś smutniejszego, głębszego, czegoś z góry skazanego na nieszczęście: więc dał jej uczucie, w którem jest zbrodnia, a które stało się cnotą i świętością przez sposób w jaki ona je przyjmuje; uczucie, które musi prowadzić do ostatniej ohydy, jeżeli mu się ulegnie: do strasznego cierpienia bez ratunku i bez końca zawsze. Czy to reminiscencya *Don Carlosa*? Być może; choć rzecz dziwna, wpływu Schillera nigdzie na Słowackim nie znać (nie wiedzieć nawet czy go znał i czytał?); w każdym razie słyszeć o *Don Carlosie* musiał, i kto wie czy nie ztamtąd powziął tę sytuacyę miłości między macochą i pasierbem.

Zresztą, ztamtąd czy nie, wszystko jedno, skoro stworzył stosunek tragiczny jeden z najsmutniejszych i najdelikatniej, najpiękniej traktowanych w jego poezyi. Około więc rozwiązania dramatu, jak go podawały legendy o Mazepie, ugrupowały się jako wątek dramatu: zazdrość Wojewody, niewinność Wojewodziny, i mimowolna, nigdy nie przyznana, smutna jak śmierć, a przez milczenie i walkę uświęcona prawdziwie miłość pomiędzy nią a Zbigniewem. Z tego już dramat mógł się wysnuć, trzeba było tylko materyalnych wypadków, perypecyj, któreby końcową katastrofę mogły sprowadzić — a jak pierwsza połowa pomysłu udała się świetnie, tak ta druga poszła źle. Tło dramatu i trzy ofiary wymyślone były prześlicznie; zawikłania, które je wiodą do zguby, są szeregiem albo przypadków, albo fałszywych, w najwyższym stopniu fałszywych i rażących efektów: zamurowanie Mazepy, uwięzienie Wojewodziny, odmurowanie alkowy, błogosławieństwo przed pojedynkiem, krew Zbigniewa rzucona w oczy Amelii, trumna postawiona w progu, wszystko to efekta, efekta które na prawdę tragiczności i patetyczności nie dodają, a do których poeta musiał całą akcyę sztucznie i gwałtem naciągać, bo się naturalnie i po prostu przyprowadzić nie dały.

W ekspozycyi, która ma ogromne zalety, mianowicie tę, że choć się jeszcze nic nie stało, nawet się jeszcze na nic złego nie zanosi, czuć, że się tu coś strasznego stanie, czuć to po ciężkim niewytłomaczonym smutku Zbigniewa, po mimowolnym przestrachu Amelii, po tem zwłaszcza, że oni oboje chodzą po tym świecie jak żeby do niego nie należeli, jak przez sen, i obojętni na wszystko nawet o sobie prawie nie wiedzą — w ekspozycyi są do zganienia tylko rzeczy drobne, jak naprzykład: niepotrzebne, choć samo w sobie wcale ładne, opowiadanie o dwóch szlachcicach, co we drzwiach zagrzęźli; albo rola Kasztelanowej, która występuje tak, że zdaje się, iż będzie miała wpływ na dalszy przebieg akcyi, na los osób, a potem znika bez śladu. Są to błędy, ostatni zwłaszcza

znaczny, ale błędy, które wartości dramatu wiele szkodzić nie mogą. Naciągania i nieprawdopodobieństwa zaczynają się dalej. Trzeba jakoś zwrócić uwagę Wojewody na Mazepę i obudzić jego zazdrość. Tu Słowacki utrudnił sobie rzecz samochcący. Łatwo było dać Wojewodzie charakter zazdrosny, podejrzliwy, podejrzewający żonę zawsze i bez powodu; byłoby to naturalne u starego męża młodej żony, a zwłaszcza zgodne z tą naturą samolubną, brutalną i płaską. Zamiast tego, wymyślił poeta zajście zawikłane, mało prawdopodobne. Jan Kazimierz (o tej figurze mówić jeszcze będziemy) rozkochał się w Wojewodzinie na pierwszy rzut oka, jak Romeo w Juliecie, i jak Romeo idzie błądzić i wzdychać pod jej balkonem, w płaszczu Mazepy, żeby nie być poznanym. Na człowieka niemłodego, doświadczonego, który powinienby wiedzieć, że zdobycze takie nie robią się odrazu, i poznać, że Wojewodzina łatwą zdobyczą nie będzie, nawet gdyby zdobytą być mogla — to doprawdy naiwność, którą możnaby wybaczyć początkującemu młodzianowi, albo śmiałość, która Don Juanowi jednemu mogłaby ujść i służyć, ale która przy latach, charakterze, a nawet przy powierzchowności J. Kazimierza razi trochę, jeżeli nie śmieszy. Ale gorsza jest druga połowa tego epizodu. Przypuśćmy, że Jan Kazimierz był kochliwy, i przypuśćmy, że raz zakochany stawał się śmiesznym; że jak wielu ludzi w wieku, łudził się powodzeniem i wzajemnością tam, gdzie ich być nie mogło. Byłby to Jan Kazimierz do komedyi nie do tragedyi, bardzo przykry do widzenia, bardzo niezgodny z tym poważnym i smutnym który znamy z historyi, ale psychologicznie możliwy. Lecz Zbigniew, Zbigniew, który przy swojej macosze stoi jak jakiś zbrojny archanioł, czysty, wzniosły a rycerski, Zbigniew rzuca się z mieczem na owego człowieka pod balkonem, rani go, i wykrzykuje obelgi! On, człowiek uczuć najdelikatniejszych, on tak dbały o cześć i spokój Amelii, on, który sercem tak zawsze niemylnie przeczuwa i zgaduje to co najlepsze, on zrobił burdę pod oknem Amelii?

To nie do uwierzenia: sam zrobił wrzawę około jej imienia, sam naraził ją na potwarze? Bez tego byłby tylko ktoś przeszedł przez ogród; napaść Zbigniewa, krew pod balkonem, kompromituje Wojewodzinę. Szczęściem, cała ta sprawa odbywa się za sceną, i choć szkodzi układowi sztuki, nie szkodzi ślicznej figurze Zbigniewa, nie psuje jej. Ale przejście całe jest nieszczęśliwie wymyślone: król wygląda w niem śmiesznie, Zbigniew niezgodnie z sobą, nie na swojej zwykłej wysokości. A to wszystko dlatego, żeby Wojewoda dotąd spokojny, mógł zacząć być zazdrosnym: zupełnie zbytecznie, bo on zazdrosnym mógł być z natury, z urodzenia, bez powodu.

I odtąd już z przypadków w przypadki idziemy aż do katastrofy. Wojewoda jeszcze żony nie obwinia, nawet nie posądza; oburza się tylko, że ktoś śmiał podnieść ku niej myśl i oko, i żąda wyjazdu pazia. Król rad, że usunie młodszego i niebezpiecznego rywala, zgadza się; Mazepa ma odjeżdżać. Wstrzymuje go pojedynek: wyzwanie ze strony Zbigniewa po tem co zaszło naturalne, a scena prześliczna. Ale cóż, kiedy cały dramat byłby skończonym, gdyby nie najbardziej przypadkowy ze wszystkich przypadków, którego Słowacki użył, żeby dalszą akcyę zeń wyprowadzić! W pojedynku, Zbigniew przypadkiem przeciął w kieszeni Mazepy pieczęć królewskiego listu, Mazepa zagląda, otwiera, wreszcie czyta, i znajduje — rzecz prawdziwie nie do wiary. Oczywiście trzeba było Słowackiemu, żeby Mazepa został w zamku, żeby Wojewoda mógł wściec się z zazdrości, oskarżyć żonę i t. d. Do tego służy ów przypadkiem rozpieczętowany list, w którym zakochany J. Kazimierz poleca pazia wtrącić do turmy, i wydaje rozporządzenia do porwania Wojewodziny z domu męża. To dopiero prawdopodobne! Wierząc nawet, że interwencya J. Kazimierza w sprawie pani Radziejowskiej miała charakter romansowy, niepodobna jeszcze uwierzyć w to, żeby jakikolwiek król polski był śmiał porwać gwałtem, przemocą, żonę szlachcica i senatora, i kto jeszcze? Jan

Kazimierz, między Szwedami, Rakoczym i Kozakami! I urządza to porwanie tak po prostu, otwarcie, daje rozkaz komendantowi twierdzy, żeby jego romansowy plan wykonał! Nieszczęśliwie zaplątał się Słowacki w efektowe sytuacye; chciał koniecznie, żeby Mazepa był żywcem zamurowany i odmurowany, i żeby do tego dojść — musiał zbudować takie bezpodstawne rusztowanie przypuszczeń nieprawdopodobnych i niedorzecznych.

Z tego więc *przypadkowego* rozpieczętowania listu wynika, że Mazepa bojąc się o własną skórę, zostaje potajemnie w zamku. Chcąc się gdzieś ukryć, i Zbigniewa, z którym miał jechać, o bytności swojej uwiadomić, wchodzi *przypadkiem* do sypialnego pokoju Wojewodziny; chwilę po nim, *przypadek chce*, wchodzi tam Wojewodzina ze Zbigniewem; Mazepa, nie wiedząc kto idzie, kryje się w alkowie. Uważmy jak błaha, na jak wątłych podstawach i okolicznościach oparta jest cała katastrofa zamurowania. Nie wypływa ona ani z konieczności zawikłania, ani z motywów psychologicznych: naprzód te wszystkie przypadki, potem ta myśl, tak naturalna, że nic nie było łatwiejszego, jak uniknąć wszystkich dalszych okropności, bo gdyby Mazepa, usłyszawszy głos Zbigniewa, przyjaciela, był wyszedł z za firanki i powiedział, że go ważny powód w zamku zatrzymał, — nie byłoby ani zamurowania, ani bezwiednie fałszywej przysięgi Amelii, ani pojedynku. Te zaś sytuacye okropne, które następują, same przez się straszne, stają się w najwyższym stopniu dręczącemi przez to, że są nie konieczne wcale, pozbawione rozumnego powodu.

To co następuje, jest niezaprzeczenie bardzo smutne i bardzo efektowe, ale to nie prawdziwa i piękna patetyczność, to plątanina rzeczy strasznych i oburzających, w której zaplątanie i zawikłanie znaczy więcej niż nieszczęście lub wina działających osób. Wojewoda szpiegował żonę, robił na nią zasadzki z uzbrojonymi ludźmi: dobrze, to godne jego, to może być i psychologicznie prawdziwem, i historycznie

wiernem. Wyszpiegowawszy, że ktoś szedł w tę stronę zamku, wpada do pokoju Amelii: i tu zaczyna się nie do zniesienia zawiła i naprężona sytuacya. Sam fakt, mąż wpadający do pokoju żony z pachołkami, żeby szukać kochanka, już jest dość brutalny; ale gdyby ten mąż miał jakiś do zazdrości powód, byłby w swojej brutalności zrozumialszym i mniej rażącym. Powtóre, nim się człowiek do kroku takiego posunie, musi zapewne walczyć z sobą, musi mieć bodaj chwilę niepewności, musi mu przecież choć raz przejść przez głowę pytanie: a nuż to nie prawda, nuż ona nie winna? Wojewoda, który w drugim akcie żony nie posądzał wcale, teraz już ją osądził: ani przypuszcza, żeby mogła nie być winną. To jest prawdopodobne, z charakterem namiętnym i popędliwym może zgodne, ale w dramacie, to przejście z ufności do zazdrości powinno być przeprowadzonem, przynajmniej naznaczonem; inaczej figura jest niezupełna, niezrozumiała, a jak w tym razie, staje się ona nad wszelką potrzebę wstrętną. Figury złe i oburzające w poezyi rozumiem doskonale, nawet potwory, byle potworność ich przez rozumne traktowanie przedmiotu stała się prawdopodobną, jak u Ryszarda III, nawet u Franza Moora. Wojewoda, który nie miał być potworem, tylko zwyczajnym człowiekiem twardym, samolubnym, zimnego serca a namiętnego usposobienia, Wojewoda jest potworniejszym, bardziej nieludzkim od tamtych. Gdyby jedna u niego chwila walki, cierpienia, wahania przed faktem, gdyby jedna chwila wyrzutu po tem co zrobił, byłby przecie cokolwiek złagodzonym i odkupionym, miałby w sobie coś ludzkiego. Gdyby najmniejszy cień powodu do zazdrości, byłby poniekąd wytłómaczonym i choć cokolwiek uniewinnionym. Filip II nie należy do najsympatyczniejszych figur w historyi, ani do bardzo pociągających figur w poezyi, a jednak jak pięknym staje się Filip przez to, że ma tylko parę chwil cierpienia? po swojej nieprzespanej nocy naprzykład, albo kiedy zatruwany pomału podejrzeniami, które mu sączy Domingo, wybucha: Toledo ihr seid ein Mann! —

Albo kiedy w końcu sceny z królową ma chwilę wyrzutu i wstydu. To nie jest nieprawdopodobny, niemożliwy tyran, w którym nic ludzkiego niema, to jest człowiek, w którym jest i dusza, i intelligencya, i namiętność, i nawet chwilami sumienie, jest dusza nie dobra, ale zupełna. A do tego, Filip jest nierównie mniej od Wojewody wstrętny, bo jego zazdrość, choć niesłuszna, ma rozumny psychologiczny powód: on wie, że Don Carlos i królowa kochali się niegdyś, wie, lub przynajmniej ma prawo przypuszczać, że kochają się zawsze; inni go podszczuwają, dręczą, donoszą mu... Wojewoda w tem samem co on położeniu, między żoną i synem, zazdrosny bez powodu, zazdrosny nie o tego człowieka, którego jego żona kocha, bez jednej chwili czy to walki czy cierpienia czy wyrzutu, już byłby figurą w najwyższym stopniu wstrętną, nieludzką do największej przesady, nawet gdyby jego czyny i słowa były mniej wściekłe niż są. Z niemi staje się nie do zniesienia, estetycznie rażącym, a psychologicznie w zazdrości i wściekłości jednostajnej nieprawdopodobnym. Otóż, gdyby przed trzecim aktem, Słowacki był choć trochę tę rosnącą zazdrość pokazał, gdyby był Wojewodę wprowadził choć przez chwilę wahającego się między podejrzeniem a ufnością, byłby go przecież zrobił więcej ludzkim.

A koloryt uwydatnił jeszcze jaskrawo przesadę rysunku: nie dość, że żonę szpieguje, że z drabami wpada do jej pokoju, że nie da jej się tłumaczyć, że nie przypuszcza iżby mogła nie być winną, jeszcze mówi do niej w sposób który go robi coraz bardziej nie estetycznym.

(Z Aktu III Sceny IV).

WOJEWODA.

. . . . . Tu go Waćpani kozak za włosy wywlecze:
Będziesz ssać jego rany i całować w usta,
Położysz się na piersiach — lecz pierś będzie pusta,
Bo ja mu z piersi serce jak oko wyłupię.

Ja Waćpani pozwolę potem spać przy trupie —
Jeśli nie będziesz chciała — przywiążę jak sukę —
Ja dam niewiernym żonom okropną naukę!
Będą o niej pamiętać aż Polski nie będzie.
Waćpani będziesz słynąć w sławnych ścierek rzędzie —
Mną będą straszyć dziatwę...

To nie człowiek, i człowiek nieszczęśliwy, ale wściekły szaleniec, a w dodatku ogłupiały, niegodny gbur, w którym niema nic prócz najbrutalniejszej siły i zemsty.

Sytuacya już dość naprężona, przez takie wykonanie staje się wstrętną, a staje się strasznie dręczącą przez wszystkie zawikłania, które poeta jeszcze do niej dodaje. I tak zaraz pomyłka Zbigniewa, który myśli, że ojciec jego miłość odgadł, jego ściga, jego śmierci szuka; czytelnik także choć przez chwilę może się bać dramatu gorszego niż z Mazepą: autor umyślnie i długo tak dyalog prowadzi, że zdaje się zupełnie, jak żeby Wojewoda brał swego syna za kochanka żony.

Później, jest moment bardzo dramatyczny, kiedy Amelia przysięga, w najlepszej wierze, a krzywo, a Zbigniew stojąc przy alkowie słyszy za firankami jakiś mimowolny ruch, drgnięcie, oddech, bicie serca Mazepy. Ale zaraz potem scena staje się już zanadto zawiłą i okropną: w alkowie człowiek, którego żywcem zamurowują; na scenie kobieta, która przysięgła, że tam niema nikogo; a przysięgła krzywo; syn, kochający macochę, mający siebie za przeklętego i potępionego, ją za anioła, a od tej chwili przekonany, że to pospolita komedyantka; a wśród tego wszystkiego mąż i ojciec taki, że możnaby mu powiedzieć słuszniej niż Filipowi, możnaby żałować, że nie dostała się mu za żonę, kobieta, *bei welcher solche Mittel sich verlohnen.*

Wojewoda dotąd zły, bezrozumny, wściekły, nieludzki, w tej scenie staje się już nikczemnym. Wszak sam zażądał od Amelii przysięgi — mógł jej nie żądać, i odrazu alkowę

zamurować: ale zaproponować przysięgę, wysłuchać jej, a potem kiedy ta kobieta myśli że już rzecz skończona, wtedy nagle, znienacka kazać wznieść ten mur, a ją samą zamknąć w jakimś lochu, — to już nie zazdrość, nie zemsta, ale okrucieństwo, i to okrucieństwo nikczemne. Człowiek najdzikszy z jakiemś uczuciem honoru, męzkiej uczciwości, poszanowania swego słowa, tegoby nie zrobił. A zawsze, wszystko poświęcone temu *efektowemu* zamurowaniu i odmurowaniu — dotąd cały układ sztuki, teraz figura Wojewody, który staje się ohydnym. Zupełnie zaś już niegodnym takiego poety jak Słowacki, jest ten naciągany mizerny efekcik, kiedy Wojewodzina prosi o odmurowanie alkowy.

(Z Aktu III Sceny IV).

AMELIA.

Pozwól mi, nim alkowę zamurują —

WOJEWODA.

Aha!

AMELIA.

Ja muszę tam wejść mężu!

WOJEWODA.

Już Aśćka się waha?
A przysięgłaś!

AMELIA.

Ja muszę tam wejść nim dokończą.

WOJEWODA.

Jak Waćpanią Bóg złączy — ludzie nie rozłączą,
Gotowi zamurować.

ZBIGNIEW *(na stronie).*

Dzień sądu prawdziwy!

AMELIA *(pokazując na alkowę).*

Panie tam jest —

WOJEWODA.

Ha! — jest kto? i cóż?

AMELIA.

Tam jest żywy —

ZBIGNIEW *(na stronie).*

Kto? czy sam Król?

AMELIA.

Konterfekt mej nieboszczki matki!

WOJEWODA.

Na Boga ran siedmioro! — wybieg bardzo gładki!

Dodatek niegodny, wymyślony na to chyba, żeby sytuacyę już i tak męczącą, przeciągnąć jeszcze dłużej, i trzymać na torturach osoby dramatu i widza; rzecz, jakich w teatrze Wiktora Hugo pełno, ale to nie dramatyczność, tylko dramatyczny szarlatanizm.

W dwóch ostatnich aktach nie ma już takich błędów rażących. Wojewoda jest zawsze oburzający jednostajnością swojej wściekłości i swego zaślepienia, a najbardziej może kiedy ostatnią rozmowę Amelii z Mazepą bierze za schadzkę miłosną. Scena odmurowania, błogosławieństwo przed pojedynkiem, oczekiwanie strzału, powrót Wojewody z krwią syna na chustce, wszystko to jest także naprężone jak można najbardziej, ale już wypływa naturalnie, może koniecznie,

z sytuacyj poprzednich. W piątym akcie, zastawienie drzwi trumną biednego Zbigniewa jest znowu wyskokiem tragicznym w rodzaju *Lukrecyi Borgii*. Ale tu w zakończeniu, możnaby Słowackiemu zrobić zarzut dotychczasowym wprost przeciwny. Dotad grzebał on w najstraszniejszych sytuacyach do samego dna i bez miłosierdzia; tu, jedyny raz, kiedy należało sytuacyę rozwinąć, choćby tylko dla większej tragiczności, i kiedy rozwinięta, byłaby po części uczyniła zadość za poprzednie okropności, kiedy byłaby pomściła na Wojewodzie obrażony zmysł moralny, — tu Słowacki nie rozwija jej wcale i zbywa kilku słowami. Mówimy o ostatniej scenie Wojewody z Mazepą, kiedy ten odsłania mu prawdę. Mazepa jest w niej śliczny, ma prawo powiedzieć o sobie, że jest aniołem mścicielem: ale nie jest nim dosyć. Gdy się ma do czynienia z naturą tak grubą, z człowiekiem tak zapamiętałym, że sam nic zrozumieć nie jest zdolny, tak pozbawionym uczucia i sumienia, że sam sobie nigdy nic nie wyrzuci, to można i trzeba zastąpić mu rozum, uczucie i sumienie, i mówić do niego tak, ażeby przecie spostrzegł co zrobił. Słowa Mazepy „kochało się tych dwoje“, śliczne w swojej krótkości na początek, powinny były przejść w dłuższe opowiadanie, w wyrzuty, w tłómaczenie, że żona i syn przez niego, przez jego ożenienie nieszczęśliwi, byli czyści jak anioły, a o jego spokój i cześć dbali jak najlepsze dzieci; że jego szalona zazdrość, jego wściekłe obchodzenie, jego szpiegowanie niecne, sprawiły, że się syn zabił a żona otruła. Słowacki pozbawił siebie bardzo pięknej sceny, a Wojewodę jedynej chwili, w której mógł się jeszcze trochę podnieść. Gdyby żal, gdyby jeden wyrzut, możnaby się z nim choć cokolwiek pogodzić. Ale nie: jedynem słowem, na jakie się zdobywa, jest ta obietnica dla syna, że mu przebaczy:

(Z Aktu V str. VIII).

Powiedz, że to nieprawda — każ się deskom spaczyć!
Wstań! otwórz ty się trumno! ja gotów przebaczyć,

Jak mi do nóg upadniesz. — Łzy gotowe pociec —
O trumno! ja ci gotów przebaczyć — ja ociec! etc.

Jest więc Mazepa dramatem źle ułożonym, pełnym motywów powierzchownych, płytkich, pełnym scen przesadnie patetycznych, a przez to dobrych do melodramatu nie do tragedyi. Ma jedną figurę, której nie można zapewne nazwać chybioną, bo Słowacki chciał Wojewodę zrobić dzikim, twardym, samolubnym nieludzkim itd., ale w tych wszystkich własnościach swoich tak przesadzoną, że się stała ohydną i to przez realizm z jakim jest wykonana (realizmem bowiem są te grubijańskie obelgi, które Wojewoda mówi żonie), nie przez energię namiętności, — a poeta tego talentu co Słowacki powinien był i mógł znaleźć inne sposoby na oddanie wściekłości. Jest jedna jeszcze figura zupełnie chybiona: Jan Kazimierz. Ten Jan Kazimierz, zupełnie naprzód w sztuce niepotrzebny (bo jest tam potrzebny na to tylko, żeby Mazepa list jego przeczytawszy został w zamku, a to samo dałoby się jakim innym, prostszym sposobem osiągnąć), odgrywa tam rolę błazeńską, która się nie zgadza ani z powagą i smutkiem tej postaci, ani z tem co o niej mówi historya, ani z uczuciem, z jakiem się o nim myśli lub myśleć powinno. Król nieszczęśliwy a głęboko czujący, polityk mądry, dzielny generał, walczący wytrwale i odważnie w bardzo złych czasach za Polskę i z Polską, a zwyciężony w tej walce przez Polskę, gdy nieprzyjaciół zwyciężył, wart był za swoje nieszczęścia, za swoje wojenne i dyplomatyczne trudy, za swoje wielkie i zbawcze zamiary, a choćby za swoje mądre i prorocze przewidzenie przyszłości, żeby go szanować choć tyle, iżby nie występował przed parterem w śmiesznej postaci przeżyłego Adonisa, pięćdziesięcioletniego galanta, Don Juana bez wdzięku i sukcesu, starego Bartola, któremu się zdaje, że jest Almavivą. Nie żeby nie było w jego roli momentów choć krótkich ale zgrabnie pojętych — on się dobrze wita z Wojewodą i gośćmi, dobrze rozmawia

z Mazepą, kiedy sobie pacierze przerywa pytaniami, dobrze się żegna z Wojewodą, kiedy chcąc wyjeżdżać zmieszany i nie wiedzący co z sobą robić, prawi mu obojętne, wymuszone i oklepane kondolencyjne frazesa: ale jego rola przy Wojewodzinie jest śmieszna, a że jemu dana, więc jest przykra. Oprócz tego, jego projekt porwania Wojewodziny jest tak niedorzeczny, tak nieprawdopodobny, że staje się po prostu komicznym. Że więc Król w dramacie nie jest potrzebny, że owszem bez niego doskonale się obejść mogło, przeto i figura jego tem bardziej jest rażąca przez to, że jest zbyteczna, że się jej ciągle zadaje pytanie: „Co ty tu robisz? po co ty tu jesteś?"

Wykazaliśmy, jakie są błędy *Mazepy*, a przecież, pomimo naciągań w układzie, nienaturalności w akcyi, przesady w sytuacyach; pomimo, że jedna figura jest okropna a druga chybiona i nieprzyjemna do widzenia; pomimo że, jak z tych wszystkich wad wynika, *Mazepa* jest złym dramatem, — pomimo tego, jest zawsze piękny a czasem prześliczny.

W czem i dlaczego? Oto dlatego: że są w nim trzy postacie wielkiego uroku; dwa stosunki pełne poezyi i smutku; kilka scen bardzo pięknych, choć pięknych może lirycznym raczej niż dramatycznym pierwiastkiem; są ustępy, które liczyć się mogą do najrzewniejszych, najbardziej wzruszających Słowackiego wierszy. Te postacie, to Wojewodzina, Zbigniew, i sam bohater dramatu, Mazepa; te stosunki, to miłość Zbigniewa i Amelii, to przyjaźń nieszczęśliwego, smutnego Wojewodzica z lekkim i pustym Paziem; te sceny, to pojedynek w akcie drugim, pożegnanie w trzecim, opowiadanie Mazepy w czwartym, a nawet po części, choć może nie w tym stopniu, scena Wojewodziny ze Zbigniewem w więzieniu.

Nic smutniejszego, nic zarazem delikatniej, piękniej przeprowadzonego nad miłość Zbigniewa i Amelii. Sytuacya w najwyższym stopniu drażliwa: jest coś strasznego i zbro-

dniczego, coś oburzającego naturę i sumienie, coś fatalnego w takiej miłości, — miłości syna do żony ojca, kobiety do syna swego męża. *Weltgebräuche, die Stimme der Natur und Roms Gesetze verdammen diese Leidenschaft;* jest to jedna z tych namiętności, które traktowane w poezyi tylko cokolwiek niezręcznie i niedelikatnie, stają się tak wstrętnemi dla sumienia ludzkiego, że zmysł artystyczny, ulegając wrażeniom sumienia, znieść ich nie może. Nieraz jednak traktowali poeci tę sytuacyę, a z powodzeniem tylko trzy razy: Eurypides a za nim Racine w *Fedrze*, która nawet w swojem francuskiem przerobieniu jest, bądź co bądź, dziełem niepospolitem; Schiller w *Don Carlosie*, i Słowacki w *Mazepie*. Z tych trzech prób, najgorzej udała się próba Racina: pomimo artystycznego taktu, którego mu odmówić nie można, pomimo tego wzniosłego heroicznego zakroju, jaki dawał swoim figurom, — nie umiał on delikatnie oddać miłości macochy do pasierba, nie umiał odjąć jej charakteru oburzającego, owszem zrobił go tem bardziej oburzającym przez to, że miłość Fedry do Hipolita jest tylko szaloną namiętnością zmysłową. Za wymówkę służy mu to tylko, o czem sam nie myślał, że Fedra jest kobietą ze starożytnego świata; ją zaś ratuje walka, ratuje wyrzut i śmierć, co sprawia, że nie staje się ona odrażającą, ale zachowuje pewną tragiczną wielkość.

Don Carlos i królowa Elżbieta należą, i do końca świata należeć będą, do najpiękniejszych kreacyj poetycznych. Czasem zjawia się moda wyśmiewania ich, jako zbyt lirycznych i nieprawdopodobnych przez swoje marzenia o wolności: moda przejdzie, a tych dwoje ludzi szlachetnie cierpiących i ginących pod żelazną ręką króla Filipa zostanie zawsze jako para najwznioślej idealnych postaci w poezyi. Don Carlos i królowa są zupełnie niewinni: kochać się zaczęli kiedy mieli do tego prawo; kiedy ich przemoc i polityka rozdzieliły, nie mogli przestać się kochać, ale w tem położeniu strasznem nałożyli sobie prawo, które w nie-

szczęściu ratowało ich moralną wartość i godność, prawo milczenia, które Don Carlos zrywa raz tylko, królowa nigdy. Miłość ta skazana na nieszczęście z góry i na zawsze, pomału zmienia charakter, staje się wspólną miłością wszystkiego co dobre i piękne, która dla Don Carlosa jest obowiązkiem i uspokojeniem, dla królowej pociechą. Jeszcze raz powtórzymy: mało jest na świecie kreacyj tak pięknych jak Carlos — a przecież, u Słowackiego sytuacya ta sama przeprowadzona jest w sposób jeszcze delikatniejszy, jest smutniejszą, jest szlachetniejszą i wznioślejszą. Jako dramat *Mazepa* naturalnie nie może się mierzyć z *Carlosem;* jako figury, Amelia i Mazepa, naszkicowane tylko, mało rozwinięte, nie mogą mieć tej wiecznej sławy i tej piękności wykończonej, jaką ma Królowa i Carlos, którym zresztą ich rzeczywistość historyczna i stojąca obok nich ponura postać Filipa dodaje wiele poetycznego uroku: ale miłość między pasierbem i macochą, stosunek sam, jest tutaj piękniejszy.

Jak się ta miłość zaczęła? Przeszłość zakryła to zupełnie. Czy Zbigniew znał Amelię dawniej, czy ją kochał, a srogiemu ojcu wyznać tego nie śmiał? czy też poznał ją dopiero w domu ojca jako swoją macochę? — tego nie wiemy, i nic na tem nie zależy. Co pewna, to że Wojewoda, zgodnie ze swoim charakterem samolubnym i twardym, ufny w swój majątek i stanowisko wielkiego pana, dostał gdzieś od ojca, czy opiekuna, tę dziewczynę, której nikt o jej wolę nie pytał. Była więc Amelia, nim jeszcze Zbigniewa umiłowała, nieszczęśliwą; była żoną człowieka starego, którego nie kochała, i którego się bała. Była spokojna, mówiła sobie, że zostanie zawsze wierną i uczciwą, że będzie tego męża szanowała, — ale szczęśliwą nie była. To co o sobie mówi przy pożegnaniu ze Zbigniewem, że nie wie czego jej brak, a przecież szczęśliwą nie jest, — to nie jest prawdą w chwili kiedy ona to mówi, ale było prawdą kiedyś, przedtem nim poznała Zbigniewa. Pod ciągłym strachem, zagłuszona przez strasznego Wojewodę, tęskna, żyła w tym smutnym zamku

jak kwiat bez słońca, jak ptak zamagnetyzowany przez węża i nie śmiejący się ruszyć ze strachu.

Zbigniew żył zupełnie jak ona, nieszczęśliwy przez ojca. Dopóki w Padwie lub w wojsku, było mu lżej i swobodniej; ale gdy wrócił do domu, srogość tej nieubłaganej ojcowskiej woli i wściekłość temperamentu, którą jego brat niegdyś życiem przypłacił, ciężyły na jego sercu i życiu jak kamień.

Poznali się, nie mówiąc słowa zrozumieli, że są nieszczęśliwi i z winy tego samego człowieka, zaczęli się wzajemnie nad sobą litować. To był początek; reszta znalazła się łatwo. Zbigniew patrzał na ten czysty kwiat piękności i smutku usychający w żelaznych ręku jego ojca; Amelia porównywała więcej niż ich lata, rycerską, bohaterską, piękną duszę syna z twardą i zimną duszą ojca, i mimowolnie pomyśleć musiała, że z takim jak ten byłaby szczęśliwą. A do tego Wojewodzic „jak róża młody“, „wzór szlachetności i wdzięku“, rotmistrz pancerny, wsławiony może pod Beresteczkiem lub gdzie przy boku Czarnieckiego, ukazał się jej w tym zimnym, smutnym zamku jako świetna rewelacya wszystkiego, co w człowieku szlachetnem i uroczem być może. Powstała miłość. Zwykle dla ludzi pierwsze jej w swojem sercu odkrycie, pierwsze przed sobą samym przyznanie, jest szczęściem — dla nich inaczej: bo razem z miłością odkryli w swojem sercu zbrodnię i nieszczęście. I odtąd, jak dwoje aniołów, myśleli o tem tylko, żeby zbrodnia między nimi powstać nie mogła; jak dwoje męczenników znosili nieszczęście bez ratunku, bez nadziei, bez końca. Smutniejszej pary kochanków, smutniejszej miłości, a dusz piękniejszych nie wiedzieć gdzie szukać w poezyi. Zbigniew, mężczyzna, pierwszy zobaczył jasno, co się w jego sercu dzieje, i odważnie to sobie przyznał; zaraz, w pierwszej chwili, poddając się nieszczęściu, zrozumiał, że samo wyznanie takiej miłości jest już grzechem przeciw Bogu i przeciw ojcu, przysiągł sobie, że prócz niego nikt, nikt na świecie wiedzieć o niej nie może i nie będzie. Ale już od razu w samem jego milczeniu,

w tych słowach krótkich i zimnych, któremi się odzywa, znać, że to człowiek nie upadający, lecz umierający pod ciężarem smutku.

Amelia, która miłości nigdy nie znała, nawet o niej nie słyszała, nie mogła tak rychło jak on zrozumieć stanu swego serca, a do tego „w jej szafirowych oczach jego bogobojność zostawiła anielskość jeszcze i spokojność“; ona wie, że jej tajemnicy (nawet jeżeli sobie z niej dokładnie zdaje sprawę) nikt nie wydrze, nawet nie dotknie, wie, że Zbigniew, jeżeli ją nawet kocha, nie powie jej tego nigdy: więc smutna, ale spokojna, ledwie cokolwiek przestraszona, kiedy on dręczy się i cierpi jak potępieniec. Ona myśli, że to w jej głowie i sercu zła pokusa, którą odpędzać trzeba modlitwą; myśli, że to tylko nakazana i obowiązkowa przychylność dla syna, która przez pokusę przybiera jakieś kształty dziwne i straszne; ona jak może i dopóki może nie chce sama przed sobą wyznać, że to miłość: bo gdyby poznała i przyznała, jużby w swojem przekonaniu straciła niewinność duszy. A że jest kobietą, i zupełnie w tych rzeczach niedoświadczoną, więc łatwiej się łudzi, dłużej zachowuje choć względną spokojność.

Biedna Amelia! Sędziowie i krytycy nie lubią dotąd oddawać jej sprawiedliwości: zarzucają jej, że jest na tragiczną bohaterkę za nijaka, za bierna! Przyznają wprawdzie, że czynną być nie może: bo cóż i jak ona mogłaby działać? ale przecież czegoś od niej żądają. Czego? Chyba, żeby się więcej ruszała i więcej nad nieszczęściami swemi rozwodziła. Ale niechże wspomnieć raczą, że nietylko ludzie co wygrywają bitwy, knują intrygi lub zabijają drugich, są tragicznie żyjącymi i działającymi. Istota, która czuje i cierpi, może także — przez to, że cierpi i czuje — być tragiczną, choć niby nie działa, tylko los swój bez oporu przyjmuje. Amelia czuje i cierpi, i to tak głęboko, tak smutno, a tak szlachetnie, że nie mieć dla niej współczucia, nie uznawać jej jako figury poetycznej, jest niepodobieństwo — i to jest jej dzia-

łanie, jej patetyczność, jej tragiczny charakter. Czy Desdemona działa? nie — a przecież gdzie jest piękniejsza, sympatyczniejsza od niej postać kobieca w poezyi? Czuć i cierpieć wystarcza ideałowi tragicznemu jako działanie. Od pierwszego wyjścia na scenę, kiedy nieśmiała i zatrwożona boi się przyjazdu króla, jak gdyby przeczuwała coś złego, aż do śmierci, Wojewodzina jest tak doskonałem, tak pięknem wcieleniem instynktowej godności, tak pewnie a tak nieświadomie, tak naiwnie a tak nieomylnie stąpa *auf dem schmalen Pfand des Sittlichen*, że jest niezawodnie jednym z najpiękniejszych, najdelikatniej odrysowanych typów kobiety cnotliwej z natury, z urodzenia, której bądź co bądź, zło czepić się nie może. A choć się Amelią nazywa, jak z pewnością nie nazywała się żadna Polka za J. Kazimierza, jest bardzo wyraźnym i bardzo pięknym typem natury kobiecej polskiej. Namiętności niema w niej wcale, w jej miłości do Zbigniewa tego nikt nie dopatrzy: gdyby nawet Zbigniew był jej mężem, gdyby go kochać mogła, to i wtedy pierwiastek namiętny w miłości pozostałby obcy jej sercu i jej naturze. Jest to ideał kobiety dobrej, która się zepsuć nie może, nie potrafi: strzeże jej Bóg, strzeże sumienie i godność, strzeże wysokie pojęcie obowiązku, strzeże to wrażenie czystości i świętości, które ona na ludzi wywiera, jak dowód na Mazepie. Ma tylko jedną chwilę fałsznwą — kiedy naciąga swoje słowa, żeby zakończyć rozmowę z Królem nienaturalnym frazesem: „już mi widne czoło w koronie zimne i bezwstydne“. Myśl samobójstwa, w czwartym akcie, choć tylko przelotna, może także nie zupełnie z tym charakterem zgodna. Ale zresztą, czy jej prosta instynktowa godność kiedy rozmawia z Mazepą, czy skarga przed Królem, — wszystko, aż do nieświadomej ciekawości tak naturalnej, z jaką słucha opowiadania Króla o dawnej kochance, do tej naiwności, z jaką dziwi się, że zapomnieć można, aż do tej szpileczki, którą zgubiła, do tej książki do nabożeństwa, na której zapisała ten dzień jako zły dzień —

wszystko jest wysokie, wszystko uroczc, i wszystko polskie. W scenie kiedy przysięga, jest także bardzo piękna, a zawsze w najpatetyczniejszych chwilach, prosta jak dziecko, prosta jak prawda, prosta jak sama cnota. Zarzucają jej, że w scenie czwartego aktu mówi za mało: dla aktorki może to być wielką trudnością, ale błędem w dramacie nie jest. Cóż ona ma mówić, niewinna, kiedy pozory tak się strasznie na jej głowę zwaliły, kiedy wie, że jej mąż nie uwierzy, że się obronić nie potrafi? Co ma mówić kobieta, przywykła do milczenia i słuchania między mężczyznami?

W swoim stosunku ze Zbigniewem jest jeszcze wznioślejsza, mianowicie w scenie pożegnania. Ta miłość fatalna, rozpaczliwa, mocna jak śmierć, która przy ostatniem rozstaniu na zawsze, wyrazić się nie chce, bo wyznanie to byłoby zbrodnią i tylko mimowolnie przez udaną przyjaźń czasem przebija — jest to sytuacya jedna z najboleśniejszych a najsubtelniej skreślonych; obie figury najtragiczniejsze i najwznioślejsze jak być mogą. Piękna jest scena Królcwej Elżbiety z Don Carlosem, ale tu pożegnanie dwojga kochanków, z których ust słowo „miłość“ nigdy nie wyszło, jest wyższe i bardziej rozrzewniające. Wiele jest u Słowackiego pięknych, uroczych postaci kobiecych, ale mało takich jak ta *nijaka* i *bierna* Wojewodzina, mało takich w całej poezyi polskiej.

Jeden ton fałszywy w tej roli, to w końcu drugiego aktu lilia, którą dotyka Zbigniewa. W tej jednej chwili zakrawa na kochankę, bo to robić może tylko kobieta, która się z miłością swoją nie kryje. Pan Małecki tłómaczy to zboczenie w ten sposób, że jak zwykle u Słowackiego plan się zmieniał, że zrazu i wypadki i osoby miały być inne,— ta więc scena z innego niby planu weszła do tego, który pozostał. Szczęście, że ten pozostal, że Amelia jest taką jak jest, i że ten jeden tylko, bardzo zresztą drobny epizod, mąci cokolwiek doskonałą harmonię i jednolitość tej idealnej postaci.

Zbigniew, jeżeli być może, jeszcze piękniejszy od niej, jeszcze bardziej sympatyczny. Jest coś męzkiego i silnego

w jego upartem milczeniu: a przytem coś dziwnie delikatnego i czułego, coś kobiecego w jego uczuciu. Don Carlos ma przyjaciela, znajduje ulgę w wyznaniach, „na całym świecie, jak daleko sięga berło jego ojca, ma tylko jedną pierś, na której może oprzeć głowę i wypłakać się“, ale ma jedną — Zbigniew nie. To milczenie jego, stanowi jego szlachetność, jego piękność. Jak musiało być trudno dać dobrze do zrozumienia co on czuje, kiedy on sam mówi tak mało; bo nawet jego monologi są krótkie (akt I i IV), i oprócz tego, że krótkie, w porównaniu do innych scen więcej nieznaczące. A przecież ta dusza szlachetna, udręczona a zamknięta, stoi przed nami otworem tak, że ją na wylot przejrzeć możemy, że się ją widzi całą, z całym ogromem cierpienia i szlachetności. Najpiękniejsze chwile jego roli, to scena z Mazepą i pożegnanie z Amelią. Kiedy Mazepa pierwszy raz daje mu poznać, że odgadł jego tajemnicę, Zbigniew nie odpowiada, udaje że nie rozumie, tylko chce go zabić. A kiedy tamten zmiękczył, rozbroił go przyjaźnią, współczuciem, kiedy go rozrzewnił i wdarł się w jego ufność, kiedy Zbigniew już dłużej przeczyć niema siły: czy wtedy zwierza się, opowiada, narzeka, rozpacza? nie — przyznaje wszystko jednem słowem: *Pojadę z tobą.* Nie chce, żeby o tem ktokolwiek mówił, nawet człowiek którego kocha, który jeden na świecie zrozumiał go i był dla niego dobry. Słusznie też o nim mówi Mazepa, że „był wzorem szlachetności i wdzięku“.

W pożegnaniu z Amelią znowu to samo zachowanie. Ta scena cudowna jest bardzo krótka, a w tej krótkości jeszcze prawie cała zajęta słowami Amelii. Zbigniew odzywa się prawie tylko monosyllabami: nie wrócę nigdy — litości — i t. d. Co się w nim dzieje, poznaje się z jej słów i z poprzedniego przebiegu sprawy, i to wystarcza, żeby mieć dla niego tyle współczucia co dla Amelii, której cierpienie tak się pięknie przebija przez słowa przeznaczone na to, by je ukryć.

(Z Aktu III, Sceny III).

AMELIA.

Więc to ostatnie twoje ze mną pożegnanie?

ZBIGNIEW.

Tak, moja matko!

AMELIA.

Słyszysz słowików śpiewanie?
Chce mi się płakać — biedna ja! biedna!

ZBIGNIEW.

Dlaczego?

AMELIA.

Ja nie wiem — ja na świecie nie pragnę niczego,
A jednak ja nie jestem szczęśliwa; — Ja nie wiem
Co mi jest. — Siedząc teraz z tobą pod modrzewiem,
Zdało mi się, że jakaś okropna godzina
Dzwoni w nocnem powietrzu. Wczoraj moja sina
Szpileczka turkusowa, którą mam po matce,
Złamała się — to mała rzecz! — Lecz na okładce
Książki od nabożeństwa zapisałam sobie
Ten dzień, jako zły dzień. — Boże! zkądże przyszło tobie
Odjeżdżać? — Ty mi nigdy nie mówiłeś o tem.
Zostanę sama! — Lecz ty odjeżdżasz z powrotem?

ZBIGNIEW.

Nie, matko!

AMELIA.

Nie! Więc nigdy tu już nie powrócisz?

ZBIGNIEW.

Nigdy! nigdy już! nigdy!

AMELIA.

Żałośnie mi nucisz,
Jak szpaczek co jednego nauczony słowa,
Nie rozumie i gada.

ZBIGNIEW.

O matko! bądź zdrowa!

AMELIA.

Chodź tu! klęknij mi Wasze! — Cóż tak nieserdecznie
Żegnasz się? — I ty mówisz, że się żegnasz wiecznie!
Ja ciebie nie rozumiem! — Chodź — Czoło Waszmości
Okropnie zimne.

ZBIGNIEW (*klęka przed nią*).

Matko! o matko! litości!

AMELIA.

Milcz! milcz! Ja cię rozumiem — tak padłeś przedemną!
Waćpan przedemną strasznie upadłeś. Bóg ze mną —
Ja Waćpanu nie mogę nic — prócz łez — ja sama
Cierpię. — Idź Waść.

ZBIGNIEW.

Litości!

AMELIA.

Prócz łez. — Jaka plama
Dla mojej czystej duszy tak z Waćpanem gadać;
Ja gdybym rozumiała! — Nie chcę o nic badać —
Ja będę wiecznie Boga za ciebie prosiła.
Nie bój się, my niewinni: Bóg cierpienia zsyła,
Ale można spokojność wyprosić u Boga.
Ja pana żegnam wiecznie — ja jestem uboga,

Nie mam co dać mu prócz łez. To ciebie nie splami,
Że schylona nad tobą, obleję cię łzami —
Ty będziesz je pamiętał, te łzy! — Proszę! proszę!
Proszę te łzy pamiętać — i o mnie. — Ja znoszę
Wielkie męki, lecz proszę źle nie myśleć o mnie,
Bo to co teraz mówię, mówię nieprzytomnie —
Bądź zdrów!

ZBIGNIEW *(chce wstać i mdleje.*

W scenie zamurowania, we wszystkiem co mówi do ojca, jest imponujący cierpieniem i moralną wzniosłością. W więzieniu, kiedy Amelię przeklina, upokarza, kiedy miłość ukrywana dotąd mści się za swoje długie przytłumienie, — Zbigniew może mówi trochę za długo, może się czasem powtarza; ale ten wybuch namiętności jest silny i piękny, i jest potrzebny, bez niego byłby Zbigniew może zbyt sentymentalny.

Kiedy ludzie ruszają ramionami nad *Mazepą* i mówią, że to dramat zły, bo niema w nim głównej figury (nie jest taką ani Mazepa, ani Zbigniew, ani Amelia, ani Wojewoda): może mają racyę, może to wielki błąd. Ale jeżeli nie ma głównej osoby, to jest główna rzecz: jest nią miłość Zbigniewa i Amelii, — a piękność tego stosunku i tych dwóch postaci, choć może nie głównych, jest taka, że czyni zadość za wszystkie błędy dramatu i mimo wszystkich robi go pięknym [1]).

Ich dwojga godnym jest Mazepa: od obojga więcej wykończony, wycieniowany i może więcej jednolity. W tamtych dwóch rolach znajdzie się tu i owdzie coś niepotrzebnego lub niedoskonałego — ten jest od początku do końca prześliczny. Pełen życia, wesołości, fantazyi, Paź prawdziwy kiedy wchodzi do zamku albo kiedy rozmawia z królem, nie bez Don-Juańskiego zakroju i wdzięku kiedy rozmawia z Wo-

[1]) Jedyna rzecz, której żałować można, jest, że oboje kończą samobójstwem.

jewodziną, w scenie ze Zbigniewem jest sympatyczny i uroczy jak tylko można. Śmiały, dumny, rycerski, młody, idealny syn kozaczy — a przytem tak wysoko honorowy i tak szlachetnie dobry, tak szczerze i mądrze ratuje piękność tych dwóch dusz, na której poznać się umiał, taki jest miękki i pieszczący w swojem współczuciu dla Zbigniewa, a wcale nie płaczliwy i nie sentymentalny, że nie wiedzieć który z nich dwóch piękniej w tej scenie wygląda:

(Z Aktu II, Sceny IX).

MAZEPA.

Zbigniewie mój! z tym biednym kłócący się światem
Walką wrzącego serca — mój drogi! szlachetny!
Ty mi się podobałeś — ty w tym zamku świetny,
Jak rycerz dawnych czasów ująłeś mi serce!
Słuchaj! twój pożar jeszcze w maleńkiej iskierce,
A już cię strawił, już cię zwiędniałym uczynił.
Aniś ty jeszcze w niczem skalał się, przewinił —
W jej szafirowych oczach twoja bogobojność
Zostawiła anielskość dotąd i spokojność;
Lecz to nie potrwa wiecznie, to nie potrwa długo!
Wierzaj mi — ty być musisz twego losu sługą —
Bo nie możesz być panem — nie — to niepodobna.
Zostaw ją tu — jak róża kwiatami ozdobna,
Niech się błyszczy i cicho na słońcu przekwita —
Lecz ty uciekaj — ciebie już skrzydlami chwyta
Straszny duch ognia — tobie uciekać potrzeba! —
Wierzaj mi, są miłości bez gwiazd, Boga, nieba:
Te wkrótce zetrą serca na proch — tak go znudzą,
Tak splamią, tyle razy do niczego zbudzą,
Tyle razy w sen cichy ogłupienia wtrącą,
Że wreszcie źródło wspomnień na wieki zamącą.
To się i z tobą stanie...

A co za wspaniały kontrast skoncentrowanej, zamkniętej, głębokiej natury Zbigniewa, z tą wesołą, całą na zewnątrz, świetną i błyszczącą? Wspaniała para ideałów młodzieńczych.

Kiedy odmurowany opowiada swoją historyę, kiedy tak po prostu mówi, że bał się tej strasznej śmierci,

....Lecz jakże było wyjść? ona przysięgła;
Tej kobiecieby nigdy potem nie wierzono; —

kiedy poświęcenie swego życia dla cudzego honoru wydaje mu się rzeczą tak prostą: jest taki rycerski, taki piękny, że sam Bayard nie mógłby w tem położeniu znaleść się szlachetniej. W ogóle, to opowiadanie jest, obok jego sceny ze Zbigniewem i pożegnania Zbigniewa z Amelią, największą pięknością w dramacie.

(Z Aktu IV, Sceny V).

I długo ważąc w myślach owego wieczora,
Kogoby w mojej biedzie wziąć za protektora —
Albowiem mnie to wrogie groziło więzienie —
Wpadłem, bo tak nieszczęsne chciało przeznaczenie,
Do pokoju tej Pani. — Wtem słyszę
Ktoś nadchodzi — osób dwie — kilka słówek piszę
Na wachlarzu Jejmości, o prezencyi własnej,
Potem z trwogi do ciupy tej wpadam niejasnej
I zapuszczam firanki. — Moja dotąd wina!
Z Wojewodzicem była to Wojewodzina.
Jużem chciał łeb wychylić jak ryba z niewoda,
Gdy oto wpada z ludźmi zbrojny Wojewoda!
Krzyczy, grzmi, wietrzy — zwietrzył mię za tą firanką;
Już miałem wyjść i moją szabelką acanką
Drogę sobie otworzyć i wrota kozacze —
Lecz słucham — ona, Panie miłościwy płacze!
Ona, kiedy mąż wrzeszczy i tupie ciemięga,
Na krzyżu mu najświętszym Chrystusa przysięga,
Że mnie w alkowie niema! Jakże tu wyjść było?

Przysięgła — jam się kurczył i serce mi biło!
Już myślałem, że burzę przeczekam bez szwanku —
Wtem Wojewoda ludzi zawołał z krużganku.
Przyszli — ja słucham — włosy mi stają na głowie:
Każe mię kamieniami zawalić w alkowie!
Walą głazy — ja slucham — stosują do węgła —
Lecz jakże było, Królu, wyjść? — Ona przysięgła!
Tej kobiecieby nigdy wtenczas nie wierzono —
Nie wyszedłem! — Lecz jakże drżało moje łono,
Gdy usłyszałem już mur rosnący przedemną!
Zamurowali! — Ciszę uczulem podziemną —
W oczach stanęły różne młodości obrazy,
Wyciągnąłem przed siebie ręce, czuję głazy
Zimne, nieporuszone — zacząłem żałować,
Że się tak marnie dałem żywcem zamurować —
I zdjął mię strach — o głodzie pierwsza myśl nadbiegła;
Gdzie zajrzę — ciemność, czego się dotknę, to cegła,
I zdjął mię strach, i strach mi był bratem do końca. —
Nie wiem wiele tych godzin minęło bez słońca!
Jużem się rezygnował na wszelkie boleści —
Wtem słyszę — coś nademną jęczy, i szeleści —
Szukam, przebiegam ręką drżącą czarne ściany —
Znalazlem — to kanarek był zamurowany
I zdychający z głodu! — Te skargi pisklęce,
Trzepotanie się jego — gdy konał na ręce,
Taką mię zdjęły zgrozą — że padłem bez ducha.

W piątym akcie, kiedy zostaje sam z Wojewodą po odjeździe Króla, ma taki piękny pozór zimnej krwi i odwagi, kiedy „liczy na suficie szczerby“; w scenie z Amelią opowiada tak rzewnie śmierć Zbigniewa — że do końca utrzymuje się w równej wysokości. W ostatniej scenie, kiedy oburzony zatwardziałością Wojewody wybucha i przygniata go do ziemi odkryciem tajemnicy, jest wspaniały, bohaterski, bo on wie dobrze, że Wojewoda pomści się za każde jego

słowo — ale niech się stanie co chce, on przecie pomści tych, których tamten dręczył i o śmierć przyprawił. Słowo: „a ty wstałeś z trumny“ — krótkie, proste, nie pozorne, robi ogromne wrażenie, — wiele znaczy. Tylko w tej scenie szkoda, że się Mazepa nie rozgadał, że Wojewodzie nie powiedział wszystkiego co ma na sercu, za siebie, za Amelię, za Zbigniewa, i za czytelnika.

Rzadko jest spotkać u Słowackiego postać tak jednolitą i skończoną, tak do końca konsekwentną bez najmniejszej sprzeczności. Najbardziej wykończony, jest przez to najpiękniejszą figurą w dramacie i jest tak w swoich chwilach poważnych, jak w swoich chwilach wesołych i lekkich, postacią wielkiego wdzięku. Gdyby całość była taka jak figura Mazepy, jak Zbigniew i Amelia i ich stosunek, dramat ten byłby arcydziełem. Nieszczęściem psuje go Wojewoda, psują naciągania i przesady, tak, że pomimo swoich piękności *Mazepa* jest złym dramatem. Ale znowu jego piękności są takie, że czynią zadość za usterki, i że dramat choć zły, zawsze liczyć się będzie do znakomitszych dzieł dramatu polskiego, nawet jeżeli ten dramat stanie się bogatszym niż jest dziś; a ktoby z największą odrazą odwracał się od Wojewody, ten, jeżeli będzie miał cokolwiek zmysłu dla poezyi, będzie zawsze ze współczuciem, z sympatyą, z serdecznem rozrzewnieniem patrzał na Zbigniewa, na Amelię i na Mazepę samego.

2. Niepoprawni.

Może to dziwnie mówić bez powodu o dziele, które ogłoszone od lat ośmiu [1]), nowością dawno być przestało, a wielkiego zajęcia nie budziło nigdy, nawet kiedy było nowością. Nie mówiąc wiele, zgodzono się cichaczem na to, by je uważać za dziwne, jeżeli nie dziwaczne, i wyrzeczono nad *Niepoprawnymi* to fatalne *guarda e passa*, ten zabójczy wyrok obojętności, gorszej dla dzieł poetycznych od najsurowszej i namiętnej nagany. Od tego czasu nic też nie zaszło, coby oświeconej publiczności mogło było przypomnieć ten biedny dramat pogrzebany żywcem naprzód przez samego autora w rękopiśmie, potem przez nas w rzadko kiedy otwieranych tomikach jego pism pośmiertnych. Inne, *Beatrix Cenci* naprzykład, miały więcej szczęścia, dostały się na scenę, zwróciły na siebie uwagę; *Niepoprawni* dotąd w zapomnieniu. Dyrekcye teatrów wprawdzie odgrażają się od czasu do czasu, że sztukę tę przedstawią, ale zrażone trudnościami, zrażone błędami dzieła, które nie pozwalają liczyć na wielkie jego na scenie powodzenie, odstępują od zamiaru łatwiej niż go powzięły. Po cóż więc sprzeciwiać się temu wyrokowi i przypominać rzecz, o której się mówi z góry, że jest bardzo niedoskonałą? Kiedy sama na siebie uwagi zwrócić nie umiała, to żadna chęć ani usilność już jej tej usługi oddać nie zdoła: galwanizować to co nie żyje, rzecz próżna.

A jeżeli pomimo wszystkich chorób są tam iskry życia? pomimo wszystkich błędów wielkie piękności? Jeżeli nasza obojętność, która przeszła pogardliwie koło *Niepoprawnych* i ledwie na nich z góry spojrzeć raczyła, nie dostrzegła tego,

---

[1]) Drukowane w roku 1874.

że choć tak niedoskonałe, są przecież zajmujące? że w ich „niesfornym składzie“ kryją się typy współczesne, pełne prawdy; i zdrowej nauki, więcej nawet, że pod przybranemi nazwiskami, pod skromnemi pozorami, są tam wizerunki, a choćby tylko portety humorystyczne wielkich prawdziwie historycznych postaci? Czy wtedy nie byłoby warto dramatu tego z uwagą przeczytać i zachować go w pamięci? A gdyby nawet i tak nie było, to zawsze są *Niepoprawni* dziełem wielkiego poety, jednem z niewielu dzieł ubogiego dramatu polskiego, i z tego tytułu mają prawo, żeby o nich choć raz pomówić, choć raz ich osądzić. Dotąd, pomimo długiego przeciągu lat jeszcze im nikt tej sprawiedliwości nie wymierzył; niechże jej raz przecie stanie się zadość.

Jakiekolwiek są niedoskonałości *Niepoprawnych*, nie mamy prawa robić ztąd surowych zarzutów Słowackiemu, bo nie wiemy jakby był to swoje dzieło jeszcze odmienił i poprawił. Nie wydał go, zatem widocznie nie miał go sam za dość dobre do wydania, za zupełnie skończone i dojrzałe. Kto wie, czy to wszystko, co tam jest sprzecznego, rażącego, niewytłómaczonego, nie byłoby znikło pod ostatecznem dotknięciem ręki autora, kiedy obca ręka musiała oczywiście manuskrypt wydrukować jak znalazła, nic w nim nie tykając, nie ujmując, zwłaszcza nie dodając. Znając Słowackiego i jego górujące błędy, łatwo wprawdzie przypuścić, że gdyby nawet był sam dramat ten ogłosił, byłoby w nim zapewne zostało wiele niesktadności i niekonsekwencyj; ale przecież może mniej, może myśl byłaby lepiej dojrzała, a plan, przez rozwagę i niektóre poprawki byłby się wyrobił i ustalił. W najszczęśliwszym razie, kto wie, może całość byłaby wypadła tak szczęśliwie jak dwa pierwsze akty i z niemi w harmonii, a w razie najgorszym byłaby przynajmniej znalazła się jakaś harmonia, jakiś związek pomiędzy dramatem a jego tytułem. Z największem zaś uszanowaniem dla wydawcy Pism Pośmiertnych Słowackiego trzeba wyznać, że tytuł przez niego dorobiony nie odnosi się do żadnej z osób

ani do żadnego z wypadków dramatu. Dlaczego Niepoprawni? Kto Niepoprawny? Z czego miał się poprawić? Widząc ten tytuł, przypuszcza się naturalnie, że główną treścią dramatu będzie jakaś zatwardziałość czy w zbrodni, czy w złej skłonności, czy w nałogu, czy tylko w śmieszności: jakiś człowiek lub jacyś ludzie, którzy pomimo doświadczenia, pomimo gorzkich nauk życia, nic nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli, i że ta niepoprawność zaplącze ich w nieszczęście lub w kłopot, w dramatyczne kolizye lub w komiczne perypecye. Przyzwyczajony zaś przez wszystkich dramaturgów świata do tego, że tytuł ma związek z głównemi figurami i sytuacyami dzieła, przymierza i przykłada czytelnik przedewszystkiem ten epitet *niepoprawnych* do dwóch głównych osób dramatu, do Fantazego i do Idalii. Złem w nich jest skłonność i nałóg szukania wrażeń, poetyzowania własnego życia i siebie w swoich własnych oczach; jeżeli z czego mieliby się poprawić, to oczywiście z tego. Tymczasem ten zły zwyczaj nietylko na wypadki akcyi samej, a zwłaszcza na jej rozwiązanie nie wpływa, ale co więcej, w rozwiązaniu samem i Fantazy i Idalia zachowują się dość po prostu, jak ludzie dobrzy i szlachetni; wzgląd na drugich, honor, uczciwość, widoczne są w ich zachowaniu, więcej daleko aniżeli poetyzowanie siebie. Poprawieni oni nič są, i nieraz jeszcze w życiu do dawnego przyzwyczajenia powrócą, ale w tym razie przynajmniej ten ich zły zwyczaj nie zaszkodził nikomu, nie stał się powodem żadnego złego. Za cóż więc prześladować ich jako Niepoprawnych? Przymiotnik ten do nich nie przystaje, nie oddaje dobrze ich roli w dramacie. Jeżeli nie oni, to Niepoprawnym być może tylko hrabia Respekt i jego żona, bo ani jego córki, ani Jan, ani major poprawić się nie mają z czego. Te zaś dwie figury, trochę próżne, trochę płaskie, trochę śmieszne, nie są ani tak bardzo złe, ani tak w swojem złem zatwardziałe, żeby zasługiwały na tak poważny, trochę złowrogi przymiotnik. Zresztą, jeżeli ktokolwiek miałby być nazwany Niepoprawnym,

to trzebaby, żeby przedtem ktoś poprawić go usiłował, żeby on poprawić się nie dał, i dopiero żeby ten jego upór sprowadzał zawikłania i katastrofę sztuki. Tak jak jest, tytuł jest źle dobrany, do osób ani do wypadków dramatu niestósowny.

Dramat jest dziwny: zalet w nim wiele i bardzo niepospolitych; ale obok tego taka niejasność i niedojrzałość myśli, takie niewyrobienie i takie sprzeczności w planie, że dojść nawet trudno, co właściwie Słowacki chciał zrobić. Za co *Niepoprawnych* uważać. Czy to komedya? Kilka figur i ton całego prawie pierwszego aktu wskazywałyby, że pierwszy i jedyny raz w życiu Słowacki miał chęć napisania komedyi. Sam Fantazy nawet mógłby w niej figurować jako bardzo prawdziwy i nawet bardzo głęboki, bardzo świetny typ komiczny. Ale ten ton się mąci, ten charakter się miesza, kiedy się ukazuje na scenie sołdat Jan, niegdyś w Sybirskich śniegach zaręczony z Dianą, a teraz zjawiający się w chwili, kiedy rodzice wydają ją za innego, z rachuby; kiedy wychodzi Idalia, która także mogłaby figurować w komedyi ze swoją naturą, ale której miłość i smutek przemawiają językiem za poważnym, za wysokim na komedyę — zwłaszcza kiedy biedna Diana oświadcza Fantazemu, w jakim razie i dlaczego złamie przyrzeczenie dane sołdatowi, którego kocha. Wszystko to bardzo smutne: wszystko ostrzega, że pomimo Respekta, Respektowej, ironicznych żartów i komicznych narowów Fantazego, że ta akcya, która się zawiązuje, to nie wesoła i zabawna akcya komedyi, ale coś większego, poważniejszego.

Akt drugi utwierdza nas w tem wrażeniu. Jest cały smutny i coraz smutniejszy. Jan oddający Stelli pierścionek siostry, kiedy się dowiedział, że Diana idzie za innego, przymus jaki na nią wywarli Rodzice, jak się z opowiadania Stelli pokazuje, rozpacz Jana, Idalia błąkająca się wśród tego i nie wiedząca co robić: czy się zemścić, czy gardzić, czy może się zabić, — wszystko to zakrawa nietylko na

dramat, ale na tragedyę i zdaje się, że się czemś okropnem skończy.

Gdybyż było tak szło dalej jak dotąd! Niestety, pierwiastek komiczny wraca znowu, i wraca w najpospolitszy, najbardziej zużyty sposób. Qui pro quo — pani Rzecznicka porwana przez Czerkiesa zamiast Idalii: jakaś śmieszna, czerwona, tłusta, stara baba na siodle w objęciu bisurmana, parodya ponurych ballad jak Leonora albo jassyrowych epizodów, to nie komedya nawet, ale farsa, karykatura. Ale zaledwo się to stało, wraca dramat. Dyana zobaczyła gdzieś kochanka, zemdlała; Jan nieszczęśliwy chce wracać na Sybir z rozdartem sercem; co gorzej Fantazy ma sobie życie odebrać. Jego ostatnie chwile (bo istotnie ma je za ostatnie) są znowu przedstawione ironicznie, znowu, pomimo poezyi jaka jest w słowach, a dramatyczności jaka jest w sytuacyi, znowu pierwiastek komiczny odzywa się bardzo wyraźnie: przerywa go ewenement niespodziany, a znowu tragiczny — samobójstwo Majora, a rzecz cała kończy się najspokojniej w świecie, jak wszystkie komedye, *fein bürgerlich*, jak mówi Wallenstein, weselem.

A gdyby powiedzieć, że Słowacki nie myślał ani o komedyi ani o tragedyi, ale chciał napisać sztukę w tym rodzaju mieszanym i fałszywym, który tragedyą nie będąc i na koturnie chodzić nie umiejąc, a przecież mając pretensye do tragicznego wrażenia, nazwał się *dramatem*, dramatem z potocznego życia, czemś pośrednim, co ani komedyą ani tragedyą nie jest, to i to jeszczeby *Niepoprawnych* od ostrej nagany uratować nie mogło. Był w nich materyał i był zakrój na doskonałą, świetną komedyę, pełną typów oryginalnych, prawdziwych i komicznych. Był tak samo materyał i zakrój na tragedyę, najrzadszą ze wszystkich, tragedyę w powszedniem życiu i w najprozaiczniejszych stosunkach, ale na tragedyę prawdziwą. Autor ani z jednego ani z drugiego nie skorzystał, przeszedł mimo tych bogactw nie podniósłszy ani jednych ani drugich, nie skorzystawszy z nich,

a zrobił coś trzeciego, pośredniego, co ani tragedyą ani komedyą nie jest, a jako mieszany *Dramat* jeszcze także dobrem nie jest. Bo nie wiążąc się wcale estetycznym rygoryzmem, nie sądząc, jakoby dzieło jakieś miało być złem dlatego, że pod nasze utarte definicye nie podpada, trzeba przecież od każdego żądać, naprzód, żeby sprawa rozpoczęta w pierwszym akcie, rozwiązywała się w ostatnim jako ta sama, przez tych samych ludzi, z temiż samemi raz im danemi charakterami; powtóre, żeby ona rozwijała i rozwiązywała się jasno, naturalnie, zgodnie z temi charakterami, i sama z siebie. *Kupiec Wenecki* naprzykład nazywa się komedyą wprawdzie, ale czy nią jest? Że nie jest tragedyą, to pewna; że się szczęśliwie kończy, to jeszcze prawda. Ale jest w nim sytuacya na komedyą za straszna, namiętność i patetyczność jednej postaci na komedyę za wielkie, i *Kupiec Wenecki*, choć prędzej niż *Niepoprawni*, mógłby za komedyę uchodzić, nie jest naprawdę ani tragedyą ani komedyą. A przecież jest jedną z doskonałości nowożytnego teatru. Tylko tam każda figura i każdy stosunek utrzymuje się w tem świetle, w tym tonie, weselszym czy groźniejszym, w jakim się ukazuje od początku; zboczenia, złamania czy figur czy sytuacyi takiego, że dwie połowy już się potem dobrze złożyć nie dadzą, tutaj nie ma: Shylock jest sobie wierny do końca, sytuacya Antonia do końca smutna i groźna. A gdyby, dajmy na to, przed czwartym aktem Porcya była oznajmiła, że znajdzie radę na Shylocka, gdyby Bassanio, Gratiano, wszyscy przyjaciele kupca i on sam stanęli przed sądem już z przekonaniem, że żyd źle wyjdzie na swoim procesie, czy wtedy rzecz nie byłaby zepsutą? czy Shylock z figury bardzo potężnej i strasznej swoją nieubłaganą namiętnością nie stałby się figurą śmieszną, wystrychniętą na dudka? czy czwarty akt nie byłby zupełnie złym, zupełnie niezgodnym, w rażącej dysharmonii z poprzedzającym? Oczywiście. Otóż w *Niepoprawnych* nastąpiło takie złamanie akcyi, takie wyskoczenie jej z jednej kolei, a prze-

skoczenie na drugą, i dlatego całość, jakąkolwiek zechce jej kto dać nazwę i definicyę: komedyi, tragedyi czy dramatu, zawsze jest złą: po przełamaniu dwie połowy akcyi przystać do siebie nie chcą, ciągłość i jednolitość jest zepsuta bez ratunku.

Być może, że gdyby Słowacki był sam raz jeszcze dzieło to wziął do ręki, byłby te wszystkie błędy usunął. Jeszcze raz, surowo go za nie sądzić nie można, bo nie uznawał sztuki za dobrą widać, kiedy jej nie wydał. Ale błąd ten, ten defekt organiczny jest w *Niepoprawnych*.

A szkoda! Jest tam tyle rzeczy pięknych! Tyle obserwacyi bystrej i trafnej, tyle żyłki komicznej, tyle zmysłu krytycznego, że trudno nawet uwierzyć, że ten Słowacki, marzący i rozmarzony, żyjący zawsze w fantastycznych światach wyobraźni, tak umiał patrzeć na to, co koło niego żyje w świecie rzeczywistym. Nie mówiąc już o śmiesznościach Respekta i jego żony, które oddane są z wielkim humorem, ale Fantazy i Idalia, to dwa typy wielkiej wartości, wielkiej psychologicznej prawdy, których słabość nie łatwo było odkryć, a trudniej jeszcze przedstawić tak, żeby pomimo śmieszności swoich nie byli śmiesznymi, żeby przez delikatną ironię z jaką ich autor rysuje, znać było, że to nie powszednie, nie tuzinkowe indywidua, ale natury niepospolite, głowy myślące i rozumne, dusze czujące i szlachetne. A to wszystko zrobił Słowacki ślicznie; oprócz tego wprowadził dwie wdzięczne główki dziewczęce, szczebiotliwą Stellę przy Dyanie głębszej, poważniejszej, dojrzałej pod wpływem uczucia i smutku; oprócz tego jest ten Jan zajmujący swojem położeniem, sympatyczny przez swoje słowa i zachowanie, Jan, z którego mógł być śliczny bohater romansu, — i te wszystkie piękności liczne i wielkie, zepsute, zmarmowane? Nie w tym sensie, jakoby każda z tych figur była zepsutą, nie; figury bowiem wszystkie trzymają się nie źle do końca, ale zmarnowane i zepsute przez to, że wpędzone w sytuacye bądź fałszywe bądź obojętne i niepotrzebne, nie mogą się należycie rozwinąć, nie

mogą się pokazać z całym zasobem psychologicznej prawdy lub poetycznego wdzięku, jaki w nich jest.

Układ sztuki, jej treść, przekona o tem najlepiej, pozwoli palcem wskazać miejsce, w którem Słowacki poszedł bez rozwagi za jakimś nowym pomysłem, za jakąś sytuacyą, która mu się sama nie wiedzieć zkąd nasunęła, wziął ją do swego dramatu; z raz przyjętej musiał dalszy przebieg sprawy dalej rozwijać, i w ten sposób zepsuł rzecz ślicznie zaczętą.

Hrabia Fantazy, młody, bogaty, niezawodnie z bardzo arystokratycznego rodu, powierzchowności zapewne pięknej, a w każdym razie, co lepiej, niezwykłej, chce się żenić. Dla czego? Z nudów, z chęci odmiany, z ciekawości wrażenia, którego nie był w życiu doświadczył. Hrabia bowiem widział już wszystko, wszystkiego doznał i wszystko mu się sprzykrzyło. Wrażenia piękności, w naturze czy w sztuce, wyczerpał do dna; miłość? zna ją także, przynajmniej tę, którą wzbudzał. Mniej zapewne tę, którą sam był czuł, bo był z ludzi, którzy żądają raczej być przedmiotem miłości i uwielbienia, niż wielbić i kochać; ale widok i wrażenie istoty ludzkiej, której szczęście i życie zawisło od jego dobrej woli, kobiety, której serce drga w jego ręku rozkoszą lub bólem podług jego upodobania i kaprysu, to on zna. Używał nieraz z rozkoszą na wzruszeniu, jakie kobietom dawał, używał na tem, że był przedmiotem zakochania, zachwytu wyobraźni, szału zmysłów, a sam przytem raczył w części tych wrażeń doznawać; serce nie wiele zapewne czuło i cierpiało, ale wyobraźnia zarażała się uniesieniem albo je w siebie wmawiała, dostrajała się do niego. Można być pewnym, że tajemnicze samotne pobyty z eterycznemi blondynkami jasnemi i ulotnemi jak anioły, z brunetkami pięknemi jak marmury, a namiętnemi jak pożar, gdzieś nad błękitami mórz i jezior, wśród Alp niedostępnych, albo na wyspach Egejskiego morza, w grotach ukrytych jak ta, gdzie Hayde znalazła Don Juana, albo w weneckim pałacu, tym samym, gdzie mieszkał Byron z panią Guiccioli, można być pewnym, że epizodów takich

było w życiu Fantazego wiele, aż mu się wreszcie sprzykrzyły. Podróże? Gdzież on nie był i czego nie widział! chyba księżyc i słońce mogłyby jeszcze skusić go nowością. Nawet sława, ta przyjemność, która ze wszystkich najtrudniej się przejada, nawet ta już jego nerwów nie drażni ani nie głaszcze. Fantazy jest poetą: w gruncie sam w swoją poezyę, w swoje natchnienie wierzy. Ale powodzenie i oklaski, to codzienna, powszednia, jednostajna strawa, którą nakarmiono go tak do przesytu, pochlebiano mu tyle i tak niezręcznie, tak nierozumnie, że z powodzenia i sławy on ma prawo żartować, a żartuje nawet, przynajmniej na pozór, i ze swojej poezyi samej. Jest więc już wrażeniami przesycony, a jeszcze wrażeń chciwy; myśl o ożenieniu zaostrzyła jego ciekawość: to coś, czego jeszcze nie doznał, nie doświadczył, to coś nowego; co to jest? warto zobaczyć. I dając się niby powodować panu Rzecznickiemu, na prawdę powodowany tylko znudzeniem i nieokreślonem pragnieniem czegoś nowego i nieznanego, wybrał się po żonę.

Kto jest pan Rzecznicki? Przyjaciel Fantazego? on tak mówi, tak udaje, w gruncie zapewne tak nie myśli. On może być Fantazemu usłużnym, może mu być potrzebnym nawet, ale wspólnego niema między nimi nic. Praktyczny, trzeźwy, w interesach niezawodnie obrotny, sprytny, Rzecznicki czasem Fantazego bawi, czasem za młodego arystokratę i poetę, który rzeczywiście majątkiem swoim trudnić się nie raczy i nie umie, spisuje kontrakty, układa wypłaty i t. d. przytem bywa w jego domu na stopie dość poufałej. Może jeździ z nim razem za granicę, może na ulicy chodzi z nim pod rękę, tak że wszyscy, nawet służący Fantazego, mogą ich mieć za przyjaciół, wszyscy, — oprócz ich dwóch. Rzecznicki, niegdyś Patron przy jakimś trybunale zapewne, dziś właściciel dóbr ziemskich, bogaty, używający konsyderacyi w okolicy, Marszałek Powiatu, Rzecznicki dorobkowicz, będzie może nieodstępnym nierozłącznym towarzyszem Fantazego, nie będzie mu nigdy równym. Jego przymioty i jego wady są

tamtemu zarówno antypatyczne. Natura Fantazego wzdryga się na ten spryt oszczędny i wyrachowany, z którego pomocą Rzecznicki doszedł do majątku i stanowiska: ze stanowiska tego Fantazy się śmieje, kiedy go nikt nie widzi. Majątek, trzeba powiedzieć na jego pochwałę, nie imponuje mu: ma w jego oczach może cenę mniejszą aniżeli mieć powinien, ale z pewnością nie większą. Wyobraźnia Fantazego, jego poetyczne aspiracye, i gorące, wysokie popędy jego serca, odwracają się ze wstrętem od tego stworzenia, które zna i rozumie tylko rzeczywistość, któremu mówić o piękności, o sztuce, o poezyi, o miłości, o poświęceniu, to rzucać groch na ścianę. Przytem Rzecznicki choć na swoje ubranie wydaje tyle lub więcej jak Fantazy, choć się przyzwyczaił do wszystkich form eleganckiego świata, na prawdę, w gruncie, dobrze wychowanym nie jest. W salonie zachowa się jak inny, nie zrobi nic rażącego: ale po za salonem, kiedy go ludzie nie widzą, czy swego służącego nie targa za uszy, nie bije w twarz, nie prześladuje o każdą resztkę wina pozostałą na dnie butelki? a przytem, w panu Marszałku pozostało zawsze coś stręczyciela, coś faktora; wykwintna arystokratyczna i poetyczna natura Fantazego wzdryga się i otrząsa na grubszą naturę Rzecznickiego. Znosi go jeżeli potrzeba, używa go jeżeli potrzebuje, ale z nader subtelnym i delikatnym taktem umie, dopuszczając Rzecznickiego do pewnych pozorów zażyłości, w samych tych pozorach trzymać go od siebie w nieskończonej odległości, i nigdy na prawdę zbliżyć się do siebie nie da. W całym dramacie niema jednego słowa, któreby wskazywało, że Słowacki długo nad tym stosunkiem myślał, że rozważał, układał, kombinował, zadawał sobie nad nim choć trochę pracy. A przecież stosunek i kontrast tych dwóch ludzi stoi przed nami tak wyraźny, że się pomylić nie można, tak zupełny, tak prawdziwy i doskonały, że się lepiej określić nie dał.

Jedna rzecz cokolwiek do zrozumienia trudna, to że Fantazy dał się swatowi swemu zawieść w dom hrabstwa

Respektów. I ludzie sami ze swojemi śmiesznościami, ze swojemi konwencyonalnemi frazesami, konwencyonalnemi uczuciami, takiemiż rozumami, sposobem myślenia i życia, i ich położenie, całe to upokarzające kuglarstwo złoconej nędzy, musi Fantazego okropnie razić, korcić i nudzić. On jest wyższym od nich nietylko naturą i intelligencyą, ale gustami, zwyczajami i formami życia. W hierarchii arystokratycznej musi także stać od nich wyżej, i za jednego jakiego biednego senatora, którego w rodzie może mieć Respekt, on ma całą litanię kanclerzy i hetmanów. Że Respekt uważa go za ideał zięcia, to naturalne: mniej to, że on, szukając żony na zimno, szuka jej w domu Respektów. Pod wpływem miłości, lub wyobraźni, Fantazy bez chwili wahania złożyłby swoje herby i miliony jak książęta z bajek u nóg jakiej Oślej Skóry albo Cenerentoli: ale nie kochając, nie znając nawet, wchodzić nie wiedzieć po co w alians z Respektami, to niepodobne ani do jego arystokratycznej dumy, ani do jego estetycznej natury.

Ale, czy może Fantazy dojrzał gdzie przedtem te panny i był ciekawy poznać je? czy też Rzecznicki tak zręcznie rzecz prowadzić umiał? dość że jest Fantazy w domu Respektów.

Co za dom antypatyczny! a co za wyborne figury! jak po mistrzowsku schwycone *des Lebens flach alltägliche Gestalten!* Hrabia Respekt był na Sybirze. Za co spotkał go ten honor? Nie wiedzieć. Honor dla niego oczywiście za wielki. Najpewniej dostał się on tam bez swojej zasługi i winy, przez samą swoję małość. Było jakieś powstanie (roku 1830 zapewne); Respekt do niego nie należał, broń Boże, bał się Moskali. Ale bał się równie i Polaków, i czy to w jakiemś zgromadzeniu ze strachu wypalił frazes jaki patryotyczny, czy na włosach, które mu jeżem stawały na głowie, zasadził na bakier drżącą ręką wielką zawiesistą czerwoną konfederatkę: dość, że naraził się rządowi rosyjskiemu jakimś drobiazgiem, i ukarany tem surowiej, że był marszałkiem powiatowym, a może nawet guberskim, poszedł na Sybir.

Że zaś nie niebezpieczny wcale, zatem mniej od innych prześladowany, wrócił na Ukrainę czy Podole, i ciągnął tam dalej swoją przedsybirską exystencyą. Człowiek jakich wszędzie u nas pełno: nie zły, ale na wskróś tuzinkowy. Jako Polak, jako ojciec rodziny, jako obywatel, we wszystkiem zawsze powierzchowny, płytki, tuzinkowy. Można go widzieć przy zjazdach i wyborach jak się do łez rozczula wnosząc kolejnym kielichem *kochajmy się*, a dodając do tego pociechu patryotyczne alluzye i nadzieje; można go widzieć zrana, bardzo uniżonym przed żydem, którego prosi o przedłużenie wekslu. Słowo *po naszemu, po polsku,* zawsze na jego ustach: w obejściu z sąsiadami serdeczny *brat szlachcic*, bo o popularność się stara, a niepopularności boi, wszystkiem, sposobem życia, urządzeniem domu, wychowaniem dzieci, kroi na wielkiego Pana. O *respekt* ludzki zwłaszcza dba nad wszystko, a dba źle, nierozumnie. Zdaje mu się iżby go stracił, gdyby cokolwiek w swoim domu i sposobie życia zmienił: gdyby się ograniczył w wydatkach, gdyby miał mniej służących w liberyi, albo *dziką promenadę* swojego ogrodu zamienił na pole. Ale nie wstydzi się tych służących nieregularnie płacić, ani tego, że rachunek krawca za tę liberyę od dawna czeka jego zmiłowania (mniejsza o to, ludzie o tem nie wiedzą): nie czuje tego że śmieszne są i bolesne te pozory świetnego życia, kiedy wszędzie przegląda przez nie kłopot jeżeli nie niedostatek, i gra wieczną komedyę, prowadzi ustawiczną walkę ze swoją kieszenią, która zawsze pusta, na rzeczy potrzebne jest zamkniętą, ale na niepotrzebne a pokaźne wystarczyć musi. Nie zły zatem, jest sobie i swoim bardzo szkodliwy, o respekt bardzo dbały, jest płaski i bez godności, a serdeczny, wylany, i *po polsku* poczciwy, jest na prawdę poczciwcem dość fałszywym: i kiedy chodzi o szczęście córki lub o jego pieniężny interes, tam córka musi ustąpić, ratować pozory, jego w świecie stanowisko. Byle on mógł dalej grać tę samą komedyę, niech ona się poświęca, jemu to wszystko jedno.

I znowu Słowacki nie opowiada historyi ani charakteru tego człowieka, a znowu człowiek stoi przed nami cały ze swoją naturą i historyą, jako typ bardzo częsty, bardzo prawdziwy, skreślony prawie od niechcenia, a tak wyraźnie i trafnie, że się go poznaje od razu jak starego dobrego znajomego, którego się sto razy w życiu spotkało.

Hrabina jego żona, lepsza zawsze od niego. Lepsza dla tego, że pojechała za nim na Sybir; mogła była tego nie zrobić, duszy miała więcej jak on. Ale też na pozór więcej jak on śmieszności. Poczciwa kobieta w gruncie, ale niemądra, a komiczna sprzecznością swojego parafiańskiego obejścia i rozmowy, z pretensyami do najwykwintniejszej znajomości świata, i dystynkcyi! Hrabina skazana skutkiem majątkowych komplikacyj na siedzenie na wsi, chce być *au courant* wszystkiego co się w świecie dzieje, a przytem chce być kobietą wyższą i *dystyngowaną*, nadewszystko *dystyngowaną!* Z Berdyczowa sprowadza najświeższe francuskie romanse, z Warszawy mody i plotki. Do tego ma wyobraźnię poetyczną, ma literackie wykształcenie, otacza się poezyą, w ogrodzie ma kaskady i krzyże „umyślnie krzywe“, chodzi do trzech kurhanów i tam usiadłszy marzy, ukraińskie podania i francuskie romanse sąsiadują z sobą w jej ogrodzie i rzucają nań jakieś poetyczne światło, dając z siebie nazwę ulubione jej widokom i miejscom spoczynku. Na prawdę hrabina, choć rzetelniej od męża dobra, nie jest od niego poetyczniejsza wcale; pozytywna i wyrachowana jak on, a że rozumu ma mniej od niego, więc trudniej niż on strzeże się śmieszności w rozmowie lub postępowaniu.

Jakim sposobem tych dwoje ludzi ma takie córki? są czasem dziwne kaprysy natury i losu. U tych dwojga rodziców pospolitych, płaskich, płytkich, próżnych, niemądrych, wyrosły i wychowały się dwa kwiaty odmiennego, ale równego wdzięku, Dyana i Stella. Najszlachetniejszy sposób myślenia, uczucia najwznioślejsze i najdelikatniejsze rozumy, godność wrodzoną a prawdziwą, w postępowaniu takt sub-

telny i wykwintny, słowem wszystko co mieć może najwyższa i najbardziej urocza kobieca natura, to mają te dziewczęta. Nie z ojca ani z matki oczywiście: dał im to Bóg, a wychowały się same. Może po części i Sybir, na którym były z rodzicami, smutek, wygnanie, przykrości; może ten skazany kosynier, którego tam przypadkiem spotkały, a który nie chcący nawet, samą swoją historyą, samem zbliżeniem do czegoś wyższego i piękniejszego, mógł rozbudzić w nich myśl i rozwinąć co miały w duszach szlachetnego. U starszej rozwinął i coś więcej: nauczył ją tego „słowa któremu nie ma na świecie równego“. Śliczny romas: Bohater w szyneli, w dziurawych butach, z karabinem na warcie, pod groźbą pałek, zmarznięty, głodny, nędzny: bohaterka wychuchana w sztucznej konwencyonalnej atmosferze przez pretensyonalną matkę i guwernantkę francuskę, dziewczyna, która nietylko okiem ale myślą nigdy po za swój ciasny świat nie wybiegła, a teraz zbliżają ich wypadki życia. Dziewczyna poznaje instynktem bohaterską duszę pod tą szynelą sołdata, który już był gotów do końca życia zapomnieć o tem, że nie zawsze sołdatem bywał i zmarznąć gdzieś w śniegach; o powrocie, o szczęściu, o lepszej chwili w życiu nawet nie marząc. Ona jemu ukazała się jak anioł z nieba w tem piekle wygnania i żołdackiej służby, on jej jak anioł także, anioł szlachetności, męztwa, i nieszczęścia, w tym zimnym powszednim świecie w którym żyła: — i jakiś śniegiem zawiany sybirski kawałek lasu czy drogi, rozjaśnił się i rozkwitnął na chwilę jak pełen słowików i granatów ogród w Weronie, kiedy sołdat w dziurawych butach niegdyś wzięty z kosą w ręku pod Ostrołęką, kładł na swój skostniały palec pierścionek pięknej, wypieszczonej, w dostatkach chowanej Ukrainki.

Po tych zaręczynach Dyana przestała być swobodną i dziecinną. Miała o czem myśleć, miała się czem smucić, miała się z czem taić nawet, i tak pod wpływem tej miłości, tej myśli o dalekim a nieszczęśliwym narzeczonym spowa-

żniała, że robi wrażenie nie młodej dziewczyny, ale kobiety z charakterem zupełnie ustalonym, i duszą silną, głęboką, cierpiącą, a w sobie zamkniętą.

Stella na swoje szczęście nie spotkała dotąd jeszcze żadnego kosyniera ani ułana, i zachowała całą dziecinną swobodę. Prześliczne stworzenie, złożone z naiwności i żywości, jasne i wesołe jak promień słońca; robi się pogodnie i lekko kiedy wejdzie i zaśmieje się. Naiwnej dziewczynki tak ładnej, tak uroczej jak ona, trudno znaleść. Szczebiotliwa jak kanarek, dziecko wielkie, trochę ciekawe, już dowcipne, wyrobi się kiedyś na kobietę niepospolitą: ma głowę, i ma serce, choć sama jeszcze tego nie wie i nie czuje. Takie jeszcze dziecko, taki trzpiot, że przy siostrze, wiedząc o jej tajemnicy, pyta o pana Jana i nad nim się zachwyca, nie zważając, że tamta może się zdradzić, i że w każdym razie wspominać Jana kiedy ją zmuszają iść za innego, i to jeszcze przy ludziach, jest małem okrucieństwem. Podejmuje się z dobrego serca, i z nieuwagi, ułatwić Janowi widzenie się z Dyaną; o wyspie Matyldy i o trzech kurhanach powtarza wiernie wszystko co słyszała od matki, jeszcze się nie zastanowiła, że to śmieszne; zlękłszy się Baszkira radzi sobie bardzo naiwnie: *proszę ztąd iść, bo ja tu jestem sama*, wielkie jeszcze dziecko! Ale ma wiele dziecinnej gracyi, kiedy się *wszystkim łasi* jak mówi Fantazy, a wiele wesołości i śmiechu i *coś dyabełka*, kiedy figluje i szczebiocze. A kiedy biednemu Sybirczykowi opowiada o przymusie wywartym na siostrę, o jej łzach, kiedy go widząc smutnym pociesza tem, że go Dyana zawsze kocha, to przez całą dziecinność jej słów przebija dobre szlachetne serduszko, zdolne każde cierpienie zrozumieć, potrzebujące każdemu ulżyć. Fantazy źle zrobił, że myślał o Dyanie: Stella byłaby dla niego lepszą. To co w nim pięknego, to umiałaby zrozumieć i kochać; a co fałszywego, udanego, śmiesznego, to by tak delikatnie wydrwiła, że z czasem mogłaby go może z jego słabości wyleczyć.

Pomiędzy temi osobami więc zaczyna się odgrywać dramat, a zaczyna w tonie ironicznym, w najwyższym tonie komedyi. Jest to ciekawość i wyjątek. Humor trafia się u Słowackiego nie raz: ale *vis comica*, ale komiczne typy, ten jeden raz tylko. Ale ten jeden dowodzi, że miał do tego talent prawdziwy. Co tu soli attyckiej, co subtelnej ironii w tych pierwszych scenach, kiedy naprzykład Fantazy śmieje się z Respektów, a autor z Fantazego: albo kiedy Hrabina zarzuca go najzwyczajniejszemi frazesami, najbardziej oklepanemi komplementy o jego poezyach (których naturalnie nie rozumie) w miłem złudzeniu, że przyszły zięć da się na ten lep złapać.

Pana opisaniom
Rzymu winniśmy bardzo mile chwile!
Znamy go dobrze: taki ogień w piórze
I tyle serca, entuzyazmu tyle!
Ach! listy Pana... to są na marmurze
Pisane lawą! czy prawda Dyanno?
Te dwie fontanny, co przed Watykanem
Jak duchy, tęczą opasane ranną —
Ten krzyż drewniany w Cyrku — ach! my z Panem
Dawno się znamy, dawno!

Albo kiedy przygotowuje, zawsze w tym samym celu, niespodziane a poetyczne efekta w ogrodzie, które mają oczarować poetę, a jak na złość ogród się nie wyda, bo rury od kaskady popsute, a kozak co miał śpiewać dumki, pojechał po cukier i świece do Berdyczowa.

HRABINA.

Kajetanie!

(LOKAJ *wchodzi*).

LOKAJ.

Pani,
Co pani każe?

HRABINA.

Każ zapędzić trzody
Na małą łąkę w ogrodzie! Niech stary
Anton zapuści swoją sieć do wody
I sam pod wierzbą siądzie obok pary
Chłopiąt plotących koszyki — jak w Tassie.
Opodal żeńców postawić gromadę
I niech śpiewają! Anna niechaj pasie
Kozy na skałach... Ach! puścić kaskadę!
Pamiętaj, puścić kaskadę wieczorem
Wprzód nim wstaniem od stołu... Ach, jeszcze
Powiedz Dubynie, niech stanie za dworem.
I pieśń Padury śpiewa!

LOKAJ.

Ale deszcze
Popsuły rurę w kaskadzie — —

HRABINA.

Nowina!
No, to nie puszczać wody...

LOKAJ.

Ale, Pani...

HRABINA.

Ale! co ale?!

LOKAJ.

Ale dziś Dubyna
Pojechał kupić cukru i araku
Do Berdyczowa —

HRABINA.

No, to się bez dumy
Obejdzie, ale pomnij o rybaku —
Pomnij o trzodach i...

LOKAJ.

Suma do sumy:
Rybak i trzody.

HRABINA.

I małe chłopięta,
Które koszyki plotą.

LOKAJ.

I koszyki.

HRABINA.

I żeńce!

LOKAJ.

Ale pszenica pożęta!

HRABINA.

Mój Kajetanie, rób co chcesz. Ten dziki
Ogród angielski, to kłopot prawdziwy!

LOKAJ.

Zawsze w nim czegoś brak: to się altana
Załamie, burza krzyż umyślnie krzywy
Zwali — o mało co nie zabił Pana (*odchodzi*).

HRABINA.

Ach! jaka, jaka z tym ogrodem biada!
Stelko!

Słowem zaczyna się dramat, jak bardzo dowcipna, bardzo zabawna, i bardzo wysoka komedya. Ale niebawem rzeczy się psują, przyjeżdża Major.

Major rosyjski, dobry człowiek, bliski krewny kapitana Rykowa z pana Tadeusza, niegdyś na Sybirze względny, ludzki, uczynny dla Respekta i jego rodziny, przyjeżdża odwiedzić dawnych przyjaciół: i wtedy wśród jednostajnie dotąd komicznego tonu, odzywa się dźwięk smutny, złowrogi, który tę harmonię zmąci. Stella się pyta o pana Jana: Fantazy, choć mu kochać Dyanę ani w głowie, ostrzeżony jest instynktem miłości własnej, zazdrości, że to nie zwyczajna znajomość, nie zwykła litość dla zwykłego skazańca.

FANTAZY.

O nas zapomnieli!

RZECZNICKI.

Gniewasz się?

FANTAZY.

O! nie.

RZECZNICKI.

Lecz trochę zazdrościsz.

FANTAZY.

Czego?

RZECZNICKI.

Dyany spojrzeń i łez Stelli.

FANTAZY.

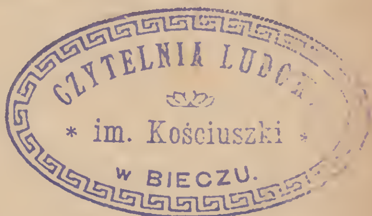
Jeszcze nie kocham.

RZECZNICKI.

Ale już się złościsz.

FANTAZY.

Wcale nie! — Ale powiedz mi, Rzecznicki,
Kto to jest ów pan Jan, wzięty z kosą?



kira. Czy chce tylko Dyanę zobaczyć, czy zwrócić jej pierścionek i słowo, czy tylko polskiem powietrzem odetchnąć, dość że jest: Stella obiecuje mu ułatwić rozmowę z siostrą.

Do tych wszystkich komplikacyj przybywa nowa, największa, w postaci hrabiny Idalii. Idalia była Fantazego kochanką: kocha go zawsze. Usłyszawszy o jego małżeńskich projektach czy je chce zerwać? wystąpić? pokazać się, zrobić scenę? Nie — ona sama nie wie czego chce. —. Może chce go upokorzyć, może zabić, może tylko się przekonać, zobaczyć na własne oczy, może rozedrzeć swoje serce widokiem tej zdrady, rozkoszować się w swojem nieszczęściu, może wypić do dna ten kielich goryczy i przypatrzeć się dobrze temu, że nietylko ją zdradził, on którego kochała, ale że on którego miała za najwyższą na ziemi istotę, za anioła poezyi, żeni się prozaicznie, zimno... ona sama nie wie po co przyjechała, czego chce, co robi: ale jest, cierpi, i coś zrobi co spadnie na dom Respektów jak piorun.

Postać to nie małego znaczenia: postać która będzie kiedyś jedynym w literaturze wizerunkiem całego jednego rodzaju kobiet polskich w naszym wieku, rodzaju bardzo zajmującego. Exemplarze jego są rzadkie; z natury rzeczy rzadkie być muszą, bo trzeba na to natury niepospolitej, żeby upaść, a nie spaść nigdy nizko. Ale tego rodzaju exystencye kobiece, wykolejone, nieszczęśliwe, uszlachetnione przez cierpienie rzetelne i prawdziwe uczucie, podniesione wysoko przez wyjątkowe umysły i zdolności, trafiły się u nas; trafiały się zwłaszcza w epoce romantyzmu; pomiędzy rokiem 1820 i 1850, i nieraz, obok imienia męzkiego otoczonego wielką chwałą, znajdzie potomność imię takiej kobiety nie niewinnej, upadłej, a przecież wysokiej i godnej, w której życiu było wiele fałszywych i udanych zachwytów, ale także wiele miłości ojczyzny, wiele miłości dobrego, wiele miłości jednego wybranego człowieka. A kiedy potomność spotkawszy takie imię będzie z ciekawością, pytała jakie te kobiety być mogły, a zatraconej ich fizyognomii i charakteru wyobrazić sobie

nie zdoła, wtedy niech zajrzy do *Niepoprawnych* Słowackiego; tam się kobieta taka przechowała ze wszystkiem co w niej złe i dobre, co udane i co rzetelne, co ją oskarża i co ją tłómaczy, ze wszystkiem co budzi do niej pociąg i antypatyę, lekceważenie i uszanowanie.

Za Księztwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego kobieta lekka i płocha, nie kochająca męża, kochająca innego lub innych, jeżeli nie chciała zejść na prostą awanturnicę, rozwodziła się, szła za mąż za kochanka, regularyzowała jako tako swoje stanowisko i związki, i pozostawała w kraju, brylowała jak przedtem w Warszawie, spokojna i pewna że jej nikt palcem wytykać nie będzie. Ale kiedy zgorszenia rozwodowe obudziły i surowość opinii i surowość Kościoła, kiedy Kościół przypomniał a opinia zaczęła powtarzać słowa św. Pawła *divortium est adulterium*, i kiedy rozwód nic już nie naprawiał i nie pokrywał, kobiety w tem położeniu miały rolę nierównie trudniejszą, a exystencyę w kraju nieznośną.

Nie mówi się naturalnie o kobietach zupełnie zepsutych, bezczelnych, z czołem *qui ne rougit jamais,* ani o awanturnicach rozmyślnych, bo takie zawsze sobie dadzą radę. Ale kobieta w pożyciu z mężem nieszczęśliwa, opanowana potężną namiętnością, a siebie przecież szanująca, która wstydu nie straciła, cóż miała robić w kraju, gdzie koło jej imienia zrobił się skandal? Jechała za granicę: osiadała tam gdzie jej historyi nie znano, gdzie nie była zmuszoną spuszczać oczów przed każdym: osiadała jak rozbity okręt na mieliźnie, nad jeziora włoskim brzegiem, patrzała na morze i na ruiny, słuchała muzyki, kochała się w pięknych obrazach (dziwna rzecz, wszystkie Polki tego rodzaju były w duszy artystkami) — słowem stwarzala sobie exystencyę łataną i sztuczną, w której zajęcie myśli zajmowało najwięcej miejsca i czasu, ale która była względnem szczęściem. A że były wychowane w epoce romantycznej, że od Byrona aż do pani Sand czytały wszystko, wszystko do siebie i do swego po-

kira. Czy chce tylko Dyanę zobaczyć, czy zwrócić jej pierścionek i słowo, czy tylko polskiem powietrzem odetchnąć, dość że jest: Stella obiecuje mu ułatwić rozmowę z siostrą.

Do tych wszystkich komplikacyj przybywa nowa, największa, w postaci hrabiny Idalii. Idalia była Fantazego kochanką: kocha go zawsze. Usłyszawszy o jego małżeńskich projektach czy je chce zerwać? wystąpić? pokazać się, zrobić scenę? Nie — ona sama nie wie czego chce. —. Może chce go upokorzyć, może zabić, może tylko się przekonać, zobaczyć na własne oczy, może rozedrzeć swoje serce widokiem tej zdrady, rozkoszować się w swojem nieszczęściu, może wypić do dna ten kielich goryczy i przypatrzeć się dobrze temu, że nietylko ją zdradził, on którego kochała, ale że on którego miała za najwyższą na ziemi istotę, za anioła poezyi, żeni się prozaicznie, zimno... ona sama nie wie po co przyjechała, czego chce, co robi: ale jest, cierpi, i coś zrobi co spadnie na dom Respektów jak piorun.

Postać to nie małego znaczenia: postać która będzie kiedyś jedynym w literaturze wizerunkiem całego jednego rodzaju kobiet polskich w naszym wieku, rodzaju bardzo zajmującego. Exemplarze jego są rzadkie; z natury rzeczy rzadkie być muszą, bo trzeba na to natury niepospolitej, żeby upaść, a nie spaść nigdy nizko. Ale tego rodzaju exystencye kobiece, wykolejone, nieszczęśliwe, uszlachetnione przez cierpienie rzetelne i prawdziwe uczucie, podniesione wysoko przez wyjątkowe umysły i zdolności, trafiły się u nas; trafiały się zwłaszcza w epoce romantyzmu; pomiędzy rokiem 1820 i 1850, i nieraz, obok imienia męzkiego otoczonego wielką chwałą, znajdzie potomność imię takiej kobiety nie niewinnej, upadłej, a przecież wysokiej i godnej, w której życiu było wiele fałszywych i udanych zachwytów, ale także wiele miłości ojczyzny, wiele miłości dobrego, wiele miłości jednego wybranego człowieka. A kiedy potomność spotkawszy takie imię będzie z ciekawością, pytała jakie te kobiety być mogły, a zatraconej ich fizyognomii i charakteru wyobrazić sobie

nie zdoła, wtedy niech zajrzy do *Niepoprawnych* Słowackiego; tam się kobieta taka przechowała ze wszystkiem co w niej złe i dobre, co udane i co rzetelne, co ją oskarża i co ją tłómaczy, ze wszystkiem co budzi do niej pociąg i antypatyę, lekceważenie i uszanowanie.

Za Księztwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego kobieta lekka i płocha, nie kochająca męża, kochająca innego lub innych, jeżeli nie chciała zejść na prostą awanturnicę, rozwodziła się, szła za mąż za kochanka, regularyzowała jako tako swoje stanowisko i związki, i pozostawała w kraju, bryłowała jak przedtem w Warszawie, spokojna i pewna że jej nikt palcem wytykać nie będzie. Ale kiedy zgorszenia rozwodowe obudziły i surowość opinii i surowość Kościoła, kiedy Kościół przypomniał a opinia zaczęła powtarzać słowa św. Pawła *divortium est adulterium*, i kiedy rozwód nic już nie naprawiał i nie pokrywał, kobiety w tem położeniu miały rolę nierównie trudniejszą, a exystencyę w kraju nieznośną.

Nie mówi się naturalnie o kobietach zupełnie zepsutych, bezczelnych, z czołem *qui ne rougit jamais*, ani o awanturnicach rozmyślnych, bo takie zawsze sobie dadzą radę. Ale kobieta w pożyciu z mężem nieszczęśliwa, opanowana potężną namiętnością, a siebie przecież szanująca, która wstydu nie straciła, cóż miała robić w kraju, gdzie koło jej imienia zrobił się skandal? Jechała za granicę: osiadała tam gdzie jej historyi nie znano, gdzie nie była zmuszoną spuszczać oczów przed każdym: osiadała jak rozbity okręt na mieliźnie, nad jeziora włoskim brzegiem, patrzała na morze i na ruiny, słuchała muzyki, kochała się w pięknych obrazach (dziwna rzecz, wszystkie Polki tego rodzaju były w duszy artystkami) — słowem stwarzała sobie exystencyę łataną i sztuczną, w której zajęcie myśli zajmowało najwięcej miejsca i czasu, ale która była względnem szczęściem. A że były wychowane w epoce romantycznej, że od Byrona aż do pani Sand czytały wszystko, wszystko do siebie i do swego po-

łożenia stósowały, więc naturalnie bardzo, same siebie musiały poetycznemi uznać, i musiały chcieć być poetycznemi, to im było potrzebne do szczęścia. Po części miały do tego prawo, przez nieszczęście, przez miłość, przez swój wdzięk: po części starały się o tę poetyczność, udawały ją i przesadzały. Było w tej poezyi, którą się otaczały, w exaltacyi ich uczuć, wiele prawdy: ale było zawsze coś komedyi. A jeżeli gdzieś, pod włoskiem niebem, kobieta taka, upokorzona swoją fałszywą pozycyą, znużona samowolnością, zmęczona czczością i przymusem swego życia, spotkała po latach kilku człowieka, który ją kochał, który za nią szalał, który jej nie tylko przebaczał przeszłość, ale ją czcił nietylko pomimo ale czasem dla tej przeszłości, czyż dziwna że kochała, że się cała oddawała temu nowemu uczuciu, temu nowemu szczęściu? czy dziw że mogła pomimo tego upadku zachować naturę szlachetną? A jeżeli do tego jeszcze mogła sobie wyobrazić z jakiem takiem prawem, że „kocha męża wielkiego na ziemi", czy można się dziwić, że dla niego zapomniała o wszystkiem, ona która na świecie nie miała nic, prócz niego.

Taką jest Idalia. Historya jej łatwa do odgadnięcia. Wydano ją prawie dzieckiem za człowieka bardzo wysokiego rodu i bardzo wielkiego majątku; nie była królową, ale była jedną z tych pań, które po królowych są pierwsze w europejskim świecie. Szczęśliwą nie była nigdy: mąż był albo stary, albo zły, albo cynik i rozpustnik, albo zazdrośny, albo to wszystko razem, tak że zaraz po ślubie ujrzała życie ze strony najbrzydszej: a przecież nie mogła stracić wiary, w swoich latach, ze swoją naturą uczuciową, ze swoją wyobraźnią exaltowaną, że życie musi mieć i stronę piękniejszą. Przez jakiś czas, może przez całe lata żyła spokojnie, zamknięta w sobie, kształcąc się i marząc: rozum się rozszerzał i bogacił, wyobraźnia exaltowała się coraz bardziej. Wreszcie, czy to śmierć męża wróciła jej wolność, czy jego złe obchodzenie, zazdrość niesłuszna, może jaka podłość, podały jej

go w obrzydzenie i pogardę, tak, że z nim dłużej wytrzymać nie mogła, Idalia znalazła się samą. W glowie tysiące myśli, których nie miała komu wyjawić: w fantazyi tysiące obrazów, które czekały urzeczywistnienia: w sercu tysiące uczuć szlachetnych, które dotąd spotykały się tylko z szyderstwem: tysiące cierpień ukrytych i stłumionych, w pamięci tysiące upokorzeń i wstydów zniesionych w milczeniu: a nadewszystko, tajemnicza księga serca i życia dotąd nie otwarta, a codzień namiętniejsze pragnienie otwarcia tej księgi, poznania tej tajemnicy: miłości!

W takiem usposobieniu była Idalia we Włoszech, w Rzymie. Widzi się ją mieszkającą gdzieś w najbardziej uroczym zakącie miasta, otoczoną najartystyczniejszym najrozumniejszym zbytkiem, patrzącą z okna na wodociągi Kampanii i góry Latyńskie, slyszy się jak gra Mozarta, jak mądrze i subtelnie ocenia i wielbi Rafaela. Ale ten cały intellektualny sybarytyzm, hołdy które u nóg jej składa co najwyższe w wielkim świecie, artyści, dyplomaci, królowie, wszystko to podchlebia jej miłości własnej, ona się w tem otoczeniu i życiu poetyczną widzi i to ją cieszy: ale czczość jej życia nie ustaje, próżnia jej serca nie zapełniona.

Wtedy zjawił się Fantazy-poeta! poeta prawdziwy, może genialny: a przez to szydercze okrutne opowiadanie, którem on profanuje wspomnienie ich pierwszej rozmowy, znać z jakiem uniesieniem bez granic, odrazu, bez namysłu, rzuciła się w jego objęcia, widzi się że to był zachwyt wzajemny. Tak się to odbyło jak on mówi: ona była zajęta ideą miłości, on, mężczyzna, wiedział, że mar kochać nie można tylko ludzi, i chciał, żeby jego kochała. On był oczarowany także, on odgadł wszystko co ta kobieta w życiu cierpiała, i nie śmiał się z niej kiedy mu rzekła: ty mi będziesz duszą bratem. A dziś wyśmiewa to wspomnienie i tę miłość! ją wydrwiwa, i dla czego? żeby dowcipem olśnić dziewczynę, z którą się chce żenić z kaprysu, nawet wymówki miłości ta zdrada nie ma! — żeby zabawić i rozśmieszyć panią

Respektową! A biedna Idalia, ukryta za kwiatami słyszy to wszystko. Jeżeli jej trzeba było dramatu w życiu, to go ma.

Biedna Idalia! Bezwątpienia, udawania i komedyi było w niej dużo, były i śmieszności. Ona pozowała, na swoje uczucia patrzała przez szkło powiększające, przesadzała je: paradowała swojemi nieszczęściami i swoją exaltacyą, nosiła sztylet, którym nigdy nikogo zabićby nie potrafiła, była byronistką, świat dla niej za ciasny, za zimny i t. d. poetyzowała siebie, dramatyzowała swoje życie, pozowała, prawda! Widzi się te różne komedye, które oni w swojej miłości z sobą odgrywali. Idalia rzuca na tę stronę ich stosunku wiele światła, kiedy wspomina (w IV akcie), jak Fantazy w napadzie rzeczywistej, czy wmówionej zazdrości, czy też dla przyjemności odegrania sceny, przykładał jej sztylet do piersi, i patrzał czy ona zadrży, a ona z najsłodszym uśmiechem czekała śmierci z jego ręki.

Ach! gdyby godzina
Tego żywota, gdy mię ciągle poił
Z serca, jak z czary! — Gdy na kształt murzyna
Otellowego — w sztylet się uzbroił
I przyłożywszy mi do piersi — czekał,
Czy w oczach moich strach, czy uśmiech będzie?
A uśmiech z oczu moich nie uciekał,
Ale jak pająk, który z blasku przędzie
Swe pajęczyny złote na szafirze
Jakiego kwiatu: podobnie mi radość,
Że się przez jego śmierć do nieba zbliżę,
Opromieniała oczy. — O! jak bladość
Śmierci daleka była od tej bieli,
Którą on wtenczas zwał alabastrową!
O! jak mi dobrze było, na pościeli
Granitów rzymskich — z pochyloną głową
Nad nim, oddychać różami Cezarów

I widzieć, jak się w tym człowieku rodzi
Nowy ideał wieków, pełny czarów,
Który mu całą przyszłość rozpogodzi,
Jeśli nie skala się tem ludzi błotem
I nie zapragnie spić się moszczem wina.

Scen podobnych musialo być między niemi wiele, i oboje podobali sobie w nich niezmiernie. Ale z tych samych słów także widzi się i to jak ona Fantazego namiętnie, jak nieograniczenie kochała; i także jak to natura wyższa i wykwintna, jak odbija od plaskich śmieszności i pretensyi hrabiny Respektowej, jak znać po niej rozum, szlachetną naturę, zwyczaj największego świata, usposobienie artystyczne, arystokratyczne pochodzenie i układ: jak znać że to i dusza, i jedna z ziemskich bogiń, i piękność: wszystko to widzi się choćby z tej karykatury okropnej, którą tak niemiłosiernie robi Fantazy. Figura to ogromnej wartości, jako reprezentanka całego jednego gatunku natur kobiecych w naszym wieku, a ogromnych zalet jako wykonanie artystyczne. Słowacki i ją, jak Fantazego, przedstawia ironicznie, wydobywa na jaw i oświeca jaskrawo wszystkie jej słabości, nieledwie je przesadza i robi ją śmieszną: a przecież zachowuje jej z niesłychanym artystycznym taktem, cechę natury wyższej, pięknej duszy. A w parze z Fantazym nabiera ona dopiero całego znaczenia. Dla poety byli oni może tylko, jak chcą niektórzy, wspomnieniem, ale dla czytelnika są najdoskonalszymi typami jednej z chorób wieku: udawania poetyczności i romantyczności, chciwości wrażeń, exaltacyi przesadzanych, zapałów zmuszonych i na zimno: choroby złej, ale przecież właściwej tylko ludziom z jakiemś uczuciem i z jakąś wyobraźnią: choroby, która miała tę dobrą stronę, że dla samej konsekwencyi obowiązywała do szlachetnych uczuć i do pięknych czynów. Niema poświęcenia, niema bohaterstwa, któregoby Idalia i Fantazy nie byli zdolni. Choroba to, która przeszła: a ta która po niej nastąpiła, prze-

sadzona trzeźwość i obojętność, ta nic obowiązuje już do niczego, prócz do egoizmu.

Miłość między tem dwojgiem ludzi była koniecznością. Idalia nie mogła przed nikim tak się drapować w swoje nieszczęścia i exaltacye, jak przed Fantazym: Fantazy przed nikim tak swego życia dramatyzować, jak przed Idalią. Ta przesada, to udanie, właśnie się jednemu w drugiem podobało.

To też połączeni są mimo wszystkiego na zawsze; Idalia żądając od Fantazego natchnienia, znudziła go w końcu tak, że ją porzucił; ale nawet kiedy się z niej śmieje, kiedy myśli że jej nienawidzi, jeszcze Fantazy tak jest pod jej magnetycznym wpływem, że nerwami czuje jej obecność, choć nie wie, że ona jest blizko; a kiedy ma sobie w łeb strzelić, do niej się wraca, przy niej, z nią razem chce przebyć ciekawą chwilę i doznać nieznanego wrażenia śmierci.

Co za scena, kiedy on dla zabawy towarzystwa, dla olśnienia Dyany swoim dowcipem wyśmiewa ją i jej najświętsze uczucia i zapały, a ona słucha z ukrycia. To dramat potocznego życia! Traktowany przytem z realizmem jakiegoś nowoczesnego francuzkiego komedyopisarza, tak rozmowa jest powszednią i naturalną: a przecież, ile pod tem namiętności, ile cierpienia!

Dawno Pan z Rzymu przybył na Podole?

FANTAZY.

Pół roku —

HRABINA.

Kto tam z naszych?

FANTAZY.

Daję słowo
Że prócz kilku wielkich dziwolągów,
Suchych, co jeden za drugim się wleką,

Powysychani nakształt wodociągów
I wydają się ruinom opieką,
Jak mech i chwasty: nie ma w całym Rzymie,
Kogobym wspomniał.

HRABINA.

Przecież dla sielan
Wszystko ciekawe.

FANTAZY.

Przy ruinach drzymie
Jeden katolik Polak — i szambelan
Cesarskiej Mości, wielki filharmonik;
Bogaty złotą lirą Apollina,
Śpiewa, ale tak, jak Egeryi ponik
Mrucząc: niteczka głosu tylko sina
Z ust mu wypływa, młynów nie obróci,
A jednak ciurka wciąż włoską ruladą;
Milczenia anioł w nim siedzi i nuci;
Pitagor z całą swych uczni gromadą
Milczącą siedzi w nim; a rzecby można,
Że swojej szkolnej zasady nie łamie. —

HRABINA.

Któż więcej?

FANTAZY.

Jedna hrabina pobożna,
Której spadają loki aż na ramię,
A w każdym włosa pierścieniu ukryty
Albo kanonik, albo Monsignore.

HRABINA.

Dewotka — Jakież są więcej kobiety?

FANTAZY.

Najwięcej blade są i bardzo chore:
Ruiny kobiet, resztki Karlisbadu,
Wód stalaktyty, zgasłe Wezuwiusze.

HRABINA.

Zacytuj mi Pan jedną dla przykładu!

FANTAZY.

Ach! jest tam, chora do głębi na duszę,
Znajoma Pani — Hrabina Idalia,
Rodzaj Pani Stael — machina parowa
Pisząca listy...

HRABINA.

Czy ładna?

FANTAZY.

Jej talia
Jest do połowy z mgły, druga połowa
Bez kości, sprężyn, samą siłą skrętu
Idąca naprzód — resztą w oczach cała...

HRABINA.

Piękne?

FANTAZY.

Dwie czarne plamy atramentu
Na prześcieradle białem...

HRABINA.

Taka biała?!

FANTAZY.

Jak prześcieradło.

HRABINA.

I takie ma oczy?

FANTAZY.

Jakby atrament.

HRABINA.

Widzę ją przed sobą!

FANTAZY.

Kto prześcieradło to sztyletem zbroczy:
Popełni — wielką poezyę... z osobą,
Któraby dała dziś dziesięć lat życia
Za jaką scenę głośną i tragiczną. —
Jej trzeba rany, usta ma do picia
Trucizny; — byłaby osobą śliczną
Mając rozdarte serce lub sumienie,
Do miesięcznego modląca się blasku.
Nieszczęściem — takie biednej przeznaczenie —
Że jako okręt rozbity na piasku
Siedzi i czeka; lecz żądane burze
Nigdy ją z ziemi zabrać nie przychodzą.
Gdym przybył, chciała mnie poznać: ja służę
Chętnie kobietom, ale się nie godzę
Być Danaidy beczką, w którą leją
Wszystkie serc swoich rdzawych niedokwasy. —
Przychodzę: — była zajęta ideą
Że miłość wszędy i po wszystkie czasy
Była święconą, bo w treści jest wiarą
I jedynie się zasadza na wierze. —
Na to krzyknąłem bardzo wielkie „haro!“
I powiedziałam mojej Pani szczerze,
Że miłość nie jest taką narkotyczną
Niedowiedzioną istotą; — że trzeba,
Aby tę gwiazdę zobaczyła śliczną
Przez alabastry płci jakiego Feba,
Świecącą w oczu skrze i na koralu
Ust gorączkowych... Gdym to rzekł, westchnienie
Z burnusowego wyrwało się szalu,
A ten szal — amiant — owinął płomienie
I przepalony, srebrniał w moich oczach.
Amiant prawdziwy! — Tu rzekłem, że widzę
Na jej błękitno kruczanych warkoczach
Gwiazdę nieszczęścia. — Myślała że szydzę

Z początku: ale widząc, że ja na tem
Stanąłem, jako okręt na kotwicy,
Rzekła: — Ach! Pan mi będziesz duszą bratem!
Pan jeden — w jednej czucia błyskawicy
Pojąłeś, co ja cierpię, co ja czuję,
Na jaką jestem samotność skazana...!
Rzekłem, że sercem się nad nią lituję,
Że mi potrzebna jest dusza siostrzana,
Jak rękawiczce nieparzystej druga
Z tej samej pary i z tego numeru.

HRABINA.

Przepraszam Pana — Stelka na mnie mruga.

Zdaje się że coś się zerwie, coś wybuchnie, stanie się coś okropnego: że Idalia przebije siebie albo jego. Nie — Idalia znika cicho jak przyszła. Ale chmury dramatu zamiast się rozchodzić zbierają się coraz groźniej, nabrzmiewają elektrycznością, zdaleka słychać grzmoty, i tylko czekać jak spadnie burza i piorun. Fantazy, w złudzeniu że Dyanę jeżeli nie olśnił to rozdrażnił, i zgodnie z zamiarem żeby ją zdobyć wstrętem, sprzeciwiać się wszystkim jej uczuciom, jej naturze, być antypatycznym i znienawidzonym, a fascynować ją i owładnąć, występuje z oświadczeniem bezczelnem i oburzającem. Przerachował się: obrażona Dyana odpowiada z oburzeniem i z godnością taką, że wobec niej on sam wydaje się sobie małym i śmiesznym: a im więcej go upokorzyła i poniżyła, tém wyżej wzrosła w jego opinii. Fantazy poznał że ma do czynienia z duszą wyższą od swojej, bo prawdziwszą i prostszą.

DYANA.

To za śmiało,
Mój Panie hrabio! Wcale po kupiecku
Zbliżyłeś się Pan po towar. Gdzież łokieć!

I gdzie są szalki! — Szlachetnemu dziecku
Bóg dał — patrz hrabio — nawet ten paznogieć
U palca, jako rubin gdzieś obmyty,
Krwią przodków, a gdzieś wzięty na Wezyrze!
Me łzy — patrz, są jak perły Amfitryty,
Bom obrażona we łzach. — W tym szafirze
Oka mojego znajdziesz niby mętne
Łzami rodowych myśli zdrojowisko.
Wszystko, co mogło w spadku dziecko smętne
Wziąć po umarłych: całe serc ognisko,
Z szlachetnościami wszystkiemi — i całą
Myśli ich piękność — ja mam po nich w spadku;
A ten mój posag ich — to moje ciało!
Gdybym więc nawet kładła na ostatku
Duszę, o niej nie mówiła wcale
Traktując z tobą o siebie na funty: —
To jeszczeby mi ust jasne korale,
To jeszcze oczy te, co straszne bunty
Podnoszą, ogniem i łzami ciskając,
Kazały dumną być w targu i trudną. —
Jakto? — więc chciałeś Hrabio, nie klękając
Jak przed Madonną na stepie odludną
Rafaelową, zrumienić jej lice
I grubijaństwem cud otrzymać święty,
Że się łzami jej napełnią żrenice
Lub z płótna tryśnie krew? — Więc żeś ty wzięty,
Żeś w okolicy sławny, że się ludzka
Miłość za tobą goni, żeś pomięty
Jak dziwna jaka perła kałakucka,
Tem droższa, że ma kształt nieodgadnięty
I do perły jest niepodobna wcale,
Ale jest jako monstrum dziwne, drogie: —
To już myślałeś, żo ja się zapalę
Do tego dziwu, jak dziecko ubogie
Pierwszy raz brylant słoneczny widzące

Na twej koszuli?... Bo wyznasz mi Hrabio,
Że Endymiona mirty i miesiące
Niepotrzebne ci były tu, gdzie grabią
Siano tak podłych, jak ja, pełne kwiatków!...
Dobrze więc! oto odpowiem ci szczerze,
Tem szczerzej, że tu jesteśmy bez świadków:
Ojciec mój daje mnie tobie, a bierze
Twoje pieniądze. Przebacz, że wyraźnie
Mówię... Mój ojciec ma ojcowskie długi,
A sam jest winien pół miliona w kaźnie,
A jutro wszystkim chłopom biorą pługi
I w każdej chacie stawiają żołnierza.
Więc jeśli chaty te jutro posłyszę,
Że krzyczą: Boże! a Bóg nie uderza
Piorunem; jeśli duch, co we mnie dysze
Modlitwą o! tej wioski nie obroni;
Jeśli mnie chłopki okrążą i padną
Do nóg, jak gdybym z gwiazdami na skroni
Stała w niebiosach, a ja męką żadną
Nie będę mogła wyratować ludu;
Jeśli Bóg z mego jedynie nieszczęścia
Chce siły, która podobna do cudu
Ten lud obroni: — to się do zamęścia
Z Panem... przychylę.

Co z tego wyniknie? czy teraz na prawdę Dyanę pokochał? czy wpadnie w szał i namiętność? czy się zaweźmie zdobyć ją koniecznie, i to nie rękę jej tylko, ale i duszę? Zawikłania się mnożą, rosną, i wyglądają coraz groźniej, coraz dramatyczniej.

Drugi akt śliczny i straszny. Zaczyna go Idalia przedziwnym monologiem, w którym jest wszystko co tę postać składa: Wiele szlachetności, wiele cierpienia, i admirowania siebie samej w poetyczności swego nieszczęścia. Idalia prze-

baczyła; przebaczyła właśnie dlatego, że się z niej i z jej exaltacyi śmieją. Niech znają co to exaltacya, i jakiej wzniosłości ta śmieszna rzecz jest zdolna. Zarazem przypatruje się sobie i widzi, że jest podobna do jakiej namiętnej a zdradzonej Rzymianki czy Florentynki. A do tego wszystkiego ma i wyobraźnię, i prawdziwą poezyę w duszy: jak ładnie naprzykład małuje swoją smutną, samotną, bezbarwną przyszłość:

Widzę, że trzeba mi będzie wziąć krosna,
Jak dawnej Polce; i ten duch, co prosi
O piękność, a chciał niegdyś miesiąc złoty
Uczynić swoim zwykłym domownikiem —
Trzeba go widzę pięknością prostoty
Upoić; i mieć nad moim stolikiem
Zamiast miesiąca — twarz prababki białą,
Groźną — świętości lampę, twarz umarłą...
Tak, tak! — wrzeciono będzie mi burczało
I tańcząc złote me dywany darło,
A ja pomyślę patrząc: tak się kręci
Świat — tak tańcuje każdy modniś młody!
Taką niteczkę z jedwabnej pamięci
Snuje za sobą! tak się w jedwab mody
Obwija, i tak — ot z rąk mi wylata
I już... odemnie wziął ruch, a mnie nie zna!...
Zaprawdę, że tak będę drwić ze świata,
Przędąc jedwabie. —

Ona się usuwa, a wtedy odkrywa się cały dramat ukryty pod potocznemi rozmowami i dowcipami pierwszego aktu. Jan i Stella. On dowiaduje się, że Dyana „jutro za mąż idzie“ a po chwili rozpaczy blizkiej nieprzytomności, kiedy szuka na niebie gwiazd, w które niegdyś z Dyaną patrzał na Sybirze, oddaje Stelli pierścionek z prześlicznemi

pełnemi łez słowami pożegnania. Ona zasmucona, przestraszona, pociesza go jak aniołek:

My z Dyanią pacierz kończyły powszedny.
Twojem imieniem: ty byłeś tu z nami
Każdej niedzieli i każdego piątku;
Dyańka twojemi gadała słowami,
Na chrzcinach chłopskich każdemu dzieciątku
Dawała imię Jan..- Dyanka dzisiaj szlocha,
Dyanka dziś blada, Dyanka dzisiaj chora:
O! ty wiesz, ty wiesz, że cię Dyanka kocha! —

Tłomaczy i opowiada co się stało, jak dziecko, a pod tem opowiadaniem ile się zgaduje walk, łez, strasznych heroicznych wyrzeczeń i poświęceń! Biedny żołnierz, który do tej ojczyzny wracał jak potępieniec, któremuby pozwolono na chwilę zajrzeć do raju, a po to przyjechał, jest rozrzewniający swojem położeniem, a prześliczny sposobem w jaki je znosi. Rozpacza: ale rozpacza jak człowiek, któremu to uczucie jest codzienną strawą, który smutek uważa już za konieczność swego życia i przyjmuje go jako rzecz naturalną. On nie człowiek, on Sybirczyk i żołnierz, inaczej być nie może! A przecież on zrezygnowany nie jest. Scena kiedy Jan upadłszy na ziemię, zamiast mówić śpiewa jakąś pieśń żołnierską, pieśń prawie bez sensu, a dziką jak Sybir, przejmującą jak wycie północnego wiatru, smutną jak los sołdata, jest jedną z bardzo pięknych. Czy Słowacki tę pieśń sam wymyślił? Jest taka niezgrabna, taka bez związku, a przy tem tak rdzennie, tak wiernie smutna, że doprawdy możnaby myśleć, iż ją chyba słyszał śpiewaną przez rosyjskich żołnierzy, na tę nótę dziką, przeciągłą i melancholiczną, którą oni w marszu śpiewają; że pieśń tę ułożyli bez myśli i zamiaru, ci którym pociechą jest gorzałka, pałka kochanką, a jenerałką śmierć, która co chwila na służbę woła i swoją komendą całą tę nędzę kończy. A przecież nie:

to nie rosyjskich żołnierzy pieśń: bo w tym samym tonie dzikim, w tym samym nieładzie myśli, odzywa się przecież i uczucie Kosyniera, który naprawdę Rosyjskim żołnierzem nie jest. Jest to ten ostatni wiersz, którym się kończą zwrotki:

Hej! hej! — Kaukaz nasz!
Hej! hej! — kopalnia cyn!
Hej! matka gorzałka!
Hej! kochanka mi pałka!
Hej! ojczyzny ja syn!
Kto idiot? — Swój! — Ty mój? ja nie wasz! —
Hej! hej! trzymaj straż!
Hej! hej! zabębnił grzmot!
Hej! hej! siostra gorzałka!
A śmierć generałka!
Hej na konia, taj w lot!
Kto idiot? — Swój! — Ty mój? ja nie wasz!

Dobrze mówi Idalia, że to cudowna scena. Ale szkoda, że ją trochę psuje. Pomysł jest doskonały: rzecz zupełnie naturalna, że Idalia zajęta losem Jana ofiaruje mu współczucie i przyjaźń, nawet że ofiaruje majątek, żeby mu do szczęścia dopomódz. Ona zachwycona i wzruszona dałaby w tej chwili za jego szczęście swoje życie jak nic: cóż dopiero kiedy to szczęście byłoby zarazem i zemstą, zemstą szlachetną, zemstą nad niewiernym Fantazym. Równie dobre to, że Jan ofiary jej przyjąć nie chce, a odpowiedź jego dumna, wysoka, szlachetna, jest śliczna. Ale jest w wykonaniu kilka tonów fałszywych, przesadzonych, nieprzyjemnych — jest ta *rana w bucie* (dziura), którą Idalia chce całować, a która wygląda jak jeden z wyszukanych *concetti* Szekspira; jest Jan *wiszący za serce na ćwieku krzyża,* jest parę takich słów, które brzmią jak zapowiedź późniejszej ostatniej Słowackiego maniery, jak styl przesadny i naciągany księdza *Marka* albo *Srebrnej Salomei.* Swoją drogą

Idalia ma w tej scenie piękne chwile, kiedy naprzykład z ironią i z pozornym spokojem opowiada swoją historyę:

A wiesz ty,
Że ja słuchając przysięgłam na ciernie
Chrystusa, że tej boleści pół biorę,
I będę tobie tutaj służyć wiernie
Sercem, co we mnie także bolem gore,
Także ranione. — Nie pytaj o więcej,
Ale wiedz, że tu jedne mamy cele:
Ty ustępujesz — bo kochasz goręcej,
Boś jest mężczyzną, bo masz mocy wiele
I szlachetność ci mezka nie pozwala
Za prawo serca przeciw prawom ziemi
Bunt podnieść. Lecz ja — ja — mnie tu krwi fala
Na brzeg rzuciła, żaglami złotymi
Płynącą; tu ja pruchnieję — ja, dawniej
Różanym gwiazdom i kwiatom kochanka,
Ja, rozgłoszona już miłością sławniej
Niżli niejedna Neapolitanka
Sztyletem romans kończąca — a przecie
Tak porzucona, jak Basia lub Rózia,
W której się cała palestra w powiecie
Kocha i wierszem dzwoni, że jej buzia
Jest pełna cukru!... Horor! mówię tobie.
Bo że ojczyzna ta mrze, to się zdaje,
Że wszystkie kwiaty więdną na tym grobie
I wszystko państwo ginie — a lokaje
W panów ubrawszy się, wiodą romanse,
Serca zdobyte czepiąc u zegarka;
Potem poezye pisząc i biłanse
Handlowe... Taka wielka gospodarka
W głowie tych ludzi teraz, że na wszystko
Jest czas i miejsce: to też wszystko blade:
Każdy jest panem, paniczem i chłystką,

Każdy od kuchty swego bierze radę,
A gdy co czyni, to siebie się pyta,
Czy kamerdyner się tam gdzie na boku
Nie śmieje. — Słuchaj! ja jestem kobieta:
To co mam w sercu, to widzisz i w oku —
Wzgardę, ogromną wzgardę, błyskawicę!
Otoż tą wzgardą... z tą wzgardą, o Boże!
Z tą wzgardą ja tu wpadłam w nawałnicę
Nieszczęścia — i coś rzucam w mgłę — coś tworzę —
Coś — sama nie wiem; ale jestem pewna,
Że przyjdzie jaki wypadek, zdarzenie,
Które tonącej mi jak kawał drewna
Pomoże. A nie? — ha! to mam schronienie
Nie między ludźmi!...

Co za wysoki ton pogardy, wstrętu i godności! Słowem, scena pomimo usterek piękna, bardzo dramatyczna, bardzo smutna. Co więcej, zdaje się, że z niej wysnuje się dalszy wątek sztuki. Jan nie przyjął ofiary Idalii, ale nie jest tak silnym i stałym jak był, pragnie zemsty; zdaje się, że on coś zrobi...

Kto dramat pierwszy raz czyta, i nie wie, że ten ksiądz Loga w zakończeniu tego aktu pokazuje się po raz pierwszy i ostatni, ten przypuszcza oczywiście, że to rola potrzebna i ważna, i z zajęciem patrzy na tę wcale ładną, poważną postać prostodusznego księdza, któremu rozsądek i sumienie składają pewien rodzaj wyższości takiej, że on góruje nad Idalią i nad Janem. Scena jego z Janem jest ładna. Słowem akt cały, wszystko dotąd doskonałe. Zdaje się, że już wszystkie przygotowania skończone, expozycya zupełna. Materyału palnego, pierwiastku dramatycznego tyle, że teraz już piorun strzelić może: rozpacz Jana, nieszczęście Dyany, spokojna na pozór a prawie blizka obłąkania ironia Idalii, pod którą wrą wulkany rozpaczy, wszystko to zwiesza się coraz niżej i zbiera jak chmury przed burzą, i wszystko ciężkie, smutne,

czarne, i wszystko prześlicznie wymalowane. Czytając po raz pierwszy kończy się ten drugi akt pod wrażeniem, że teraz piorun uderzy, że z początkiem trzeciego przyjdzie coś okropnego. Zkąd? Czy od Idalii? czy od Jana? czy może od Dyany? kto padnie ofiarą? jedno z nich, czy Fantazy? Tego się nie wie, ale się czegoś strasznego i tragicznego czeka i spodziewa, co tu przyjść musi, co przyjść było powinno— ale nie przyszło!

I otóż to przełamanie, zboczenie akcyi, to przeskoczenie jej w inną kolej jak ta, którą szła dotąd.

Bytność Idalii nie mogła się ukryć: ztąd niespokojność Respekta i jego żony, żeby dawna kochanka Fantazego nie chciała przeszkodzić w ułożonych już projektach. Major przyjaciel, miarkuje co się dzieje, i chcąc oddać przysługę, usunąć najprostszym sposobem zawadę, każe Baszkirowi jakiemuś porwać tę kobietę. Ta interwencya Majora, nie jest pierwszą niemiłą niespodzianką, pierwszą dysharmonią w dramacie; już na początku aktu trzeciego to drobne prześladowanie, na które się skarży Fantazy, te figle które mają go zrobić śmiesznym, czy one pochodzą od Idalii lub nie (zapewne nie, ale dowiedzieć się nie można) już psują tragiczne wrażenie, jakie zostało po akcie drugim. Ale koncept Majora jest niespodzianką i dysharmonią gorszą. Po co on się w to miesza: czyż te osoby, które dotąd działały nie wystarczają aż nadto na to, żeby akcya między niemi i z nich mogła się rozwijać? To oprócz tego, zawód dla czytelnika wielki: po drugim akcie on patrzał na Idalię, jako na figurę głównie działającą, od niej wyglądał katastrofy, spodziewał się że ona wybuchnie, pomści się, słowem dźwigać będzie sprawę dalszą na swoich barkach. I tak logicznie, tak dla piękności dramatu być było powinno. Zniknienie Idalii w takiej chwili już musi akcyę paraliżować; zawsze byłoby nieszczęśliwym pomysłem, ale takim, którył się dał jeszcze naprawić. Do wszystkiego co dotąd znieść musiała, dodano jeszcze zniewagę najdotkliwszą: sytuacya jej, choć tą niepotrzebną kom-

plikacyą zepsuta, zostawała taką jak była, dramat mógł iść dalej raz otwartym torem. Ale cóż: kiedy wszyscy oburzeni na Majora siadają do powozów i bryczek, żeby porwanej Idalii szukać, przepraszać, kiedy Fantazy, w którym wyrządzona jej obelga obudza jakieś wspomnienie dawnej miłości i wściekłość, puszcza się w pogoń na koniu, żeby ją ratować lub pomścić, a jeden tylko Rzecznicki zostaje w domu, bo się nie miał gdzie zabrać, — wchodzi, kto? Idalia, nie porwana bynajmniej, spokojna i niepojmująca wcale zdziwienia i pomieszania, z jakiem ją Rzecznicki wita. Co się stało? Z długiej rozmowy, w której Rzecznicki drwinkuje i dowcipkuje z Idalii tonem ostatniego gbura „dobrą pani miałaś drogę“, pokazuje się wreszcie, że Idalia nigdy porwaną nie była, że przyjechała pani Rzecznicka (o której exystencyi nawet nikt dotąd nie wiedział), że chcąc męża zejść niespodzianie, szła piechotą, że spotkała się z Idalią i wzięła jej kapelusz i szal, że Kałmuk temi pozorami zmylony porwał panią Rzecznicką i gdzieś z nią w świat pogonił. I ten incidens, to *qui pro quo,* to porwanie Rzecznickiej, która dotąd do akcyi nie należała wcale, staje się najważniejszym momentem dramatu, jego przesileniem: fantazye Fantazego, tęsknoty i cierpienia Idalii, miłość Dyany, jej przymuszone zamęźcie, rozpacz Jana, te wszystkie śliczne i dotąd tak doskonale wprowadzone, tak zajmujące, tak dramatyczne sytuacye usuwają się w głąb, na pierwszym planie stoi porwanie Rzecznickiej. Dalszy przebieg sprawy wyjdzie już nie z tamtych pierwiastków, naturalnie i pięknie, poetycznie i psychologicznie, ale z tego epizodu wtrąconego tu niewiedzieć po co, niepotrzebnego, ani dramatycznego, ani komicznego, ani związanego z tem co działo się dotąd: i od tej chwili ten epizod tak wyjdzie na wierzch, zabierze tyle miejsca, że figury tak pięknie nakreślone w dwóch pierwszych aktach, ich uczucia, ich interesa, nie będą mogły rozwijać się dalej, że poeta odtąd traktuje je pobieżnie, powierzchownie, zbywa je, nie ma czasu dać im mówić o sobie, bo wszyscy mają do mówienia

o mniemanem porwaniu Idalii, o pani Rzecznickiej! To staje się osią akcyi: ona niewidzialną wprawdzie, ale główną osobą. Co Słowacki myślał, czego chciał? cała ta historya utwierdza może w domyśle, że w zamiarze autora *Niepoprawni* mieli być komedyą, że przynajmniej przez chwilę zamiar taki był, choć krótko. Tem jednem wytłomaczyć jakoś można wprowadzenie tego zawikłania, które niby ma być komicznem, i użycie tak zużytego komicznego środka jak *qui pro quo*. Ale pomysł ten cały jest literackiem nieszczęściem dla teatru polskiego tak ubogiego, który przezeń stracił sztukę prześlicznie zaczętą, która byłaby jedną z jego najświetniejszych ozdób, gdyby była skończoną tak jak się zaczęła, a przez ten epizod, który zaciera wrażenie tragiczne poprzednich i już mu wrócić nie daje, jest z expozycyą swoją w zupełnej i rażącej sprzeczności. *Desinit in piscem.*

A jak się ta nieszczęśliwa historya mści zaraz na dramacie, na to dowodów dostarcza akt czwarty.

Idalia wraca do siebie. Czy zacznie jak mówiła prząść kądziel jak jej prababka, czy zechce dalej mieszać się w sprawy Respektów? mścić się? swatać Jana z Dyaną? Później, z nienacka, bez przygotowania, pokaże się, że ona o tem myśli, że plan jakiś ma, i wykona. Ale to wszystko wyskoczy dalej jak Filip z konopi; dopiero kiedy już rzecz się stała, dopiero pokaże się, że hrabina o niej myślała. A teraz ma ona coś ważniejszego do roboty, musi zająć się panią Rzecznicką, ratować ją od śmieszności i obmowy! Że Idalia na taki pomysł wpada, że chce sama uchodzić za porwaną, w tem nie ma nic złego, to z jej naturą zgodne: Za kamień Rzecznickiemu oddać chleb, być obmówioną, oczernioną, wyśmianą niesłusznie, poświęcić się na to dobrowolnie, to wzniosła męczeńska rola, ktora się jej wyobraźni bardzo podoba, tak, że nietylko przyjąć ją w razie potrzeby jest gotowa, ale ją sama bez potrzeby wywołuje. Ale to zawsze wielka szkoda. O ile dramat byłby piękniejszym, gdyby Idalia teraz myślała o tem niespodzianem spot-

kaniu Dyany z Janem, które przygotowuje, gdyby ta sytyacya dramatyczna istotnie i wzruszająca wystąpiła na jaw, zamiast być ukrytą za kulisami, gdybyśmy to spotkanie, tę miłość, ten żal, tę walkę, ten strach i gniew Respekta i Respektowej widzieli! Tymczasem tego wszystkiego niema: Stella już nie szczebiocze, Dyana nie płacze, Jan prawie się nie odzywa, wszyscy znikają, nawet o nich mało słychać, a za to o Rzecznickiej i Rzecznickim bardzo wiele. Żale Marszałka, któremu się stał tak niemiły przypadek, mdłości pani Marszałkowej (której zdaje się, nie stało się nic, prócz że się przelękła i strzęsła na siodle), exkuzy pani Respektowej przed Idalią, narzekania Respekta na niewczesny koncept Majora, oto, co stoi na pierwszym planie przez cały niemal ciąg czwartego aktu. Nagle wpada Stella oświadcza, że Dyana zemdlała. Zkąd? co się stało? Idalia to tłumaczy, ona to przygotowała: podsunęła Dyanie jakieś album z jakiemś przypomnieniem, a następnie Jana samego.

„Sztambuch przejrzała, i zeszła się w sieni,
Twarz w twarz z tym pięknym brązowym ułanem.

Ten Sztambuch, potem on — taka ogromna
Nagłość i takie przejście —

Co za sztambuch? co tam Dyana zobaczyła? Zkąd się to wszystko bierze? Naprzód, to jest *Deus ex machina* mniejszy od innych które się tu znajdą, ale zawsze zły; a potem, co za szkoda, co za ogromna szkoda, że ta scena nie odbywa się przed naszemi oczyma.

Nie mniejsza szkoda, że cała sprawa między Fantazym a Majorem także schowana za kulisy, i także zawsze z łaski pani Rzecznickiej. Fantazy Idalii nie kocha, śmieje się z niej, ale kiedy jej wyrządzono gwałt i zniewagę, uczuł się, on, człowiek którego kochała, jej naturalnym obrońcą, nikt bronić jej ani pomścić nie mógł, tylko on. A na honorze znowu

Fantazy zna się, i z pewnością nie pomyli się w tem, co mu honor zrobić nakazuje. Chce więc pomścić Idalię, a myśl o jej nieszczęściu, o obeldze wyrządzonej kobiecie która, jemu poświęciła wszystko, myśl o tem co ona cierpieć musi, odnawia w jego sercu, przynajmniej w jego pamięci, jakieś resztki dawnych uwielbień i zapałów. Idalia porwana, skrzywdzona, wydaje mu się już nie śmieszną, ale na nowo poetyczną. Dopadł więc Fantazy Majora, dał mu w twarz, z tego oczywiście wypada pojedynek. Jaki? grali w karty o życie: przegrał Fantazy. Śliczna ta figura, zostaje godną siebie do końca, i w tym czwartym akcie występuje doskonale: ale występuje za mało, Słowacki nas okrada, mamy prawo więcej Fantazego w tej sytuacyi widzieć, więcej go podziwiać jak się sam w swojej dramatycznej sytuacyi podziwia.

Tak jak jest, choć on za mało się tu pokazuje, za mało miejsca zabiera, on jeden ratuje i podnosi ten cały akt. Wspaniały jest w swojej scenie z Rzecznickim, kiedy po swoim pojedynku wpada zmieszany, przerażony tem co się stało, i tem co się stać ma, gorżki i heroiczny, zawsze odważny naturalnie i nie wahający się umrzeć, a jednak zdjęty mimowolnym dreszczem: a przy tem wszystkiem zawsze udający, zawsze szukający w swojem życiu effektów i na efekt się oglądający. Jak się to wszystko razem splata, i jak doskonale przebija przez jego urywane, na pół nieprzytomne słowa, determinacya śmierci, żal życia, wyrzut sumienia, szlachetność uczucia, (w tem co mówi o Dyanie) poezya wreszcie kiedy z tak niezaprzeczonym talentem fantazyuje o własnej śmierci:

Dość! czas szybko bieży...
Do grobu śpieszno — a strach!... Nie idź za mną!
Bo gdybyś i szedł: to nie trafisz wcale.
Śmierć ma tebańską stolicę stubramną;
Jedne są bramy jak krwawe korale
Czerwone — inne są jak perły białe;

I białe, bez ran, duchy przez nie wchodzą.
Bądź zdrów!.., Królestwo mego ducha całe
Niezbuntowane, ale z ciała już się płodzą
Robaki... i te w ustach słowa zimne
Są robakami...

A znowu ten testament który on pisze, ten majątek który ma się sprzedać, zmienić na złoto, z tego złota ulać pierścionek z napisem: Trup swej narzeczonej, i oddać Dyanie, to pomysł człowieka, który nawet w śmierci prostym być nie umie, nawet śmierć musi mieć teatralną. Jak jego ten pomysł cieszy, jak on rozkosznie używa na wrażeniu jakie ten testament zrobi na Dyanie, jak ją sobie wyobraża przez całą resztę jej życia ugiętą pod ciężarem tego strasznego pierścienia, smutną narzeczoną trupa, podobną do bohaterek najczarniejszych legend i ballad! A zarazem przypomina sobie i Idalię: „ostatnia moja godzina innym się duchom należy“. Mówi to trochę przez pamięć dawnej miłości, trochę przez wdzięczność za stałą i nieograniczoną miłość, a trochę i przez instynkt miłości własnej. Niema na świecie drugiej istoty, któraby tak się zachwyciła ponurą poezyą jego położenia jak Idalia, nie ma takiej, przy której mógłby tak wygodnie, tak rozkosznie poetyzować w chwili samobójstwa, nie ma takiej, któraby jego tak podziwiała w tej chwili. Wraca więc do Idalii. I to znowu bardzo dobrze że jej nie widzi, nie rozmawia z nią, ale listem wzywa na ostatnią schadzkę na ziemi.

LOKAJ.

Daj, niech ja przeczytam!
„Schadzka ostatnia dusz naszych na ziemi
„Dziś o północy“...

HELENKA.

Pana Boga pytam,
Czy tutaj jest sens?

LOKAJ.

„Czarami złotemi
„Ostatni toast dziś — lub z tobą razem
Piję aniołom — albo też samotny“... —
Święty Józefie! za każdym wyrazem
Wykrzyknik, a list taki był wilgotny,
Że na nim moje palce znać wyraźnie
Wydrukowane. — Djabli jacyś wodzą
Pióra tym panom: piszą niepokaźnie
W gzygzaki. (Czyta). „Tam, gdzie na świecie się schodzą
„Wszyscy i wiecznie zostają — gdzie Juliet
„Obudziła się i zasnęła — czekam“.

Co za list wyborny! Służący który go czyta, nie może dojść sensu: ale czytelnik więcej literacki widzi jak Fantazy gotując się do śmierci, przypomina sobie wszystkich poetycznych samobójców, jak się równa z Wertherem, jak odgaduje czy Romeo w grobie Capuletów miał takie same myśli i wrażenia jak on teraz, lub trochę odmienne. Zrozumiała też i Idalia o co chodzi, i w obawie, czy czasem trucizny w *czarze* albo kuli w pistolecie dla niej nie zabraknie, dla wszelkiej pewności chwyta swój wenecki sztylet, i leci umierać z dawnym kochankiem, albo przebić się na jego trupie.

I byliby dotrzymali oboje! Następuje scena jedna z najoryginalniejszych w poezyi, a najpiękniejsza może w tym dramacie, pierwsza scena piątego aktu. Wprowadzić dwoje ludzi, którzy mają tylko godzinę życia przed sobą, są zdecydowani się otruć, mówią o tem, liczą minuty i chwile jak jedna za drugą uchodzi, i wiele ich jeszcze do życia zostaje, i w tej sytuacyi zrobić ich śmiesznymi: to myśl najśmielsza jaka być może. Byłaby nieludzką, gdyby istotnie rzeczy dojść miały aż tak daleko. Göthe, który przez cały ciąg swego romansu przedstawia Werthera ironicznie, porzuca ten ton, traci nawet to uczucie, kiedy przychodzi do śmierci; i wtedy

ma dla swego bohatera współczucie tak prawdziwe, a wyrażone tak rzewnie, że ona zaciera niemal wrażenie tej dawniejszej ironii, że mnóstwo ludzi rozrzewnionych tem współczuciem dało się złudzić i wzięło Werthera po prostu za ideał, za bohatera. Słowacki w tej scenie ironii nie porzuca, śmieje się bez litości z Fantazego i z Idalii, zdaje się stać za nimi i szeptać im ciągle: „gracie komedyę — przez całe życie uważaliście świat za teatr, a siebie za poetycznych bohaterów dramatu, i teraz nawet, w tej uroczystej ostatniej chwili, kiedybyście przecie mogli i powinni nic już nie udawać, i teraz jeszcze niema w was prawdy, niema prostoty! zabieracie się do śmierci jak komedyant na scenie, kiedy się ogląda czy go publiczność widzi, czy podziwia, i nadsłuchuje czy nie klaszcze“. A przecież: w tem jest niepojęta jakaś Słowackiego sztuka, pomimo tej ironii autora, pomimo tej śmieszności figur, figury te są poważne i są poetyczne. Jak on to zrobił? W takie sekreta poetycznej roboty wglądać próżno, bo się ich nigdy na prawdę nie docieknie. Może stało się to przez tę fantazyę istotnie poetyczną, którą wielki poeta swoim byronicznym bohaterom nadać umiał: może piękność słów i obrazów w rozmowie Fantazego i Idalii daje nam czuć, że to ludzie przesadni i udający trochę, ale nie zwyczajni ludzie, tem mniej zwyczajni komedyanci, dość, że rozwiązał zagadkę na pozór nie do rozwiązania: uczynił bohaterów swoich w sytuacyi najtragiczniejszej śmiesznymi, a w tej śmieszności potrafił zrobić ich poetycznymi, poważnymi i wyższymi, i w tym podwójnym charakterze utrzymuje ich (jak przez cały ciąg sztuki, co już było dość trudnem) przez cały ciąg tej sceny, w której te dwie rzeczy razem zdaje się, pogodzić się i połączyć nie mogły. Charakter osób, psychologiczna prawda ich natury, wymagały tego połączenia, a dziwny, może drugi raz nigdy tak misterny i subtelny takt poety, potrafił to połączenie zrobić i utrzymać.

Wspaniała scena: cmentarz: naturalnie! ci dwoje ludzi nie mogli swojej ostatniej schadzki na ziemi odbyć gdzie-

indziej jak na cmentarzu, wśród dekoracyi grobowców, krzyżów, świerków, i kwiatów zasadzonych na grobach dzieci i dziewic. Księżyc? to już ostatnia dla nich grzeczność natury, bez księżyca obejść się nie mogło; księżyc dyskretny, smutny, w harmonii z ich duszami, przesłaniany od czasu do czasu czarnemi chmurami. Jak im świecił niegdyś, kiedy wśród weneckich pałaców lub po Neapolitańskim golfie pływali w uniesieniach i zachwytach miłości, sami, z jedną tylko arfą Idalii za świadka i towarzysza szczęścia, tak został im wiernym do końca. Fantazy, poeta, artysta, od niego nawet mowę swoją zaczyna; przedsmak pierwszych wrażeń śmierci, miesza się u niego ze wspomnieniami i z ostatniemi wrażeniami piękności na ziemi. Zaczyna się rozmowa, zupełnie zapewne podobna do tych, które prowadzili z sobą za lepszych czasów, pod włoskiem niebem, w ciemnych przegubach Coliseum, albo w gajach Sorrentu, a która kończyła się rozkosznem uściśnieniem miłości, jak tu zakończy się ostatniem uściskiem w śmierci. Idalia widzi czarne cienie i smutne grobowe figury: Fantazy obiecuje, że jej pokaże tęczowe duchy. Z pewnością nie inaczej rozmawiali oni w swoich poetycznych podróżach.

FANTAZY.

Oto są Idy marcowe Cezara!
Śmiertelne — bo ty jesteś moją Idą.
Cóż? dotrzymałem słowa... Godzin para
Ostatnich — z tobą! Gwiazdy nasze przyjdą,
Miesiąc nasz złoty już jest i dotrzymał
Słowa — na ucztę śmierci przyszedł pierwszy.
Świat mię był w takie łańcuchy poimał,
Że teraz pewnie mój sen będzie szerszy,
Gdy oddam ducha. Tony moje drżące
Były boleścią ducha ostateczną. —
Siądź tu. W twych oczach widzę dwa miesiące
Błękitne — będziesz mi harmonią wieczną,

A oczy wiecznem zródłem światła będą;
Wypiję wszystkie złote z nich promienie.

IDALIA.

Ten cmentarz zawsze był najmilszą grzędą
Mego ogrodu. — Patrz, jakie tam cienie
Czarne pod gęstwą lip! i głazów twarze
I na czarności krzyżów niewidzialnych
Głowice trupie...

FANTAZY.

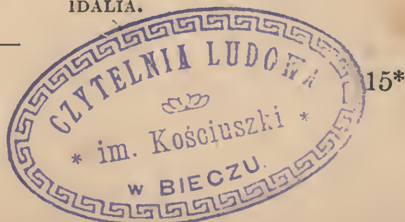
Tęczowe duchy, twarze bóstw fatalnych,
Które mi zawsze w nocy były blisko
I to zrobiły, żem tak głupio — marnie
Życie me rzucił.

Idalia jest do śmierci zupełnie gotowa: nie namyśla się, nie dyskutuje; umrze, to się rozumie samo przez się, to rzecz tak naturalna i prosta! Jest w tej decyzyi zupełnie spokojna, a co więcej nawet nie przesadna. Przecież śmierć nie jest rzeczą małej wagi, życie Fantazego może się przydać, żąda zatem Idalia, żeby się przed ostatnią chwilą jeszcze raz zastanowił. Mścić się nie miał za co: nie ona była porwaną przez Baszkira ale pani Rzecznicka, czy warto dla tego umierać?

Że nie warto, to Fantazy wie i czuje dobrze: i ten śmiech głośny, szalony, którym wybucha, kiedy się o awanturze pani Rzecznickiej dowiedział, to śmiech gorżki, przymuszony, spazmatyczny, którym Fantazy głuszy swój żal za życiem, żal że tak marnie, dla niczego umiera. Jak ta gorycz i ironia dobrze przebija przez te słowa:

IDALIA.

Ten śmiech — —



FANTAZY.

Uderzył po głowie obuchem
W posąg piękności — i w szarego stracha
Zamienił tę śmierć, która przy nas stała
Niby cudowna postać z alabastrów,
W gwiazdach, w motylach i w miesiącach cała,
Z kobiercem maków, dziewanny i astrów
Pod cichą stopą. — Patrz, jakich komików
Wydaje Polska: aż do grobu śmieszą!
O! o koncercie śmiechu i słowików,
Graj!... Otoczona dziwolągów rzeszą,
Straszliwa, w czepcu — nowa Dejanira
Poprzedza orszak nasz, dwie nasze trumny,
I krzyczy: Za mnie ginie syn Zefira
Z córką Aurory!!

Ale umrzeć musi: przegrał życie w pojedynku — dla pani Rzecznickiej czy dla czego innego, wszystko jedno, honor żyć mu nie pozwala, już ma tylko kwadrans. I wtedy zaczyna się przepyszne zakończenie tej sceny: Idalia, kobieta, ma chwilę nie słabości, ale bojaźni żeby nie osłabła, i woła na swego wieszcza żeby ją słowem jakiem umocnił, pokrzepił podniósł,

O znajdź, znajdź jakie słowo większej mocy
Aby mnie w ciemnej śmierci rozmiłować —

a Fantazy wtedy zawsze porównywając siebie z Manfredem, z Dantem, ze wszystkiem co poetyczne, opowiada jej co będzie jutro po ich śmierci, jak serca młode będą po tych miejscach z rozczuleniem szukać ich śladu, mówi że razem ulecą z ziemi, i tą świetną improwizacyą, w której jest i prawdziwa poezya i właściwa bohaterowi pretensya, tak nastraja wyobraźnią i nerwy Idalii, że ta gotowa jest, „w świętem zachwyceniu“, jak on mówi, „dać cichą głowę pod kosę śmierci“.

FANTAZY.

Patrz — ta kaplica z krzyżem złotym, w nocy
Stojąca jak duch, zacznie tu panować
Ducha naszego siłą... i z kamieni
Miłością świata lać sakramentalnie!
Jutro ten kościół tak się w nas wpromieni,
Jak w smętne światło, i będzie fatalnie
Działał na smutne duchy, serca młode —
Jak pieśń, która nam dzieciom w piersiach dzwoni.
Chodź! do kaplicy cię tej ciemnej wiodę.
Astarte!... o ty, bez lauru na skroni
Nieznanego tu ducha Beatrice,
Którą porwałem i aniołom niosę,
Chodź, chodź! i w Madonn się wpatruj oblicze
I w zachwyceniu świętem daj pod kosę
Miesięczną śmierci cichej twoję głowę!
Co mówię? — na niej stań, jak na miesiącu,
A on skrzydlaty z nami w światy nowe
Uleci — i w słońc ognistych gorącu
Postawi czoła nasze na granicy
Ostatniej, kędy ludzki duch dolata...
Chodź! chodź! chodź do tej, o siostro, kaplicy!
Chodź ze mną! stamtąd nie wyjdziesz bez brata,
Ani bez siostry ja — chociaż oboje
Bez ciał wyjdziemy...

Idą więc pomału ku kaplicy, w której mają zażyć truciznę — w samej śmierci jeszcze wrażeń chciwi, idą pomału jak żeby się oglądali na własne cienie, czy piękne i poetyczne — oddają sobie swoje duchy w ostatniem pocałowaniu... wtem pada strzał. To Major się zabił!

Po niesłychanej psychologicznej prawdzie i wielkiej piękności tamtej sceny, zakończenie wygląda źle. Naprzód ten Major, istna nieszczęśliwa machina, z której wyskakują coraz nowe Deusy, ten Major strzela sobie w łeb przez do-

broć serca, doprawdy przesadzoną i nie do uwierzenia. Niby to dla tego, że po obeldze jaką mu Fantazy wyrządził, dwóch ich na świecie zostać nie może, a młodego człowieka szkoda. Ale, jeżeli już Major był tak dobry, tak nie zawzięty na Fantazego, to doprawdy byłby się przecie może znalazł jaki inny sposób wyjścia z trudności, nie to samobójstwo z grzeczności. Jako figura Major nie jest zły wcale: Moskal prawdziwy, nastojaszczy, prostak wielu rzeczy zrozumieć nie zdolny: poczciwy i szlachetny, nawet honorowy, a majątek zebrał jak sam naiwnie wyznaje, biorąc kubany jako urzędnik. Patryotyzm polski rozumie, i dla wygnanych jest ludzki: ale posłuszeństwo przedewszystkiem. Za młodu miał liberalne jakieś zachcenia, należał do spisku Pestla: ale kiedy zobaczył cara, do którego miał strzelić, zdrętwiał i lontu do dzieła przyłożyć nie zdołał. Do swojej greckiej wiary przywiązany: słowem dobry, bardzo dobry Moskal: tylko tu w dramacie niepotrzebny i szkodliwy, robi same rzeczy złe albo zbyteczne. On porywa Rzecznicką i tem psuje sztukę bez ratunku: on znowu teraz ginie nie wiedzieć dlaczego, żeby autor, nie trudząc się wymyślaniem innych podobniejszych do prawdy perypecyj, mógł finalnie swego Jana z Dyaną wyswatać. A do tego jeszcze, ten Major chyba sam nie wie czego chce i co robi. Wszak kocha Jana jak własnego syna, przywiózł go do Polski na to, żeby on mógł Dyanę zobaczyć, o jego miłości wie — jakżeż to zrozumieć, że on właśnie każe porywać Idalię? przecież jako przyjaciel Jana powinien w tej przeszkodzie do małżeństwa Dyany z Fantazym widzieć aliantkę i działać z nią w porozumieniu? Znowu szczegół drobny, nad którym się Słowacki nie zastanowił, podług zwyczaju, a który przecież mógł w sposób łatwy być lepiej wymyślonym. Mógł naprzykład Major, dopiero po porwaniu Idalii, usłyszeć od Jana zwierzenie o jego miłości — lepiej zaś i najlepiej byłby zrobił, gdyby był Idalii czy pani Rzecznickiej wcale nie porywał.

W zakończeniu samem dwa małe błędy. Że Respekt nie pyta zkąd się pieniądze biorą, byle on ich nie ukradł a były, to rzecz naturalna: że Major nie czuje, iż je źle nabył, także. Ale ten Jan tak skrupulatny, tak wysoce honorowy, który odrzucił majątek ofiarowany przez Idalię, bez najmniejszego wstrętu bierze ten majątek Majora zebrany przekupstwem i srogiem, jak sam mówi, wymaganiem od kupców żeby mu się opłacali, to trochę dziwne. A drugie drobne, ale rażące, słowo ostatnie Idalii. Kiedy Fantazy, który zwolniony z konieczności samobójstwa wytrzeźwiał znowu, oświadcza jej, że wyjeżdża i prosi, żeby była wspaniałomyślną i nie żądała od niego miłości, Idalia odpowiada *żądam szacunku!* Nie — ona nigdy tak odpowiedzieć nie mogła; mogła kochać dalej lub gardzić, mścić się albo przebaczyć, żądać miłości albo zapomnienia: ale *szacunku*, tego uczucia zimnego, prozaicznego, którego w jej położeniu zażądałaby najzwyklejsza kobieta, pani Rzecznicka nawet, cóż znowu! Wszystko, ale nie to hasło kobiet takich jak Idalia. Te natury królewskie mogą obejść się bez niczego: ale przyjąć mniej jak wszystko, tego nie mogą, bo czują i wiedzą, że im się z prawa należy wszystko, co tylko dać może człowiek którego kochać raczą.

Wszystko razem wziąwszy, jest tylko jeden wielki błąd w *Niepoprawnych;* drugim, już znacznie mniejszym, jest samobójstwo Majora, a zresztą drobne tylko usterki, które się tylko dla spokojności sumienia wylicza. Ale ten jeden, porwanie pani Rzecznickiej, jest taki, że cały dramat psuje, że cała piękność i doskonałość figur nie może go uratować, że jest zupełnie, radykalnie zepsuty przez to zboczenie akcyi, zarzucenie sytuacyj bardzo dramatycznych i wdzięcznych, a zastąpienie ich innemi, które naprzód nie są ich warte, obojętne, czcze, bez zajęcia, ani dramatyczne, ani zabawne, a powtóre z poprzedniemi ani w logicznym związku, ani w harmonii pod względem tonu.

Szczęściem, piękności jakie tam są, pomimo że sztuka jest zepsuta, zostały, i kiedy się nad niemi płakać chce, że ich poeta lepiej nie użył, używa się na nich zawsze. Figury wszystkie dobre, i rzecz u Słowackiego bardzo rzadka, są jednolite, do końca z sobą zgodne, wiernie i logicznie w charakterze swoim utrzymane. Jedne są pełne humoru i komicznej prawdy, jak Respekt i jego żona, inne pełne wdzięku, jak córki. Jan wcale pięknie na bohatera zakrojony, Rzecznicki dopóki po porwaniu żony głowy nie stracił, ma dużo życia i fizyognomii; nawet Major dobry, nawet ksiądz Loga, nawet służący. Sceny i sytuacye niektóre śliczne; całe dwa pierwsze akty, początek ostatniego, nawet niektóre krótkie ustępy z czwartego. Ale nad wszystkiem górują dwie postacie pierwszego rzędu, dwa typy istotnie nieśmiertelne, doskonałe i jako pomysł i jako wykonanie, wymyślone z niezmierną bystrością, utrzymane konsekwentnie z najściślejszą psychologiczną prawdą, a odmalowane z najsubtelniejszą, najmisterniejszą delikatnością pędzla: Fantazy i Idalia.

Te dwa typy pierwszorzędnej doskonałości zapewniają prawo do wielkiej sławy dziełu zkądinąd bardzo wadliwemu, przez nieszczęśliwy, a u autora zbyt niestety częsty brak zastanowienia i rozwagi, zupełnie zepsutemu.

Nic rzadszego, jak w poezyi figura poety, prawdopodobna i piękna. Naprzód czytelnik jest z góry do figur takich uprzedzony, nie wierzy im: gdybyś ty był poetą, mówi, znałbym twoje imię i twoje poezye, to bajka — i zachowuje się zimno, odpornie względem poety, którego ma za samozwańca. Najczęściej zaś figury takie udają się jak najgorzej. Autor zapowiada o swoim bohaterze, że to gieniusz, mistrz, wielki człowiek, w którego głowie siedzi najpotężniejsza fantazya, a w sercu wrą i grzmią wulkany uczucia, a że oczywiście ani gieniuszu, ani fantazyi, ani uczucia nie może temu bohaterowi dać więcej jak go sam ma w swojej głowie, więc zapowiedziany wielki poeta wydaje się dość małym — takim jak autor; dowód naprzykład na Schillerze,

kiedy go Laube bezbożnie zrobił bohaterem dramatu i wyposażył tym poetycznym gieniuszem, jaki miał sam. Słowacki jest mądrzejszy. Naprzód nigdy o Fantazym nie mówi, czy to naprawdę poeta zdolny, czy tylko nieszczęśliwy aspirant do poezyj. Tym sposobem unika trudnego zobowiązania, nie potrzebuje kłaść gieniuszu w głowę swego bohatera. A potem, sam wielki poeta, umie temu bohaterowi nadać tyle poetycznego usposobienia, że czytelnik nie zmuszony wcale, dobrowolnie w zdolność i poezyą Fantazego wierzy. Czy to dlatego, że Słowacki sam figurę tę poezyą natchnąć umiał, czy może, jak chcą niektórzy, że malował ją z natury i kładł kopie w usta rzeczy, które słyszał od oryginału, lub przynajmniej do tych podobne, dość że Fantazy jest jednym z bardzo rzadkich w poezyi poetów, którzy wyglądają prawdopodobnie, w których zdolność i poezyę się wierzy. Są w jego roli ustępy, które tylko z poetycznej, bardzo poetycznej głowy wyjść mogly, i które tę stronę jego natury ślicznie charakteryzują: jak naprzykład w akcie pierwszym (scena VI) usposobienie to maluje, albo kiedy w czwartym i w piątym akcie mówi o śmierci, ale zwłaszcza ustęp z pierwszego aktu. Ten nie mógł być napisanym tylko przez człowieka, który sam zna cały proces poetycznego tworzenia, wie, co się w fantazyi odbywa, kiedy ona pomysł jakiś poczyna.

FANTAZY.

Prawdę ty mówisz: same jakieś światla
Chodzą po mojej głowie — jak u dzieci —
Zielone, jasne, czerwone — jak na tła
Złote rzucone przez Wenecyanina
Świętych postaci; różne jakieś tony,
Z których ton każdy mi coś przypomina
Smutnego, a ma niewytłómaczony
Urok dla ducha. W powietrzu mi dzwonią
Różne pamiątki miejsc; koło mnie chodzą,

Każda ze swoją twarzą, swoją wonią,
Zmieniona w Nimfę, w postać... Ach! jak szkodzą
Uczuciom myśli nadto rozwinięte!
Zda się upiory piękniejsze, że smętne —
Zdaje się kwiaty smętniejsze, że ścięte —
Zda się, że bóstwa — tak, krwią nie namiętne,
Ale grzejące slonecznością lica —
W wieńcach, w kameliach z gwiazd, których kolory
Niepewne jako półtęcze księżyca
Srebrzeją... Myśli me — już pół-upiory,
A jeszcze myśli...

Kiedy Fantazy, z doświadczenia Słowackiego, tak tę tajemniczą robotę wyobraźni zwykłym ludziom nie znaną opisze, wierzy się Fantazemu, myśli się naprawdę, że to on poeta.

Jeszcze raz, figura jedna z najoryginalniejszych, najbardziej jednolitych, zupełnych, psychologicznie najprawdziwszych, najmisterniej wykończonych najdelikatniej wycieniowanych, jakie są w poezyi Słowackiego. Idalia jego godna.

Na grobie skończonej zamkniętej epoki, na grobie romantyczności byronizującej i chciwej wielkich dramatycznych efektów w życiu, stoją te dwie postacie jak posągi, z których potomność pozna ducha i fizyognomię tej epoki. Nie brak tam niczego. Poetyczne porywy, coraz nowe zachcenia wyobraźni, skłonność i zdolność wmawiania w siebie i przesadzania uczuć i wrażeń, a obok tego i wierność temu poetycznemu ideałowi, naśladowanie go w życiu, staranie się o rzeczywistą piękność życia, wzniosłość uczuć, zdolność poświęceń, usposobienie istotnie artystyczne, wszystko aż do wykwintności arystokratycznych natur i przyzwyczajeń, wszystko w nich jest, i wszystko tak po mistrzowsku połączone, że śmieszność i zdrożność udawania jest widoczna, a nie zasłania piękności i szlachetności wrodzonej natur, a poetyczna i piękna strona tych dusz nie zaciera, nie zmniejsza śmie

szności i zdrożności ich złego nałogu. Figury to na wielką skalę, figury, które reprezentują cały jeden psychologiczny genus ludzi XIX wieku, i nawet figury, w których mieści się i moralna nauka dobra do rozważenia: dla ludzi skłonnych do dramatyzowania własnego życia przestroga, dla innych, zbyt na tę nierzetelność niecierpliwych i zawziętych przypomnienie, że pod komedyą fałszywej poetyczności może się przecież kryć prawda rzeczywistej, a przez to i poetycznej piękności uczuć i woli.



3. Horsztyński.

Widząc, jak ludzie czasem śmieją się z archeologów, zbierających pobożnie skorupy potłuczonych garnków i łamiących sobie głowy nad kształtem, jaki te skorupy mieć mogły, kiedy były garnkiem: widząc, że dość marne i bez celu są domysły i spory uczonych i estetyków nad pytaniem, czy ta lub owa ręka albo noga tego lub owego uszkodzonego posągu w ten lub inny sposób wyciągnąć się mogła naprzód albo podnosić do góry, niema się odwagi mówić lub pisać o poetycznych fragmentach. Cóż z tego, że mogły być albo kiedyś były piękne, skoro dziś są niecałe, albo nigdy skończone nie były. Piękność tych kawałków nie może zaspokoić nikogo, bo nie jest całością, nie jest skończoną; a domyślać się jaką była lub miała być ta całość, to praca tak próżna, a dla ludzi tak mało zajmująca, jak kłótnie o ramiona Wenery Milońskiej, albo jak zagadka garnka, nad którą duma archeolog siedząc nad skorupami.

Niejeden może wzruszony do głębi pięknościami niektórych fragmentów Słowackiego, chciałby im był poświęcić trochę czasu i pracy, niejeden byłby może pragnął zwrócić uwagę publiczności polskiej na *Horsztyńskiego* zwłaszcza: ale wstrzymywału go uwaga, co o nim powie, jak oceni jego piękności, kiedy sytuacye najbardziej tragiczne, sceny najważniejsze, są albo przerwane albo zaledwo rozpoczęte, a żaden plan, żaden szkic poety nie przychodzi w pomoc, nie naprowadza na domysł, jak ten poeta chciał tę scenę dokończyć, tę lub ową sytuacyę rozwiązać. Czuje się, że upodobania jakie się ma w tym kawałku pięknego dzieła nie

zdoła się usprawiedliwić a przynajmniej przelać w drugich, że powiedzą; wolałbyś mówić o czemś całem i skończonem, niż o tem o czem sam nie wiesz jakie było lub być miało.

Dla tego to może, choć dużo już lat przeszło od wydania pośmiertnych pism Słowackiego, nikt dotąd nie odważył się pisać czy mówić o jego fragmentach: o *Horsztyńskim* między innemi, przed innemi może, jako o największym i najcelniejszym. A jednak muszą tam być piękności wielkie, skoro znaleźli się estetycy, którzy namiętnie zajmowali się pytaniem, jak mogła wyglądać utrącona ręka posągu, archeologowie, którzy ze czcią zbierali rozbite skorupy, i składali je razem, i chcieli koniecznie wyobrazić sobie jakiem mogło być naczynie.

Z tej pracy, z tego namiętnego zamiłowania w defektowym dramacie wyszło uzupełnienie fragmentu, które pozwoliło przedstawić *Horsztyńskiego* na scenie. A jakiekolwiek ono jest, w każdym razie musi mieć choć tę zasługę, że odgrzebie fragment przysypany „niepamięci piaskiem“, że go postawi na widoku i zwróci na niego uwagę, że dramat przestanie być martwą muzealną zabytkową ciekawością, a stanie się żywą rzeczywistością, i bodaj na chwilę przedmiotem powszechnego zajęcia. A skoro tak, to zmienia się i położenie tych, którzy dawno może pragnęli wziąć go pod rozwagę: są usprawiedliwieni, nie nudzą ludzi nieznanym albo zapomnianym obojętnym kawałkiem czegoś, ale mówią o czemś, co wszystkich zajmuje lub zajmować będzie. Sposobność to jedyna żeby *Horsztyńskiemu* trochę uwagi poświęcić i na niego ją zwrócić: a że on tego wart, nie zaprzeczy kto go zna i pamięta, przekona się, kto go sobie zobaczywszy na scenie przypomni.

Gdyby *Horsztyński* był skończony, byłby niezawodnie najpiękniejszym Słowackiego dramatem. Brak mu nie nietylko zakończenia, ale i w ciągu sztuki jest kilka przerw znacznych, które gdyby był autor zapełnił, może właśnie byłoby w tych miejscach znalazło się to, na czem jedynie sztuce

zbywa: może byłby nadał więcej jasności i wyrazistości zamiarom i czynnościom osób, których dziś domyślać się wprawdzie można, ale nieraz domyślać się trzeba. Przecież to czego brakuje, jest mniejsze od tego co jest: a jeżeli nie pozwala niestety uważać smutnej i pięknej tej tragedyi za całość, to pozwala uznać że talent dramatyczny Słowackiego i był wielki, i kształcił się bardzo, postępował, pozbywał się pierwotnych wad. Od *Mindowy* i *Maryi Stuart* do *Mazepy* skok znaczny, od *Mazepy* do *Horsztyńskiego* — ogromny.

Nic smutniejszego, nic bardziej rozdzierającego, jak ten *Horsztyński*.

Kto dużo Słowackiego czytał, ten musiał zauważyć, że wyobraźnia poety ze szczególnem upodobaniem przestawać lubiła w ostatniej epoce historyi polskiej, w czasach Stanisławowskich. Czy nęcił go straszny smutek tych dziejów, czy takie miał żywe, serdeczne współczucie dla ludzi, którzy tyle cierpieli, czy znajdował jakiś urok bolesny, dręczący, a przecież pociągający, w odgadywaniu różnych stopni i odcieni uczucia ówczesnych Polaków, w wyobrażaniu sobie tych rozmaitych a wielorakich nieszczęśliwych położeń pojedynczych ludzi, jakie poszły za powszechnem nieszczęściem narodu: dość, że żaden z naszych poetów nie myśli tyle o epoce rozbiorowej, żaden tak często do niej nie wraca, żaden nie umie jej przedstawić tak smutno, tak rzewnie, bohaterów otoczyć światłem melancholicznego ale bardzo poetycznego uroku, odgadnąć i odtworzyć uczucia i nieszczęścia indywiduów lub rodzin. Beniowski jest najświetniejszym dowodem tej jego sympatyi do XVIII wieku i zdolności poetycznego jego przedstawienia: *Ksiądz Marek* i *Sen Salomei* tak złe jak są, przecież dowodzą, że on straszną tragiczność tych czasów czuł bardzo żywo, bo i w nich trafią się niekiedy takie ustępy ponure i tęskne, że znać po nich z jakiemi łzami poeta rozpamiętywał tę chwilę zgonu, jak odgadywać umiał co przy tem ostatniem pożegnaniu mogło się dziać

w polskich sercach. To co on o sobie mówi w Beniowskim „dawna ojczyzno moja, o jak trudno zakochanemu w twej śmiertelnej twarzy zapomnieć wdzięku, co młodość odludną wodził na dawnych opłotki cmentarzy itd.“ to sprawdzone jest całą jego poezyą: wdzięk i smutek tej śmiertelnej konającej twarzy on czuł, kochał, i wpatrywał się w niego z zachwyceniem boleści, nie mogąc się od niego oderwać.

Otóż raz, kiedy rozmyślał nad nieszczęściem ludzi spowodowanem nieszczęściem narodu, ujrzał w tym oceanie szczegół jeden najsmutniejszy, najczarniejszy może ze wszystkich. Stanęła mu w oczach konfederacya Targowicka z całym swoim orszakiem czynów i skutków: a pośród niej człowiek szlachetny, wyższy, z wielką duszą, Polak gorący, któryby wskutek swojego urodzenia musiał nie należeć do niej, ale o nią się ocierać, żyć w niej: gardzić i brzydzić się ludźmi, których z natury powinienby czcić i kochać, których wyprzeć się, potępić otwarcie nie może. Czy byłby na świecie człowiek nieszczęśliwszy od tego? czy byłaby męka krwawsza straszniejsza nad mękę człowieka, który duszą, sercem, temperamentem rwie się do Kościuszki, do księcia Józefa, czuje że przy nich być powinien, że przy nich byłby może takim jak jeden z nich, a zamiast w honorze walki i w krwi poświęcenia, zanurzony jest w ohydzie zdrady i błocie grabieży? Czy mógłby być człowiek nieszczęśliwszy na świecie, nad młodzieńca z sercem, z uczuciem honoru, z szlachetną dumą, który był synem naprzykład Szymona Kossakowskiego?

Z takich rozmyślań wyszedł dramat, źle nazwany od Horsztyńskiego, bo jego bohaterem, jego główną osobą jest nie stary ślepy konfederat Barski, ale najnieszczęśliwszy z ludzi, syn hetmana, Szczęsny.

Szczęsny jest trochę podobny do Hamleta: jak tamten wszystko widzi, jak tamten wszystko czuje, jak tamten nie może nic zrobić i poradzić. Tylko że tam, powodem biernej bezczynności człowieka jest sama jego natura; na czyn zem-

sty o którym Hamlet myśli, zawsze zdobyć się można, można przynajmniej zabić króla, kiedy się go niespodzianie zaszło: Szczęsny miałby więcej może energii w naturze, przynajmniej jako Polak, uczuciowy i pełen wyobraźni, miałby więcej popędu, łatwiej zerwałby się do jakiego czynu, a jest tak przygnieciony siłą okoliczności, której przemódz nie może, tak wzięty w kleszcze najsprzeczniejszych moralnych praw i obowiązków, że niemoże się ruszyć. On widzi dobrze, że w jego Danii, w Polsce, jest coś spróchniałego, i chciałby, tę spróchniałość uzdrowić, choćby własną krwią: a musi rozpacz swoją tłumić w sobie, musi się wyrzec szczęścia spełnienia obowiązku, poświęcenia się, bo każdy jego krok, każde słowo, byłoby oskarżeniem i potępieniem ojca. Pójść do Kościuszki jemu, znaczyłoby przyznać głośno, że ojciec zdrajca, a on wie to, ale przyznać nie chce, nie może. On widzi że ten świat „jest ogrodem, w którym rosną tylko brzydkie i jadowite chwasty“, zamiast pięknych kwiatów, które być powinny: onby chciał wyrywać i pleć jedne, sadzić drugie: ale cóż, kiedy najbrzydsze, najszkodliwsze, najbardziej zatrute chwasty, sieje i choduje właśnie jego ojciec, z jego rodzinnego domu rozrastają się one po całej Litwie.

Hamlet wstydzi się za matkę — rzecz okropna: ale kobieta tylko siebie poniewiera i niesławi, co najwięcej swój dom, i ma dość ciasny zakres grzechu i wstydu. Ojciec Szczęsnego jako mężczyzna jest nikczemniejszy niż matka Hamleta na kobietę: ona grzeszy ale się nie sprzedaje. I skutki tego złego które ona robi, mniejsze, kończą się z jej życiem: potem Dania może być tak dobrą jak przedtem. Ze złego, jakie po sobie zostawi hetman kiedy i jak podźwignie się Polska? A gdybyż jeszcze tę zbrodnię okupował jakimkolwiek przymiotem, gdyby miał coś ludzkiego i szlachetnego, gdyby miał bodaj wymówkę jakiejś namiętości. Ale nie, nic: w ojczyznie zdrajca, w prowincyi swojej łupieżca i zdzierca, w domu nieludzki i wyrodny, nie kocha

nawet syna dlatego, że ten syn nie taki podły jak on. Z ludźmi straszny: srogi i krwawy w gniewie, poniżający i upadlający kiedy łaskawy i poufały, ten hetman jest cały ohydny. Jest wyrazem ostatniej korrupcyi człowieka, kiedy ten bez innego celu, tylko z lubieżnością podłości, używa całej mocy jaką ma nad ludźmi na to, by ich zrobić występnymi, podłymi, albo złymi. Jest w nim coś szatańskiego, jest zły duch podłości: i jak szatan przez zawiść i zemstę krąży i czycha jak lew ryczący żeby z ludzi zrobić potępieńców, tak ten ze swoimi dworzanami, z tą zgrają którą karmi i poi na zamku, z własnym synem, stara się o to żeby wszystkich spodlić, wszystkich ściągnąć do swego błota jak szatan do piekielnych ogni.

Syn, który oddawna, zapewne jeszcze wyrostkiem, czuł tę ohydę, a później ją zgłębił i osądził, żyje i oddycha od lat całych atmosferą podłości, i uczuciem wzgardy. Przez jakie walki, przez jakie tortury, przez jakie piekło przeszedł, zanim swoją naturę szlachetną przelamał i zmusił w tem żyć? To wszystko przeszło: w dramacie on już jest spokojny: pogodzony nie z ohydą, ale z tem że na nią nie poradzi: jest złamany. Ale ten wicher, który kręcił jego duszą, „owiał pęk młodych uczuć i zwarzył jak jesień“ — on dopiero „serce nosi uschnęte“, on dopiero stracił „szczęście, cnotę, szacunek dla ludzi swych braci“. Jego twarz dopiero zaćmiona jest dymem zgaszonej lampy nie szczęścia, ale wiary, czci, godności, zapału, nadziei, wszystkiego czem dusza ludzka żyje.

A przecież, na dnie, pod wszystkiemi zwaliskami i popiołami, ta dusza jest, i nietknięta, i szlachetna, czysta: choć tak ze złem oswojona, tak gardzić przywykła, że sama siebie już czasem poznać niezdolna, gotowa mieć się za tak spodloną i podłą jak wszystko.

Takiego wyrazu smutku, zwątpienia we wszystko, obrzydzenia do wszystkiego, jak Szczęsny, nie ma żaden może

z bohaterów Byrona, i żaden takiego jak on do tych uczuć prawa.

Na domiar nieszczęścia i zgrozy, biedny młodzieniec musi wzdrygać się sam przed sobą. Ma na sumieniu trzy grzechy, trzy kobiety. Jedna, wiejska dziewczyna, sierota po starym żołnierzu, lgnąca do niego rodzajem psiego przywiązania, ale bez jasnego pojęcia o złem i dobrem, zdolna kochać i innych, natura pospolita, okupiona tem tylko, że w pospolitości swojej zdolna jest jednego kochać więcej i dla niego się poświęcić: to uwiedziona przez Szczęsnego Maryna, to jego grzech najmniejszy.

Drugim jest Salomea. Jak ze smrodliwego lochu na świeże powietrze, jak z kałuży pod zdrój czystej wody, uciekał Szczęsny z zamku ojca do domu starego konfederata Horsztyńskiego. Tu nie widział rosyjskich mundurów ani orderów, ani portretów Katarzyny, tu nie słyszał toastów wnoszonych na jej cześć i zdrowie a przyjmowanych głośnemi obrzydliwemi krzykami, tu nie było brudów. Stary szlachcic opowiadał, jak mu Moskale jarzącemi świecami oczy wypalili, w domu było cicho, lipy pachniały na dziedzińcu: Szczęsny przyjeżdżał tu naciągnąć w siebie, skąpać się w atmosferze honoru, sumienia, polskości: tu mu było dobrze, tu się czuł człowiekiem jak inni, nie potępionym synem hetmana. Starzec to jego uczucie odgadł, szanował, i w końcu pokochał za nie młodzieńca. Zbyt dobry i delikatny, żeby z nim kiedykolwiek o nieszczęściach jego mówić, otwierał mu dom i serce: przez sympatyę i przez miłosierdzie. A Szczęsny? czy uwiódł jego żonę? Nie — pomimo że Horsztyński tak myśli: nie, pomimo że i czytelnik mógłby wątpić jak mąż. Bo kiedy w chwili strasznego pojedynku Horsztyński zaklina Szczęsnego na wszystko co święte, żeby, jeżeli jest niewinnym powiedział to i zbrodni na sumienie starca nie zwalał, Szczęsny nie broni się ani wypiera, milczy. A więc zdawałoby się że to prawda, co ohydny hetman staremu Horsztyńskiemu przez złość i zemstę powie-

dział? A jednak nie. Szczęsny milczy, bo się niewinnym nie czuje: bo wie, że Salomea o nim myśli, jego kocha tem uczuciem jakiego stary mąż wzbudzić w niej nie mógł: a prócz tego milczy, bo zbrzydzony do życia, do ojca, do siebie samego, przypadkowy koniec uważałby za szczęście. Zginąć z ręki Horsztyńskiego, człowieka którego skrzywdził choć nie tak ciężko jak tamten sądzi, ale skrzywdził, zginąć z ręki drugiego, a nie z własnej, to koniec tak pożądany, że Szczęsny o niczem szczęśliwszem marzyć nie może. Milczy, bo chce zginąć: nie dlatego żeby był winnym w tej mierze jak sądzi Horsztyński, nie dlatego zwłaszcza żeby winną była Salomea. Ona: kochanką Szczęsnego nie jest, w samych jej wyrzutach sumienia znać że jest niewinna. Ale Szczęsnego nieszczęście, wielkie serce, potężny umysł, wdzięk, młodość, podbiły serce tej kobiety, którą starzec kochał jak ojciec, jak mąż, jak kochanek, jak swoje wszystko na świecie. Jak Dawid Uriaszowi, tak Szczęsny jemu wydarł tę owieczkę, jedyną, i to za przyjaźń, za dobroć, i to jedynemu w świecie człowiekowi, którego szanował i kochał! Za to Szczęsny sobą gardzi.

A wzdryga się sam przed sobą za to że kocha Amelię. Gdyby ta nowa miłość była tylko zdradą względem nieszczęśliwej Salomei, byłoby już okropnie, a jest w tem coś gorszego.

Dlaczego Słowacki do wszystkich tragicznych zawikłań swego dramatu dodał jeszcze okropność takiej miłości? miłości między bratem a siostrą? Czy żeby oznaczyć chorobliwość usposobienia swego bohatera? albo może chciał powiedzieć, że jakaś fatalność zbrodni ciąży nad hetmanem i całym jego domem? Niektórzy, na tej zasadzie zapewne że Szczęsny mówiąc o matce Amelii, mówi zawsze *twoja* a nigdy *nasza* matka, sądzą że oni są dziećmi dwóch różnych żon hetmana: a że Amelia jest córką Horsztyńskiego, więc byliby sobie niczem, a tylko przed światem musieliby już do śmierci za brata i siostrę uchodzić. Przeciw temu

zrozumieniu ich stosunku stają słowa Horsztyńskiego, kiedy hetmanowi mówi że jego syna chętnie przyjmuje w swoim domu, „bo mi przypomina twoją żonę“. Być może, że Słowacki sam w swojej myśli stosunku tego nie był jeszcze ostatecznie rozważył i rozstrzygnął, ale w każdym razie miłością prawdziwą Szczęsnego jest ta nieszczęsna fatalna miłość do Amelii. U tamtych on szuka zapomnienia, odurzenia, może próbuje kochać inną: ale naprawdę kocha tę, która jego siostrą jest albo przynajmniej za siostrę uchodzić musi. Nieszczęśliwy jeżeli wie że nią nie jest, przez wzgląd na ojca, na jej matkę, na nią samą, wyrzekać się musi jej i szczęścia, nieszczęśliwszy jest nierównie jeżeli nie wie i istotnie ma ją za swoją siostrę: bo w takim razie myśli, że ta klątwa, która na nich wszystkich cięży, ten zły duch sromoty i zbrodni który w nich wszystkich siedzi, ten zły duch sromoty i zbrodni który w ich domu panuje, i jego opętał, zapalił go szaloną zbrodniczą miłością.

A jak w *Mazepie* miłość między pasierbem i macochą, tak tu miłość między rodzeństwem Słowacki traktuje tak delikatnie, tak pięknie, że oboje są tylko najnieszczęśliwsi z ludzi, ale nieskalani jak anioły. Słowo *miłość*, nie postało nigdy na ustach żadnego: nie postało nigdy w myśli ani w wyobraźni Amelii. Ona kochając Szczęsnego ani wie ani się domyśla, że go kocha inaczej jak brata, dlatego jest tak spokojna, tak nie potrzebuje z sobą walczyć. On, mężczyzna, wie co co się w jego sercu dzieje, ale tak jest pewny i tak silny w swojem sumieniu, że ani swojemu ani jej uczuciu nigdy wyjawić się nie pozwoli: a kiedy się słabszym czuje, wtedy tylko staje się szorstkim, twardym, zimnym dla Amelii. Ona ze swoją miłością nie walczy, bo o niej nie wie: on od pierwszej chwili, jak ją w sobie poznał, nie zwalczył jej ani zniszczył, ale opanował ją tak, że poddana wyższym moralnym prawom musi nazawsze zamknąć się w jego sercu i milczeć. Nic przykrzejszego i bardziej rażącego w poezyi jak takie fatlane, nienaturalne miłości. Niektórzy, jak Cha-

teaubriand lub Wiktor Hugo traktują w nich właśnie *con amore*, wyciągają na wierzch, to co nienaturalne i rażące, i piszą rzeczy obrzydliwe i wstrętne w przekonaniu, że to tragiczne i piękne. Wielcy poeci, jak Schiller w *Don Carlosie*, umieją dać bohaterom swoim tyle zmysłu moralnego, że oni w nieszczęściach tego rodzaju są niewinni i wzniośli. Ale nikt, nawet sam Schiller, nie traktował sytuacyj takich z delikatnością tak niezrównaną, nie dał w nich bohaterom swoim tak wzniosłej idealnej czystości serc i drażliwości sumień, jak Słowacki raz w *Mazepie*, drugi raz w *Horsztyńskim*.

Jeszcze raz, nieszczęśliwszego człowieka jak ten Szczęsny niema w poezyi. A jaki przytem pociągający i uroczy, jak przez jego gorycz i ironię przebija się uczucie, przez jego spokój i obojętność zapał, przynajmniej zapał wyobraźni jeżeli nie energii — przez jego cynizm, cześć i miłość dobrego, przez wszystko natura, która przez nieszczęście stała się chorobliwą, złamaną i bezwładną, ale natura wyższa i niepospolita.

Takim pokazuje się on od początku do końca: a bardzo pięknie zaraz w pierwszej scenie:

AMELIA.

Ojciec wielki i dobry człowiek.

SZCZĘSNY.

Tak... hetman!... wielki, jak hetman...

AMELIA.

Pomyśl, bracie mój, że on podpiera spróchniały tron Stanisława Augusta...

SZCZĘSNY.

Tak, on podpiera tron Stanisława...

AMELIA.

Jakie ty dziwne echo masz w ustach...

SZCZĘSNY.

Trzy razy tylko powtarza twoje pochwały, a uwielbienia obcych ludzi ani razu.

AMELIA.

Dlaczego?

SZCZĘSNY.

Śmieszno jest, kiedy syn ojca chwali... A potem, raz pochwaliłem ojca przy ludziach, to mi zaraz zapłacił... tureckim koniem...

AMELIA.

Cóż powiedziałeś ludziom o naszym ojcu?

SZCZĘSNY.

Co?... Oto mówiłem, że lepszy od brata swego, a nam stryja, Biskupa... bo nie włożył fioletowej sukni.

Amelia, która dziwnym jakimś kaprysem ludzkiego serca kocha bardzo tego ojca, który jej ojcem nie jest, a kocha tem bardziej, im więcej widzi jego nieczułość i niechęć dla siebie, która hetmana wielbi i wierzy w niego ślepo niedomyślając się jaki on jest, w najlepszej wierze wyrzuca Szczęsnemu jego bezczynność i obojętność, namawia żeby ojcu był pomocnym, z nim razem służył ojczyznie. Nieszczęśliwy syn odpowiada z ironią, w której słychać całe jego zniechęcenie do świata i całą pogardę dla ojca: scena bardzo krótka, ale wybornie wprowadza *in medias res*, i wybornie odrazu w kilku rysach zakreśla figurę. Odzywa się tu nawet nieszczęsna miłość brata i siostry. Amelia czysta jak dziecko, nieświadoma, niezdolna uczuć swoich rozpoznać, mówi śmiało o swojem uwielbieniu dla brata: Szczęsny, kiedy sobie mówią dobranoc, nie chce jej pocałować, zbywa ją zimno i szorstko, odpycha jej czułość. Dyalog króciutki, ale mistrzowski, zawiązanie dramatu doskonałe. Rozwija się zaś ta expozycya w dalszych scenach bardzo

dramatycznie, i bardzo strasznie. Mały Michaś, najmłodsze dziecko hetmana, widział i słyszał przez drzwi, jak ojciec przy bankiecie wnosił zdrowie Katarzyny: jeden szlachcic nie wstał: hetman uderzył starca w twarz tak, że go na ziemię powalił. Michaś opowiada to bratu. Szczęsny chce tego starca przeprosić, bić się z nim — niewarto! — starzec wstał i podziękował panu hetmanowi że go zbudził, bo był zasnął. Oto, wśród czego Szczęsny żyje, na co patrzy!

Druga scena, u Horsztyńskiego, śliczna: ślepy starzec ze swojem opowiadaniem, ze swojem czystem sumieniem, duszą pogodną a smutną, ale bądź cobądź niezłamaną, jest bardzo piękną figurą starego polonusa. Jeszcze jest zupełnie spokojny, jeszcze ani przyjaciela ani żony nie posądza. Salomea, jeden więcej dowód talentu jaki miał Słowacki do kreślenia typów kobiecych prawdziwie polskich, byłaby może jako taki typ przeszła pannę Anielę i Wojewodzinę z *Mazepy*, gdyby była wykończoną. Tyle w niej jest wiejskości, prostoty i świeżości, że ta mężatka, ta kobieta bliska zguby, robi wrażenie dziewczyny: a choć zguby bliska, wrażenie istoty bardzo czystej, bardzo godnej. Jakie Szczęsny ma dowody, że go Salomea kocha? niewiedzieć, jakieś mieć musi, wie: ale z jej obejścia nikt, on najmniej, mógłby się tego domyślać. Ten sam instynkt godności, tę samą instynktową dumę, to jakieś dziwne, dziewicze uczucie przyzwoitości, które ma Wojewodzina w *Mazepie*, te same ma i Salomea (widać to w jej słowach do Szczęsnego, w jej rozmowach z mężem, w stłuczeniu dzbanka) — to jest niewinność, która pod wpływem namiętności może raz upaść, ale która się zatrzeć nie da nigdy.

Szczęsny sam, który w tej rozmowie niechcący odsłania wiele swojej duszy i swojej historyi, dzisiejszej goryczy i walk i cierpień które ją sprowadziły, zasługuje zupełnie i coraz wyraźniej na definicyę, którą o nim daje ksiądz: „to wielki ale niedokończony twór Boga“. Tylko dla słuszności dodać trzeba, że nie z własnej winy on jest niedo-

kończony, że go okoliczności zwichnęły, skrzywiły, nie dały mu wyróść prosto. Jeszcze lepiej charakteryzuje go ostatnia scena 1-go aktu, w której nieznajomy ciągnie go do powstania, a on z Hamletowskiem wątpieniem odpycha wszystko i mniema, że się decyduje na jednę rzecz, na używanie życia, na uśpienie duszy.

Jedną z rzeczy, których w dramacie najbardziej brakuje, jest wyraźniejsze oznaczenie planu, który się knuje u hetmana, i znaczenia tych papierów, które jego mogą zgubić, a które ma w ręku Horsztyński. Domyślеć się łatwo, że hetman obawiając się powstania w Wilnie, chce je uprzedzić: do tego zmierza ta partya, którą zbiera, do tego to zwożenie niebezpiecznych wileńskich rzemieślników na zamek, do tego wreszcie usiłowania żeby syna dla swojej sprawy pozyskać. Ale trzebaby koniecznie, żeby to było wyraźniej oznaczone, nie domyślne tylko, ale widoczne: trzebaby żeby jakiś zrozumiały cel miały te prochy, które hetman gromadzić każe w lochach zamku, a które jak się zdaje miały grać wielką rolę w zakończeniu: zwłaszcza trzebaby żeby wiadomem było co jest w tych papierach, o które mu tak bardzo chodzi.

Stosunek między hetmanem a Horsztyńskim jest bardzo dramatyczny. Nienawiść zastarzała, nieubłagana: nienawiść patryotyczna i domowa. Horsztyński gardzi hetmanem jako zdrajcą, a nienawidzi go jako męża kobiety, którą kiedyś za młodu kochał, która musiała być w ręku hetmana taką ofiarą jak Szczęsny. Hetman mści się na Horsztyńskim za żonę, ale bardziej za to, że Horsztyński lepszy od niego. Wyborna figura, wierny typ najgorszych ludzi XVIII wieku, w których ostatnie zepsucie i nikczemność łączyła się z resztkami staropolskiej buty i staropolskiej dewocyi. Ten łotr odmawia litanie, ten podlec z pozoru wygląda na hetmana: w pierwszym akcie choć pokazuje się mało, pokazuje się tak.

Teraz, Horsztyński ma w ręku jakieś papiery, które mogą jego zgubić a jego zamiary udaremnić: hetman chce je dostać, wybiera się do swego wroga. W prześlicznie utrzymanym kontraście człowieka uczciwego i nikczemnego, w kontraście pana i prostego szlachcica, który choć gardzi przecież z przyzwyczajenia zachowuje jakąś submisyę, ukazuje się nienawiść stara jak ich życie, a mocna jak śmierć. Hetman chce papierów: jeżeli ich nie dostanie, jutro wystawi na sprzedaż wieś Horsztyńskiego (poskupywał długi, które ten za swoich barskich czasów zaciągnął), i puści go z torbami. Horsztyński odmawia: temi papierami trzyma w szachu hetmana i moskali. Scena wspaniała, zepsuta tylko tym zaczajonym sługą Horsztyńskiego, który na znak dany przez swego pana ma strzelić do hetmana. Powodu tego zamierzonego morderstwa zrozumieć trudno, a trudniej jeszcze zrozumieć to, że Horsztyński robi zasadzkę na człowieka, który bezbronny i sam jeden wchodzi do jego domu. Dlaczego poeta dał mu pomysł tak nieszlachetny i jak go godził z tą naturą, którą szlachetną mieć chciał? Scena się kończy strasznem okrucieństwem hetmana, który ufnemu i spokojnemu starcowi powiada, że jego żona jest kochanką Szczęsnego. Zemsta jest zupełna.

Od tej chwili sprawa między Horsztyńskim a Szczęsnym wychodzi na pierwszy plan. Około starca wszystko się zawaliło: wierzył jeszcze w ludzi, w cnotę żony, w uczciwość i honor młodego przyjaciela. Ogromny efekt robi spokojny potoczny ton scen następnych w takiej sytuacyi: mianowicie kiedy wchodzi Salomea, a mąż ukrywa przed nią co się w nim dzieje, i dyktuje list wyzywający do Szczęsnego.

Tymczasem hetman w niepewności czy syn przystanie do jego sprawy, dochodzi do wściekłości z niepokoju. Czystość syna jest jego potępieniem: ludzie „uważają go za hak, na którym ojca powiesić trzeba“, Szczęsny uczciwy i czysty to ustawiczny wyrzut, ustawiczny wstyd. Trzeba go

zbrukać, a że się dotąd nie zbrukał, więc Sforka obcasem przewrócony na ziemię rozciął głowę na posadzce, więc karzeł skazany na dziesięć bizunów, dwadzieścia i trzydzieści, bo śmiał się zapytać: za co? więc wszyscy dworacy i zausznicy hetmana drżą ze strachu. Jest i starosta Kaniowski w tej figurze, którą Słowacki z wielką sztuką złożył z różnych historycznych postaci XVIII wieku. Szczęsny przecież się nie deklaruje. Zbyt on przywykł zamykać się w sobie, żeby którykolwiek ze służalców ojca wydobył z niego jego myśl prawdziwą. Jego rozmowa z Ksińskim przypomina bardzo tę, w której Hamlet przed Poloniuszem udaje waryata. Z Amelią także mówi zrazu jak tamten z Ofelią, kiedy jej każe iść do klasztoru. W końcu, czy dziwny jakiś skok jego chorobliwej natury, czy że walka już nad jego siły i chce przestać za siebie myśleć, czy może uczucie że oprzeć się nie zdoła fatalizmowi zbrodni i hańby który nad nim cięży, zdaje postanowienie swoje na los. Siostrze, która w dobrej wierze namawia go żeby się za ojcem oświadczył, każe obrywać listki stokroci: jeżeli ostatni listek powie: tak, on będzie z ojcem.

Ze swoją Hamletową naturą nie byłby on nigdy zapewne postanowienia tego uważał za nieodwołalne, byłby się wahał nanowo pod jakimkolwiek pozorem; ale teraz okoliczność niespodziewana uwalnia go od konieczności postanowienia i wyboru. Odbiera list Horsztyńskiego z wyzwaniem. A więc Horsztyński już wie! Wyrzut, zgryzota, wstyd, myśl śmierci, świadomość że jest lepszy jak jego czyny, wszystko to wyrywa mu się z duszy w tej chwili w kilku krótkich słowach. A nadto jeszcze, ten jedyny raz, w tej chwili ostatniej, kiedy myśli że może nie wróci, odzywa się w słowach cicho, nieznacznie, zaledwie domyślnie, ale odzywa się i jego miłość do Amelii. Stopniowanie coraz większego tragicznego wrażenia, powolne a nieustanne dochodzenie akcyi do przesilenia, do jakiejś strasznej katastrofy, jest tak misterne, tak rozumne, tak naturalne, praw-

dopodobne, artystycznie tak zręczne i psychologicznie dobre, że służyć może za najwymowniejszy nieledwie dowód dramatycznego talentu Słowackiego.

Horsztyński wyzwał Szczęsnego: powód pojedynku, nawet sam fakt ma zostać tajemnicą. Jeden pistolet ma być nabity, drugi nie; a że sekundantów niema, że Horsztyński ślepy, więc nabić musi Szczęsny i musi wiedzieć, który pistolet nabity. Kiedy Horsztyński zmusza go żeby wybrał, wybiera oczywiście pistolet nie nabity — stary się domyśla, i z góry umywa ręce z jego krwi. „Jeżeliś wybrał próżny pistolet, jeżeli chcesz być samobójcą, jam twojej śmierci nie winien“. Ta rozmowa przed strzałem, w której stary zrzuca ze swego serca cały ciężar nienawiści i wzgardy, a wszystko spokojnie, nie namiętnie, jest dramatyczna i przejmująca i oryginalna w najwyższym stopniu. A kiedy na strzał wpadła Salomea, oba rozmawiają obojętnie o wszystkiem; próbowali pistoletów! Szczęsny odchodzi, podług jednej warianty spokojnie, jak żeby nigdy nic: podług drugiej z płaczem, pożegnany przez Horsztyńskiego słowem: „Szlachetny to jednak młodzieniec“.

Czy samobójstwo Horsztyńskiego jest prawdopodobne, czy jest zgodnem z naturą starego Polaka, starego żołnierza, wiernego katolika jak on, zadać sobie śmierć, po części dlatego żeby uniknąć nędzy, po części żeby oswobodzić od starego męża żonę, która ze „szlachetnym młodzieńcem będzie szczęśliwą“. Poświęcenie arcyniemoralne, i Słowacki sam musiał uznać, że ono Horsztyńskiemu nie przystoi, skoro przekreślił waryant, w którym się te słowa znajdują. Ale i bez tego, samobójstwo samo u takiego człowieka jak Horsztyński nieprawdopodobne, jeżeli już być miało, to trzeba przyznać, że nic bardziej wzruszającego jak sposób, w jaki on się do śmierci gotuje: wspomnienia dzieciństwa, młodości, pieśni żniwiarzy, nadewszystko ostatnie pożegnanie z żoną, które wygląda jak zwykłe dobranoc, a kryje przyszłość tak straszną, wszystko jest śliczne.

Człowiek najsamotniejszy — a któż samotniejszy nademnie — tyle ma nitek do zerwania, nim wyjdzie z tego świata! Już wieczór — świerszcze zaczynają śpiewać w szczelinach mojej chaty. Co będzie jutro ze mną o tej godzinie?... Mój Boże! mój Boże! Chryste Panie! sądź mię tak, jak sądzisz ludzi nieszczęśliwych — miej litość nademną! Boże, wszak Ty bez cudu mógłbyś mię zatrzymać na ziemi: — powiedz sercu mojemu, niech mi powie, że jestem jeszcze potrzebny na ziemi rzeczom, wypadkom albo ludziom; powiedz sercu mojemu: żyj! — a żyć będę. Żyłbym, gdyby była choć nadzieja odzyskania oczu... Jak zażyć tę truciznę? muszę zawinąć w opłatek (*idzie omackiem i dobywa z szafy opłatki*).

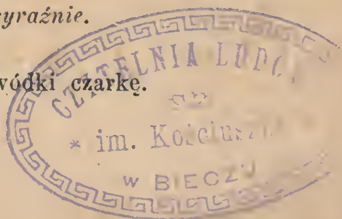
Ślepy, a przecież znalazłem opłatek — kto rękę moję prowadził? Czuję te drżące listki chleba w moich dłoniach. Jak ja lubiłem niegdyś dzień Bożego Narodzenia! W tym samym pokoju z opłatków kleiłem różnokolorowe słońca, kołyski — jakaś świętość i wesele napełniały moje dziecinne serce (*łamie opłatek i sypie truciznę, potem skleja*).

Dziś jeszcze nie rozumiem, co znaczą te litery święte, wyciśnione na opłatkach. Będąc dzieckiem, myślałem, że to jakieś słowa z pieśni anielskiej i z błękitnego języka... Gorąco mi — chciałbym się przejść po pokoju — i lękam się uderzyć czołem o zimne ściany (*słychać pieśń wracających żeńców — daleko*).

Cicho!... pieśń żniwiarzy. — O moja wiosko! moja wiosko! Jutro w tym domu trumna — księża — sąd... Jutro ta pieśń... jutro inny pan — i nikt się nie zlituje nademną! — Ja przecież wszystko poświęciłem krajowi! — ten dług strwoniłem prochem i kulami... a jutro gdybym żył, byłbym głodny jak pies — i nikt się nie zlituje nademną! Stary i siwy — i sam — bez dzieci. — Oni mię nie pogrzebią w święconej ziemi. Mój ojciec musiał okropnie zawinić, bo ja cierpię.

Pieśń żniwiarzy wyraźnie.

Pożęli żyto, pożęli jarkę:
Niechaj nam pan da na wódki czarkę.



Plon żyta — plon
Ze wszystkich stron.

HORSZTYŃSKI.

Plon żyta — pochlebiają mi ci ludzie — plon żyta... Widać, że żona moja kazała im beczkę piwa wytoczyć... jaki gwar na dziedzińcu.

Pieśń.

Pożęli żyto, wygnali zajca:
Nie żałuj, Pani, wstążki okrajca.
Plon żyta — plon
Ze wszystkich stron.

HORSZTYŃSKI.

W tej pieśni widzę moje żółte łany i zielone lasy. — Z początku ta pieśń rozdrażniła serce moje, a teraz uciszyła je jak pieśń mojej mamki, jak pieśń kiedyś mojej Izabelli — niech jej światło niebieskie świeci na wieki wieków, Amen. I mnie także niech będzie tak cicho po śmierci, jak kiedyś przy niej, kiedy śpiewała... Cyt!... ktoś idzie, to ona... Slyszę i poznaje szelest jej sukni... w jedwabnej sukni ubrana...

(*Wchodzi Salomea*).

SALOMEA.

Mężu, wyjdź na dziedziniec do ludzi.

HORSZTYŃSKI.

O nie — nie mogę, żono!...

SALOMEA.

Kilku starych chłopów weszlo aż na ganek i kłaniali mi się do nóg, prosząc, abym im pana łaskawcę wyprowadziła.

HORSZTYŃSKI.

Żono... nie wyjdę!

SALOMEA.

Dlaczego zasmucać tych ludzi?

HORSZTYŃSKI.

Dlaczego? Bo świat smutny, a ja świata rozweselić nie mogę jak arlekin — bo jestem — ślepy — i stary... Powiedz mi, Salomeo, czy nigdy tu podczas mojej niebytności nie przyniesiono jakich sądowych papierów.

SALOMEA.

Nieraz na drzwiach przybijano mi różne manifesta: barskie targowiczańskie. Z początku odczytywałam je pilnie, potem rzucałam do wielkiej szafy w spichlerzu.

HORSZTYŃSKI.

To dobrze. Czy ty mówisz zawsze wieczorną modlitwę z czeladką?

SALOMEA.

Zawsze modlimy się razem.

HORSZTYŃSKI.

Dzisiaj nie zapomnij moja żono modlitwy... za tych, co cierpieli — i żyli...

SALOMEA.

Mężu, módl się z nami.

HORSZTYŃSKI.

Niezdrów jestem — muszę się położyć do łóżka.

SALOMEA.

Zaraz?

HORSZTYŃSKI.

Sally, przechodząc do twego pokoju, stąpaj cicho... Nie, tego ci nie trzeba zalecać... Ale idż bez świecy, bo światło... o! ja szalony! — widzisz, że ja tak jak mój Świętosz, nie mogę czasem zapomnieć o moich oczach... Nie obudź mię, żono, bo czuję, że mi snu potrzeba. Chciałbym spać tej nocy. Ty sama bądź przy wieczerzy.

SALOMEA.

Mężu, chcesz, by czuwała przy tobie?

HORSZTYŃSKI.

Cóż ty, moja gołąbko? Już ci się zdaje, że ja śmiertelnie chory. Czyś ty zapomniała, że kilka miesięcy temu sypiałem na zimnej rosie, pod koniem moim... Jaki to był koń!... Czułem często, jak nogą zwolna poruszył i dotknął moich piersi — tak ostrożnie, jak Świętosz, kiedy szklankę kryształową stawia na stół. Ten koń w kopytach miał czucie: nie rozdarł nigdy moich piersi — nawet... przez sen...

(*Salomea zakrywa oczy dłoniami*).

Salomeo, pomóż mi pas odwinąć.

(*Salomea bierze za jeden kutas pasa, Horsztyński odkręca się jak w walcu, ale zwolna, tak że odchodzi aż na koniec pokoju; pas zostaje w rękach Salomei*).

Widzisz, Sally moja, pas ci został w ręku, a mąż się odwinął — i na wieki... Oto historya życia. Rano trzymałaś za koniec pasa, a ja zbliżałem się do ciebie; wieczorem... Co? ty klęczysz przedemną?... Córko moja, kochana moja Sally, ty mię nigdy nie będziesz przeklinać — prawda, że nie będziesz przeklinać — prawda, że nie będziesz przeklinać pamięci mojej, cobądź przyjdzie na ciebie — z mojej winy... Daj mi rękę— zaprowadź mię ku drzwiom sypialnego pokoju i przechodź sama cicho — bo wiesz, że ślepi słyszą najmniejszy szelest... Dobrej nocy, Sally.

SALOMEA.

Do jutra...

HORSZTYŃSKI.

Co?

SALOMEA.

Jutro może będziesz mężu spokojniejszy.

HORSZTYŃSKI.

Tak — spokojniejszy... (*Wchodzi do sypialnego pokoju*).

SALOMEA.

Muszę kazać, żeby się ci chłopi uciszyli na dziedzińcu, aby ten starzec biedny mógł zasnąć... (*Odchodzi*).

A kiedy ta strona akcyi zbliża się do katastrofy, śmierci Horsztyńskiego, zmierza do niej równocześnie i druga. W Warszawie powstanie; Wilno pójdzie za tym przykładem. Hetman żeby przeszkodzić, wstrzymać, wybiera się sam; w domu zostawia rozkaz żeby mu przysłano posiłki i syna na ich czele. Szczególnego i bardzo oryginalnego efektu jest ostatnia scena III aktu, nieszczęściem nieskończona. Amelia, jedyna istota, która Hetmana kocha, choć przez niego nienawidzona, nie pytając o jego gniew, wpada błagać go żeby nie jechał, miała złe przeczucia, widziała ducha swojej matki, który jej powiedział: Ojciec twój kona. Duch mówił o Horsztyńskim: ona naturalnie odniosła to do Hetmana. Co się dalej stało? jak Hetman przyjął to ostrzeżenie o śmierci swego nieprzyjaciela? Akt nieskończony. To pewna że przed Amelią tajemnicy jej urodzenia nie zdradził, bo w piątym akcie ona jest w takiej samej jak dotąd niewiadomości pod tym względem. Ten brak końca jest wielką szkodą. Skończony, ten akt byłby wspaniałym; urwany, traci ogromnie. Ale to co z niego jest, to wszystko śliczne.

Dalsza część, bliższa katastrofy, nie tak piękna. Nie żeby było coś zepsutego w planie albo w figurach, ale że mniej wykończona, przerwy większe, mniej ciągu i związku między scenami: jest to część w robocie znacznie posunięta, ale tak jeszcze daleka od stałej i ostatecznej formy, że zaspokojenia w niej znaleźć i poprzestać na niej nie można. I tak zaraz w czwartym akcie scena tego Sforki, który się męczy nad rozwiązaniem pytań zadanych mu na figla, i dochodzi do obłąkania. Scena sama w sobie doskonała, głupstwo staje się mutnem, poważnem, uszlachetnionem przez nieszczęście, przez szaleństwo: ale co za związek między tą sceną a całym dramatem? Jużciż poeta musiał jakiś mieć w głowie, jakiegoś chcieć: ale tego zamiaru nie oznaczył nawet tyle żeby się go domyślać można. Nietylko zaś niewykończona, ale nie dokończona, szkic tylko, jest druga scena IV aktu, scena bardzo ważna, bo ona stanowi przesi-

lenie i sprowadza katastrofę. Partya Hetmańska, zebrana jest na zamku, pojona i bałamucona przez Ksińskiego, który mniema, że Szczęsny ulegnie, da się prowadzić. Wśród bankietu ma on stanąć na czele podpiłej zgrai, być noszonym na ramionach, a potem prowadzić to wszystko do Wilna. Istotnie Szczęsny przychodzi. Z jakim zamiarem? czy na to żeby plan cały rozbić? czy też może zmęczony na prawdę myśli że ulegnie, i utonie, zanurzy się w złem, żeby zapomnieć o cierpieniu? Może tylko wahający i nie wiedzący jeszcze na którą stronę rzuci go chwilowy popęd uczucia? Dość że przychodzi, przemawia, zrazu jak żeby na prawdę chciał stanąć na ich czele, a kończy tak, że cały plan rozbija, szlachta się rozchodzi. Widać musiał przemówić tak jak w gruncie sam myślał, i obudzić uśpione sumienia i honor. Ale tej części sceny nie ma. Jest ona zaś niezmiernie ważną: Szczęsny swoją przemową stał się powodem mimowolnym śmierci ojca! gdyby Hetman był miał tych zbrojnych ludzi w Wilnie, Hetman nie byłby powieszonym.

Szczęsny jednak wie co zrobił: przypuszcza, że może ojca naraził na niebezpieczeństwo, skoro poleca nieznajomemu, żeby nad nim czuwał, a jest pewien, że zniweczył jego zamiary, że w Wilnie powstanie wybuchnie, sam o sobie mówi że jest *zdrajcą zdrajcy*. I czy tem, że wbrew swojej naturze coś postanowił i wziął na swoją odpowiedzialność, czy całem swojem nieszczęściem, czy myślą o spotkaniu z ojcem którego zawiódł, tak jest znękany, że myśli o samobójstwie. Wszystko co mówi do Maryny, kilka słów nieznacznych w jego rozmowie z Nieznajomym, dowodzi tego wyraźnie.

Temi myślami znużony zasnął, i obudził się aż późnym wieczorem. Zaczyna się przejmujący, straszny, tragiczny akt piąty. A zaczyna tak spokojnie, tak codzienną, powszednią sceną. Mały Michaś idzie spać, siostra odmawia z nim pacierz, brat huśta go na kolanie na dobranoc. Amelia dość swobodna, sam Szczęsny pokrzepiony, podniesiony na duchu.

Porzucił myśl śmierci „zacznę jeszcze walczyć z wypadkami i z ludźmi, wytrzymam spojrzenie ojca". Chce zrzucić z serca wszystkie ciężkie tajemnice swej przeszłości, może potem zdoła zacząć nowe życie, obiecuje Amelii, że się przed nią wyspowiada z całego życia. Czytelnik równie niecierpliwy jak ona, żeby usłyszeć, jak on siebie samego wytłómaczy: wtem wpada służący, zdyszany, wzruszony, z magicznem słowem na ustach: W Warszawie i Wilnie powstanie! Na to słowo Szczęsny czuje, czego nie czuł dawno, zapał, uniesienie, dobroć, nawet względem ojca; ma biedz, bić się, ginąć — wstrzymuje go ojciec przesuwający się milcząco i smutnie przez scenę, i niknący w drzwiach swego pokoju. Nigdy może duch nie był wprowadzony z większym efektem. Szczęsny o śmierci ojca nie wie, i myśli, że to Hetman, który niespodzianie z Wilna powrócił. Kiedy mu sługa dowodzi, że w pokoju nie ma nikogo, nie wie co myśleć, boi się czy mu się w głowie nie miesza. Aż kiedy ujrzał swego Nieznajomego przyjaciela, który bez dobrego powodu nie byłby z Wilna wyjechał, domyśla się, że ojciec nie żyje.

Ale jak umarł? Szczęsny chce wiedzieć, a Nieznajomy prawdy zataić mu nie może. Opowiadanie o powieszeniu Hetmana jest przepyszne. Nieznajomy zatrzymuje się często, nie śmie mówić. Szczęsny chce słyszeć wszystko, czasem zapyta o jaki szczegół, co ojciec mówił, czy długo cierpiał, wszystko to tak potocznie, tak naturalnie... W całym Horsztyńskim, a zwłaszcza może w tej scenie jest wiele realizmu, jakaś zwyczajność i powszedniość całej zewnętrznej strony życia, a pod tą dopiero straszna tragiczność. Ale z jaką miarą Słowacki ten realizm wprowadza, jak on zawsze zostaje tylko pozornym, dla kontrastu, dla podniesienia wrażenia: właściwie to jest tylko złudzenie, udanie realizmu, które poeta, w tym razie tak doskonały artysta jak mało kiedy, wywołuje i utrzymuje ciągle, a nie daje mu nigdy stać się prawdą i dojść do istoty rzeczy.

SZCZĘSNY (*odpycha Nieznajomego, patrzy na niego długo*).

Ojciec mój — musiał umrzeć... Ja widziałem cień mojego ojca... Ojciec mój musiał umrzeć...

NIEZNAJOMY.

Umarł.

SZCZĘSNY.

Ha! (*pada na krzesło*).

NIEZNAJOMY.

Nie wiem co mu powiedzieć...

SZCZĘSNY.

Daj mi rękę... pomóż mi wstać... trzeba wiedzieć o wszystkiem... Wiesz... a przynajmniej dowiedź mi w godzinie nieszczęścia, że mnie masz za człowieka. Opowiedz wszystko... jak tam było... w Wilnie. Patrz mi ciągle w oczy i trzymaj oczyma myśl moję, bo mi się głowa zawraca... Ale powiedz wszystko... bo jeżeli moja imaginacya będzie musiała kończyć obrazy, to gotów jestem — rozumiesz?... Co widziałeś?

NIEZNAJOMY.

Siądź.

SZCZĘSNY.

Nie... stać będę... lżej... opowiadaj!...

NIEZNAJOMY.

Otóż... w nocy o godzinie siódmej Jasiński z trzystu ludźmi przeszedł wyłomem muru koło Ostrejbramy — księżyca jeszcze nie było — przed Ostrąbramą świeciła lampa... Spiskowi idąc przed nią, żegnali się... i cicho podsunęli się wszyscy pod odwach naprzeciw ratusza. Jasiński poskoczył szybko i zabił szyldwacha, tak że Moskal nie jęknął... Chwycił za karabin. Spiskowi rozebrali broń z kozłów i tarabany. Jasiński rozesłał barabańszczyków na wszystkie ulice — i rozkazał, aby skoro uderzy ósma godzina, wszyscy zaczęli bębnić. Sam ulicą

zamkową z dwiestu pięćdziesięciu ludźmi poszedł na Arsenał... Uderzyła ósma... we wszystkich ulicach ozwały się bębny — Moskale w popłochu sądzili, że na każdej ulicy stoi oddział żołnierzy — i uciekali od bębna do bębna... Jasiński wziął arsenał — i kazał bić we dzwony... Okropny rozgłos dzwonów obudził lud — zaczął w arsenale zbierać się — broń rozebrał i mordował Moskali... Byłem przy Jasińskim — wszyscy polscy panowie będący w Wilnie nie mieli się czego lękać — bo lud zajęty był Moskalami... Wtem jakiś stary przedziera się do Jasińskiego i podaje mu plikę papierów. Jasiński kazał podać pochodnie i przeczytawszy papiery, plunął i rzucił je ze wzgardą. — Lud rozerwał między siebie listy... zaczął się zbierać koło tych, którzy umieli czytać, i długo nie mogłem pojąć tej sceny. Myślałem, że to były proklamacye i manifesta... Nagle słyszę... krzyk z tysiącznych ust: Hetman zdrajca... potem, jeszcze okropniejsze słowo...

SZCZĘSNY.

Mów!

NIEZNAJOMY.

Wieszać! (*Szczęsny chwieje się cały i daje znak ręką*). Przedzierając się, a raczej niesiony z falą ludu, oparłem się aż o sztachety pałacu twego — Hetmana... Lud zapchał całe schody — i wył jak hyena... Nagle coś zleciało z otwartego okna i przebiło się na pół na żelaznych sztachetach... to był karzeł. — Skonał wijąc się jak robak na ostrzu żelaznem... (*Szczęsny trzęsie się*). W kilka chwil potem wyprowadzono... Blady był; ale spokójny.

SZCZĘSNY.

Ubrany?

NIEZNAJOMY.

W szlafroku. W ręku coś ściskał — tak mocno, że nikt mu nie mógł ręki otworzyć.

SZCZĘSNY.

Mówił co?

NIEZNAJOMY.

Mówił: szklankę wody.

SZCZĘSNY.

Dali mu?

NIEZNAJOMY.

Jeden w tłumie chciał lud odwrócić namową od zapędu: chciał, aby sądowi oddano nieszczęśliwego... *(Szczęsny ściska za rękę)*. Potem jakiś ksiądz zbliżył się i słuchał spowiedzi. Spowiadający się był nieco roztargniony i patrzał często.

SZCZĘSNY.

Nie dręcz mnie!... patrzał w stronę zamku... czekał, jeszcze czekał!...

NIEZNAJOMY.

Spokojny był... i uśmiechnął się. Potem otworzył dłoń ściśnioną — w dłoni była papierowa tabakierka — zażył... i jednemu człowiekowi, co nic nie mówił i patrzał na niego, oddał tabakierkę. *(Szczęsny wyciąga rękę, ale nagle ją odsuwa machinalnie)*. Krótko cierpiał.

SZCZĘSNY.

Jak krótko?

NIEZNAJOMY.

Pół minuty, nie więcej...
(Szczęsny dobywa zegarka i patrzy).

SZCZĘSNY.

Ale to długo!... patrz, jak długo!... widzisz, że ja spokojny... Bądź zdrów! *(chce iść)*.

NIEZNAJOMY.

Szczęsny! Na miłość Boga, gdzie idziesz?

SZCZĘSNY.

Ale... idę odczepić ojca z szubienicy.

Szczęsny wyrzuca sobie śmierć ojca: spokojny w słowach i w postawie, a prawie obłąkany, sobie przypisuje winę. Gdyby on nie był wstrzymał szlachty, Hetman nie byłby tak okropnie zginął. Z wyrzutem obudza się i czułość; wspomina że kiedyś, jak był dzieckiem, ojciec go kochał a on ojca; z tej rozpaczy, z tej zgryzoty, wyjdzie oczywiście jakieś postanowienie, które sprowadzi koniec dramatu. Jakie?

Szczęsny wyprawia z domu wszystkich ludzi, chce zamek wysadzić w powietrze. Czy z sobą? Czy z Amelią i z małym braciszkiem? On mówi że nie, a jednak zdaje się że tak, że chce zgładzić siebie przynajmniej jako przeklętego, winnego śmierci ojca, śmierci Horsztyńskiego, nieszczęścia Salomei (która musiała oczywiście zwaryować), winnego zbrodniczej choć mimowolnej miłości do siostry: tych zgryzot i tej klątwy już dłużej wytrzymać nie może. Chce wysadzić w powietrze i to gniazdo przekleństwa, nieszczęść i zbrodni, zamek. Ale co zrobi, tego jeszcze nie wiedzieć, dramat urywa się w tej chwili, i to chwili, kiedy wchodzi ksiądz, który oczywiście ma Szczęsnemu coś powiedzieć o Salomei i sprowadzić koniec i tej drugiej połowy akcyi, która od śmierci starego Horsztyńskiego poszła trochę w zapomnienie.

Szkoda jest nieoceniona i niepowetowana. Przez głęboką tragiczność sytuacyi, przez oryginalność i wierną psychologiczną konsekwencyę charakterów, przez wierną historyczną fizyognomię ludzi i czasów, przez postacie nakreślone z wielką siłą jak Horsztyński i Hetman, z wielkim poetycznym urokiem jak Salomea i Amelia, nadewszystko przez głęboko pomyślaną i mistrzowsko wykonaną figurę Szczęsnego, genialnie postawioną w tak smutnej a tak oryginalnej sytuacyi, Horsztyński gdyby był skończonym, byłby tragedyą pierwszego rzędu. I gdyby był napisany wierszem. Prawda że ta proza piękna, prosta, potoczna, a nigdy niska: prawda

że kontrast pomiędzy tą codzienną powszednością rozmowy a wyjątkową tragicznością zdarzeń, może sprawia dziwne, rzadkie wrażenie. Przecież dramat z tak wysoko tragicznym charakterem, postacie tych rozmiarów, godne były stać na tem podniesieniu, jakie daje poetycznym kreacyom wiersz, język bogów i herosów; a Horsztyński i Szczęsny przemawiający cudownym wierszem Mazepy, wyglądaliby o wiele piękniejsi, o wiele smutniejsi, o wiele więksi niż teraz.

Najbardziej oryginalny ze wszystkich dramatów polskich, najdoskonalszy dramat Słowackiego jako przeprowadzenie akcyi, jako pomysł i wierne utrzymanie charakterów, byłby może Horsztyński i najbardziej specyficznie polskim ze wszytkich dramatów naszej poezyi. Byłby wspaniałym obrazem najgorszej chwili naszych dziejów, a obrazem, w którym i złe i dobre mieściłoby się zarówno: tło historyczne, sytuacye, figury, wszystko jest polskie, wszystko własne: ani Szczęsny ani jego ojciec, ani Horsztyński, ani ich nieszczęśliwe między sobą związki, nie mogłyby nigdy począć się w wyobraźni cudzoziemca. Nawet forma jest zupełnie oryginalna: Szczęsny przypomina Hamleta, niektóre sceny są z niego naśladowane ślepo, a mimo to przecież dramat w swoich głównych zarysach i pierwiastkach nie zbliża się ani do typu Szekspira, ani do Schillera, ani do dramatów francuskich, jest samoistny, od wszystkich odmienny i odrębny.

Jeszcze raz, gdyby *Horsztyński* był skończony, i gdyby był napisany wierszem, byłby najpiękniejszą polską tragedyą ze wszystkich jakie dotąd są w naszej poezyi.

Ale nie jest skończony. Jaki miał być ten koniec? Niektórzy mówią, że łatwo domyśleć się go i dorobić.

Autor prawdopodobnie chciał rzecz zakończyć wysadzeniem zamku w powietrze, doprowadził akt piąty co najmniej do połowy, zatem nic pozostaje nic jak przyłożyć lont do prochów i rzecz skończona! Zapewne, byłaby skończona

i prawdopodobnie nawet zgodnie z planem autora: tylko pomiędzy tym ostatecznym końcem, a tem co Słowacki napisane zostawił, musiałoby jeszcze wejść parę rzeczy, które odgadnąć i dorobić trudniej. Naprzód: co się stało z Salomeą? to w zakończeniu być musiało. Zwaryowała? dobrze; ale wrażenie tego szaleństwa i prawdopodobnej jej śmierci (bo kochanka tego Hamleta niezawodnie jak Ofelia kończyła śmiercią) na Szczęsnym; powtóre: pytanie czy Salomea jeszcze się pokazuje lub nie? Pokazać się powinna: figura to nadto znacząca żeby mogła tak milczkiem zniknąć z dramatu. Jeżeli się pokazywała, to co mówiła? co robiła? Dalej, nie mówiąc już o tem że i Maryna i cała jej historya domagałaby się jakiegoś zakończenia, to jest cały stosunek Szczęsnego z Amelią, który do jakiegoś rozwiązania dojść musi. Jakiem ono być miało podług zamiaru autora? czy w ostatniej chwili miłość miała się wyznać, a zgroza oboje kochanków popchnąć do śmierci zapewne równoczesnej: czy też jeżeli Szczęsny i Amelia nie są rodzeństwem, mieli się dowiedzieć o tem (i od kogo) że miłość między nimi jest pozwoloną, a wyrzec się jej muszą, muszą dalej uchodzić za brata i siostrę, bo inaczej Amelia musiałaby odkryć tajemnicę matki a Szczęsny jeszcze jeden wstyd rzucić na pamięć ojca? Niech zgaduje kto może, jak Słowacki stosunek ten zakończyć chciał? a przecież on zakończonym być musi.

Wreszcie sam Szczęsny. Wysadzić go w powietrze, to łatwo. Ale to nie byłoby końcem. Figura tragiczna wtedy dopiero może umrzeć, kiedy jest skończona, kiedy cały moralny proces jej tragicznego działania sam naturalnie doszedł do końca i zupełnie się wytłómaczył. Tutaj tego nie ma: Szczęsny, przez cały ciąg sztuki tajemniczy i w sobie zamknięty, musiał w planie Słowackiego raz przed śmiercią przemówić, wyjawić całą zagadkę swojej duszy, wielkie słowo swego życia, musiał zrobić tę spowiedź całego życia, którą raz obiecał

był Amelii. Bez tego zupełnym, zrozumiałym, skończonym być nie mógł. Jak on to zrobił? w rozmowie z Amelią, czy z Nieznajomym, czy może z księdzem, czy w monologu? to są pytania, które musi sobie postawić ten, ktoby się zerwał na dorabianie końca do tego dramatu. A jak na nie odpowiedzieć? Nie mówiąc już o tem, że jakikolwiek wybrałby sposób zakończenia, to musiałby Szczęsnego utrzymać na tej wysokości, na której go postawił talent Słowackiego: owszem w tej ostatniej chwili podnieść go jeszcze wyżej, wystawić go w bardzo silnem świetle. Dorobienie końca zatem nie byłoby rzeczą tak łatwą i prostą jak się napozór wydaje. Materyalnie zapewne łatwo; ale skończyć akcyę naturalnie, psychologicznie i tragicznie, bardzo trudno.

Oprócz zakończenia są w *Horsztyńskim* przerwy któreby musiały być zapełnione: niejasności które potrzebują wyraźniejszego wytłómaczenia, jak np. tajemnicze papiery: epizody, któreby z główną sprawą powiązać trzeba, np. Sforka: wreszcie sprzeczności, które należałoby usunąć lub pogodzić. Z tych największa jest, że Horsztyński kiedy mu Moskale wypalili oczy za konfederacyi Barskiej, był już żonatym. Z tego wynika że Salomea byłaby kobietą starą: jeżeli w roku 1770 naprzykład była już zamężną, choćby szesnastoletnią, to trudno żeby w 94 miała ten poetyczny urok młodości i świeżości jaki jej poeta daje, jaki czaruje czytelnika, i Szczęsnego. Trzeba było to wypalenie oczów i ożenienie Horsztyńskiego z Salomeą przybliżyć do wypadków dramatu, zrobić rzeczą niedawną, a to było tak łatwo. Niechby Horsztyński był się bił i stracił oczy w wojnie roku 1792, i rzecz skończona. Te wszystkie pytania i trudności musiałby rozwiązać, ktoby chciał *Horsztyńskiego* dokończyć.

Jak są rozwiązane? O tem dorobieniu scen brakujących i o przedstawieniu sztuki na scenie chcieliśmy zdanie nasze powiedzieć i czytelnikom naszym go udzielić. Ale ponieważ uzupełnienie *Horsztyńskiego* nie trafiło nam do przekonania, i ulegało już kilkakrotnie, a zapewne jeszcze ulegnie różnym zmianom — i ponieważ przedstawienie takiej sztuki na scenie wymaga największego pobłażania, przeto wstrzymujemy się nateraz od wszelkich uwag.



V.

ROCZNIKI POLSKIE

z lat 1857—1861 (Paryż 1865).

Zdarzyło nam się niedawno[1]) zażądać *Roczników Polskich* w jednej z księgarni krakowskich. — „Były, ale nikt nie kupował, musieliśmy odesłać“ taka była odpowiedź księgarza. Odeszliśmy z pewnem uczuciem wstydu, jak żeby w tej odpowiedzi tkwił był zarzut i milcząca ale wymowna krytyka naszej czytającej publiczności, jak żeby ten księgarz był sędzią tej istotnie dziwnej obojętności, a my, cząstka tej publiczności, winowajcą złapanym na uczynku i upokorzonym. Samo z siebie nasunęło nam się wtedy pytanie, czy ten słaby pokup na *Roczniki* jest skutkiem wstrętu do poważnych publikacyj, czy uprzedzenia, czy też po prostu niewiadomości?

Najłatwiej, najsłuszniej może, a w każdym razie najmniej przykro, zwalić rzecz na niewiadomość; że jednak *Roczniki* są publikacyą, o której wiedzieć warto, i należy, więc postanowiliśmy przypomnieć je tym, którzy znali je dawniej, a uwiadomić o nich wielką liczbę takich, którzy przed kilkoma laty nie mieli sposobności z niemi się zapoznać.

Roczniki te są to zebrane razem i wydane w czterech tomach *Wiadomości Polskie*, które wychodziły w Paryżu od roku 1857 do 1861 pod kierunkiem panów: Klaczki, Waleryana Kalinki i Wrotnowskiego. Surowo przez rząd ówczesny zakazane, ukradkiem tylko i w bardzo nielicznych exemplarzach przeciskały się *Wiadomości* do Galicyi; do Królestwa Polskiego przystęp był jeszcze trudniejszy, Wielkopolska

[1]) Pisane w r. 1868.

jedna mogła jawnie trzymać je i czytywać. Tłómaczy to w znacznej części ich mały podówczas rozgłos po kraju, i sławę ich mniejszą o wiele niżby być powinna. Dziś atoli, kiedy *Roczniki* ukazują się śmiało za szkłem każdej księgarskiej wystawy, kiedy nikogo nie narażą nietylko na odpowiedzialność ale nawet na najlżejszą nieprzyjemność, dziś nie mamy tej wymówki, i możemy, a zaiste nie zawiele będzie powiedzieć, powinniśmy, obeznać się z tą publikacyą, która, śmiało rzec można, zajęłaby zaszczytne miejsce w dziennikarstwie każdego kraju, a wszystkie pisma peryodyczne polskie zostawia za sobą tak daleko, że choć można któremu z nich naznaczyć drugie miejsce po *Wiadomościach*, to miejsca bliskiego nie można przyznać żadnemu.

Nie jest-że to nierozsądkiem żądać od ludzi, żeby po latach dziesięciu brali do ręki gazetę, z której wywietrzał urok świeżości? Wszak gazety, jeżeli dla potomnych mieć będą znaczenie historycznych źródeł, których opanowanie będzie herkulesowym prawdziwie mozołem, to dla współczesnych mają właśnie tylko znaczenie doraźne, interes jednodniowy. Któż kiedy powraca do wczorajszej gazety, cóż dopiero do takiej, która od lat sześciu żyje tylko we wspomnieniu i w bibliotekach swoich wiernych? Czy można nie będąc pedantem lub manijakiem, zalecać ludziom czytanie starej gazety?

Odpowiedź łatwa. *Wiadomości* nie były dziennikiem w ścisłem słowa znaczeniu; nie były nim nie dlatego tylko, że nie co dnia, lecz raz na tydzień wychodziły; ale więcej dla tego, że założeniem i treścią swoją różniły się wielce od tego co zazwyczaj rozumiemy przez dziennik. Wydawane w samem centrum współczesnej polityki i historyi, nie trudniły się przecież wcale bieżącą polityką; o wypadkach nawet ważnych nie wspominają ani słowem, jeżeli te wypadki nie mają wpływu na sprawę polską, o wypadkach potocznych, codziennych, nie mówią wcale; stają one w wielkim prądzie europejskiego życia i znać to na każdej ich karcie; ale na

to co się w około nich dzieje, patrzą o tyle tylko, o ile spodziewają się ztąd, lub obawiają, dobrego lub złego wpływu na Polskę i jej losy. Ale w Polsce za to, nie trafi się ani jedno choćby obojętne na pozór zdarzenie, żeby *Wiadomości* o niem nie wiedziały, żeby go nie oceniły w odniesieniu do sprawy naszej, żeby nie osądziły jego pożytków lub nie przewidziały złych następstw; nie zdarzy się ani jedna krzywda, ani jedno prześladowanie, o któreby się one nie upominały, ani jeden obowiązek, któregoby nie wskazały, ani jedna dobra sposobność, o którejby nie przestrzegły. Jeżeli się stanie jakieś małe zboczenie z drogi obowiązku, jakaś płochość, jakaś lekkomyślność, *Wiadomości* zaraz przywołują do porządku, — jeżeli w dziennikarstwie, w literaturze, w życiu społecznem lub obyczajowem, objawi się jaki kierunek fałszywy i niebezpieczny, *Wiadomości* upominają zaraz i grożą skutkami, które bystro przewidzieć umieją, — a kiedy im przyjdzie spotkać się z jakiem publicznem zgorszeniem, z grzechem obrażającym polskie sumienie, z działaniem zgubnem dla tego odrodzenia narodu, dla którego pracują same i innych do pracy chcą znaglić, wtedy karcą i chłoszczą tak, że napiętnowany przez nie kierunek lub człowiek obronić się nie może, a podnieść chyba tylko odmianą i poprawą.

I tak przez lat cztery były *Wiadomości* jak żeby strażnicą polskich interesów i wewnętrznego życia Polski; z myślą wiernie w przyszłość zwróconą, wlepiły wzrok w teraźniejszość i przypatrując się jej pilnie, bacznie, niezmordowanie, przykładały do tej teraźniejszości miarę tej przyszłości, i nasze uczynki sądziły podług, tego czy one dla przyszłości narodu były złe lub dobre, czy ją budowały lub podkopywały. Nie na jednę zaś część Polski, ani na dwie zwrócona była uwaga *Wiadomości,* ale na całą dawną przestrzeń Rzeczypospolitej; o częściach mówią one dla całego narodu i z myślą o całości; wydają się jak majtek na najwyższym maszcie obejmujący cały widnokrąg morza do około, i wyglądający na wszystkie strony, zkąd idzie chmura, zkąd burza,

zkąd się sunie podejrzany korsarz lub nieprzyjacielska flaga powiewa — wreszcie zkąd zerwie się ten wiatr i ten prąd, który okręt do portu zapędzi. — Nie gazeta to więc, ale raczej wszechstronny i zupełny obraz życia Polski przez ciąg ważnych bardzo lat czterech: obraz wierny i godzien żeby na niego popatrzeć. Wszak zdarza nam się niekiedy przy-przyglądać się z zajęciem wizerunkowi własnej twarzy robionemu przed laty; porównywamy ciekawie siebie jak byliśmy wówczas, z sobą, jak jesteśmy dzisiaj. Przykre to zazwyczaj porównania, bo wypadają najczęściej na korzyść przeszłości; przykre, ale zbawienne, bo każdy rys zmieniony, każda zmarszczka na twarzy, każdy włos posiwiały przypomina nam, że do końca coraz bliżej, a w około nas tyle prac niepodjętych, tyle zaniedbanych obowiązków, własna poprawa tyle jeszcze do życzenia zostawia. Co dla człowieka dobre, miałożby być złem dla narodu; miałżeby nie wyjść na pożytek ten obrachunek z własną a tak świeżą jeszcze przeszłością, to porównanie dzisiejszego naszego położenia z tem w którem żyliśmy wszyscy i które wszyscy pamiętamy? Bolesne to bardzo, bo ówczesny obraz Polski acz smutny, przecież oświecony jakiemiś brzaskami, które zdają się dzień zapowiadać, z każdej karty *Wiadomości* pomimo całej ich surowości wieje to uczucie: idziemy ku lepszemu. Dziś? dziś mówimy sobie, że tak niedawno jeszcze szliśmy ku lepszemu a cofnęliśmy się w tył okropnie, i dobrowolnie; dziś tego obrazu nic nie oświeca prócz nieśmiertelnego ale nie widomego światła wiary i miłości dla jednych, i prócz tych kilku błędnych ogników, które inni lubią brać za gwiazdy, a które z bagien powstają i wiodą na cmentarze. Jednak kto się zdobędzie na odwagę i zechce się rozpatrzeć w tych dwóch obrazach, ten trudu i bólu swego serdecznego nie pożałuje, i dlatego tak usilnie namawiamy czytelników naszych, żeby wzięli do ręki *Roczniki*. Szczęśliwi będziemy, jeżeli nasze sprawozdanie zachęci kogo do tego czytania i do tego porównania.

Zaczęły *Wiadomości* wychodzić w roku 1857, w rok po pokoju paryskim, w krótki czas po wojnie wschodniej i po śmierci cesarza Mikołaja, a w chwili kiedy potęga Francyi jaśniała najświetniejszym blaskiem, kiedy pod niesłychanym w owej chwili urokiem polityki Napoleona III ludy i rządy domyślały się czegoś więcej jak uroku, bo stateczności niezłomnej, zamiarów opartych na zasadzie, śmiałości czerpanej w wielkich i szlachetnych zamysłach, i prawdy. Czuł wtedy każdy człowiek i każdy naród, jak i dziś czuje, że Europa przyspieszonym ruchem pędzi ku przeobrażeniu; tylko wówczas każdy sądził, że przeobrażenie to odbędzie się ramieniem Francyi, tej Francyi chrześcijańskiej, cywilizowanej i cywilizacyjnej, pod kierunkiem człowieka rozumiejącego potrzeby wieku, a wiedzącego, że świat wtedy tylko dojdzie do porządku i pokoju, kiedy nie siła przed prawem, lecz prawo będzie przed siłą. Tak pojmowano w Europie Napoleona III: dlatego obawiało się go niejedno mocarstwo w Europie, dlatego nie jeden naród czekał od niego hasła i sposobności, jeżli nie pomocy do oswobodzenia, — a dziś jeszcze, dziś nawet, kiedy złamany niepowodzeniem starzec ze smutkiem wita wracające z za oceanów resztki swojej armiii, kiedy uporczywie a bezskutecznie usiłuje wmówić w siebie i w drugich, że nie pobłądził i nie poniósł klęski, dziś kiedy każdy widzi i czuje, że „on nie ten co był wczora“ — i dziś jeszcze nie można zaprzeczyć, że trafnym był ten instynkt, który przeczuwając konieczność zmiany międzynarodowych stosunków w Europie, pragnął, żeby ta zmiana dokonała się pod natchnieniem i kierunkiem Francyi, a wyglądał jej od monarchy, który nie mając nic wspólnego z dawnym porządkiem rzeczy, do nowego musiał zmierzać, żeby na nim oprzeć panowanie swoje i swoich następców. Jakikolwiek będzie koniec historycznej roli Napoleona III, rzeczą jest niezawodną, że początek jej takie w Europie budził uczucia i takie otwierał widoki.

Cóż w takich stosunkach miała robić Polska, której na przetworzeniu karty Europy zależało i zależy najwięcej? jak się miała zachować? czy stan jej wewnętrzny uprawniał ją do nadziei, że w danym razie potrafi wpłynąć korzystnie na swoje losy, a jeżeli nie, to jaką drogą, jakiemi sposoby dojść może do tego stanu, który pozwala narodom objawić swoją wolę i przeprowadzić ją? pytania te nasuwały się same umysłom myślącym i patryotycznym, i one to dały początek wydawnictwu o którem mówimy. Znać Polskę i dać jej poznać siebie samą, ażeby mogła dokładnie obliczyć swoje duchowe i materyalne siły, aby się przekonała wiele i czego jej nie dostaje do warunków odrodzenia, to był środek — upominać ją o poprawę i postęp, to był cel pisma. W kraju przedsięwzięcie takie udać się nie mogło, nietylko ze względów cenzurowych i policyjnych, ale i dlatego, chociażby tamte nie były istniały, że pismo krajowe wychodząc w jednej części Polski, nie może tak dobrze i w każdej chwili objąć całości — patrzy przedewszystkiem na stosunki i potrzeby tej prowincyi w której wychodzi, nie może zarówno strzedz interesów wszystkich. Pismo emigracyjne jest pod tym względem w położeniu daleko korzystniejszem; nie należąc do żadnej wyłącznie prowincyi, łatwiej może zachować równowagę pomiędzy wszystkiemi, i miejscowe ich sprawy odnosić zawsze do szerokiej sprawy ogółu. Jakkolwiek oddalone od kraju, może ono przecież swobodniej się znosić z każdą jego częścią niż części te pomiędzy sobą; stojąc zaś w samym środku europejskiego życia, musi korzystać wiele z tego potężnego ruchu umysłowego, literackiego i politycznego pośród którego żyje, a o każdorazowym stosunku sprawy polskiej do ogólnej europejskiej polityki, sądzić może trafniej i z większą znajomością rzeczy jak organa opinii krajowej. To też w chwili, kiedy zdawało się, że wszystkie wielkie bezprawia tego świata wejdą prędzej lub później w bezpośrednią styczność z tą polityką, pismo takie obejmujące ogół ziem polskich, wytykające słabe strony każdej z nich, i obliczające

jak każda o sprawie ogólnej pamięta i o ile ją naprzód posuwa, mogło zdawać się potężnym i skutecznym środkiem działania, a zatem pracą obowiązkową.

Podjęło ją to grono ludzi, które wyszedłszy na tułactwo po roku 1831, w miarę sił ubywających nowemi zasilane, zawiedzione sto razy w nadziejach, pojone sto razy goryczą, wśród zawodów i porażek, wśród szyderstw i potwarzy nigdy na chwilę nie ustało w pracy, ale przez lat trzydzieści bez wytchnienia pracowało ile mogło, szukając nieprzyjaciół nieprzyjacielowi swemu — szukając ich w królewskich pałacach i w chacie półdzikiego Bułgara, w żołnierskich szeregach i we wielkich dziennikach fancuskich lub angielskich, w klasztornych celach i w parlamentach, nad Bosforem i nad Sundem, wszędzie gdzie ich się domyślać kazał ich interes lub zacne uczucie. Nie będziemy wymieniać tych pracowników; młodszych bowiem, tych którzy później pracować zaczęli, żyjących, wymieniać może i nie wypada. O zasługach i poświęceniu zmarłych jak Niemcewicz, lub książę Adam Czartoryski, mówić byłoby zbytecznie. Nie możemy tu stawić całkowitego obrazu tych działań emigracyjnych, które stanowić będą jednę z ważniejszych części naszej porozbiorowej historyi. Że te trudy zostały bez widomego, bez wielkiego skutku, o tem nie bez przekąsu lubimy sobie w kraju powtarzać; że nie przeszły bez śladu, że o Polsce mówiły, świadczyły, że jej nie dały zaginąć w pamięci i w sumieniu europejskich narodów, że przypominały ustawicznie jej prawa, jej krzywdy, jej znaczenie w świecie i dla świata, o tem nie radzi pamiętamy; że ten ciągły, z wielkim zaprawdę trudem utrzymywany związek Polski z Zachodem, może jeszcze w przyszłości przydać się jej i bardzo, tego dziś rozumieć nie chcemy. Dałoby się wiele o tem powiedzieć, ale nie o tę stronę prac polskich za granicą nam dziś chodzi, nie o działanie na obcych, ale o to które zwrócone było na swoich, a które się wcieliło w cztery roczniki *Wiadomości Polskich*.

Nie możemy zapuszczać się w obszerne i szczegółowe sprawozdanie z *Roczników*. Cztery tomy rozpraw najrozmaitszej treści, a po większej części krótkich, wymykają się jak każdy łatwo pojmie z pod szczegółowego rozbioru. Iść za redakcyą krok w krok i każde jej słowo z osobna ważyć i sądzić, możnaby jedynie w czterech tomach równej niemal objętości; komentarza takiego niktby nie chciał czytać, skoro za ten sam czas mógłby z prawdziwym pożytkiem i przyjemnością obeznać się z dziełem samem. Musimy zatem mówić o *Wiadomościach* ogólnie, dzieląc co najwięcej traktowane w nich przedmioty na pewne kategorye, i pomijając (z żalem) wiele pięknych i doskonałych prac, ogólny tylko mieć na uwadze kierunek.

Rzeczą jest znaną i uznaną powszechnie, że pismo peryodyczne, choć z natury swojej najdalsze od utworów ludzkiego ducha, które zowiemy dziełami sztuki, może przecież, i powinno, mieć swoją harmonią, swoją organiczną, i jeżeli wolno powiedzieć, artystyczną całość. Im więcej tej harmonii, tem lepszem będzie pismo. Nie polega ona oczywiście w zewnętrznych zaletach, ani nawet w wewnętrznej budowie i dobrej proporcyi pojedyńczych części lub oddziałów tego pisma, ale w tem raczej, żeby wszystko co pismo to podaje z jednej płynęło myśli, i jednym duchem natchnione, do jednego zmierzało celu. Cel praktyczny, tendencya, jest istotą każego dziennika i racyą jego bytu; wszystko co z niego wychodzi i przez niego się rozchodzi, powinno służyć jednej zasadzie, dążyć w tym samym kierunku, krzewić te same przekonania. Jak w wojnie żołnierz pieszy i ułan, artylerzysta i inżynier, każdy inną bronią za tę samą walczy sprawę i jak jeden drugiego wspiera: tak w piśmie, którego redakcya nie jest przypadkowym zbiorem luźnych indywiduów, ale gronem ludzi przejętych jedną myślą, połączonych jedną miłością, i jedną zasadą, artykuły polityczne, literackie, obyczajowe, ekonomiczne, choć różne przedmiotem, zakresem i sposobem działania, działać przecież będą razem, i każdy pozna po nich, że z jednego stanowiska

pisane, na jeden i ten sam obrachowane są skutek, że sobie wzajemnie pomagają, a wszystkie razem jednę popierają dążność i zasadę.

Takiej harmonii, takiej zgodności i jednolitości myśli, przy wielkiej rozmaitości przedmiotów, są *Wiadomości* najświetniejszym jaki znamy przykładem w dziennikarstwie, nie tylko polskiem, ale europejskiem. Zaleta to dla publicystów polskich (mówimy o znakomitych) łatwiejsża do osiągnięcia niżeli dla innych; bo im cel większy a im dalszy także, im większe potrzeby a im zadość uczynienie trudniejsze, im gwałtowniejsze złe a im rzadsze i słabsze sposoby ratunku: tem tendencya owa występować musi energiczniej, tem częściej, tem natarczywiej. Dzienniki zagraniczne mogą czasem wypocząć w obronie, i dać spocząć czytelnikom; u nas jest *periculum in mora*, u nas czego się dziś nie obroni, z tem jutro trzeba pożegnać się na zawsze; a do tego nie o tryumf stronnictw i doktryn u nas idzie, ale o exystencyę, o przyszłość, o życie. W takich stosunkach to zbliżenie i ta solidarność u piszących, ta jednolitość i zgodność w ich pracach, staje się pod naciskiem okoliczności łatwiejszą, niżby była w szczęśliwszem położeniu. Nie dziwujemy jej się też wcale, ale tylko konstatujemy, że w całych tych czterech tomach nie ma jednego, choćby najdrobniejszego artykułu, któryby się wyłamywał z pod tej ogólnej harmonii, któryby w swoim zakresie nie służył do tego samego celu, któryby nie był natchniony tą samą patryotyczną myślą; a czy oddają cześć rzeszowskiemu włościaninowi Maciągowi i jego szlachetnym zapisom dla młodzieży, czy piętnują ofiarę hr. Tyszkiewicza dla cara, czy mówią o zabawach czy o korespondencyach dzienników, o stosunkach kościelnych czy ekonomicznych, o ulotnych pisemkach czy o najpoważniejszych dziełach; zawsze do wszystkiego i do wszystkich przykładają *Wiadomości* jednę i tę samą miarę użyteczności dla sprawy. To jedno mając *criterium* podług niego bezstronnie, *sine acceptione personarum* chwalą, ganią i sądzą, i tego

criterium trzymają się wiernie przez lat cztery, nie zbaczając od niego ani na chwilę, ani na jednę linię, tak że istotnie zdawaćby się mogło, że wszystko co one zawierają wyszło z jednego umysłu, z jednego serca, z pod jednej ręki; i nie wahamy się powiedzieć, że nie ma w tych czterech tomach ani jednego artykułu, choćby się w kilkunastu wierszach zamykał, któryby nie miał takiej patryotycznej tendencyi i takiej patryotycznej wartości.

A temu wielkiemu i rzadkiemu uczuciu obowiązku, które nigdy nie usypia i nie słabnie, towarzyszy równie cenna i może równie rzadka znajomość Polski w najszerszem tego słowa znaczeniu, to jest, znajomość jej wewnętrznego stanu i jej interesu. Z pierwszej płyną wszystkie rady, wszystkie nauki, upomnienia i nagany; z drugiej pewne axiomata polityki polskiej, których się *Wiadomości* trzymają i które chcą wprowadzić w świadomość całego kraju.

Przypomnijmy sobie naprzód, czem były owe cztery iata dla naszej Galicyi. Dwa pierwsze były zupełnie blade l nieznaczące. Były to ostatnie chwile rządów pana Bacha ale nic nie zapowiadało, że ostatniemi być miały. Samowładztwo biurokracyi i policyi nie dopuszczało żadnego postępu, żadnego rozwoju życia politycznego, a utrudniało wszelką pracę, czy to umysłową czy gospodarczo-ekonomiczną. Nie wiele też *Wiadomości* mają do powiedzenia o Galicyi, nie wiele dlatego zwłaszcza, że nie miały z nią żadnego bezpośredniego stosunku. Rzecz dziwna istotnie, że kiedy korespondenci z pod rządu rosyjskiego pomimo wszystkich trudności a może i niebezpieczeństw, zawsze znaleźli sposób zdawać sprawę regularnie ze stanu swoich prowincyj: listów z Galicyi znajdujemy zaledwo kilka, a i te pisywane były w znacznej części nie przez ludzi miejscowych, ale przez przejezdnych. W braku więc materyałów z pierwszego źródła, musiało pismo paryskie ograniczyć się do sądzenia faktów podawanych przez dzienniki, faktów zaś w owych czasach było bardzo mało. Sąd ten pełen jest zawsze wyrozumiałości

dla Galicyi i jej trudnego położenia; nie znajdzie tu tych sarkazmów i przycinków, któremi Galicyi nieraz dokuczano do zbytku, a bez skutku. Sarkazmy te bowiem, dochodzące nas z Warszawy lub z Poznania, może zupełnie słuszne, miały tę złą stronę, że odbierały tej prowincyi wszelką odwagę. Tak jak pojedyńczy „Galicyanin“ czuł się nieswoim i zmięszanym w zetknięciu z Koroniaszem lub Wielkopolaninem, bo czuł, że z góry uchodzi za fircyka, fanfarona, brukowego eleganta, jeżli nie gorzej: tak samo i ogół był onieśmielony, i przestawszy sobie dowierzać, zasklepiał się w swoim kraiku i odwykał od stosunków z innemi częściami Polski. Ten nieszczęśliwy stosunek wzajemnych uprzedzeń pomiędzy nami, zmienił się znacznie w ostatnich kilku leciech, wszelako ślady jego dziś jeszcze są widoczne, a w owym czasie był on właśnie najwyraźniejszym. *Wiadomości* uprzedzeń takich nie mają; wiele tłómaczą, wiele ganią; ale nie wyśmiewają nigdy. W owym czasie, kiedy życie polityczne rozwijać się nie mogło, zarzucają tylko Galicyi, że mniej niżby mogła, stara się rozwijać swoje życie moralne, umysłowe i społeczne; zarzucają odrętwiałość i spuszczanie się na łaskę Boga, kiedy rozstrój społeczny i intrygi świętojurskie coraz większe robią postępy, i kiedy można do pewnego stopnia powstrzymywać takowe środkami prywatnemi, domowemi. Czy tak niesprawiedliwie oskarżano nas o ospałość i apatyę — czy od dawna nie grzeszymy więcej opuszczeniem niż uczynkiem? to pewna, że w owym czasie na polu politycznem nie mogliśmy zrobić nic złego, na polu obyczajowem, domowem i gospodarczem robiliśmy go bardzo mało lub nic wcale. Ale brak ruchu, stagnacya, zastanie się w miejscu, jest wrodzoną skłonnością polskiej natury, a nigdzie nie objawiło się tak widocznie jak u nas od końca zeszłego wieku aż do piątego prawie dziesiątka wieku obecnego; a kto wie, czy i dziś przy warunkach tak znacznie zmienionych, o tyle szczęśliwszych, czynność i energia wypędziły zupełnie naszą dawną ociężałość. Obok tego zarzutu znajduje się zarzut inny

a raczej przestroga. Była chwila, bardzo krótka wprawdzie, w której zniemczenie usiłowało wedrzeć się do nas przez stosunki towarzyskie. Wiadomo, jak próba podobna była się raz udała we Lwowie, i jak Lwów musiał długo i wytrwale nad sobą pracować, żeby się pozbyć jej skutków. W Krakowie, może przez wielką pewność siebie, próba ta nie znalazła na razie oporu i zdawało się, że czasem wyda skutki szkodliwe. Dwa listy z Galicyi poświęcone temu przedmiotowi w *Wiadomościach*, czytają się dziś z wielkiem zajęciem, raz jako żywe przypomnienie rzeczy, która podówczas miała pewien rozgłos w kraju, a powtóre jako bardzo trafne i delikatne określenie tego taktu, który w naszych wtedy bardzo trudnych stosunkach z władzami, nasza własna godność zachować nam nakazywała.

Po wojnie włoskiej atoli zmienia się i stanowisko Austryi i położenie Galicyi. Pan hrabia Gołuchowski obejmuje ster rządu. System na pozór zostaje ten sam; polityka nowego ministra nieznana zupełnie. Dla publicystyki zadanie bardzo trudne. Zmiana osób tak znaczna, że każe się domyślać i spodziewać zmiany systemu, a tymczasem mijają całe miesiące, a w systemie zmiany nie widać. *Wiadomości* musiały rozumieć, że się te zmiany gotowały w milczeniu i tajemnicy, bo od chwili nominacyi hr. Gołuchowskiego okazują się nie fanatycznym, ale wiernym jego sprzymierzeńcem. W powołaniu zwiększonej Rady państwa (w lecie 1860) widzą one krok do zmian korzystnych, dyplom październikowy wreszcie witają jako wielki zwrot polityczny, mogący zmienić stanowczo politykę a nawet naturę Austryi i losy Galicyi. Następuje potem dymisya hr. Gołuchowskiego; do władzy przychodzi pan Schmerling, i przynosi z sobą patent lutowy, ten zaród sześcioletnich zatargów z Węgrami i niezadowolenia wszystkich nie-niemieckich krajów Austryi; powód ciężkiej niemocy państwa.

Zwrot ten oceniają *Wiadomości*, jako dla Austryi samej szkodliwy i niebezpieczny dla jej przyszłości, jako zły dla

Galicyi, ale niemniej zły dla monarchii całej. Wogóle *Wiadomości* choć nie oszczędzają dawnych austryackich rządów, i surowo sądzą politykę, którą się one względem Galicyi powodowały, przecież, w owym nawet czasie zachowują widoczną i wielką różnicę pomiędzy Rosyą lub Prusami a Austryą. Nieprzyjaźń ich względem Austryi pochodzi z dawnych krzywd Galicyi, ale nie jest zasadniczą ani nieubłaganą; przedmiotem jej są rządy, systemy, polityka, nie państwo samo. W całych czterech tomach obok wielu gorzkich skarg na Austryę, nie ma ani jednego życzenia jej upadku lub osłabienia. *Wiadomości* snać wiedziały, że ze wszystkich państw rozbiorowych Austrya pierwsza będzie musiała wystąpić ze świętego przymierza, i że Polacy w tej samej chwili przestaną widzieć w niej nieprzyjaciela. Polityka więc tego pisma względem Austryi jest bardzo oględną, bardzo umiarkowaną, rzeklibyśmy nieledwie życzliwą. Wyrzutów, skarg, nagan wiele; ale nienawiści i złej woli niema. Dyplom październikowy przyjmują *Wiadomości* ze szczerą radością, widzą w nim tryumf wolności i zapowiedź sprawiedliwości; patent lutowy budzi w nich niepokój i niedowierzanie, ale nie wpływa na tę względność i umiarkowanie, które wzięły jakoby za regułę sądów swoich o Austryi i austryackich stosunkach, a która wzmaga się i rośnie z każdym rokiem, w miarę jak wypadki podkopywały absolutyzm w Austryi, i jak słabnął stopniowo dawny związek pomiędzy nią a Prusami i Rosyą. A jak na politykę rządu, tak też baczne zwracają oko *Wiadomości* na zachowanie kraju, któremu świeże zmiany dawały lub przynajmniej zapowiadały większą swobodę działania. Z radością witają każdy objaw przebudzonego ducha, a śledzić w nich można z zajęciem, jak inicyatywa kraju nieśmiała zrazu, niepewna, ograniczona do małej liczby ludzi, wzmaga się coraz bardziej i na coraz donośniejsze zdobywa się kroki. Zrazu, jak żeby na próbę, czy istotnie opadły wody policyjnego potopu, wychodzi skromna prośba uczniów akademii krakowskiej o zaprowadzenie języka

polskiego i wraca z mniej dobrą wieścią jak gołąb do arki Noego (jesień 1859). W kilka miesięcy później, zwołanie zwiększonej Rady państwa daje już powód do manifestacyi szerszej i ogólniejszej; adres do powołanych przez cesarza trzech radców z Galicyi, oceniają *Wiadomości* jako mądry i znaczący krok polityczny. Wreszcie w jesieni 1860 nadaje cesarz konstytucyę; z końcem tegoż roku zbiera się cały kraj nie wołany przez nikogo, i w akcie wielkiej stanowczości i powagi stawia program swoich potrzeb i żądań, a w pierwszych dniach stycznia 1861 składa ten swój program u tronu, i wypowiada w nim śmiało, co uważa za swoje prawo w monarchii. Adres ten był wymownem zaprzeczeniem tego twierdzenia więcej rozpowszechnionego jak uzasadnionego, jakoby w Galicyi duch polski słabł i obumierał. Pokazało się, że skoro tylko znalazł możność po temu, umiał się i silnie i roztropnie objawić. Pismo paryskie oceniając ten adres mówi, że „może to jest nagrodą daną Galicyi za wszystko, co przed niedawnemi czasy ucierpiała, że mogła teraz wystąpić z aktem tak poważnym, jakiemu podobnego oddawna nie wydała Polska w niewoli; z jednym z tych rzadkich aktów, co zwracając na nas uwagę zagranicy, nie był zarazem gońcem nowego dla nas śmiertelnego ciosu“. Adres ten jest zarazem ostatnim faktem, jaki *Wiadomości* o Galicyi zapisują — początkom naszego życia sejmowego, walkom parlamentarnym naszych posłów w Reichsracie już one nie towarzyszą; przed otwarciem pierwszego sejmu lwowskiego, w chwili właśnie kiedy prowincya nasza zaczęła grać rolę ważniejszą i ciekawszą, i kiedy sąd *Wiadomości* mógł jej być najpożyteczniejszym, pismo to zakazanem zostało w Prusiech, a straciwszy przez to wstęp do jedynego kąta polskiej ziemi, który mu stał otworem, przestało wychodzić.

Wielkopolska jedyna podówczas ze wszystkich części Polski miała jakiekolwiek życie polityczne, jedyna miała trybunę, jedyna mogła protestować, upominać się, odwoływać do praw pisanych i do praw sumienia. Jak godnie i jak

mądrze zadanie to spełniali posłowie poznańscy w Berlinie, tego powtarzać nie trzeba; ile też liczyli pomiędzy sobą znakomitych zdolności i charakterów, to wiadomo każdemu. Z różnych artykułów i korespondencyj umieszczonych w *Wiadomościach*, łatwo jest złożyć sobie obraz wszystkich czteroletnich czynności koła polskiego w Berlinie, obraz walki nierównej, prowadzonej z jednej strony przez cynizm i złą wiarę, z drugiej przez wytrwałość i poświęcenie, natchnione świadomością dobrej sprawy i dobrego prawa. Przez całe lat cztery raz tylko występują *Wiadomości* z zarzutem przeciw posłom polskim w Berlinie, to jest w roku 1859, kiedy Prusy zbroiły się do wojny przeciw Francyi, a posłowie ci głosowali za pozwoleniem rządowi pożyczki na te uzbrojenia. Zresztą zachowanie posłów i zachowanie całej ludności księstwa, pracowitość i skrzętność właścicieli ziemskich, postęp rolnictwa i zamożności, gorliwość chrześciańska i patryotyczna duchowieństwa, ogólny poziom oświaty, a zwłaszcza stan i usposobienie ludu wiejskiego, są wedle *Wiadomości* dowodem, że „ze wszystkich ziem naszej ojczyzny Poznańskie najwięcej okazuje tych cnót obywatelskich i politycznych przymiotów, które naród z upadku dźwigają i do samoistnego przygotowują go bytu“.

A jakże się działo w zaborze rosyjskim? Przestrzenie ogromne podzielone na trzy kraje właściwie, odrębnie i inaczej rządzone; co innego w Królestwie, co innego na Litwie lub na Rusi; inne stosunki, inne potrzeby, inne niedostatki, inne wady. Ale rząd jeden, a w skutku zmiany panowania i zapowiedzianych zmian wewnętrznych, jedno dla wszystkich tych krajów położenie. Wszystkie miały się znaleźć nagle wobec najważniejszej sprawy uwłaszczenia włościan, wszystkie dostały nowego „wspaniałomyślnego“ cesarza, wszystkie wreszcie doznały pewnej ulgi, kiedy po wojnie krymskiej Rosya skupiała się w sobie. Ztąd też wszystkie miały podobne przed sobą obowiązki i niebezpieczeństwa.

Aleksander II wstępował na tron w warunkach niezmiernie dla siebie szczęśliwych. Gdyby był zrozumiał, jak mało potrzebował następca Mikołaja, żeby się wydać najlepszym z monarchów, i gdyby to mało był umiał zrobić byłby mógł tak uwieść umysły, jak je uwiódł przed laty Aleksander I. Opinia była mu przychylną nawet w Polsce; miał sławę człowieka dobrego, a w zapowiedzianym zamiarze uwłaszczenia włościan i oswobodzenia poddanych, mogli wszyscy, nawet nieprzyjaciele, widzieć i myśl wielką i popęd szlachetny. Wiadomo, że w Warszawie za pierwszej jego tam podróży, oczekiwano Aleksandra II z jakiemś uczuciem sympatycznem, które łatwo mogło było się utrwalić, gdyby nie to, szczere lecz niezręczne jego oświadczenie, że wszystko cokolwiek ojciec jego zrobił, zrobił dobrze.

Wyświecić prawdziwą naturę Rosyi, jej rządu, jej polityki, jej cesarzów, ostrzedz Polskę, żeby się nie łudziła nadzieją zmiany istotnej, było potrzebą chwili. *Wiadomości* odpowiadają tej potrzebie z najdokładniejszą znajomością przedmiotu i z całą siłą przekonania opartego na prawdzie. Oswobodzenie i uwłaszczenie włościan jest dla nich wypadkiem opatrznym, który może o przyszłości naszej stanowić; Polska powinna go pochwycić i z niego skorzystać. Ale dla Rosyi celem jedynym jest „jeszcze większe zśrodkowanie władzy absolutnej w ręku cesarza“; to dla tych, którzy w naiwności serca wierzyli w czystość zamiaru, w ludzkość, w sprawiedliwość tego rządu. Dla tych znowu, którzy przypuszczali, że ten rząd zmieni postępowanie swoje względem Polski, że popuści cokolwiek z prześladowania Polaków, i katolików, jest artykuł o stanie kościoła do śmierci Mikołaja, i zaraz obok niego, dla dogodnego porównania, drugi o stanie Kościoła za Aleksandra II — a z sumiennego porównania wypada, że stan ten jest zawsze ten sam, pomimo wszystkiego co piszą dzienniki lub mówią dyplomaci, ten sam za Katarzyny, za Mikołaja i za Aleksandra, z każdem panowaniem

o jeden stopień gorszy, ale w gruncie ten sam zawsze i niezmienny; jak nienawiść schyzmy do katolicyzmu, Rosyi do Polski, fałszu do prawdy, złego do dobrego.

Ale oprócz tych łatwowiernych byli i inni, byli podówczas tacy, którzy radzi w siebie wmawiali, że wszystko co w Rosyi jest złem, wychodzi od rządu i na niego spada odpowiedzialność, a że naród rosyjski gotów być ludzkim, wolnomyślnym, sprawiedliwym — nawet dla Polski. Dziś z obłędu tego wyleczyły nas — trzeba się spodziewać — fakta, wyleczyć powinny rosyjskie dzienniki; dziś powinniśmy wiedzieć z przekonania, że gdzie idzie o Polskę, tam Car i Hercen, Moskal świecący od pokostu paryskiej elegancyi, i Moskal świecący od łoju, którym włosy i brodę namaszcza, mają jednę myśl, jedno uczucie, jednę politykę — ale wtedy przekonania tego mogło jeszcze nie być, a uczucie choć rozpowszechnione, nie było przecież powszechnem. Na to niebezpieczne złudzenie więc odpowiadają *Wiadomości* artykułami „Naród i imperatorowie w stosunku do Polski“ i „Aleksander II i Polska“, w których dowodzą tego, czego fakta znane całemu światu od lat czterech dowodzą.

Po takiem określeniu stanowiska rządu rosyjskiego w pierwszych chwilach panowania Aleksandra, biorą *Wiadomości* pod rozbiór stan społeczeństwa polskiego; konstatują pewien poważniejszy zwrot w opinii, pewne, coraz szersze przekonanie o potrzebie pracy, „nie wystarcza już dzisiaj być Polakiem w uczuciu, trzeba być w czynie nieprzerwanym“ — zaczyna to pojmować szlachta w Królestwie; miarą patryotyzmu obywatela staje się dla niej stosunek jego z włościaninem; praca rolnicza, postęp gospodarstwa, jest skutkiem nie samej tylko chęci lepszego bytu, ale i dobrze pojętego obowiązku. A obok pochwał jest i przestroga „żeby nawozy i płodozmiany nie wyrugowały ogólniejszej troski“ — jest wspomnienie, żeby dbałość o włościan „nie ograniczała się na rozprawach o socyalnej równości“, jest wezwanie do rzetelności względem sług i czeladzi, jest ostra nagana zni-

kającego wprawdzie, ale jeszcze istniejącego nałogu karciarstwa.

„Arystokracya w Królestwie“ ma osobny poświęcony sobie artykuł, i podzielona jest dowcipnie na trzy kategorye: spekulantów, sybarytów, i excentryków. Pierwsze dwie zarażone i zagrożone kosmopolityzmem, ostatnia mogłaby dostarczyć wielu sił do pracy publicznej, gdyby excentryczność nie wykluczała stateczności i wytrwałości. A tymczasem „jak łatwo przyszłoby panom polskim zająć przeważne w kraju stanowisko, kiedy przy powszechnem uczuciu potrzeby związku i solidarności pomiędzy pojedynczemi częściami Polski, oni najbogatsi i najmniej zależni, przez stosunki majątkowe i związki rodzinne połączeni ze wszystkiemi prowincyami, mogliby najdokładniej poznać ogół narodu, stan i niedostatki każdej z osobna polskiej ziemi, i najskuteczniej oddziaływać przeciw skutkom rozszarpania naszego kraju“. Więcej szczegółowy, a przeto więcej nauczający jest obraz stanu duchowieństwa. Konsystorze i seminarya, klasztory i parafie są tu opisane. Porachowane im są wszystkie trudności i uciski, pod któremi żyć muszą, uwzględnione są wszystkie okoliczności i powody; a przecież, wedle korespondenta, nawet w tych warunkach duchowieństwo mogłoby podnieść się wyżej w gorliwości, w oświacie i w pracy; powinnoby zwrócić przeważnie czynność swoję na wsie, gdzie potrzeba jej większa, a wystrzegać się nowomodnej, sentymentalnej, miejskiej dewocyi. Stan świecki zresztą, zwłaszcza po wsiach, mógłby także, gdyby o tem pamiętał, wpływać zbawiennie na duchownych, choćby tylko rozumem, statecznem i dobrze obmyślonem towarzyskiem obejściem.

Obraz wychowania publicznego jest prawdziwie rozpaczliwy. Co za możliwa przyszłość, gdzie w ten sposób kształcą się pokolenia! jak się ratować od tego systematycznego zabójstwa ducha! Nie możemy tu powtarzać wszystkich szczegółów; możemy je tylko wskazać i polecić, jako źródła szacowne do poznania własnego kraju. A jeżeli po-

zwalamy sobie polecić publiczności czytanie tych listów o bliższem i lepiej znanem Królestwie, to tem usilniej musimy zwrócić ich uwagę na te, które opisują stan Rusi tak dalekiej i tak nam obcej. Jeżeli list o „rządach Bibikowa“ lub „o wychowaniu młodzieży polskiej w zakładach rosyjskich“ przypomina nam w sposób straszliwy znane tylko ze słuchu, a przeto łatwiej zapomniane prześladowania, barbarzyństwa i bezeceństwa; to znowu list o „bałagulstwie“ lub o „młodzieży w ziemi ruskiej“ ileż nam polskich ciężkich grzechów przywodzi na pamięć, z jakim wstydem za przeszłość i teraźniejszość, z jakiem drżeniem o przyszłość przychodzi rozpamiętywać te niegodne i szkodliwe zdrożności.

W listach z Litwy odbija się ciężki smutek naturalny w tym kraju, którego zarząd od zaboru nie zmienił się na chwilę — Katarzyna czy Nowosilcoff, Mikołaj czy Murawieff, zawsze ten sam system, zawsze jak powiada korespondent: „od kończyn Żmudzi do kończyn Kamczatki jedna zasada rządu, prawodawstwa i administracyi, wynarodowienie, prawosławie, prześladowanie, tępienie polszczyzny w tym kraju „„który był zawsze rosyjskim i rosyjskim być musi““. A jednak, pisze korespondent, „choć tak wiele u nas zniszczono, nie zdołano zniszczyć tego co w nas. Sam nieraz dziwię się, jak ten ojczysty rodzinny charakter jest w nas żywotny. Po miastach, na wierzchołkach społeczeństwa zdaje się on być trochę startym albo splamionym, ale po wsiach, po dworkach szlacheckich trwa w swojej prostaczej świeżości i mocy. W czasie wojny krymskiej bywały w najniższych nawet warstwach niewątpliwie jego objawy. Sam słyszałem, jak chłop potrącony przez policyanta mruczał sobie obietnicę prędkiego odwetu na Moskalach za przyjściem naszych, Polaków. Cokolwiekbądź prawią etnografowie i teoretycy, lud nasz litewski i litewsko-ruski w duchu jest zupełnie polskim“. Gdybyż wiedzieć gdzie jest ten korespondent, który te słowa pisał w roku 1857 — gdybyż on dzisiaj po r. 1863, po Murawiewie chciał i mógł te same słowa powtórzyć i potwierdzić!

W roku 1858 spotykamy się po raz pierwszy z Towarzystwem rolniczem w Królestwie, które tylko co otrzymało było potwierdzenie rządowe, a któremu *Wiadomości* przez cały ciąg jego i swego (równoczesnego prawie) istnienia, towarzyszą wiernie zdając regularnie sprawę z jego posiedzeń, postępów, i ze zbawiennego wpływu na obudzenie ducha obywatelskiego i uczucia obowiązków w Królestwie, a przez odbicie, i w innych częściach Polski. Można w tem piśmie śledzić rozwój i postęp tej instytucyi, która tak wielkie zajmowała miejsce w życiu narodu przez lat cztery, od chwili jej powstania aż do chwili upadku prawie; *Wiadomości* bowiem przestały wychodzić na parę miesięcy tylko przed rozwiązaniem Towarzystwa.

Z rokiem 1859 zmienia się stan rzeczy w Polsce. Owe przeczucia o polityce napoleońskiej, o których mówiliśmy wyżej, znajdują faktyczne potwierdzenie w wojnie włoskiej. Wojna o niepodległość jednego narodu, wojna dla idei, krok to zdawał się ogromny ku owemu przeobrażeniu Europy, ku odrodzeniu jej w duchu sprawiedliwości. Musiała wojna ta znaleść odgłos i w polskich sercach, musiała wydać się zwycięztwem w zasadzie sprawy polskiej. Tak też pojmują ją *Wiadomości*. „Placem boju“ mówią one w prześlicznym artykule o wojnie włoskiej, jakkolwiek ciasne granice chciano i umianoby tej wojnie nadawać, placem boju będzie zawsze wielki świat chrześcijański, i jeżli nie o ziemię, to o duszę Polski zawsze ta wojna potrąci. Bo duszą Polski jest sprawiedliwość i prawo; gdziekolwiek one stają do boju, duch Polski jest z nimi, i o nas choć bez nas głosi wszelka myśl szlachetna, wszelkie słowo twórcze w paktach Europy objawione“.

Ale obok tych korzyści jest i niebezpieczeństwo. Postęp tak znakomity może umysłom lekkim a gorącym wydać się zwycięztwem samem; gotowe one wziąć kwiat za dojrzały owoc, i sięgnąć poń ręką nierozważną i pośpieszną, i zerwać przed czasem to co jest dopiero nadzieją, zawiązkiem owocu.

Fakta dowiodły, że niebezpieczeństwo to urojonem nie było a wpływ wojny włoskiej na spieszny rozwój wypadków w Królestwie Polskiem był niezaprzeczony i każdemu z nas znany z doświadczenia. Przed tem więc niebezpieczeństwem, przed tem złudzeniem, przed tym pośpiechem przestrzegają *Wiadomości* od tej chwili aż do końca swojego istnienia, który przypada na koniec roku 1860. Wojna z Rosyą będzie dopiero koroną dzieła, nagrodą trudu i wytrwałości; rachunek z sobą, trzeźwe ocenienie własnych sił, przygotowanie nie powstanie, myśl o sile nie o wojnie, i wyrabianie tej siły cierpliwością, rozumem, spokojem, to obowiązek Polski. „Pamiętajmy, że jeżeli Piemont teraz cały świat zajmuje, to dla tego, że przez dziesięć lat sobą się tylko zajmował, kiedy świat zdawał się o nim zapominać, i że dopiero wskutek pielęgnowanej wewnątrz siły, przyszła mu pomoc z zewnątrz". W tym duchu przemawiają *Wiadomości* stale i niezmiennie, a tem silniej, tem wymowniej, im groźniejszem stawało się położenie, które zrazu przewidywane tylko nie wymagało nic prócz przestrogi, a które później wyraźne i rzeczywiste, potrzebować zaczęło gróźb, próźb, zaklęć, dowodów, łez i gromów. Coraz widoczniej bowiem rozchodzić się zaczęło działanie Polaków w dwa przeciwne kierunki. Jedni, licząc się ściśle i trzeźwo z siłami, radzili czekać, czekać choćby najdłużej, ażby Polska wzmogła się w sobie a Rosya w skutku sprawy wschodniej (lub innej) stanąć musiała do boju z całą Europą — drudzy, którzy rączy do czynu a pochopni do władzy wmawiali w siebie, że z dwudziestomilionowego ludu atwo wyciągną milionową armię, i upojeni odurzającem *farà da se*, które u Włochów nawet było tylko przechwalką nie godną wielkiego narodu, przez konspiracye i organizacye doprowadzili prosto do roku 1863 i jego skutków. Pierwszego kierunku nikt w całej Polsce nie bronił dzielniej ani odważniej jak *Wiadomości*.

Wierzą one, że odrodzenie Polski przyjść może tylko przez wpływ i pomoc cywilizowanej Europy, na jej równie

jak na naszą korzyść: ale widzą i uczą zarazem, że stać się ono musi nie przez zewnętrzne tylko działania, ale przez naszą własną pracę. Własnemi siłami żaden naród podbity nie stoczy nigdy pomyślnej wojny z nieprzyjacielem mającym na rozkazy wszystkie środki uorganizowanego państwa, ale żaden też nie dźwignie się bez użycia sił własnych: a użyć ich może wtedy dopiero, jeżeli je naprzód pomnoży i dobrze wyćwiczy. Z tego stanowiska wychodząc, w interesie zmartwychwstania Polski, nie przypuszczają *Wiadomości* powstań; bo wiedzą, że gdzie niema armii ani skarbu, tam wojny zwycięskiej być nie może. Wiedzą, że konspiracye i organizacye dostarczają wielu wprawdzie jenerałów, ale nie dostarczają ani jednego żołnierza: i że rewolucyjna propaganda może wywołać rozmaite ruchy, ale nie ruchy powstańcze i narodowe. Walczą więc z teoryą własnych sił naprzód, a następnie z konspiracyą. Zrazu walka ta jest zaledwie przestrogą przed złem nieprawdopodobnem, a w najgorszym razie dalekiem; zaczynają artykuł z roku 1857 pod napisem: „Nasze zadania i uchybienia“; ale niebawem złe się przybliża, niebezpieczeństwo przybiera kształty wyraźniejsze i rzeczywistsze; rok 1859 i wojna włoska jak z jednej strony działa dobroczynnie na naród i pośrednio na sprawę, tak z drugiej przynosi niebezpieczne złudzenia i zgubne usiłowania. Pomiędzy krajem a zagranicą zaczynają się coraz częstsze stosunki, przejazdy, podróże, i tak zwane missye; z różnych emigracyjnych oficyn wychodzą i milczkiem rozchodzą się po kraju różne peryodyczne i nieperyodyczne pisemka, pełne odezw, obietnic, nadziei i planów; młodzież tak zwana gorąca, coraz gęściej pielgrzymuje do Paryża i Londynu, coraz nabożniej słucha apostołów ruchu, proroków polskiego *farà da se*; symptomy coraz częstsze i coraz głośniejsze; zachcianki powstania a raczej prowadzenia tego powstania coraz widoczniejsze. Więc miałażby Polska w chwili właśnie, gdy stan Europy coraz bardziej zbliża się do wielkiej katastrofy, w której ona odegrać może tak wielką i stanowczą

rolę, w chwili kiedy coraz bliżej do wielkiej wojny europejskiej, i do zbawienia, — powstaniem nieprzygotowanem, słabem, illuzyjnem, sama cofnąć i popsuć swoją sprawę? miałażby nie nauczona. doświadczeniem z r. 1831, 46 i 48 nie wiedzieć, że chwilę swoją upatrywać powinna, i zrzec się dobrowolnie tych warunków zwycięstwa, które jej owa chwila nadejdzie, ona z niej skorzystać nie zdoła? Mieliżby jej synowie jeszcze nie wiedzieć, że nie godzi się Polski na niepewne narażać i że każde powstanie nie udane jest nowym szczeblem nie z grobu ale do grobu, że ducha nie budzi ale zabija, że siły marnuje nie pomnaża? Widząc sprawę na takiej pochyłości, rzucają się *Wiadomości* do ratunku. Jakiej tylko broni użyć może pisarz, taka tam jest użytą, ażeby bałamucących i obałamuconych zmusić do czekania. Rozumowanie i uczucie, zapał i argumentacya, prośba i dowcip, przykłady obcych i własne doświadczenie, ironia i zaklęcie, miłość i zgroza, wszystko tam mówi: „czekać!“ a mówi tak wymownie, tak serdecznie, tak rzewnie, tak strasznie, że dziś jeszcze, zwłaszcza dziś, serce się krwawi czytając. Zaczyna się ta wojna od mniejszych utarczek. W jednym numerze pisma zjawia się „Zdanie Kossutha o konspiracyi“— umieszczone jak żeby dla ciekawości, z praktycznem przecież zastosowaniem i z wyraźną dla Polski nauką; dalej natrafiamy na „Plan konspiracyi i kadrów powstańczych“ — który to plan stawia „dwudziesto-czteromilionową armię“ i znosi nią „łatwo“ dwu (tylko) milionowe wojska nieprzyjacielskie, i który „w razie udania wyswobadza Polskę, a w razie nie udania będzie etapą posuwającą o krok jeden naprzód sprawę oswobodzenia, *„et ce sera à recommencer“*. —

Obok tego rzucony od niechcenia rozdział z Memorabiliów Xenofonta: „Glaukon syn Arystona, choć nie miał jeszcze lat „dwudziestu (obałamucony przez sofistów) marzył wciąż jak objąć rządy państwa“. Sokrates zapytuje go jaką to usługę chce naprzód oddać ojczyźnie? „Prawdopodobnie

chcesz kraj twój wzbogacić?“ Glaukon potwierdza. „Kraj wzbogacić, ciągnie dalej Sokrates, jest to podnieść jego dochody. Powiedz-że mi, wiele wynoszą dzisiejsze dochody i wydatki państwa?“ Zapytany nie wie i ratuje się odpowiedzią, że zbogaci kraj łupami zdobytemi na nieprzyjacielu. „Bez wątpienia, odpowiada Sokrates, tylko trzeba być silniejszym, bo z mniejszemi siłami można stracić i to co się ma. A zatem kto zamyśla o wojnie, musi dobrze znać potęgę swojego narodu i nieprzyjaciół, aby stosownie do niej zachęcać do wojny jeżeli się jest mocniejszym, albo od niej wstrzymywać jeżeli się jest słabszym“. „Słusznie mówisz“. „Powiedz mi zatem, pyta dalej Sokrates, jaka jest nasza siła lądowa i morska?“ „Wyznaję, że nie wiem w tej chwili“. „Musiałeś przynajmniej obliczyć na jak długo wystarcza krajowi zboże, które corocznie w nim zbierają, i jak wiele z każdym rokiem potrzebujemy, abyś na przypadek nieurodzaju, zdrową radą i znajomością rzeczy mógl ojczyznę od głodu ocalić“. O! Sokratesie to trudna sprawa, jeżeliby jeszcze w takie drobiazgi wchodzić należało!“ „Ostrożnie Glaukonie, bo niebezpieczeństwo jest podejmować się tego, czego nie umiesz; zamiast pochwał mogą cię spotkać nagany, zamiast czci, potępienie. Do kierunku spraw publicznych zabieraj się wtedy, gdy nauką i doświadczeniem postawisz się wyżej nad zwyczajnych ludzi“.

Ale nie sama tylko powaga doświadczonego w tych rzeczach Kossutha, nietylko sól attycka i ten wykwintny dowcip, którego próbkę przytoczyliśmy wyżej, służyć mają naszej potrzebie, otwierać oczy i wzywać do upamiętania. Jest coś co głośniej powinno wołać, skuteczniej napominać: miłość ojczyzny i sama ta nadzieja niepodległości, szlachetna pobudka wszystkich tych misyj, kadrów i organizacyi, o których można powiedzieć przewracając na wspak słowa niemieckiego poety, że są ową siłą *„die stets das Gute will und stets das Böse schafft“.*

Polskie serca i polski rozsądek, oto sprzymierzeńcy, których szukają *Wiadomości* w swojej wojnie z przedwczesnem powstaniem: do tych się odwołują, do tych przemawiają wprost słowami, w których najczystsza miłość Ojczyzny łączy się z wytrawną polityczną mądrością. Najobszerniejszym, jak najwymowniejszym i najcelniejszym z artykułów tego rodzaju, jest „Katechizm nie-rycerski“. Zarzucano mu w swoim czasie, że zbyt głośno zatrąbił na alarm, a tem samem podniósł znaczenie człowieka i dążności przeciw którym był wymierzony. Zarzucano mu przesadę, może nawet niezręczność; czy słusznie, skutek pokazał. Dziwić się raczej można, że w chwili kiedy w Polsce panował jeszcze spokój zupełny, że na czas długi przed ostatniemi agitacyami, pisarz z pierwszego objawu poznał, że one były w powietrzu, i że przewidział na czem się skończyć muszą. Ale dajmy nawet, co nie jest, że źle była wybrana czy chwila, czy bezpośredni powód tego artykułu; gdyby i tak było, to wartość jego zapatrywania, jego argumentów zostałaby tą samą i byłby zawsze najlepszem, jakie w Polsce wyszło, ocenieniem nieszczęsnego wpływu konspiratorów i demagogów, ich propagand i agitacyj na sprawę niepodległości Polski.

Czyż trzeba dziś jeszcze chwalić tę politykę *Wiadomości*, czy trzeba po roku 1863 i jego wszystkich skutkach, dowodzić, że mieli słuszność którzy wołali „czekać“! Może i trzeba. Tak jak podówczas, przez całe dwa lata przed wybuchem błagano i zaklinano, by się zatrzymać z powstaniem w Królestwie aż do chwili, kiedyby Rosya wplątaną była w wojnę zagraniczną, a na to z drugiej strony odpowiadano: zdradzacie! niechcecie Polski! i t. d. — tak i dziś jeszcze nie wszyscy odprzysięgli się takiej polityki i wszystkich spraw jej. Jeszcze i dziś usłyszy kto zechce, że krocie zagnanych w Sybir, tysiące poległych i powieszonych, i znowu krocie oderwanych gwałtem od Kościoła, i znowu tysiące z ziemi wyzutych, że eksterminacya polskiego języka, polskiej wiary, polskiego plemienia i ducha na Litwie i Rusi,

eksterminacya taka, że już nie pytamy wiele tam polskiego zostało, ale czy co zostało, że to wszystko „budzi ducha i jest krokiem naprzód ku oswobodzeniu“. Zdaje nam się, że gdyby w tej doktrynie i polityce było choć cokolwiek miłości Polski, jedna rzecz byłaby ją doprowadziła do zastanowienia i upamiętania, to właśnie ta, bodaj czy nie utrata Rusi i Litwy. Kto po tej odbytej „etapie“ nie obejrzał się za siebie i nie poznał, że zła to droga, która się takiemi znaczy śladami, u tego niema miłości ojczyzny, są tylko nienawiści społeczne. Czyśmy tak zuchwali? czy rzucamy niecne oszczerstwa i potwarze? Podobno nie, bo jakże inaczej sądzić tych, Polaków z imienia, którzy radują się z rezultatów milutynowskiego systemu i nazywają go korzyścią dla sprawy, i miłością ludu ten swój milczący sojusz z Moskalami farbują? jakże sądzić tych, którzy szerokim programem swojej polityki obejmują wejście Moskali do Galicyi i kombinują przemyślnie, że po tym zaborze szlachta zrujnowana i prześladowana, niemająca nic do stracenia, da się łatwo porwać do powstania, *et ce sera à recommencer?* Cóż rzec o takich, którzy po doświadczeniu tak świeżem i tak gorzkiem wierzą jeszcze w mas zelektryzowanie, i w owe kadry, których żołnierzem nigdy nie wypełnili i nie wypełnią? O zaprawdę możemy jeszcze dziś z korzyścią czytać *Wiadomości*, możemy się z nich niejednego nauczyć.

Jako ważny objaw życia i ducha publicznego w kraju, zajmuje dziennikarstwo polskie obszerne miejsce w *Wiadomościach*. Stanowisko jego, pośrednie niejako pomiędzy polityką czynną a literaturą, działanie jego nieustanne podobne do działania kropli wody na kamień, nadaje mu w każdym razie wielkie znaczenie i wpływ, wedle ducha, w jakim działa, dobry lub szkodliwy. Tak jak dziennikarstwo sumienne, rozumne i patryotyczne może w rozmaitych kierunkach służyć sprawie publicznej, jak się może przyczynić do wyrobienia i rozszerzenia zasad prawdziwej polityki narodowej, jak może utrzymywać, krzepić i krzewić zdrową opinię, jak może

swoim sposobem naprawiać niejedno złe spółeczne lub niejedne towarzystkie narowy i przywary, jak wreszcie, pośrednio wprawdzie ale nie bezskutecznie, popierać może rozwój dobrego sądu i dobrego smaku w rzeczach literatury lub sztuki, tak znowu dziennikarstwo lekkomyślne i płoche, albo pochlebiające, albo spekulacyjne, albo zawistne, może wykrzywić pojęcia polityczne, bałamucić opinię, tumanić sumienia, literaturę fałszywym sądem prowadzić na fałszywe drogi, słowem przynosić narodowi nieobliczone i wielorakie szkody. Daje też pismo emigracyjne pilną baczność na krajowych swoich kolegów, a ilekroć zdarzy się któremu zboczyć w jakimkolwiek kierunku, przeoczyć jaki obowiązek, pobłażać lub sprzyjać jakimkolwiek złym nałogom publiczności, natychmiast, w imię dobra publicznego, przywołanym zostaje do porządku. Niema w tem polemiki, a zbytecznie byłoby mówić, że niema współzawodnictwa z dziennikami; są tylko sprawozdania, a gdzie potrzeba krytyka ich kierunku, przy zupełnem i sprawiedliwem uwzględnieniu tych trudności, z któremi łamać się muszą pisma wychodzące pod surową i nieprzyjazną cenzurą.

Jeżeli w polityce jeden głównie zarzut, w owym czasie słuszny, robią *Wiadomości* dziennikom krajowym, zarzut nieoględności, łatwowierności względem Rosyi, a niewytłumaczonej i nieroztropnej jakiejś niechęci do Zachodu, z którym związek jak zawsze jest warunkiem utrzymania cywilizacyi i tradycyi narodowej, tak w przyszłości musi być warunkiem i środkiem narodowego odrodzenia, — to pod względem literackim, artystycznym, obyczajowym, zarzuty są o wiele liczniejsze. Spadają one na tych korespondentów zagranicznych, którzy albo bawią publiczność polską brukowemi plotkami, albo wyrokują dogmatycznie o wielkiej polityce, którą znają z kawiarni — na korespondentów krajowych, którzy zamiast o moralnym, umysłowym, materyalnym stanie swojego powiatu, zamiast o przebiegu sprawy włościańskiej, zamiast o zasługach lub usterkach obywatelstwa, donoszą o balach

i kuligach — na redakcye wreszcie (głównie na redakcye dzienników warszawskich), że schlebiają panującemu podówczas *delirium artisticum* i same szczepią i roznoszą tę niebezpieczną chorobę. Na kierunek tak fałszywy oburza się w *Wiadomościach* i polskie i artystyczne uczucie, i instynkt sztuki i instynkt obowiązku. W imię prawdziwej piękności i w imię prawdziwej miłości ojczyzny odwodzą one piszących i czytających od admiracyi usprawiedliwionych samą tylko nieznajomością sztuki, jej wymagań, warunków, i arcydzieł, a zdolnych zarówno smak artystyczny jak sąd patryotyczny wykrzywić. Walka ta zacięta z fałszywym artyzmem, z bałwochwalczą krytyką, z wyśrubowanym, sztucznym zapałem dla samozwańczych artystów i dzieł sztuki, z tą udaną, przesadzoną a zimną exaltacyą, jest jedną z największych zasług tego pisma, i ze stron jego najwięcej zajmujących, a może i najpożyteczniejszych, najbardziej nauczających. Bo jakkolwiek uspokoiło się może cokolwiek to, przez *Wiadomości* tak zwane *delirium artisticum*, to przecież nie można ręczyć, że się pojęcie piękna u nas podniosło, że się krytyka wykształciła. I dziś jeszcze w każdej recenzyi czy to książki, czy obrazu, w każdem sprawozdaniu z produkcyi muzycznej lub z teatralnego przedstawienia, znajdziemy tyle nieprawdy, tyle przesady, tyle znakomitości, tyle pierwszorzędnych talentów, że istotnie myślećby można, że nasze wystawy obrazów są istną tylko co roku inną florencką Trybuną, że nasze koncerta mogą się mierzyć z koncertami konserwatoryów niemieckich, że na naszych teatrach ku rozczuleniu i rozweseleniu naszemu występuje każdego wieczora Garrick obok panny Rachel i pani Ristori obok Roscyusza. Ta sama zbyteczna łatwość do przesadzonego (za to najczęściej krótkotrwałego) uwielbienia, która sprawia, że w naszem życiu publicznem nie znamy miary w uznaniu zasługi, ta sama może naturalna ale niebezpieczna skłonność do podziwiania swoich ludzi i swoich rzeczy, dlatego że są swoje, sprawia że nasze sądy wypadają prawie zawsze powierzchownie, że naszym

pochwałom i uniesieniom sami nie możemy dawać wiary, że mamy mnóstwo znakomitych artystów i artystek... na papierze: że wieńce któreby Mickiewiczowi przystały, składamy na głowach niższych, słabszych, które ich udźwignąć nie mogą, i które doprawdy wyglądają w nich raczej komicznie. Kadzidło lubiący jeszcze nad miarę, kadzimy sobie sami w osobach naszych poetów, literatów i artystów, i temi pochlebstwy ich tylko i siebie bałamucimy, i tylko przeszkadzamy powstaniu prawdziwego, tj. wysokiego pojęcia o sztuce w publiczności. a doskonaleniu się i postępowi artystów samych.

Z tym fałszywym kierunkiem artystycznym, a na prawdę, anti-artystycznym, z tą krytyką równie nieumiejętną jak pozbawioną najczęściej nawet zdrowego w rzeczach sztuki instynktu, prowadzą *Wiadomości* systematyczną kampanię, w której liczne podjazdowe utarczki grupują się naturalnie około walnej i stanowczej akcyi, którą jest najwięcej może znany i rozpowszechniony artykuł o „Sztuce polskiej“. Oburzył on w swoim czasie wielu, i dziś jeszcze oburza; nie mogą mu przebaczyć przedewszystkiem urojone i fałszywe aspiracye, i nieuzasadnione pretensye ukołysane słodko własną admiracyą i cudzemi pochlebstwy; gniewa się cały zastęp znawców i wielbicieli, z których czczego dyletantyzmu słowa te tak niemiłosiernie zdarły wszelki pozór znawstwa i nawet uczucia w rzeczach sztuki, których przeczucia, drżenia, zachwyty i zapały, z któremi we własnych a niekiedy i w cudzych oczach tak było do twarzy, zredukowały do właściwej ich wartości: udawania, i tego co po francusku zowie się pozą. Krytycy sami, którzy pobłażali występnie temu złemu i w głębi serca poczuć się musieli do winy cudzego grzechu, woleli uporczywie bronić swojej niewinności, jak zrobić rzetelny rachunek sumienia; a nawet prawdziwie zdolni artyści, choć przyznawali że „jest w tem wiele prawdy“, przecież byli dotknięci, i nie bez goryczy wspominali o tych istotnie nieosłodzonych prawdach.

Nie nam ani nikomu podobno sądzić dziś o tem, czy się pan Klaczko nie pomylił, kiedy narodowi naszemu tak stanowczo odmówił, nawet na przyszłość wszelkiej (rodzimej i oryginalnej) zdolności do malarstwa i sztuki plastycznej. Rozsądzenie tej sprawy zdać trzeba na przyszłość. Ale od czego odstąpić nie możemy, to od tego, że dzisiejszy stan sztuki w Polsce, dzisiejsi jej kapłani i doktorowie, jej chwalcy i bałwochwalcy, jej stanowisko względem sprawy narodowej ocenione jest tak trafnie i zdrowo, z taką rzetelnością patryotycznego uczucia, z taką czcią i miłością dla sztuki prawdziwej, z taką nieubłaganą sprawiedliwością dla niepowołanych i nieudanych jej naśladowań, że rozprawa ta stałaby zawsze na czele wszystkich dotychczasowych prac krytycznych w literaturze polskiej, nawet gdyby zawartych w niej złotych prawd nie podnosiła mistrzowska wewnętrzna struktura tej pracy, język i styl, jakim nikt, mówimy rozważnie i umyślnie, nikt dziś w Polsce nie pisze, forma która do uwielbienia i do rozpaczy doprowadzić musi każdego, kto kiedykolwiek próbował pisać po polsku.

Krytyka literacka *Wiadomości* jest tego rodzaju, że z żyjących naszych pisarzy-krytyków, dwóch tylko, pan Lucyan Siemieński i pan Małecki, stanąć może śmiało obok krytyków paryskiego pisma. Przyzna nam to każdy, kto przeczyta rozbiór *Krewnych* Korzeniowskiego, *Metamorfoz* p. Kraszewskiego, lub *Gladyatorów* Lenartowicza. Co tam za głęboka znajomość zadań i warunków powieści lub poezyi, co za delikatne ocenienie natury i właściwości każdego z pisarzy, co za uznanie zalet każdego utworu obok zawsze słusznych, nigdy uprzedzonych zarzutów! Ze stanowiska czysto-literackiego, jest to krytyka poważna, wysoka i uczona; ale że jak poezya i literatura wogóle nie same tylko estetyczne ma w Polsce zadania, tak krytyka nie same tylko artystyczne wymagania stawiać może i powinna, więc ten jeszcze wzgląd ważny podnieść nam wypada, że krytyka *Wiadomości* umie spełniać zarówno estetyczne jak i patryotyczne

swoje obowiązki, że ani jednych ani drugich z oka nie spuszcza, że jednym jak drugim odpowiada w zupełności, i że cokolwiek sądzi, sądzi zawsze z artystycznego lub naukowego, z obywatelskiego i polskiego stanowiska.

Nie pochlebiamy sobie, żeby to cośmy tu o *Wiadomościach* powiedzieli, pozwalało dostatecznie ocenić ich wartość i zasługę. Jeżeli daje jakiekolwiek wyobrażenie o ich stanowisku i kierunku, jeżeli przekona kogo o głębokiej i wszechstronnej u nich znajomości naszych stosunków, naszych potrzeb i słabości, zaspokoimy się tem zupełnie. Chcieć im pomagać do sprawiedliwego uznania, byłoby z naszej strony zarozumiałością, a dla nich pomocą w rodzaju tej, którą mucha z bajki dała parze silnych koni. Ale jeżeli już mamy w bajkach porównania szukać, to zadanie nasze względem *Wiadomości* wydaje nam się podobnem do zadania tej myszy co przegryzła sieć, w którą się lew był zaplątał. *Wiadomości* spętane policyjnym zakazem w czasie kiedy wychodziły, później oplątane tą siecią zapomnienia, w którą wpadają wszystkie niemal pisma peryodyczne, a z której wywikłać się tak trudno, nie mogły dotąd pokazać przed wszystkimi, że są lwem niepospolitej powagi i siły, a same nie mogły rozedrzeć owej sieci fatalnej, bo już dawno przestały przemawiać do polskiej publiczności. Sądzimy, że nam nikt za zuchwalstwo nie poczyta, iżeśmy się na rolę owej myszy zerwali; a pewni jesteśmy, że kto za poradą naszą przeczyta *Roczniki*, ten nam będzie obowiązanym. Piszącym pozwolimy sobie zalecić to czytanie, bo znajdą tam takie wzory języka, stylu, i opracowania materyi, o jakie nigdy i nigdzie nie łatwo; publiczności zaś, publiczności myślącej, wiejskiej zwłaszcza, która tak często i słusznie uskarża się na brak dobrych książek, powiemy, że w tej obok różnorodnej treści, pociągającej a często szczytnej formy i żywego zajęcia, znajdzie i korzyść rzeczywistą, bo książka ta jest naszą własną historyą, jest wiernym obrazem naszych

własnych tak świeżo ubiegłych czasów, który dobrze i zdrowo jest porównać z tym obrazem, jaki dziś mamy przed oczyma. Prosimy też usilnie, gorąco, żeby tym przynajmniej exemplarzom *Roczników*, które jeszcze w księgarniach galicyjskich zostały, nie pozwolono wrócić do Paryża ze wstydem, większym doprawdy dla nas jak dla nich.



VI.

RACHUNKI BOLESŁAWITY

za rok 1867.

(Przegląd Polski, 1868).

Zbawienny to obyczaj i złota prawdziwie reguła, każdego roku robić obrachunki swoich przychodów i wydatków, porównywać swoje *habet* ze swojem *debet*, i pilnie się zastanowić nad ostatecznem *facit*. Na tym porządku stoi oddawna cały świat finansowy, na nim potęga państw i zamożność domów. W sferze umysłowej i moralnej niemniej pożyteczny jest obrachunek z samym sobą, i słusznie radzą nam matki i nauczyciele katechizmu, byśmy co wieczór robili przegląd sumienia. Roztropnie też czynią i wydawcy książek do nabożeństwa, że z każdej z nich odkładają kart kilka na summaryczny katalog różnych grasujących po świecie złych skłonności i uczynków; a jakkolwiek formuły te ogólne i stereotypowe rzadko odpowiadają przypadkom i potrzebom każdego pojedyńczego sumienia, to przecież tę mają zaletę, że mogą do zastanowienia pobudzić i poznanie stanu duszy każdemu choć pośrednio ułatwić.

W życiu narodów taki zbiorowy rachunek sumienia byłby niemniej pożytecznym, a zajęcie z jakiem w przeszłym roku przyjęto *Rachunki* Bolesławity, skwapliwość z jaką je czytano, dowodzą, że pomysł pisarza uderzył naszą publiczność.

Jestto bowiem śmiałe przedsięwzięcie, powiedzieć sobie, że się zrobi dla narodu roczny bilans całego jego życia, i nic dziwnego, że odwaga ta zrobiła wrażenie. Jakiejżeto wytrwałości potrzeba i jakiej skrzętności, żeby w bilansie tym żadnej nie zaniedbać pozycyi. Bolesławita istotnie nie przepomniał o żadnej. Życie polityczne i społeczne, umiejętność,

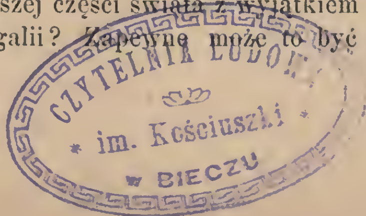
literatura i sztuka, stosunki ekonomiczne, wszystkie te główne rubryki zapełnione są w jego budżecie, podzielonym według przedmiotów i według części Polski. Każda z nich ma w tej tabuli swoją osobną kartę, na której zapisuje się jej stan czynny i bierny; a nietylko o wielkich ogólnych pozycyach pamięta autor, ale nie przepuści ani najdrobniejszej cyfrze.

Podziwiając atoli śmiałość przedsięwzięcia, nie możemy powiedzieć, żeby wykonanie jego nie zostawiało nic do życzenia. Wszystkie pozycye są, i cyfr pojedyńczych nie brakuje: ale ktoby chciał przejrzeć i skontrolować te rachunki, ten znalazłby niektóre w dodawaniu pomyłki i niedokładności, a suma ogólna wypadłaby mu inaczej niż autorowi. W tej niemiłej konieczności sprawdzania rachunków znajdują się właśnie sprawozdawcy pism peryodycznych. Milczeć nie pozwala im obowiązek urzędu; wbrew przekonaniu ogłosić, że rachunki są w porządku i dać pokwitowanie, nie pozwala im znowu co innego. Położenie ich jest bardzo nieprzyjemne. Wytykać niedokładności w rachunkach, rzecz to zawsze drażliwa, cóż dopiero jeżeli buchalter doświadczonej wprawy ma za sobą powagę lat i ustalonej reputacyi. Któż wierzyć zechce, że jemu wymknęła się pomyłka? Łatwiej przypuścić, że kontrolor dodawać nie umie, lub że złośliwe rzuca potwarze, powodowany zazdrością lub osobistą urazą. Podpisany atoli, który także w *Rachunkach* figuruje jako cyfra, i z wielką, zbyt zapewne wielką osądzony jest względnością, tem sobie dodaje odwagi, iż o złość osobistą przynajmniej nikt go nie posądzi, jeżeli mu w *Rachunkach* to lub owo wytknąć przyjdzie.

Rachunki z roku sześćdziesiątego szóstego zawierały się w jednym tomie. Rok sześćdziesiąty siódmy potrzebował już dwóch; a każdy z tych tomów wystarczyłby bezmała na dwa znowu takie tomy jak przeszłoroczna książka rachunkowa. Jeżeli dalej w tej progresyi pójdziemy, to nasza narodowa buchalterya wkrótce liczyć się będzie do najwspanialszych w Europie, a do każdej biblioteki trzeba będzie

przynając lub dobudować osobną izbę obrachunkową. Czy atoli wartość dzieła wzrosła w stosunku jego objętości, za to nie śmielibyśmy tak odrazu i bez namysłu zaręczyć. W piśmie świętem czytamy, że mała ilość oliwy lub wina pozostała na dnie dzbana u biednej wdowy tak się cudownie rozmnożyła, iż się ledwie pomieścić mogła w pożyczonych od sąsiadek naczyniach, a cudownie rozmnożone pięcioro chlebów nasyciło dostatecznie pięć tysięcy ludzi. Ale za naszych złych i prozaicznych czasów cuda dziać się nie lubią. Z jednej i tej samej szczypty herbaty można zrobić wprawdzie do woli dwie filiżanki, albo, nie żałując wody, dziesięć. Ale w tych dwóch herbata będzie dobra, w dziesięciu będzie słaba; rozmnożenie odbywa się, przeciwnie jak w Kanie Galilejskiej, kosztem jakości. Coś podobnego dzieje się i z książkami; a nieraz rzecz, która ściśnięta i zbita większe robiłaby wrażenie, rozdęta do znacznej objętości traci na swojej ciężkości gatunkowej, i na smaku.

Rzecz traktowana w *Rachunkach* Bolesławity wystarczyłaby niezaprzeczenie na całe tomy, gdyby ją kto opracować chciał gruntownie i szczegółowo, ale kiedy już rodzaj dzieła nakazywał przedstawić ją sposobem przeglądowym, w ogólnych tylko zarysach, to na większej zbitości i treściwości byłaby książka niezawodnie zyskała. Gdyby autor zamiast brać do śledztwa wszystkie po kolei kraje Europy, był dał jeden całkowity obraz położenia tej Europy, a w niej Polski, byłby mógł w krótszych słowach powiedzieć nierównie więcej. Droga którą obrał, wiodła go koniecznie do tego, że mówił razem za wiele i za mało: że rzecz jego jest i rozwlekła i niedostateczna. Pojmujemy to dobrze, że chcąc mówić o stosunkach polskich, musiał autor zakreślić dla nich tło i dać obraz ogólnej sytuacyi europejskiej; ale byłże to dobry sposób przechodzić po kolei Francyę, i Anglię, Austryę, Prusy, Rosyę, a wspomnieć o wszystkich państwach i państewkach naszej części świata z wyjątkiem jednej tylko (bez żartu) Portugalii? Zapewne może to być z pożytkiem



dla tych krajów i narodów, że każdy znajdzie tam jeżli nie rachunek to przynajmniej rachuneczek sumienia; zapewne, może pan Beust lub pan Bismark przeczytawszy charakterystykę swoją w *Rachunkach* wejść w siebie i uznać trafność niejednej ze zrobionych mu uwag. Ale tak sobie porządek materyi ułożywszy, nie może autor nic wyczerpującego o żadnym z tych krajów powiedzieć ani nawet ich obecnego stanu choćby najogólniejszemi rysami scharakteryzować, coby mu się nierównie łatwiej i lepiej udało, gdyby je był zgrupował i przedstawiał ze stanowiska polskiego jedynie, w odniesieniu do polskich interesów. Co dziwniejsza, to że „na szachownicę polityczną" patrzy autor obojętnie, bo wszystko co się w Europie dzieje, „nas" według niego „nie obchodzi". Nasze zdanie jest wprost przeciwne; ale jeżeli już tak autor myślał, więc po co wciągał w rachunki polskie te wszystkie pozycye, które do nich zdaniem jego nie należą? Po co nam powtarza rzeczy zaprawdę dostatecznie znane, jak naprzykład że „dawne znaczenie Francyi cierpi na zjednoczeniu Niemiec", lub że „finanse w opłakanym stanie, niepokoje z rozbojów i knowania Burbonów nieprędko dozwolą Włochom wejść na drogę normalnego rozwoju"? Prawda że obok tego są i prawdziwe nowości, świeże i niezastarzałe, naprzykład że „polityka angielska nigdy nam nie sprzyjala, ale dziś okoliczności wielce się zmieniły". Dzięki Bogu; zmiana ta widoczną wprawdzie nie jest, ale choć nie widzimy, wierzyć jesteśmy gotowi, skoro wypisane na książce godlo mówi wyraźnie, że wszystko co jest w *Rachunkach* jest prawdą. Stoi tam także, że „Państwo Skandynawskie gdyby nawet kiedy do zjednoczenia przyjść mogło, będzie zawsze satellity grać rolę: my przypominaliśmy sobie z historyi, że państwo to, choć nie zjednoczone, mialo raz dzielnego czlowieka, który się nazywał Gustaw Adolf i grało w Europie inną wcale rolę niż satellity, i sądziliśmy że to państwo, cokolwiek się z niem stanie, nie może nigdy wyjść na satellitę Prus i Rosyi, a przeto godne jest niejakiej od nas uwagi. Ale

mniej nas jeszcze rażą te wyroki autora choć śmiałe, jak sprzeczności, o których nie wiemy co myśleć, czy je brać za brak uwagi, czy też za brak sądu. We wszystkiem naprzykład co mówi autor o Austryi, znać że uważa dualizm dzisiejszy, i niemiecki kierunek polityki bar. Beusta, za zgubny. Godzimy się na to z autorem zupełnie, ale musimy go odstąpić, kiedy nam znowu oznajmuje, że „podstawa budowy (bar. Beusta) jest silna i szeroka“. Z dwojga jedno: albo dualizm jest zły, a w takim razie podstawa nie jest silna, albo podstawa jest silna, a wtedy dualizm zgubnym dla Państwa być nie może.

Przez zbiór takich sądów, albo ogólnikowych, albo fantastycznych i na niczem nieopartych, albo wreszcie wprost z sobą niezgodnych (które atoli wszystkie są prawdziwe, *All is true)*, dochodzimy wreszcie do Rosyi. Tutaj, zgadzając się z autorem w zapatrywaniach i w uczuciach, nie chcemy wytykać mu takich usterków jak jakieś małe długości lub powtarzania. Jedno nas tylko dziwi u pisarza tak wyrobionego i wprawnego, to rozmiary prawdziwie niestósownie wielkie epizodów, które autor w rzecz swoją wplata. Nie można wprawdzie od książki tego rodzaju żądać doskonałych proporcyj i artystycznej budowy: ale cóż na to powiedzieć, że w książce, która z założenia swego powinna przeglądać i reasumować, podróż cesarza rosyjskiego do Paryża lub wyprawa Czechów do Moskwy opowiedziane są z najdrobniejszemi szczegółami. W opisie pobytu cara w Paryżu naprzykład znajdujemy wszystko cośmy kiedykolwiek czytali przeszłego roku w artykułach dzienników, w korespondencyach, a nawet w kronikach i w tak zwanych *faits divers*. Wielka księżna Gerolstein, adwokat Floquet, koń pana Raimbaud, żona notaryusza draśnięta kulą Berezowskiego, wszystko jest, nie brakuje niczego; wszystko opisane (po raz tysiączny) najdokładniej, najporządniej, i bardzo obszernie. Robiąc przegląd wypadków obchodzących Polskę, musiał autor osądzić podróż cesarza i strzał Berezowskiego, ale czyż musiał je opowiadać? czy sam zmysł pisarski, samo

doświadczenie nie powinny były ostrzedz go, że takie ogółowe rzuty oka nie znoszą opowiadań i szczegółów? Kartek przybyło kilkadziesiąt, ale kto na tem zyskał? nie wiemy, z pewnością nie książka.

Wyprawa czeska zajmuje stron sześćdziesiąt z górą! Tu przynajmniej tłomaczy nam autor swój cel: chciał rzecz tę przedstawić inaczej niż była opowiedziana w *Revue des deux Mondes* przez p. Juliana Klaczkę. Wykonanie istotnie odpowiada temu założeniu, cel dopięty, zatem wierni zasadzie, że krytyka sądzić tylko powinna jak autor zrobił to co zrobić zamierzał, nie mamy nic do powiedzenia, tylko przyznać możemy sumiennie, że się autorowi zupełnie udało. Ale w tym epizodzie napotykamy jedną z tych małych niedbałości, z tych zboczeń pióra, na które się zrazu nie uważa, a które wydrukowane wyglądają jak grube sprzeczności i narażają *Rachunki* na złośliwy zarzut, że nie zawsze są wierne swojemu pięknemu godłu: *all is true* [1]).

Oto na stronie 128 tomu I stoją słowa następujące: „Czesi, naród duchowo umarły, sucha gałęź olbrzymiego drzewa i. t. d.“ — na stronie zaś 129 t. I. stoi: „Czesi

---

[1]) Niedostateczna znajomość literatury angielskiej nie pozwala nam dojść z jakiegoto autora wyjęte jest powyższe godło; domysły zaś tem są trudniejsze, że te trzy słowa stać mogą równie dobrze w Hamlecie jak w Robertsona nauce angielskiego języka. Ba nawet mogły być złożone przez każdego Polaka, któryby rzecz dającą się doskonale wyrazić po polsku, wołał powiedzieć po angielsku. A i ta ostatnia supozycya nie jest zupełnie nieprawdopodobną, bo wiadomo, że u nas jak angielską milą przejechać, tak też „miło angielską mową popisać się czasem“. Boimy się też czy Bolesławita przyjmując to angielskie godło, nie stał się niewinną ofiarą jakiego Polaka, któremu myśl własna przez to imponowała i piękniejszą się wydała, że ją na obcy język przełożył.

Przypisek do wydania z roku 1894:

Pisząc powyższy odsyłacz autor nie wiedział, a przynajmniej nie uważał, że *Henryk VIII* Szekspira nosił pierwotnie tytuł *All is true*. Ztąd może wzięte było godło *Rachunków*.

uczestnicy jednej z nami cywilizacyi zachodniej, plemie najstarsze ukształceniem, najdostojniejsze powagą, najmożniejsze wpływem i t. d.“ — nad każdą zaś z tych dwóch definicyj Czechów unosi się święte godło: *All is true!* Żeby choć w innym tomie, żeby przynajmniej o kilkanaście kartek dalej! ale nie, tuż obok siebie na dwóch kartkach sąsiednich, tak że każdy czytając na stronie 129, że Czesi są „plemieniem najoświeceńszem i najpoważniejszem“ musi sobie przypomnieć, iż na stronie 128 ci sami Czesi byli „narodem umarłym i suchą gałęzią“. Każdy więc z tego wnosić musi, że albo się z Czechami coś dziwnego stać musiało w tym krótkim przeciągu czasu, w którym Bolesławita pisał kilkanaście wierszy, które dzielą od siebie owe dwie prawdy, albo że jedna z tych prawd nie jest prawdą, co się sprzeciwia znanemu godłu *Rachunków:* albo wreszcie, że autor pisząc stronę 129, nie wiedział już co napisał na stronie 128. Dla płochego i lekkomyślnego trzpiota może to być obojętnem lub nawet pociesznem, ale dla umysłów głębszych i poważnych rzecz to nie mała a położenie ich staje się prawdziwie tragicznem. *All is true!* i to jest *true,* że Czesi są narodem umarłym, i to także *true,* że są plemieniem najoświeceńszem i najdostojniejszem — jak wyjść z tego dylematu, jak pogodzić te dwie prawdy wprost sobie przeciwne, a obie zarówno prawdziwe, bo *All is true*? Nie wątpimy, że znajdą się czyste dusze i serca niewinne, które nie pozwolą sobie wątpić i roztrząsać, wierząc, „że kto spowiada swego czasu niedolę“ i swój „kapłański obowiązek“ żywo czuje, ten go i spełniać musi rzetelnie: że zatem sprzeczność jest tylko pozorna i że Czesi mogą być razem i umarłym narodem i najdostojniejszem, najmożniejszem plemieniem“. — Ale czy w naszem zepsutem społeczeństwie znajdzie się wielu takich prostych jako gołębice? niestety! nie śmiemy się spodziewać, i przewidujemy ze strachem, że znajdą się tacy, którzy tą sprzecznością doprowadzeni do zwątpienia zawołają zmieniwszy nieco pośmiertne słowa Brutusa „Prawda jest złudzeniem“!

A inni wreszcie, najgorsi, głosić gotowi z godnym tego zepsutego wieku cynizmem, że w *Rachunkach* nie wszystko jest prawdą, lub co najmniej gdy im autor w świadomości i poczuciu swojej misyi spowiednika i swego kapłańskiego urzędu powie: *All is true*, zapytają go z ironią i niedowierzaniem: „czy doprawdy?“

Tak przez Francyę, Anglię, Włochy, Austryę, Turcyę i Rosyę, zaczepiając po drodze o Hiszpanię i Skandynawski półwysep, dobijamy się wreszcie nie bez mozołu w połowie prawie pierwszego tomu do Polski. Tu na wstępie spotykamy kraje pod zaborem rosyjskim, a każde o nich wyrzeczone słowo uczciwe, słowo przywiązania i współczucia, pewnem być może, że je każdy przyjmie z uszanowaniem, i że zawsze sprawi wrażenie, choćby najmniej było wymownem. W *Rachunkach* nie znajdziemy żywego i plastycznego obrazu Królestwa i krajów zabranych, nie znajdziemy nowych i nieznanych szczegółów, ale słuchamy autora z uwagą, a uczucie nasze wtóruje jego słowom, choć słowa te same słyszeliśmy już od innych a nieraz wymowniej, rzewniej, piękniej powiedziane. Możnaby wprawdzie wytknąć autorowi, że tak miłość jego do uciśnionych jak i oburzenie na ciemięzców, objawia się sposobem stereotypowym, formułkowym, posługuje się frazesami i słowami, które napotykamy co dnia w każdej korespondencyi z tamtych krajów, w każdym dzienniku polskim lub zagranicznym; ale jakże się temu dziwić, że ta straszna monotonia prześladowania jednostajnemi wszędzie odbija się barwami. Koloryt nie jest świetny, ale jest wierny, uczucie nie ma porywającej siły, ale ma zacność i szlachetność; to też karty te największą z całej książki obudzają w czytającym sympatyę, tak dla autora jak i dla dzieła. Rzecz naturalna, że nagany i surowych sądów być tu nie może. Jak ganić tych, których największem zadaniem i największą zasługą jest żyć i być na miejscu, i którzy jeśli żyją i z pola nie schodzą, spełnili tem samem wszystko co dziś spełnić mogą. Nie ma też dla Królestwa i krajów

zabranych tych wyrzutów, których szczęśliwszym nie szczędzi autor *Rachunków*. Jest jeden tylko, ciężki i wielki jeżeli istotnie zasłużony, zarzut zbytków, hulatyki i gry, uczyniony Warszawie, a właściwie temu co w niej autor „wyższem towarzystwem“ nazywa. Bale urzędowe usprawiedliwia nakaz, zabawy prywatne usprawiedliwia ułomność ludzkiej natury, która w wysokim nastroju długo wytrwać nie może; ale przesadzać się w paradach i zbytkach, ale tracić tysiące na karty, to grzech przeciwko sprawie, to urąganie tym którzy nie mają nic, to poniewierka własnej i narodowej godności. Jeżeli się takie rzeczy istotnie dzieją w Warszawie, to autor ma słuszność. Ale nie ma jej kiedy wszystkim zarzuca „lekceważenie uczuć i godności narodowej i sarkanie na ojczyznę“, kiedy mówi, że całe (jak je nazywa) „wyższe towarzystwo tym duchem jest przejęte“. Nazwiskami dowodzić tego nie możemy; ale autor, który lepiej może od nas zna Warszawę, łatwo odszuka te nazwiska w swej pamięci, i przekona się, że jeżeli są lekkomyślni i rozpustni, to więcej może znajdzie się zacnych i poważnych. Że oni dla ogółu mniej są widoczni, to nic dziwnego, ale kto się podjął zrobić dla nas nasz roczny rachunek, ten nie powinienby kłaść cyfr dodatnich pomiędzy ujemne i mieszać jednych z drugiemi.

W wielkopolskim dziale *Rachunków* najwięcej miejsca zajmuje krótko zebrana historya koła posłów polskich w Berlinie (tak w Parlamencie północno-niemieckim jak i w sejmie pruskim), a obok niej pogląd na religijne stosunki Księstwa. W tym ostatnim uderza umiarkowanie z jakiem autor mówi o stanowisku jakie pomiędzy krajem a rządem zajął ksiądz Arcybiskup Poznański, umiarkowanie tem godniejsze uznania, że nie przechodzi w obojętną bezstronność. O ile opis stanu księstwa zgadza się z rzeczywistym jego stanem, o tem miejscowi lepiej od nas sądzić mogą. Nam, zdaleka, wydaje się tylko że żądanie autora, ażeby ludność polska starała się o dobre stosunki z sąsiadami Niemcami, w teoryi może mieć

wiele za sobą, ale w praktyce nie da się urzeczywistnić tam, gdzie żywioł niemiecki liczebnie silny, uważa się za pana całego kraju i ma *Selbstbewusstsein* swojego opatrznościowego powołania do cywilizowania Polaków, *vulgo* rugowania ich z ich własnej ziemi. U nas w Galicyi żywioł niemiecki nigdy nie był tak licznym, ograniczał się zawsze na sferach urzędowych, a jednak wiemy, jak nam z nim było ciężko, dopokąd *Drang nach Osten* nie stracił cokolwiek na swej sprężystości. W Księstwie, gdzie każdy Niemiec na wsi osiadły czuje się misyonarzem, apostołem, krzyżowym rycerzem tego pruskiego zakonu, którego wielkim Ministrem po Fryderyku W. jest hr. Bismark, w Księstwie daleko jeszcze trudniej być musi o cierpliwość, o wyrozumiałość, i o pojednanie.

Rozdział o Prusach Zachodnich, zestawienie wiadomości rozproszonych w różnych czasach po różnych dziennikach, daje zebrany w jedno pogląd na stosunki tego kraju, a ciekawy jest choćby przez to tylko, że kraj ów tak mało nam znany. Za tym rozdziałem zaś, na samym ostatku pierwszego tomu poświęconego stosunkom politycznym i społecznym, przychodzi rachunek Galicyi. Zachowano tu ten zwyczaj i porządek, który panować zwykł przy examinach szkolnych, gdzie naprzód zawsze popisują się uczniowie celujący i wzorowi, a próżniaki, nieuki, krnąbrni, wstyd i zakała klasy, na samym końcu dopiero odbierają nagany, upomnienia, i wyroki.

Nie próbujemy spisywać tu grzechów naszej, jak mówią Niemcy, „ciaśniejszej“ ojczyzny. Nie z obawy żeby przeciw niej nie wykroczyć jak Cham przeciwko Noemu, (niestety! nagość jej odsłonił już bez litości autor *Rachunków*), ale po prostu dla tego że litania tych grzechów za długa. Galicya stara na duchu, niedołężna w sercu, niezdolna do pracy, ofiary, poświęcenia, dla oświaty niechętna, dla literatury skąpa, dla emigrantów nieludzka, odpychająca Izraelitów którzyby szczerze Polakami być chcieli, ze szlachtą, która się „rozmyślać poczyna czy ojczyzna nie jest mrzonką głów

niedopieczonych (sic), z ludem zawcześnie nauczonym nienawidzieć, zazdrościć i pożądać cudzego“ (jak żeby można nauczyć się tego wszystkiego w porę?) — z pseudoarystokracyą, w której „tkwi niechęć ku starej Polsce“ — ze stanem średnim nie wyrobionym, fermentującym, „woła tupiąc nogami: a nuże, a prędzej, ruszajmy się, naprzód... ale stoi“, a toczona „moralnem choróbskiem“ „gnije w kącie smrodliwej turmy“, i „gdyby kraju nie kochał, miły Boże!“ wolalby autor wcale tej obrzydliwości nie tykać. Na takie słowa staje w oczach święta Elżbieta pielęgnująca trędowatych i własnemi rękami obmywająca najobrzydliwsze wrzody i liszaje. Taki sam akt miłosierdzia spełnia Bolesławita względem nas nieczystych, i z niemniejszem zapewne poświęceniem. Ale czegóż nie zdolny człowiek, który „ujął pióro aby spowiadał swego czasu niedolę i błędy“ i który „czuje, że kapłański spełnia obowiązek“ — czegóż taki człowiek nie zrobi dla miłości ziomków i ojczyzny! Tylko że miłość, podług definicyi ś. Pawła (Kor. I. 13), jest „słodka, cierpliwa, dobrotliwa, nie nadyma się, źle o nikim nie myśli, a nadewszystko kocha się w prawdzie“. Czy ta miłość, która dyktowała Bolesławicie *Rachunek* Galicyi odpowiada tym wszystkim warunkom, których wymaga od niej Apostoł narodów? Cierpliwa i słodka? być może, ale w tej słodyczy czuć cierpkość. Dobrotliwa? o ile się to godzi z uprzedzeniem i z sądem cokolwiek porywczym. O nadętość posądzać jej nie chcemy, a jednak to głębokie przeświadczenie o misyi kapłańskiej nie zdaje nam się podobnem do pokory. Co się zaś tyczy prawdy, to ta mieści się może w intuicyjnych autora sądach i wyrokach, ale fakta, które on na poparcie swoich sądów przytacza, nie zawsze z nią się zgadzają.

Wiemy dobrze, że Galicya Arkadią nie jest, wiemy że zasługi jej, gdyby je na sprawiedliwej szali zważono, nie stanęłyby na równi z zasługami Królestwa lub Wielkopolski, i wiemy że szczęśliwsze od lat kilku położenie wkłada na nią obowiązki, których dotąd dobrze nie wypełnia. To wszystko

wiemy, nie próbujemy tego taić, i nie obrażamy się gdy nam to ludzie wytykają. Ale o to upomnieć się musimy, że Galicya, choć Galicya, ma prawo żeby sądzono ją sprawiedliwie, i żeby jak każdemu oskarżonemu policzono jej przynajmniej warunki i okoliczności łagodzące; a ktoby to zrobić zechciał, tenby znalazł może że nie siedzi ona tak nieruchomie „w kącie smrodliwej turmy“ i że, nie od ostatnich *Rachunków* wprawdzie, lecz od dawniejszego nieco czasu, uszła przecież kawałek drogi. Nie chcemy wcale przeczyć wpływu ani zbawiennego skutku *Rachunków*, ale zauważyć musimy, że nie można od nas słusznie żądać, byśmy z roku na rok, od *Rachunków* do *Rachunków*: dokonali tej poprawy, której w nas Bolesławita nie widzi. Nie *Rachunków* to wina, ale to wina natury ludzkiej (nie tylko galicyjskiej), wina natury rzeczy. Nic się na tym świecie nie reformuje od razu, nic prędko nie postępuje. Zdarzyło się raz wprawdzie, że kazanie pobudziło całą ludność miasta do skruchy, pokuty i reformy obyczajów, ale kaznodzieją był Savonarola; już Skarga sztuki tej nie dokazał. Nic więc dziwnego, że Galicya po *Rachunkach* z roku 1866, choć nie wątpimy że je wzięła bardzo do serca, nie zdołała w jednym roku wyrzucić z siebie starego kwasu i przemienić się w nową Galicyę. Ale ktoby chciał robić jej rachunek sumienia nie dorywczo, powierzchownie, z jednego roku tylko, ale ze znajomością rzeczy, bez uprzedzeń i oklepanych ogólników, zrobić przeciętny jej rachunek z lat dwudziestu lub trzydziestu, tenby znalazł może, że ona wiele kwasu wyrzuciła, i że choć nie inną, jest przecież lepszą Galicyą niż była.

Sędziowie nasi, którzy nas z innemi częściami Polski porównywają, a zrobiwszy porównanie potępiają, nie lubią o tem pamiętać, że najdawniej od Rzeczypospolitej oderwani, rządzeni byliśmy od roku 1773 systemem stale i niezmiennie zawziętym na wszystko co było polskiem; że kiedy Księstwo Warszawskie i Królestwo Kongresowe dawało innym względną przynajmniej swobodę narodowego życia, my rodziliśmy się,

chowali, żyli i umierali pod skrzydłami najzawistniejszej z policyi; że kiedy w Królestwie do ostatnich czasów uczono się po polsku, my na odwrót od lat kilku dopiero przestajemy pomału uczyć się wyłącznie po niemiecku, i że w roku 1846 przebyliśmy katastrofę, jakiej dzięki Bogu żaden inny kraj polski nie doświadczył. Jeżeli więc jesteśmy słabsi i gorsi i głupsi od innych, to nie zupełnie nasza w tem wina. Autor *Rachunków* uwzględnia wprawdzie te okoliczności łagodzące; ale tego nam nie liczy, że od lat dwudziestu zmieniła się nietylko powierzchowność, ale i samo wewnętrzne usposobienie kraju, a nieraz jest względem nas niesprawiedliwym, bo pociąga nas do odpowiedzialności za rzeczy którym nie my jesteśmy winni. Z wielką naprzykład goryczą wspomina kilkakrotnie o trudności, z jaką emigranci w Galicyi osiedlać się mogą. Jak żeby trudności te stawiała Galicya? jak żeby ona wydawała przepisy o nabywaniu austryackiego obywatelstwa lub przepisy policyjne o cudzoziemcach! nie trzeba przecież zapominać, że Galicya choć jej się dziś lepiej dzieje jak dawniej, nie jest państwem niepodległem i że nie wszystko od niej zależy. Być może, że nieufność do emigracyi jest u nas przesadzona; ale mniej w tem winy naszej, jak znacznej liczby takich, którzy charakteru emigrantów nadużywali, i tych znowu, którzy jak „nieszkodliwe“ (str. 12, tom II) *Ognisko*, utrzymują, że należy propagować powstanie w Galicyi. Że wszystkim potrzebom emigracyi podołać nie możemy, to pewna; że im nie dosyć zaradzamy, to być może. Ale żebyśmy byli dla emigrantów tak twardzi i nieludzcy, na to niech odpowiedzą ci z pomiędzy nich, którzy w Galicyi żyją. Co się zaś tyczy wewnętrznego postępu naszego kraju, nie chcielibyśmy pochlebiać sobie, jednak bez samochwalstwa możemy powiedzieć, że od lat dwudziestu jest pewien postęp, którego dowodzi choćby to, że liczy się dziś z nami Państwo w którem żyjemy. Jest postęp i w naszych gospodarstwach; ruch handlowy i przemysłowy, choć nie wielki, jest przecież większy;

nasze szkoły (choć prawda jeszcze za mało odwiedzane) nie mogą pomieścić cisnącej się do nich młodzieży i potrzebują klas podwójnych, a na wsi w każdym prawie kościele większa połowa ludzi modli się dziś z książki. Być może, że za wiele „tupiemy nogami i wołamy: naprzód“, ale żebyśmy się z miejsca wcale nie byli ruszyli, to jeszcze stanowczo dowiedzionem nie jest. Lwów naprzykład ma to nieszczęście, że się Bolesławicie szczególnie nie podoba. Nie pozwalamy sobie wpływać na gust i sympatyę szanownego autora *Rachunków*, ale musimy mu powiedzieć, że miasto, które pod względem polskiego ducha w niezbyt od nas oddalonej epoce upadło, było bardzo nizko, które, jak samo przyznaje, weszło było na drogę wynarodowienia, a pomimo to umiało nietylko na drodze tej zawrócić, ale iść coraz śmielej i coraz liczniej w kierunku przeciwnym, nie jest tak bardzo „śmiesznym dorobkowiczem“, jak się to komuś wydawać może, i że właśnie dorobkiem swoim zasługuje na szacunek. Że Galicya postęp zrobiła, tego dowodzi choćby samo jej główne miasto; a dowodzi bardzo widocznie dla każdego, kto galicyjskie stosunki zna z innych jeszcze źródeł prócz *Kalendarza Wilda* i *Rachunków z roku 1866* (którymto źródłom nic ujmować nie chcemy), i kto postępy jej mierzy hojniejszą nieco miarą czasu jak przeciąg jednego roku.

Wogóle we wszystkiem co autor mówi o Galicyi znać wyraźne przeciw niej uprzedzenie, połączone z ciągłą pamięcią o tem, że pisze się z wielkiej miłości, i że miłość powinna karcić (skoro kto piastuje urząd kapłana i spowiednika) ale że zarazem winna tłomaczyć, uniewinniać, przebaczać; najczęściej też odzywają się te dwie struny razem i łączą się w akord „przebaczenia anielskiej pogardy“, która ma tę wyższość ogromną nad wszystkiemi znanemi rodzajami pogardy, że pozwala i względem bliźniego być dumnym, i we własnych oczach pozostać wybraną anielską istotą. Jak dalece autor uprzedzonym był przeciw Galicyi, dowodzi najlepiej to, że ta sama rzecz, która gdzieindziej wydawała mu

się dobrą, chwalebną lub pożyteczną, w Galicyi zasługuje na przekąs i naganę. I tak naprzykład znajdujemy na stronie 481 tomu I-go, wzmiankę o jakimś obchodowym obiedzie w Chełmży w Prusiech Zachodnich, wzmiankę wcale pochlebną. Na stronie 504 opisany jest obiad dany we Lwowie przez posłów dla Marszałka sejmowego po skończonej sześcioletniej kadencyi, a opis kończy się słowami: „nie potrzebujemy dodawać, że posłowie niezależni usunęli się od tej uczty“. Co było tak niegodnego w tej „uczcie“? domyśleć się nie możemy, i wogóle nie jest nam jasną reguła, podług której autor sądzi nasze galicyjskie zdrożności. Obiad dla Marszałka daje mu powód do przekąsów i krytyki; — kilkoma miesiącami później w tym samym Lwowie odbyła się podobna „uczta“ dla podróżującego po Galicyi pana J. I. Kraszewskiego. Na tę ucztę jednak nie oburza się Bolesławita. Dlaczego? jaka tu różnica? czy są pewni ludzie lub pewne kategorye ludzi, którym można dawać obiady bez sprzeniewierzenia się sprawie narodowej, kiedy obiad dany dla innych znowu ludzi obraża polskie sumienie niezależnego patryoty? Subtelności te przechodzą nasze pojęcie, a wytłomaczenie ich pozostawić musimy domyślniejszemu od nas czytelnikowi.

Wogóle czytając *Rachunki* musieliśmy zadawać sobie pytanie czy jest w tym nieszczęśliwym kraju choć coś dobrego. Jego usposobienie najgorsze, jego postępowanie bezrozumne i niedołężne, wszystkie warstwy społeczeństwa zarażone moralnem choróbskiem („Bolesławity to słówko, nie moje“), tak że w końcu wątpić przychodzi, czy ten kraj wart istnieć na świecie, czy nie lepiej, żeby go już jacy inni ludzie posiedli i wyrobili na pożyteczny, produkcyjny kawałek ziemi. Szukaliśmy usilnie choćby jednego drobnego słowa pociechy, nadziei... naprożno; na każdej karcie ten sam obraz rozpaczliwy, ta sama *abominatio desolationis*. Mówi wprawdzie autor, że jest na to ratunek „w kilku ludziach, którzy się naprzód rzucą ze sztandarem pracy i ofiary“—

ale tych ludzi niema. Są wprawdzie tacy, których zasługi autor uznaje, mianowicie pan hr. Leszek Borkowski, pan Lipczyński niegdyś poseł, pan Miłaszewski dyrektor teatru we Lwowie, pan Henryk Szmitt wreszcie, autor wiadomych prac historycznych (dziwna mozajka zasług najrozmaitszego gatunku i stopnia!). Ale czterech sprawiedliwych na pięć milionów ludności, to stanowczo za mało. Sodoma była mniejsza od Galicyi, a żądano od niej dziesięciu sprawiedliwych, ostateczną zaś koncesyą spuszczono krakowskim targiem na pięciu. Od nas w tej samej proporcyi żądanoby oczywiście cyfry wyższej, a my z największem wysileniem nawet pięciu sprawiedliwych wykazać nie możemy, i jeżeli nas dotąd los Sodomy nie spotkał, to dlatego zapewne, że i w niebie traktują nas z przebaczenia anielską pogardą; ale raz miara przebrać się musi, i możemy przygotowywać się zawczasu na deszcz siarczysty i temu podobne nieprzyjemności.

Rzecz prosta, że sprawy publiczne takiego kraju iść muszą jak najgorzej. W *Rachunkach* zajmuje też najwięcej miejsca polityka galicyjska, a mianowicie uchwała z 2-go Marca i postępowanie delegacyi w Radzie Państwa, a wyrok tu jak wszędzie wypada na niekorzyść obwinionego. W dyskusyę z autorem tem mniej wdawać się możemy, że musielibyśmy wystąpić poniekąd jako sędzia w własnej sprawie. Jakkolwiek więc nie dostrzegliśmy w *Rachunkach* tego co delegacya uczynić była powinna w tej lub owej chwili tej parlamentarnej kampanii, jakkolwiek nie możemy dojść czy jej autor zarzuca to, że do Rady Państwa przyszła, czy to że z niej nie wyszła, lub też po prostu to, że wysłaną tam została, i jakkolwiek dziwno nam trochę, że kiedy sejm galicyjski niemałe dostaje nagany za wysłanie delegacyi, to Czesi dostają jeszcze większe może za swoją opozycyę bezwzględną (str. 595 i następne) — przecież nie pozwalamy sobie sądów autora w tej mierze roztrząsać. Na to tylko zwrócimy jego uwagę, że sąd jego byłby niechybnie więcej przekonywał i większe robił wrażenie, gdyby wyrok wy-

pływał z dokładnego zbadania uczynku i niewątpliwej jego ewidencyi. Tu zaś śledztwo prowadzone było pobieżnie, rzeklibyśmy nieledwie powierzchownie, a niejeden z obwinionych gdyby zakładał rekurs przeciw wyrokowi, mógłby go poprzeć wcale nie złemi argumentami. I tak naprzykład czytamy na str. 519, że pan Ziemiałkowski „wybrany do Rady Państwa (w roku 1861) spełnił na tem stanowisku pokładane w nim nadzieje, ale nie okazywał się już tak stanowczym, tak opozycyjnym“ jak dawniej. Pan Ziemiałkowski mógłby na to powiedzieć:

qu'il n'a mérité
ni cet excès d'honneur, ni cette indignité,

że nie należy mu się ani ten przytyk ani ta pochwała, mógłby dowodzić swojego alibi, a choćby mu autor sto razy powtórzył, że w *Rachunkach all is true*, on przecież upierać się gotów, że za pierwszej sesyi nie był w Radzie Państwa. Jak się chce mówić o życiu i sądzić je, należałoby przecież poznać je i wystrzegać się niedokładności, które mają choćby tę tylko złą stronę, że kompromitują powagę wypisanego na książce godła *all is true*.

Wogóle autor zajęty spowiadaniem narodu i ściąganiem do konfesyonału swego Polaków z pięciu części świata, nie miał znać czasu rozpatrzeć się w istotnym stanie rzeczy w Galicyi i w Wiedniu. Na sposobności i na źródłach nie zbywało mu, bo są przecież i gazety i stenograficzne sprawozdania z posiedzeń Sejmu i Rady Państwa; ale tych jak się zdaje autor wertować nie miał czasu, a ludzi i stosunki sądził widocznie własnym tylko instynktem i intuicyą, skoro Galicya wydaje mu się podzieloną na trzy starostwa: krakowskie, lwowskie i stanisławowskie! (str. 512), skoro mówi rzeczy takie, jak naprzykład „że hr. Belcredi był otwarcie za federacyą“ (str. 529), że „mającą się zebrać konstytuantę nazwano w nowym patencie szczuplejszą Radą Państwa“ (ibidem), że „w sejmie rodziła się wątpliwość czy delegacyę

do Wiednia wybierać miano z kuryi lub z ogółu sejmowej Izby". Najpowierzchowniejsza znajomość stosunków i praw kraju, o którym autorowi pisać się podobało, byłaby mu objaśniła, że hr. Belcredi dlatego właśnie upadł, iż „otwarcie za federacyą nie był", ale chwiał się i wbrew lepszemu przekonaniu federalistą być nie śmiał: że „Rada Państwa szczuplejsza" należy do zabytków przeszłości, i że sejm nie mógł się namyślać nad sposobem wyboru delegacyi, bo sposób ten opisuje i nakłada mu statut krajowy wyraźnie i kategorycznie. Ale cóż myśleć o autorze, który przedstawiając historyczny przebieg jakiejś sprawy, nie raczy nawet zadać sobie tej pracy, żeby się przekonać czy też to rzeczywiście tak było jak on pisze? Jak polegać na jego sądzie? jak wierzyć w jego *all is true?* Bez tego godła, widząc w książce tyle niedokładności i grubych pomyłek, możnaby autora oskarżać, że sobie z publiczności żartował: godło to atoli oczyszcza go z tego zarzutu, i każe tylko przypuszczać, że autor chciał poprostu publiczność zabawić.

Ten sam sąd instynktowy i intuicyjny spotykamy w opisie czynności delegacyi w Wiedniu, a i tu niezawsze intuicya zgodziła się na jedno z historyczną prawdą I tak naprzykład prawo o wyborze delegacyj wspólnych, wydaje się intuicyi paragrafem (str. 588). Od czego? nie wiemy. Historya twierdzi, że jest ono osobną ustawą; ale historya musi się mylić, bo jak wiadomo, w *Rachunkach* wszystko jest prawdą. Historya uczy, że sekretarze Izby wiedeńskiej zmieniają się regularnie co cztery tygodnie, i że wybór ich jest czynnością podrzędną i nieznaczącą. Intuicya znać pojmuje to inaczej, skoro (na stronie 588) zapisuje skrzętnie, że „do liczby sekretarzy należał doktor Wyrobek". Intuicyi „nie jest to dostatecznie jasnem, dlaczego Polacy głosowali przeciwko autonomii z większością" — historya powiedziałaby jej na to, że tak nie głosowali nigdy, a najmniej przy rewizyi konstytucyi. Jeżeli zaś po upadku swoich wniosków głosowali za najwięcej do nich zbliżoną redakcyą tego lub owego poje-

dyńczego paragrafu, tedy wyjaśnia się to dostatecznie samym rozsądkiem i praktyką wszystkich stronnictw we wszystkich na świecie parlamentach. Można głosować przeciw prawu, a pomimo to bez grzechu starać się, aby ono było najmniej złem, jak w danych okolicznościach być może.

Trzebaż jeszcze więcej przykładów tej niedbałości, z jaką pisane są *Rachunki*, a w nich szczegółowo historya Galicyi? trzebaż dowodzić, że „jak się spowiada swego czasu niedolę i błędy“, to trzebaby znać i swego czasu wypadki? trzebaż mówić, że pisarz, który podaje wiadomości niesprawdzone, lekceważy publiczność i siebie? trzebaż wreszcie dodawać, że kto stanu rzeczy należycie nie poznał, ten go sądzić nie ma prawa? Nie — pozostawiamy wnioski czytelnikowi, a autorowi na jedno tylko jeszcze odpowiedzieć musimy. Wspominając o mowie hr. Leszka Borkowskiego przy dyskusyi adresowej z d. 1-go marca 1867, mówi autor, że Galicya „z tytułu patentu rewindykacyjnego *de jure* mogła się upomnieć o przyłączenie do Węgier, i dzielić ich losy, na czemby pewnie zyskała“ — twierdzi, że „kombinacya ta jest nader praktyczną“ — że „prawa korony św. Szczepana do Galicyi są fikcyą, ale ta fikcya mogła się stać opatrznościową skazówką“ — i zapytuje, czemuśmy się nie starali o połączenie z Węgrami. Otóż na to odpowiedź jest, że Galicya choć sparaliżowana „gnije w ciemnym kącie smrodliwej turmy“, choć „ojczyzna jest dla niej mrzonką“, a „niechęć do dawnej Polski“ należy do jej właściwości, choć godność swoję poniewiera a narodowej czuć nie umie, tak nizko jeszcze nie upadła, żeby się odwoływać miała do rewindykacyjnych patentów i z nich sobie prawa i przyszłość wysnuwać, a jakakolwiek jest, to jedno wie, że jej się z nikim dobrowolnie łączyć nie godzi. Poddać się może przyłączeniu, ale się o nie starać nie może ani będzie, choćby na niem najwięcej „zyskać“ miała. I tak zawsze odpowie stróżom polskiej tradycyi, kapłanóm i apostołom polskiej idei, ilekroć ją zapytają, dlaczego się z jakim obcym narodem nie łączy, dlaczego swego

prawa publicznego nie stara się oprzeć na traktacie podziałowym!

Tom drugi poświęcony jest przeważnie literaturze. Otwiera go rozdział o emigracyi, w którym opowiedziana jest ze wszystkiemi szczegółami śmierć Kazimierza Puławskiego (dlaczego właśnie w Rachunkach z r. 1867?), a kończy rozdział, który pod tytułem „Mogiły“ podaje wiadomość o wielu rodakach naszych zmarłych w ciągu tego roku. Cały zaś środek tomu zajmuje literatura i sztuka.

Dziennikarstwo ma naturalnie rubrykę osobną; a w tej rubryce, jak to z natury rzeczy wynika, najwięcej miejsca zajmują dzienniki galicyjskie, jako te którym najwięcej wolno, i od których tem samem najwięcej można wymagać. Dzienniki te nie odpowiadają zdaniem autora ani potrzebie kraju, ani swojemu powołaniu. Sąd ten nie może nikogo gniewać ani dziwić; niema dziennika, choćby był i najlepszym, któremuby nic zarzucić się nie dało; rzecz więc najprostsza w świecie, że autor ma zarzuty do zrobienia naszym dziennikom. Ale czemu mimowolnie dziwić się musimy, to że zarzutów tych autor zaniedbał specyficznie wyszczególnić, a wolał poprzestać na charakterystyce ogólnej, z której dziennik mimo najlepszej woli skorzystać nie zdoła. Nie ściągamy tego do naszego pisma: przeciwnie, to co jemu autor zarzuca, jest jasne i zrozumiałe, a przeto może nam wyjść na pożytek i korzyść; ale innym pismom peryodycznym w naszym kraju skąpił autor uwag równie wyraźnych, poprzestając na zbyt zaiste ogólnikowych. Dajmy na to, że redakcya *Gazety Narodowej* naprzykład w najlepszej wierze chce się dowiedzieć z *Rachunków* w czem błądzi lub czego jej niedostaje. Czegóż się dowie? oto znajdzie tam porównanie *Gazety* do „starej, brudnej i hałaśliwej kucharki, przybranej w czepek ze wstążkami“ (str. 145, tom II). Pytam się, czego redakcya nauczy się z takiego sądu, z czego po nim poprawić się zdoła? Może to dowcip, ale z pewnością nie sąd, nie krytyka. A *Czas* co z tego skorzysta, że się ujrzy w postaci „starej dewotki,

ostrej, wysznurowanej, z suknią pod szyję i suchotniczym kaszlem?“ W czem go krytyka taka oświeci i przekona. Jeżeli autor chciał podsunąć jakiemu humoryście pomysł do karykatury, w takim razie nie mamy nic do powiedzenia, sądzimy że karykatura *Gazety Narodowej* w postaci starej kucharki, a *Czasu* w postaci dewotki rozśmieszyłaby publiczność i obydwie te redakcye. Ale na pożytek żadnej z nich koncept ten nie wyjdzie. *Czas* dowiaduje się wprawdzie że jest nudny. Nieszczęściem zarzut to najtrudniejszy do uzasadnienia dla oskarżyciela, a dla oskarżonego do uwierzenia, bo wypływający z czysto osobistego wrażenia. Jeden znajdzie *Czas* nudnym, drugiego może on bawić; któremuż z dwóch zawierzyć, którego ma posłuchać redakcya? W niepewności zostawi rzeczy jak są, mówiąc sobie, że nie ma powodu o dzienniku swoim rozpaczać, skoro sam autor *Rachunków* przyznaje, że dziennik ten jest „najuczciwszy na świecie“. I zaiste jeżeli autor przymiotnik ten tak pojmował jak my go pojmujemy, to oddał *Czasowi* najchlubniejsze świadectwo, jakiego tylko dziennik żądać może. Dziennik uczciwy bowiem znaczy to taki dziennik, który ma przekonanie, trzyma się go wiernie, i wszystko co mówi, mówi z przekonania i w dobrej wierze. Nie wiemy czy autor zamierzał *Czas* chwalić, ale na miejscu redakcyi tego pisma wzięlibyśmy ten sąd za największą pochwałę.

„Najlepszem pismem peryodycznem“ w Galicyi jest zdaniem autora „nieszczęśliwy a dowcipny Chochlik“. Szkoda tylko, że „ten kraj, który odwykł od powietrza i skórę ma wydelikaconą“ nie zna się na żartach, i konceptów Chochlika znosić nie umie. Godzimy się zupełnie z autorem na to, że dziennik humorystyczny może być doskonałym sposobem działania na opinię publiczną orężem śmieszności; ale zdaje nam się że dziennik taki, jeżeli zdanie swoje pojmuje poważnie, właśnie dlatego że mu wiele wolno, nie wszytkiego sobie pozwalać powinien, i że z bardzo ostrożnym taktem przestrzegać winien tej granicy, która dzieli satyrę polityczną

od paszkwilu. Takt ten Chochlik nie zawsze umiał zachować, a jeżeli autor się dziwi, że niektóre pomysły owego pisma nie podobały się „tym przyzwoitym ludziom“, to niechże nam znowu wolno będzie dziwić się tej pobłażliwości naszego spowiednika dla wybryków, które „z kapłańskiego swego obowiązku“ (jeżeli już o nich chciał pisać) skarcić był powinien. Dziwi nas też trochę i ten epitet „przyzwoitych“ dany nam w ironicznem znaczeniu. Czy autor chce żebyśmy byli „nieprzyzwoici?“ Z pokorą wyznajemy że na tej wysokości jeszcze nie stoimy, i prosimy o pozwolenie żeby nam, martwym i zacofanym wolno było jeszcze przyzwoitymi ludźmi pozostać. Co zaś na szczególną zasługuje wdzięczność, i miłosierdzie autora w najpiękniejszem ukazuje świetle, to że wedle możności swojej naprawia co zepsuła Prokuratorya, i skonfiskowane pomysły Chochlika opowiada i powtarza. Szkoda więc jaką nam konfiskata owa wyrządziła jest dzięki autorowi *Rachunków*, wynagrodzoną, i to z procentem. Chochlik bowiem puszczając w świat swoje koncepta, zaniedbywał wskazać do kogo się one odnoszą; *Rachunki* zapełniają tę lukę i powtarzając koncepta owe objaśniają je należycie nazwiskami osób, do których się odnosiły [1]). Komentarz taki może się niejednemu wydać zbytecznym, a „przyzwoitym i do wolności wcale nie przyzwyczajonym“ zgoła oburzającym; ale na to odpowiedzieć musimy, że obowiązek spowiednika ma swoje prawa, a kto go żywo czuje, ten sobie tego nawet pozwolić może, co uchodziłoby za paszkwil, gdyby wyszło od jednego ze zwykłych grzeszników.

Mówiąc o literaturze jako takiej wykrywa autor bardzo trafnie przyczyny jej dzisiejszego upadku, „W chwili odrodzenia literatury narodowej (str. 202 tom II), tak mocno uczuto potrzebę odrodzenia w duchu polskim, iż w końcu

[1]) *Szczutek* był skonfiskowany za karykaturę osoby żyjącej, kobiety, w postawie nieprzyzwoitej: ale nazwiska tej osoby pod karykaturą nie wypisał. *Rachunki* podają to nazwisko. *(Przyp. autora 1894).*

zdało się wszystkim, że dosyć jest kochać kraj... aby stać się jego wieszczem, dziejopisem, przedstawicielem duchowym... Pod tem wrażeniem wychowujące się pokolenie młode, zawcześnie rzucało księgi pod ławę, i niedouczywszy się... śpiewało, pisało, nauczało, jeszcze nie porosłszy w pierze... Do przyczyn zaś upadku zaliczyć należy płynący z tego samego źródła brak krytyki, bo to co się u nas nią zowie, wcale na jej imie nie zasługuje“.

Odniesienie to braku krytyki do patryotyzmu zrozumianego źle i po dziecinnemu, wydaje nam się wielką prawdą i istotnym pożytecznym nabytkiem. Rzeczywiście, wychowani pod wpływem epoki Mickiewiczowskiej, przesiąkliśmy na wskróś tem wyobrażeniem, że literatura nasza powinna być patryotyczną. W owej epoce, reprezentowana przez wielkich ludzi odpowiadała ona zarówno naszym uczuciom polskim jak i ogólnym warunkom sztuki; umiała ona być i polską i piękną. Później atoli przyszli inni ludzie, nowi pisarze, a my przyzwyczajeni żądać od książki przedewszystkiem polskiej myśli, mniej zważaliśmy na to, czy oprócz tej polskiej myśli, ma książka jaką wartość jako książka. Co było patryotycznem było dobrem, było miłem; krytyka nie śmiała odezwać się przeciw temu, zdawało jej się, że ganiąc stanie po stronie policyi, i ze występując przeciw książce złej, ale polskiej, prześladować będzie polskość samą. Tym sposobem patryotyzm stał się paszportem. pod którym każda książka bezpiecznie mogła podróżować; najlichszy utwór, byle się skrył pod tę flagę, pewnym był, że się szczęśliwie przemyci i że celnik literaki, krytyk, patrzeć nań będzie przez szpary. Tłomaczy się to łatwo: publiczność i krytyka szanowały uczucie polskie pod najnieudatniejszą formą, tak jak w najpotworniejszym świętym obrazku szanujemy przedmiot, który on ma wyobrażać. Ale po kilkunastu latach takiego pobłażania, doszliśmy do tego, że ani pisarze pisać ani krytycy krytykować nie umieją; jedni potrącają z większem upodobaniem niż zręcznością w uprzywilejowaną strunę patryoty-

czną, drudzy, od sądzenia odwykli, nie wiedzą czasem czego od pisarza żądać i podług czego sądzić go mają.

Blizko z powyższym spokrewniony jest inny jeszcze powód upadku literatury i krytyki. Literatura była przez czas tak długi jedynem polem, na którem wolno nam było być Polakami, jedynym działem życia, w którym mogliśmy zdążać za drugimi, że naturalnym porządkiem zapragnęliśmy na tem polu mieć wszystko co mają inne narody. Uczucie było naturalne i dobre; tylko na to niezważaliśmy dostatecznie, że jednym podskokiem nie wzniesie się nasza literatura na ten szczebel, na którym stoi angielska, niemiecka, lub francuska, i zamiast zadanie spełniać, ogłaszaliśmy je za spełnione. Jest to droga łatwiejsza i krótsza, ale do celu podobno nie wiedzie. Ztąd też, jeżeli się nie mylimy, poszło, że każdy produkt na niwie literackiej zrodzony, zamiast być sumiennie ocenionym a w potrzebie surowo osądzonym, lekko przechodził examin, i nie raz, wbrew lepszemu przekonaniu, uznawany był za dobry, choć nim nie był. Publiczność i krytyka, jak żeby wdzięczne za to że był, nie pytały, jaki był, postępowały jak nieoświecony bogacz, który powiedziawszy sobie że musi mieć galeryę obrazów, zbiera ją bez braku i sądu. Ktokolwiek spróbował pisać, pewien był, że jego pisarstwo zostanie uznanem, że znajdzie w najgorszym razie zachętę, w najlepszym sławę. Chcąc koniecznie mieć wszystko; poezyę, umiejętność, powieść, dramat, komedyę, przyjmowaliśmy wszystko co nam dawano: chwaliliśmy wszystko, nie raz wmawialiśmy w siebie, że nam się to podoba, unosiliśmy się na zimno. Fenomen ten powtarzał się nietylko w literaturze ale i we wszystkich gałęziach sztuki, i doszliśmy w końcu do tego, że znosiliśmy a po części znosimy jeszcze znakomitości, które nigdy znakomitościami nie były, talenta, które szczęśliwy posiadacz bez grzechu mógł zakopać. Jak towarzystwa wzajemnej assekuracyi, tak powstawać u nas zaczęły towarzystwa wzajemnej admiracyi. Młodzi admirowali starszych, starsi protegowali młodych, i każdemu bez braku i wyboru

przyznawali zdolność, hojnie sypali zachętę. Student, który się przed niemi wykazał wierszykiem lub rozprawką, pasowany na młodego pisarza pełnego nadziei; jeżeli przez lat parę terminował, jeżeli zdobył się na tomik, a zwłaszcza jeżeli się dobrze zachowywał i admirował wszystko co było do admirowania podane, wychodził z czasem na „naszego“ N. N. A wtedy zginął. Człowiek, do którego nazwiska jakakolwiek gazeta raz dodała ten fatalny przydomek „nasz“ stawał się świętym i nietykalnym, szedł do Prytaneum, do Walhalli, zajmował miejsce pomiędzy świętościami narodowego Panteonu, i stawał się powagą, względem której krytyka była zuchwałością, nagana bluźnierstwem. I tak krytyka zbałamucona źle zrozumianą pobłażliwością dla wszystkiego co polskie dlatego że polskie, zakrzyczana i onieśmielona wzajemną admiracyą, której sama w wielkiej części winną się stała, umilkła w końcu prawie zupełnie. Autor *Rachunków* przypisuje upadek literatury także i obojętności czytających. Słusznie: ale nie można zapominać, że w czasach kiedy jej dobre rzeczy do czytania dawano, publiczność ta czytała namiętnie, dysputowała fanatycznie, że predylekcya do klasycyzmu i romantyzmu dzieliła najzgodniejsze rodziny na nieprzyjacielskie obozy. Publiczność jest obojętna dla literatury, to prawda, i zupełnie uniewinnić jej nie można; ale do piszących należy otrząść ją z tego odrętwienia, to jest tak pisać, żeby nikt nie mógł czytać obojętnie, a tem mniej nie czytać wcale. Krytycy zaś powinni ze swej strony przyczynić się do tego; a mogą to uczynić krytykując sumiennie wszystko co wychodzi, nie pobłażając pierwszej lepszej próbie pióra, wyznając i rozszerzając tę zasadę, że umieć pisać nie znaczy umieć stawiać litery, i że nie każdy może być pisarzem, kto posiadł tę ostatnią sztukę: a wreszcie, dla własnego pożytku, studyując pilnie znakomitych krytyków zagranicznych.

Ale zgadzając się zupełnie i chętnie na ogólne uwagi autora o literaturze i krytyce, protestować znowu musimy

przeciw poszczególnym jego sądom. Już to nas dziwi, że autor z takiem uznaniem wyraża się o historyi literatury pana Rycharskiego, którego uporczywie nazywa Rychtarskim. Z pomyłki tej wnosićby można, że autor jeżeli zgłębił dzieło, to karcie tytulowej zbyt wielkiej uwagi nie poświęcił. Dziwniejszem jest ten hołd jaki on składa broszurom pana Bolesława Świerszcza, któremu przyznaje wielką zręczność, znakomity talent, subtelność wywodów (str. 223 t. II). Czytaliśmy owe broszury, i albo nie zrozumieliśmy ich wcale, albo nawet na to one nie zasługują żeby je uważać za „paradoxa i mrzonki“. W jednej z tych broszur, dedykowanych p. Bismarkowi przez „obowiązanego“ B. Świerszcza, „subtelny wywód“ prowadzi do tej konkluzyi, że wszystko co się w Europie działo i dzieje od wstąpienia na tron Napoleona III, zmierza do zwalczenia i upokorzenia Rosyi i do rekonstytucyi Polski. A dzieje się to nie przez moc wypadków, ale z planu, z rachuby, na którą się wszystkie rządy w Europie zgodziły. Po prostu ogromna konspiracya przeciw Rosyi, a prowadzona tak mądrze i konsekwentnie, że głupia Rosya sądzi się u celu życzeń, kiedy stoi nieledwie u kresu życia. Wojna wschodnia i pokój paryzki, to tylko zręczna gra; kampania dyplomatyczna w r. 1863 to lep, na który Rosya poszła jak płochy ptak; słowem wszystko co Napoleon III zrobił, do tego tylko zmierza celu, a naiwny Bismark jest jego bezwiednem i posłusznem narzędziem. Ba nawet Austrya sama, grająca jedną z głównych ról w tej intrydze, chytrze dała się pobić pod Sadową, na to tylko żeby Rosya w wszechmocność swoję uwierzyła, i żeby w zaślepieniu swojem zaczepiła Europę i sama wpadła w przygotowaną zdawna zasadzkę. Tak zrozumieliśmy treść owej broszury, a pochwały, jakie jej oddaje autor *Rachunków*, są nam tak niepojęte, że przypuściścić musimy, iżeśmy zgoła „tych subtelnych wywodów“ chyba wcale nie zrozumieli.

Żalujemy, że to co autor mówi o historyi, nie dozwala nam tej samej wymówki. Tu już wszystko jasne, nie zrozu-

mieć nie można. Mówiąc o licznych studyach nad historyą naszą XVIII wieku, twierdzi autor „że pierwszym skutkiem ogłoszenia różnorodnych aktów tego procesu, jest to... że co dotąd dla narodu było najświętszem, występuje w barwach cale odmiennych. Rehabilitacya Stanisława Augusta, do pewnego stopnia nawet Targowicy, i potępienie Barskiej konfederacyi, lekceważenie tych... co szli na śmierć za kraj nierozważnie... oto symptom nowy i ciekawy. — Pan J. Szujski, pan K. Jarochowski, z pogardą niemal patrzą na tych co nie widzą w Stanisławie Auguście niewinnej ofiary, a w bohaterach Baru bezrozumnych szaleńców, którzy rozbiór kraju sprowadzili. Apologia Targowicy jest już na widnokręgu... przybywa... ukaże się...“ (str. 239 t. II.

Nie znamy nic bardziej upokarzającego, ale zarazem nic bardziej nauczającego, nic zbawienniejszego, nad badanie historyi naszej ostatniego wieku. Jeżeli co może przez wstyd i żal dać nam wyższe pojęcie obowiązku względem Ojczyzny, — jeżeli co może przemówić nam do rozumu i nauczyć nas jakiemi przywarami dochodzi się do utraty bytu, tedy lekcyą taką są dzieje ostatnich przedrozbiorowych panowań. Mamy też to za symptom nowy, ale pocieszający bardzo, że ludzie zdolni zwrócili się ku tej epoce; że zamiast dociekać początków naszego bytu lub rozkoszować się wyobraźnią w pięknych czasach jego świetności i blasku, pojęli ten twardy obowiązek, i przemogli wstręt, żal, odrazę, wstyd, żeby uczyć siebie i drugich tych dziejów sromotnych a pełnych nauki i przystósowania. W tych bowiem dziejach wskazuje historyczna prawda, że tam gdzie najwięcej było bohaterstwa, poświęcenia, miłości ojczyzny, była obok tego lekkomyślność, nieświadomość, niesforność, która sprawiła, że te wielkie cnoty nie wydały owocu; wskazuje dalej ta historyczna prawda, że tam nawet gdzie pojęcie narodowego interesu było najtrafniejsze, tam wykonanie było niedołężne i bezskuteczne: wreszcie uczy ona, że dobry zamiar, że myśl mądra i uczucie uczciwe zjawia się tu i owdzie obok wiel-

kich słabości, nawet nikczemności. Te nauki, te prawdy, zaiste nie do pogardzenia dla nas; a gdybyśmy je rozumieć chcieli, moglibyśmy nieledwie codzień korzystać z nich w dzisiejszych naszych czynnościach. Zdawało się więc, że wyświecenie prawdy, całej prawdy o przedrozbiorowej epoce jest interesem nie już umiejętności, ale samej naszej poprawy.

Tymczasem przychodzi autor *Rachunków*, oby nie jeden w imieniu wielu, i w sentymentalnem rozmarzeniu woła na historyę, żeby schowała swoją prawdę, bo ta prawda gorżka, bo psuje „poezyę dziejową"! a na tych, którzy ową prawdę mówią, narzeka, że lekceważą i potępiają co święte, a bronią tego co złe, że mu „strącają posągi, których straty nie nagrodzi ich przebiegły sąd o przeszłości".

Symptom to stary, ale mimo to zadziwiający, że prawdy znieść nie chcemy nawet od historyi, ale żądamy zawsze żeby schlebiała nasszym uprzedzeniom, predylekcyom, i niechęciom. Więc jeżeli Stanisław August miał dobry zamiar lub myśl zdrową, to tego przyznać się nie godzi, żeby „nie podnosić tego co skalane?" a jeżeli konfederacya barska obok żywej miłości ojczyzny, miała i wiele niezręczności w postępowaniu, to tego powiedzieć nie można, bo się popełnia świętokradztwo, „strąca się święte posągi?" Więc historya ma się stósować do naszej wyobraźni, a jeżeli się z tą nie zgadza, to ma milczeć? Więc historya jest romansem albo melodramą, i wolno jej odstępować od prawdy byle było piękniej? Na to wychodzi ów sąd naszego autora, i to jego narzekanie na historyków, w którem więcej znać jakiegoś roztkliwienia nad tem co mu się w historyi podoba, jak miłości dla historyi i dla prawdy samej, surowej, twardej, ale piękniejszej jak wszystkie fikcye i wszystkie posągi. Nie wielbić nam ślepo choćby najlepszych, ale wiedzieć że i najlepsi nawet nie byli bez winy: nie ślepo winnych potępiać, ale przekonać się, że i oni nie są bez wymówki: prawdy szukać w historyi nie illuzyi, nauki nie odurzenia.

A niech się autor nie boi o Kazimierza Puławskiego i Kościuszkę, niech ich raczy nie brać w obronę przed tymi, którzy pamięć ich, choć ją czczą w prawdzie, przecież czcić umieją. Czytaliśmy nieraz krytykę konfederacyi barskiej, krytykę czteroletniego sejmu, widzieliśmy nieraz ten lub ów krok zganiony: ale tego nie widzieliśmy nigdzie, żeby którykolwiek z historyków potępiał w nich to co było ich treścią, myśl niepodległości i jej obronę. Tego symptomu nie ma; jest tylko szlachetne, sumienne, chwalebne dążenie do prawdy. Zarzut więc zrobiony historykom, jeżeli odnosi się do ogółu, jest niesłuszny, ale złośliwy. Zapewne „dziejowa poezya“ zyskałaby“ na tem, gdyby się historyę snulo z fantazyi i gdybyśmy wieki minione zapełnili wzniosłemi ideałami i dramatycznymi tyranami lub zdrajcami, ale dziejowa prawda wyszłaby źle na tej poezyi, i gdyby historycy nasi trzymać się chcieli w pisaniu zasad autora *Rachunków*, to historya nasza mogłaby dojść do tego, że dawałaby nam obrazy Polski tak wierne, jak pewien obraz *Rzymu za Nerona*, i że upadek jej tłomaczyłaby „wiarą w poczciwość świata i ludzi, w prawość polityki, w boże i ludzkie rękojmie bytu, rozmarzeniem i zbytniem zaufaniem“ (str. 233, t. II).

Z przeproszeniem autora, wolimy wierzyć tej formułce „oklepańej, starczącej powierzchownie do powiązania dziejów całych, a w istocie niesięgającej głęboko“ (str. 273, t. II). którą pan Szujski upadek Polski tłomaczy, mianowicie że upadła ona „bezrządem i anarchią“. Jest ona oklepana i powtórzona za drugimi, ta formułka, i nie zaleca się tym poetycznym polotem, który nas zachwyca w formulce autora samego: ale należymy do tych, którzy sądzą, że ostatnim obowiązkiem historyka jest silić się na nowe wynalazki, i że wolno mu powtarzać za drugimi prawdy oklepane, byle prawdziwe. Gdybyśmy mieli czas i miejsce, gotowibyśmy wdać się w historyczną dysputę i dowodzić, że nie tem Polska upadła co w niej dobrem było, dobrą wiarą i uczciwością, ale tem co w niej było złem, bezrządem i anarchią. Nie

mogąc jednak odchodzić tak daleko od przedmiotu, tyle tylko powiedzieć musimy autorowi, że jeżeli oklepanem jest tłómaczenie upadku Polski przez bezrząd, to niemniej oklepanem jest i to, które mówi, że ta idealna Rzeczpospolita anielska ostać się nie mogła na tym padole płaczu, bo była dlań za wysoka i szlachetna. Exegeza to znana; tylko ci którzy historyą pojmują poważnie, którzy szukają w niej prawdy nie frazesu, ci w takie tłomaczenie (co prawda) uwierzyć nie chcieli.

A kiedyśmy już raz wymienili imię p. Szujskiego, niechże nam wolno będzie zatrzymać się cokolwiek nad tym obszernym ustępem, który mu autor *Rachunków* w książce swojej poświęca. Czynimy to nie bez pewnej obawy, bo wspólna z p. S. praca w *Przeglądzie Polskim*, a bardziej jeszcze przyjaźń datująca od pierwszych lat młodzieńczego wieku, mogłaby podać nas w podejrzenie, jakobyśmy broniąc jego, przemawiali poniekąd *pro domo sua*. Potrzebujemy więc wielkiej oględności i umiarkowania mając odpowiadać na zarzuty robione panu S. przez Bolesławitę, i dlatego ograniczymy się w tej obronie do rzeczy najkonieczniejszych. Co więcej, gotowiśmy nie bronić ani dzieł pana Szujskiego ani jego samego, i zapytamy tylko autora *Rachunków*, co to takiego zaszło przez przeciąg roku 1867, co pan Szujski w tym roku tak złego napisał lub zrobił, żeby wyrok, jaki o nim szanowny autor w ostatnich *Rachunkach* feruje, tak był z gruntu różnym od tego jakiśmy czytali w *Rachunkach* z roku 1866? O ile wiemy, wszystko to co dziś Bolesławita smaga tak niemiłosiernie w interesie narodu i w poczuciu własnej misyi, wszystko to było już napisane, wydrukowane i znane w roku 1866. Sąd o tych dziełach znajdujemy już w pierwszych *Rachunkach*, i to sąd przychylny bardzo. W drugich sąd ten wypada już stanowczo przeciw autorowi *Dziejów* i *Dramatów*. Dlaczego? Czy się zmieniło co w samych tych dziełach? Wiemy o znacznych zmianach i przerobieniach, którym uległy dramata p. Szujskiego w ostatniem wydaniu;

zmiany te wydawały nam się poprawkami, ale jeżeli nawet są zmianą na gorsze, to jeszcze same nie powinnyby wystarczyć na to, by ze „stanowiska pierwszorzędnego“, na którem stał pan Szujski w roku 1866, zepchnąć go do rzędu tych niepowołanych pisarzy, których „zbytnia zarozumiałość, pycha i rozmiłowanie w sobie“, młodzieńcza niewprawność“ obok „braku uczucia i serca“, „śmiesznością obrzuca i wątpić każe o ich siłach“.

Że zmiana taka zaszła w sądzie autora, dowiedziemy wyjątkami z jego *Rachunków*. Zacznijmy od *Dziejów Polski*. W roku 1867 dostaje pan Szujski naganę za to, że „obrał sobie prawdę przewodnią, oklepaną, punkt widzenia nie nowy, powierzchownie starczący do powiązania dziejów całych, a w istocie nie sięgający głęboko; prawdę, która nic nie uczy i jest łyżką po obiedzie, i pogląd który nie starczy na pojęcie starej Polski, w której łono nie śmiał czy nie mógł zajrzeć historyk“. A dalej spotyka się z zarzutem, że „chodzi mu przedewszystkiem, aby dowiódł, że jest człowiekiem porządnym, statecznym, umiarkowanym, a nie wybujałym szaleńcem i sentymentalistą, że chce być i jest chłodnym, rozważnym, panem siebie, że woli być szyderskim niż dać się unieść anarchicznej uczucia potędze“ (str. 274—275).

Nie lubimy spierać się o słowa, a jednak zapytać musimy autora, co ma znaczyć owo „chodzi mu przedewszystkiem, aby dowiódł że jest człowiekiem statecznym i umiarkowanym?“ Pisarz, historyk, któremu przedewszystkiem chodzi o to, aby się sam w tem lub owem świetle przedstawił, jest, może autorowi będzie nowem to co powiemy, jest pisarzem nieuczciwym, pisze w złej wierze. Czy tak autor swoje zdanie o panu Szujskim rozumiał? Jeżeli tak, to niech powie przed kim to w jakim celu ów historyk chce się wydać porządnym i umiarkowanym, — jeżeli nie, niech na przyszłość lepiej waży swoje słowa, żeby nie powiedział więcej niż chciał powiedzieć.

Ale cóż powiesz na to czytelniku, że ten sam człowiek, który w roku 1867 chce być i jest chłodnym, któremu „brak młodości, ciepła, zapału“, który „wieje chłodem jak żeby mu serce wyjęto“ (str. 163, t. II) — w roku 1866 „ożywiony był duchem tak gorącym“, że „takiego jak on człowieka potrzebowała Galicya“ i że jej go autor *Rachunków* winszował. Co powiesz na to, że te *Dzieje Polski*, które w r. 1867 „z oklepanego wychodząc punktu widzenia niczego nie uczą i przestając na tem co się na powierzchni da zachwycić, nie mogą czy nie śmią zajrzeć w łono starej Polski“ — te same *Dzieje* w roku 1866 dość było „wspomnieć, aby usprawiedliwić pierwszorzędne stanowisko Szujskiego“ (*Rach. z roku 1866* str. 251). Otóż, jeżeli *Dzieje* „powierzchownie tłomaczą historyę Polski, a w istocie głęboko nie sięgają, jeżeli nie starczą na pojęcie dawnej Polski“, a tłomacząc tylko „formę nie treść narodowego żywota“, rzeczywiście „nie uczą niczego“, to w takim razie żadną miarą „pierwszerzędnego stanowiska“ nie usprawiedliwiają, bo są książką lichą, jeżeli nie złą i przewrotną. Jeżeli zaś *Dzieje* usprawiedliwiają stanowisko nie już pierwszorzędne, jak to przyznawał przed rokiem autor *Rachunków*, ale poprostu stanowisko szanowne i poważne swojego autora, tedy nie mogą być takiemi jak je opisują *Rachunki z roku 1867. All is true* świeciło już nad pierwszym *Rachunkiem* — a jednak prawdy dzisiejsze sprzeciwiają się wprost prawdom przeszłorocznym, a co wówczas było dobrem i znakomitem, dziś wygląda inaczej. Któraż więc z tych prawd jest prawdą? przeszłoroczna, czy dzisiejsza? Które *Rachunki* wierne są swojemu godłu, a które pozwoliły sobie od niego odstąpić? Mamy prawo o to zapytać: bo skoro książka ta jest spowiedzią naszych błędów i niedoli, to wiedzieć przecież musimy, podług której spowiedzi sumienia nasze regulować mamy.

Nietylko zaś w sądzie o *Dziejach Polski*, ale we wszystkiem co autor mówi o panu Szujskim, panuje ta sama zgoda pomiędzy dawnemi a nowemi *Rachunkami*. I tak w roku

1867 „brak panu Szujskiemu ciepła i poczucia piękna“ (str. 283 t. II) — w r. 1866 „we wszystkiem co pisał czuć było ciepło, znać talent i artystyczne poczucie piękna“ *(Rach. z r. 1866* str. 251). Przypomnieć tu musimy, że oprócz Literatury Przedchrześciańskiego Świata, pan Szujski nic nowego w tym fatalnym dla siebie roku drukiem nie ogłosił. Jego *Twardowski* podobny dziś do „jezuickich dyalogów, rażący skłonnością do karykatury“ (str. 280, tom II), przed rokiem „pełen był świetnych ustępów i wielkich piękności“, obfitował „w miejsca prześliczne, a talent tryskał z każdego jego wiersza“ *(Rach. z. r. 1866* str. 233—234). I cóż tu jest prawdą? Oczywiście jedno i drugie! *all is true!* Bez żartu teraz, kiedyż autor mówił prawdę o panu Szujskim? dziś czy przed rokiem? Jeżeli dziś, to dlaczego go wtedy chwalił, a pochwałami swemi w błąd wprowadzał jego i publiczność? A jeżeli to jest prawdą co stało w *Rachunkach z r. 1866*, to dlaczego dziś mówi co innego? Jedno lub drugie musi być nieprawdą — a więc kiedyż autor powiedział nieprawdę, i dlaczego ją powiedział?

Jedno tylko zgodnie zarzucają panu Szujskiemu i te i tamte *Rachunki*, a tem jednem jest „nierówność i zaniedbanie stylu“. I pod tym względem nawet nie chcemy bronić oskarżonego, tylko oskarżycielowi powiemy, że pan Szujski jeżeli swój styl zaniedbuje, to składnię przynajmniej szanować się stara. Wie on naprzykład, że w polskim języku przeczenie rządzi drugim przypadkiem, i nie dopuścił się ani razu takiej konstrukcyi, jaką znajdujemy na str. 41 pierwszego tomu *Rachunków* „ten obrót nadany austryackiej polityce, nie policzylibyśmy do najszczęśliwszych“. Nie znaleźliśmy też w pismach pana Szujskiego ani „repertuaru“ ani „takiej ryzyki“, a na to już przysiądz możemy, że wyrazu „guwernamentalny“ przez całe swoje życie nie użył ani razu. U naszego zaś spowiednika i kapłana spotykamy nieraz i nie dwa ten piękny przymiotnik. Zła była i niedorzeczna moda pisania i mówienia po francusku, ale

z dwojga złego lepiej już chyba pisać zupełnie po francusku, jak kazić nasz piękny język wyrazami pożyczonemi z francuskiego bez żadnej potrzeby, a przekutemi na polskie tak niezgrabnie, że grzeszą nietylko przeciw słownikowi, ale nawet przeciw zmysłowi słuchu. Kiedy więc spowiednik nasz strofuje pana Szujskiego o zaniedbanie stylu, naraża się na to, że kto złośliwy zastosuje do niego pewną ewangieliczną przypowieść o belce w własnem oku, lub dawne polskie przysłowie: „czyńcie, spowiedniku, jak nauczacie“.

Na ostatku zaś wytknąć jeszcze musimy autorowi to, że zarzucając p. Szujskiemu „rozmiłowanie w sobie, pychę i zarozumiałość, która go na śmieszność naraża“, popiera to swoje twierdzenie wyjątkami z przedmowy do dramatów, zestawionemi tak misternie, że innego nabierają znaczenia w *Rachunkach*, niż je mają w książce p. Szujskiego. Ktoby bowiem sądzić go chciał z *Rachunków* samych, ten uwierzyćby musiał, że nie zarozumiałym ale bezczelnym jest ten pisarz, który sobie przyznaje, „że wszystkim warunkom odpowiedział“ (str. 278 t. II), który „rozbujałą poezyę polską chce ująć w przyzwoite ryzy“ (str. 286) i który „żywi nadzieję, że polskim Goethe'm się stanie“ (tamże).

Byłoby to wszystko istotnie oburzające, gdyby było prawdziwe. Ale kto zechce przeczytać przedmowę do dramatów pana Szujskiego, ten znajdzie w niej zaiste co innego jak pychę i zarozumiałość. „Pojmujemy usiłowania nasze na tem polu“ (dramatycznem), pisze pan Szujski w przedmowie; „jako szczere i sumienne szukanie drogi ku dramatowi polskiemu, jako szereg budowli torujących drogę nowemu stylowi poetyckiemu“. Pisarz który dzieła swoje pojmuje jako próby i początki, „z których kiedyś śmielsza przyszłość“ może skorzystać, pisarz taki zarozumiałym nie jest; a jeżeli mu kto zarzuci, że zuchwale zrywa się do walki z „wybujałością polskiej poezyi“, to on na obronę swoję przytoczyć może słowa tej samej przedmowy, i powie że „marząc o formie dramatycznej przyszło mu walczyć z wybujałością form da-

wnych, walczyć z liryką i epopeją, które nęcą tyloma wdziękami i związkiem swoim z narodową duszą“, a wreszcie że „wyrzec mu się przyszło ich powabów“, bo inaczej nie byłby odpowiedział zadaniom dramatu. Znaczy to, dla każdego kto bierze słowa w ich sensie zwykłym i prostym, że pisząc dramata musiał autor wyrzec się tych form gotowych, które mu dawała poezya opisowa i liryczna, i że musiał z niemi walczyć, bo go nęciły swoim powabem, nasuwały mu się, a użyć ich nie chciał, bo uważał że nie są do dramatu stosowne. Łatwo jest wyrwać z toku myśli kilka słów lub kilka wierszy, a tak wyrwawszy podsunąć im znaczenie inne niż miały pierwotnie, ale praktyka taka najmniej daje się usprawiedliwić w książce, która wywiesza prawdę jako swoje godło. Natrząsa się autor z p. Szujskiego, że „szczęśliwy wypełnił w Jadwidze wszystkie warunki“ — tymczasem pan Szujski mówi tylko, iż sądzi, że odpowiedział dwom warunkom, jakie mu postać Jadwigi nakładala, to jest, że przedstawił ją w pierwszych aktach jako duszę nierozwiniętą jeszcze i podległą pewnym przyzwyczajeniom, pewnym wpływom niższym, w następnych zaś doprowadził ją do wewnętrznego przeobrażenia i ukazał w świetle nierównie piękniejszem. O tych warunkach mówi pan Szujski w przedmowie, tak samo jak mówiąc o tem, że w *Halszce z Ostroga* fikcya jego piękniejszą jest od rzeczywistości, rozumiał, tak jak rozumie każdy nieuprzedzony, że w dramat swój nie wciągnął tych wszystkich nizkich i brzydkich motywów, które w rzeczywistości w sprawie tej wielką grały rolę. Jeżeli mówi o Jadwidze, że ją „oparł o Rasynowskie tradycye“, to znać nie chce jej tem zachwalać, kiedy sam wytyka jej, że nie gardzi deklamacyą; jeżeli mówiąc o *Twardowskim* wspomina o bujności *Calderona*, to nie dlatego, żeby się z *Calderonem* chciał równać, ale że przedmiot zmuszał go do dlugich dyalogów, a „szukając dramatycznej formy, musiał puszczać się śladami obcych mistrzów“. Byłże tu powód oskarżać go o zarozumiałość i pychę? niech czy-

telnik osądzi. Ale tu jeszcze mogła przedmowa dać chociażby błahy pozór do tego posądzenia — do zapytania czy pan Szujski myśli zostać polskim Goethe'm nie dała nawet pozoru! i zapytanie to wyszło całkowicie z inwencyi autora *Rachunków.* Gdzież to pan Szujski pokazał ową chęć mierzenia się z Goethe'm? gdzie dał poznać, że żywi tę nadzieję, którąby była śmiesznością? Nigdzie! a kto mu ją podsuwa, ten działa złośliwie i podstępnie. Coby powiedział Bolesławita, gdyby jego tak kto zapytał, czy ma nadzieję dorównać powieściami swojemi takim powieściom jak *Wahlverwandschaften* lub *Wilhelm Meister?* czy nie oburzyłby się jako niewinny tej śmieszności? czy nie miałby prawa obrazić się autor *Żyda, Moskala, Czerwonej Pary, e tutti quanti?* Czemuż więc dopuszcza się na drugim tego, co spełnione na sobie wziąłby za złość i niesprawiedliwość? Nie czyń drugiemu co tobie nie miło, zasada to, której i pisarze jak wszyscy inni ludzie trzymać się powinni, najbardziej zaś ze wszystkich ci, którzy „kapłański pełnią obowiązek".

Widząc że wszystko niemal co p. Szujski w życiu swojem pisał, znane było autorowi *Rachunków* jeszcze w r. 1866 nie wiemy czemu przypisać tę zmianę w jego zdaniu. Są wprawdzie literackie przeglądy w piśmie naszem drukowane, ale trudno przypuścić, żeby one tyle ważyły na szali — jest Literatura Przedchrześciańskiego Świata, ale o tej wspomina autor raczej przychylnie. Pozostawałaby mała broszurka ogłoszona w początkach roku 1867 *Kilka prawd z dziejów naszych:* czyżby to ona tak niekorzystnie wpłynęła była na usposobienie Bolesławity względem p. Szujskiego? I tego z pewnością wiedzieć nie można. Spotykamy się tu wprawdzie z zarzutem, że p. Szujski ma wstręt do emigracyi, (co w Galicyi jest na porządku dziennym i w modzie (str. 285), i że swoim przeciwnikom politycznym zakazuje „nietylko konspirować ale nawet myśleć" (str. 284— str. 8 tom II). Jeżeli to jest istotnie dla autora kamieniem obrazy, to szczęśliwi jesteśmy, ze go uspokoić możemy. Pan Szujski nie zakazywał

nigdy nikomu myśleć, a najmniej nakazywał Polakom myśleć o Polsce. „Kułakiem emigracyi ust nie zabijał“ (str. 9), i za jednę „odezwę Mierosławskiego lub Bulewskiego całej emigracyi nie potępiał“. Zdawało mu się tylko, że są pewne myśli, które wydrukowane i rozsiewane po kraju, stają się uczynkami, i to uczynkami szkodliwemi; zdawało mu się, a nie ręczymy, czy do dziś dnia nie zostaje on w tym samym błędzie, że odezwy które wzywają do propagowania powstania w Galicyi, iż organizacye, kadry, i cała ta szumna gotowość do czynu, na jednych tylko wychodzi korzyść — Moskali. Nie potępiał więc emigracyi, ale upominał i emigrantów i ludzi w kraju pozostałych, żeby na ten młyn wody nie ciągnęli; nie zabraniał myśleć, ale ostrzegał przed zgubnem działaniem. Odsądzać emigracyę od miłości ojczyzny i od związku z krajem byłoby wielkiem złem; ale przyjmować od niej wszystko, pozwalać emigrantom „propagować powstanie“ dlatego że są emigrantami, to byłoby nie miłością emigracyi, nie miłością kraju, ale pochlebstwem, tchórzostwem, i zdradą obowiązku. Tak broszurę swoję i stanowisko swoje pojmował p. Szujski; jeżeli autor *Rachunków* stoi na innem, niechże raczy powiedzieć to wyraźnie, i określić bliżej ten kierunek polityczny, do którego się przyznaje, a którego to jasnego określenia szukaliśmy w książce jego usilnie, lecz bez skutku.

Sądzićby bowiem można, że autor założył sobie pozostać ściśle objektywnym, i z własnem przekonaniem politycznem jak najmniej występować. Zasługa to, czy słaba strona? wyrokować nie śmiemy. Konstatujemy tylko, że przekonanie autora nigdzie prawie wyraźnie sformułowanem nie jest, a za to roi się książka od najróżnorodniejszych zdań i wyobrażeń, które spotykają się w niej jak na neutralnym gruncie. Zasady, które w praktycznem życiu dzielą społeczeństwo na konserwatystów i rewolucyonistów, pojęcia, które u nas w Polsce służą za sztandary sprzecznym stronnictwom, tu żyją obok siebie tak zgodnie jak zwierzęta w raju. Kartka, na której autor oświadcza, że „powinniśmy już raz dać

pokój rewolucyom" a trzymać się wewnętrznej pracy (284 tom II), znosi spokojnie obok siebie inną kartkę, na której autor w sposób wymowny gromi tych co od spisków i rewolucyi odwodzą. Karta, na której Galicya dostaje naganę za to, że kiedy od niej zależało wszystko, ona oddała się dla świętego spokoju na łaskę i niełaskę i nie rozpoczęła walki „poparta przez Czechów i federalistów słowiańskich" (541 t. I), nie troszczy się wcale o to, że w sąsiedztwie jej kartka 562 zrozumieć nie może, dlaczego Galicya „zamiast marzyć o niemożliwej federacyi słowiańskiej nie postarała się o węzeł federacyjny z Węgrami". Każdy więc spotkać się tu może ze swojem zdaniem, i ma czem zaspokoić swoje sumienie a zasłonić swoje postępowanie: stronnik polityki niemiecko-węgierskiej, równie jak wyznawca i zwolennik przymierza z Czechami, nieprzyjaciel spisków i rewolucyi równie jak ajent „nieszkodliwego" Ogniska. Zdania autora tylko spotkać trudno. Sądziliśmy, po tych gorżkich wyrzutach jakich nieszczędzi Galicyi i jej sejmowi, że droga, którą od roku 1865 idziemy wydaje się autorowi złą, że politykę tę uważa za galicyjską nie za polską, za sprzeczną z zasadami i z tradycyami polskiemi; zdawało nam się, że mamy wreszcie jego sposób widzenia rzeczy wypowiedziany jasno i wyrażnie, Nieszczęściem doczytawszy do strony 562 t. I, na której autor każe nam starać się o przyłączenie do Węgier na mocy praw korony św. Szczepana do Galicyi, doznaliśmy zawodu i rozczarowania. Jużcić nie w imię zasad i tradycyi występuje, kto jednej części Polski radzi korzystać zręcznie z argumentów „rewindykacyjnego patentu". I tu więc nie możemy rozpoznać istotnego przekonania autora, i tu nie dowiadujemy się co on właściwie myśli i czego ostatecznie żąda.

Na tem kończymy nasze uwagi o *Rachunkach*. Zostawałoby wprawdzie nie jedno do powiedzenia, zwłaszcza o liście do anonyma. Gdybyśmy mieli taki talent do przerabiania wyrazów francuskich na polskie, jakie okazał autor *Ra-*

chunków kiedy nam przyswoił przymiotnik „guwernamentalny“, ukulibyśmy ze słowa *prétentieux* ten epitet, któryby nam do charakterystyki owego listu najlepiej się nadawał. Ale, i tego talentu nie posiadamy, i cierpliwości czytelnika boimy się nadużyć, i nam samym pilno wyjść z tej niemiłej roli Zoila. Czyśmy ją odegrali z naganną przesadą? Może kto tak osądzi; anonym ów, którego list dał autorowi *Rachunków* powód do napisania przedmowy, może zastósuje do nas w myśli ową klątwę, którą poeta rzuca na tych co „swoje mordują proroki“ — a może i sam autor, który w przewidzeniu krytyki zapewne oświadcza że „miłość prawdy odcierpieć gotów, i że choć w oplwanej szacie pójdzie na świadectwo spełnionej powinności“, może i on pomyśli, żeśmy mu szatę jego oplwać chcieli. Zaręczamy, że nie były nam w myśli takie Improperie przypominające mękę Pańską i nie poczuwamy się byśmy do siebie brać mieli ewangieliczną groźbę zawieszoną nad Jeruzalem, które kamienowało tych, którzy doń byli posłani. Jeżeli autor czuje się posłanym i powołanym do spowiadania błędów i niedoli swego czasu przeszkadzać mu nie chcemy. Chcieliśmy tylko zwrócić i jego i publiczności uwagę na to, że treść książki nie ze wszystkiem zgadza się z jej godłem: a czyniąc tak mieliśmy na oku pożytek przyszłych, jeżeli będą, *Rachunków*, a wykonywaliśmy nietylko prawo sprawozdawcy, ale i jego obowiązek.

SPIS RZECZY.




DOM
KSIĄŻKI
DOM

